

Tom VIII /2011

Autor: Aleksander Ścios
Tytuł: „BEZ DEKRETU”.
Blog: bezdekretu.blogspot.com

Od 604 -662

LIPIEC 2011.....	3
604. BEZPIECZEŃSTWO NA SPRZEDAŻ - (1)	3
605. STRATEGIA WYBORCZA CZY IMPERATYW MORALNY?.....	5
606. „WSPÓLNOTA BRUDU”	7
607. METODA „NA ŚCIOŚA”.....	9
608. BEZPIECZEŃSTWO NA SPRZEDAŻ - (2)	10
609. GRY WYBORCZE W TECHNOLOGII IT	13
610. NORWEGIA. ROSYJSKI ŚLAD	15
611. ROSYJSKI ŚLAD. FAKTY	16
612. KRĄG MILCZENIA.....	17
613. AFERA MARSZAŁKOWA. PROTOKOŁY NIEZGODNOŚCI	19
SIERPIEŃ 2011.....	21
614. W KOMUNISTYCZNYM GORSECIE SŁUŻALCZOŚCI.....	21
615. ZAMACH W NORWEGII.....	23
616. OTWORZYĆ DRZWI PUTINOWI	26
617. KALENDARIUM FAKTÓW TENDENCYJNYCH	27
618. JEDNYM GŁOSEM	30
619. ŚWIADEK „W KORONIE”	33
620. RĘKA Z TAMTEGO ŚWIATA. ROK 1920.....	34
621. PRZYJACIELE ŁUKASZENKI.....	36
622. TRZEBA „WIEDZIEĆ JAK”	38
623. NIE ROZMAWIAĆ	39
624. SAMOBÓJSTWA DOSKONAŁE.....	40
625. UDUSZENI WOLNOŚCIĄ.....	42
626. METODA PROPAGANDOWEJ PREWENCJI	43
WRZESIEŃ 2011	45
627. ROBESPIERRE OD TAJEMNIC.....	45
628. ŻADNYCH DEBAT CZYLI O „DZIENNIKARSKOŚCI”	47
629. W SIECI.....	49
630. CZY ZASŁUGUJEMY NA WIĘCEJ ?	51
631. ŚWIAT OSTREGO WIDZENIA.....	52
632. PROWOKACJA JAKO ŚRODEK WYBORCZY.....	52
633. DWA GŁOSY	54
634. ANATOMIA KAPITULACJI.....	55
635. ZABÓJCZE MODERNIZACJE „PANÓW W MUNDURACH”	57
636. INFORMACJE BEZ GRANIC.....	60
637. WYBORY W CENIU USTAWY O STANIE WOJENNYM	61
638. ALTERNATYWNE WIDMA PRZYSZŁOŚCI	63
639. POJEDNANIE ZE SZCZEGÓLNYM BŁOGOSŁAWIEŃSTWEM.....	65
PAŹDZIERNIK 2011.....	66
640. FAKTY W MIEJSCE ŁGARSTW. CZYM JEST PLATFORMA?	66
641. PILNUJMY WYBORÓW !	68
642. WYBÓR W CENIU ROSJI	69
643. 1947-2011 - WYBÓR SUMIENIA	70
644. DŁUGI MARSZ.....	72
645. POJEDNANIE JAK STRZAŁ W POTYLICĘ	73
646. ZBRODNIA ZAŁOŻYCIELSKA III RP	76
647. ZNAK KAINA	78
648. O ZBĘDNYM MERDANIU OGONEM	81
LISTOPAD 2011.....	82
649. LISTA OSÓB ZAMORDOWANYCH PRZEZ KOMUNISTÓW W LATACH 1981 - 1989	82
650. KALININGRAD - DEMONY UWOLNIONE	87
651. RZĄD WPROWADZA CENZURĘ INTERNETU.....	89
652. MEDIA ALBO ŚMIERĆ.....	90
653. SŁOWO KTÓREGO NIENAWIDZĄ.....	92
654. ZA DWA GROSZE I DWIE KROPLE KRWI.....	92
655. TANDEM - OJCOSTWO UTRACONE.....	94
656. REKOMENDACJE DLA POLSKI	98
657. ZABIĆ RAZ JESZCZE - SPRAWA KRZYSZTOFA OLEWNIA.....	99
GRUDZIEŃ 2011r.	103
658. DWA ŚWIATY	103
659. WOJNA CYWILIZACJI	104
660. WITAJCIE W UKŁADZIE WARSZAWSKIM	106
661. CIĘŻAR KŁAMSTWA.....	108
662. KURACJA - CZYLI SOWA NA WOJNIE	109

LIPIEC 2011

05.07.2011 19:37 60

604. BEZPIECZEŃSTWO NA SPRZEDAŻ - (1)

Dwa dni po tragedii smoleńskiej marszałek Sejmu Bronisław Komorowski wykonujący obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej podpisał ustawę z dn. 18 marca 2010 o szczególnych uprawnieniach ministra właściwego do spraw Skarbu Państwa oraz ich wykonywaniu w niektórych spółkach kapitałowych lub grupach kapitałowych prowadzących działalność w sektorach energii elektrycznej, ropy naftowej oraz paliw gazowych.

Była to jedna z ważniejszych ustaw, dotycząca zarządzania tzw. infrastrukturą krytyczną, czyli obiektami, instalacjami i usługami kluczowymi dla bezpieczeństwa państwa. W ich skład wchodzi m.in. systemy zaopatrzenia w energię, surowce energetyczne i paliwa, łączności i sieci teleinformatyczne. Ustawa została negatywnie zaopiniowana przez Biuro Analiz Sejmowych i już podczas prac sejmowej komisji skarbu państwa posłowie PiS wnioskowali o jej odrzucenie w pierwszym czytaniu. Wśród najpoważniejszych błędów wymieniano: likwidację listy spółek strategicznych, zawężenie użytych w ustawie pojęć „bezpieczeństwa publicznego” i „porządku publicznego” jedynie do ochrony infrastruktury krytycznej sektora energetycznego, z wyłączeniem infrastruktury telekomunikacyjnej oraz wadliwe określenie statusu pełnomocnika do spraw ochrony. Celem ustawy było przyznanie ministrowi skarbu szczególnych uprawnień w zakresie możliwości wniesienia sprzeciwu wobec uchwał podejmowanych w spółkach zaliczonych do infrastruktury krytycznej. Nie uwzględniono jednak możliwości sprzeciwu wobec działań władz spółek zarządzających siecią teleinformatyczną.

Z podpisaniem ustawy najwyraźniej zwlekał prezydent Lech Kaczyński. Choć do Kancelarii Prezydenta ustawa trafiła 22 marca i miała obowiązywać od 1 kwietnia 2010 roku, nie została podpisana w tym czasie.

Pośpiech w jakim Komorowski zabrał się za podpisywanie aktów prawnych skierowanych do prezydenta Lecha Kaczyńskiego (tylko w kwietniu 2010 zrobił to 20 razy) staje się zrozumiały, gdy dostrzeżemy konsekwencje wynikające z przyjęcia tej właśnie, szczególnie ważnej ustawy. Ponieważ zlikwidowano w niej listę spółek strategicznych, swój dotychczasowy status zmieniła Telekomunikacja Polska S.A. oraz Exatel S.A., mimo że spółki te administrują strategicznymi obiektami i sieciami, przy czym w przypadku TP S.A. są to sieci łącznikowe i punkty dowodzenia na czas wojny. Dzięki błędnym zapisom ustawy i pominięciu w niej sektora teleinformatycznego, spółką strategiczną skarbu państwa przestała być również Emitel sp. z o.o., należąca do spółek zależnych TP S.A., to zaś umożliwiło sprzedaż rozpoczęcie procedury sprzedaży tej firmy.

Emitel to największa ze spółek administrujących naziemną infrastrukturą radiowo-telewizyjną w Polsce. Należy do niej ponad 300 masztów z zawieszonymi na nich antenami do nadawania sygnału telewizyjnego, radiowego i telekomunikacyjnego. Firma buduje też infrastrukturę, m.in. dla nadawców telewizyjnych tworzących naziemną telewizję cyfrową. Te inwestycje decydują o rosnącym znaczeniu i wartości firmy. W Polsce telewizja analogowa ma zostać wyłączona w 2013 roku, zatem przekaz cyfrowy będzie sukcesywnie obejmować swoim zasięgiem kolejne regiony Polski. W ubiegłym Emitel podpisała z Telewizją Polską umowę, na podstawie której będzie operatorem technicznym trzeciego multipleksu naziemnej telewizji cyfrowej za 615,6 mln zł w ciągu najbliższych 10 lat. W 2010 roku spółka podpisała również umowy z Polsatem, TVN, TV Puls i TV4 dotyczące nadawania programów na drugim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej, jednak kwoty tych kontraktów nie ujawniono.

Prof. Jerzy Urbanowicz już przed dwoma miesiącami w artykule „Demontaż bezpieczeństwa państwa” („Nasz Dziennik” 22.04.2011) opisał działania obecnego rządu zmierzające do zniszczenia i rozmontowania państwowego systemu bezpieczeństwa teleinformatycznego oraz zwrócił uwagę, że „strategiczna spółka Emitel przestała być polską spółką strategiczną, po raz kolejny przy biernej postawie polskich służb specjalnych. Narzuca się pytanie: kto wykreślił spółki telekomunikacyjne z ustawy? Wykreślenie słów „lub czasopisma”, za które Lew Rywin siedział w więzieniu, jest drobniactwem w porównaniu z wykreśleniem, które uderza dotkliwie w bezpieczeństwo państwa polskiego. Jakie służby brały w tym udział?”.

Urbanowicz twierdził, że sprzedaż Emitela, „przypomina do złudzenia wcześniejszą sprzedaż spółki Energis działającej na terenach PKP, którą - via fundusz Innova - Anglicy odsprzedali Rosjanom z GTS.” I przypominał, że „dzisiaj GTS przymierza się do kupna Exatela. Sprzedaż Emitela powinna być dla Polaków sygnałem ostrzegawczym. Czy nie jest to przypadkiem przegrywka do sprzedania całej spółki TP S.A. Rosjanom? Byłaby to wielka tragedia narodowa, gdyż TP S.A. wciąż administruje rozległą infrastrukturą obronną naszego państwa.”

22 czerwca br., po uzyskaniu zgody Prezesa Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów doszło do sfinalizowania transakcji sprzedaży spółki Emitel za kwotę 1.725 mln zł. Nabywcą została EM Bidco sp. z o.o. (dawniej Kapiri Investments sp. z o.o.), kontrolowana przez fundusze zarządzane przez Montagu Private Equity.

W przypadku tak ważnej dla bezpieczeństwa Polski transakcji, jej okoliczności mogą budzić uzasadnione wątpliwości. Nabywcą jest bowiem firma niemal całkowicie nieznana na polskim rynku o dość skomplikowanych wręcz niejasnych powiązaniach kapitałowych. Co ciekawe - jeszcze w lutym 2011 roku wśród potencjalnych inwestorów wymieniano cztery

firmy, wśród których nie było obecnego nabywcy. Według nieoficjalnych informacji wiążące oferty TP.S.A. złożyły wówczas : Telediffusion de France (TDF), kontrolujący Polskie Sieci Nadawcze, konkurenta Emitela na polskim rynku, fundusz private equity EQT, konsorcjum Innova Capital oraz firma Advent International.

Nabywca Emitela, spółka Kapiri Investmenst (podobnie jak EM Bidco) została zarejestrowana 25.11.2010 r. z kapitałem zakładowym 5 tys. zł. Prezesem spółki jest Christian Guy Gaunt, członkami zarządu Michał Chałaczkiwicz i Simon Pooler. Prócz prezesowania w spółkach Kapiri i EM Bidco, Christian Gaund jest lub był prezesem w blisko 150 innych spółkach założony w latach 2010-2011, których wspólnym wyróżnikiem jest używanie w nazwie słowa „investments”. Pod koniec lat 90. Gaund pracował w korporacjach międzynarodowych, przebywając m.in. przez sześć lat w Moskwie i Kijowie. Od 2002 roku działa w Polsce. Wcześniej był dyrektorem w Mcann Ericson w Kijowie, dyrektorem w agencji reklamowej Grey Worldwide Warszawa oraz doradcą zarządu Trinity Corporate Services. Spółka Trinity Shelf Companies sp. z o.o - polski oddział Trinity Corporate Services działającej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej jest dziś również wspólnikiem Kapiri Investment.

Montagu Private Equity to jeden z europejskich funduszy zarządzających kapitałem inwestycyjnym. Siedziba firmy mieści się w Londynie, a biura w Dusseldorfie, Manchesterze, Paryżu, Sztokholmie i Warszawie. Dyrektorem regionalnym Montagu w Polsce jest .Michał Chałaczkiwicz - członek zarządu spółek Guya Gaunta. Strategia inwestycyjna Montagu skupiała się dotąd na firmach działających w stabilnych niszach rynkowych (transakcje o wartości od 100 mln euro do 1 mld euro). Okazuje się, że kupno Emitela jest pierwszą transakcją Montagu IV, czwartego funduszu Montagu. To także pierwsza inwestycja Montagu w Polsce i druga w regionie Europy Środkowowschodniej. Wcześniej w roku 2008 fundusz kupił holenderską spółkę holdingową Euromedic International („Euromedic Polska”) inwestując w nią 70 milionów euro.

Choć cena, jaką EM Bidco zapłaciła za spółkę Emitel jest uważana za wysoką, trudno to kryterium uznać za najważniejsze, w przypadku sprzedaży firmy o znaczeniu strategicznym dla bezpieczeństwa państwa. Tym bardziej, gdy spółka posiada podpisane wieloletnie umowy z nadawcami i gwarantowane zyski z rozwoju sieci naziemnej telewizji cyfrowej. To jednak nie wszystkie atuty Emitela. Spółka oprócz swoich masztów obsługuje również nadajniki należące do PTK Centertel, operatora sieci Orange. Ponieważ Centertel i Polska Telefonii Cyfrowa (operator sieci Era) w marcu br. podpisały porozumienie o współpracy w zakresie wzajemnego korzystania z infrastruktury sieciowej oraz pasm częstotliwości, Emitel może wkrótce zawrzeć umowę na utrzymanie połączonej infrastruktury Centertela i PTC. Przetarg na utrzymanie tej sieci ma być rozpisany już w 2012 r. Za kilka lat, wzorem rozwiązań istniejących w Europie Zachodniej, Emitel może być nie tylko administratorem sieci nadawców ale stanie się ich właścicielem i skupi całą infrastrukturę nadawczą w Polsce.

Jest raczej pewne, że Montagu - fundusz typu private equity będzie chciał w niedalekiej przyszłości odsprzedać Emitela z zyskiem. Spółka z takim potencjałem i perspektywami rozwoju nie będzie miała problemów z nabywcą. Obawy prof. Urbanowicza, że sieć nadajników telekomunikacyjnych może trafić w obce ręce, wydają się całkowicie zasadne. W umowie o sprzedaży Emitela nie ma bowiem klauzuli o zakazie odsprzedaży spółki bez zgody polskiego rządu, co oznacza, że państwo polskie nie będzie miało żadnego wpływu na wybór potencjalnego nabywcy. Jeśli Rosjanie, czy ktokolwiek w ich imieniu zapłacą odpowiednią cenę, cała sieć polskich nadajników trafi w ich ręce. Należy przypuszczać, że Montagu Private Equity nie będzie zwlekał ze sprzedażą, podobnie, jak miało to miejsce ze spółką Energis, sprzedaną Rosjanom przez podobny fundusz Innova.

Trudno pozbyć się wrażenia, że zmiana poprzedniej ustawy z 3 czerwca 2005 roku o szczególnych uprawnieniach Skarbu Państwa i szybkie podpisanie nowej regulacji przez Bronisława Komorowskiego, miało na celu wyłączenie strategicznych firmy teleinformatycznych z infrastruktury krytycznej i stworzenie dogodnych warunków do ich sprzedaży.

Ochrona tej infrastruktury należy m.in. do ustawowych obowiązków Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Nie wiemy, czy i w jakim zakresie ABW dokonała sprawdzenia nabywców spółki Emitel ani czy w ogóle monitorowała całą transakcję.

Pytanie o bierną postawę ABW warto rozpatrzyć w nieco innym kontekście, niż dotyczącym kwestii bezpieczeństwa państwa. Trzeba bowiem zwrócić uwagę, że szef ABW nawet po sprzedaży Emitela nadal posiada nadzór nad spółkami teleinformatycznymi. Wynika to z regulacji zawartych w ustawie o zarządzaniu kryzysowym, na podstawie których ABW uzyskała niekontrolowany dostęp do dokumentów i informacji w firmach zarządzających infrastrukturą krytyczną oraz możliwość wpływu na obsadę stanowisk pełnomocnika ds. kontaktów z ABW. Rozwiązania przyjęte w nowelizacji ustawy sprawiły, że ABW w niemal każdej firmie może posiadać swoich oficjalnych rezydentów, ci zaś mają realny wpływ na decyzje podejmowane przez władze spółki. Ponieważ pełnomocnikiem może zostać wyłącznie osoba, której ABW udzieli poświadczenia bezpieczeństwa osobowego czyli tzw. certyfikatu, dopuszczającego do dokumentów o klauzulach poufności i tajności, są to ludzie, których zależność od szefa ABW wydaje się oczywista. Dzięki tej regulacji w każdej spółce zarządzającej siecią teleinformatyczną znajdują się „oczy i uszy” ABW. Tym samym utrata kontroli nad spółką przez ministra Skarbu Państwa nie musi wcale oznaczać, że taką kontrolę stracił również szef ABW.

Krzysztof Bondaryk, który przez wiele lat pracował w spółkach Zygmunta Solorza, zna doskonale działalność tego rodzaju firm W latach 2005-2006 pracował dla Solorza w Polskiej Telefonii Cyfrowej (PTC) - operatorze sieci komórkowych Era i Heyah pełniąc funkcję dyrektora odpowiedzialnego za bezpieczeństwo danych. Z tego okresu pochodzi sprawa nielegalnego kopiowania tajnych danych w Erze oraz działalności tzw. „Bandy Czworą”, grupy czterech oficerów UOP pracujących w spółkach telefonii komórkowej, którzy wymieniali się tajnymi informacjami i prowadzili nielegalną rejestrację rozmów. W 2008 roku CBA ujawniła, że Bondaryk będąc już szefem ABW otrzymywał co kwartał odprawę z PTC w wysokości 450 tys. zł . Opisana ostatnio przez „Gazetę Wyborczą” sprawa odsunięcia od śledztwa prokuratora Andrzeja Piasecznego i nabycia przez Bondaryka luksusowego Audi po zaniżonej cenie dotyczy również okresu pracy szefa ABW w spółkach Zygmunta

Solorza. Nieprzypadkowo w kontekście tej sprawy „GW” opisuje wątek licznych nieprawidłowości w spółce PTC i telewizji Polsat.

Można sądzić, że pojawienie się tej ostatniej publikacji ma związek z planami inwestycyjnymi Solorza, a wówczas na sprawę zbycia Emitela i sprzedaży innych firm tego sektora warto spojrzeć z perspektywy przyszłych rozsad na rynku spółek teleinformatycznych. Niewykluczone, że taka optyka okaże się również przydatna w ocenie roli ABW w nadzorowaniu transakcji sprzedaży firm strategicznych.

Po zbyciu Emitela, rząd Tuska planuje bowiem sprzedaż kolejnej, najważniejszej spółki telekomunikacyjnej Exatel S.A., która jako jedyna w Polsce dysponuje potężną siecią światłowodową, zapewnia łączność armii i najważniejszym instytucjom państwa. Exatel jest także administratorem sieci łączności do celów technologicznych i kontrolnych polskiego systemu elektroenergetycznego, a po połączeniu Tel-Energo z Telbankiem zarządza również sieciami krajowego systemu bankowego. Wśród klientów Exatela są: MON, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, Urząd Komisji Nadzoru Finansowego, Narodowy Bank Polski, Giełda Papierów Wartościowych, Polskie Sieci Elektroenergetyczne, Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo oraz 1,5 tys. wiodących firm w różnych dziedzinach gospodarki. Sieci Exatela służą również do zapewnienia łączności polskich sił zbrojnych z NATO.

22 marca 2011 r. prezes Polskiej Grupy Energetycznej (większościowy udziałowiec Exatela) ogłosił, że jego spółka chce zakończyć transakcje sprzedaży swojej telekomunikacyjnej spółki zależnej Exatel w 2011 roku. W najbliższych dniach ma również zapadnąć decyzja udziałowca mniejszościowego ENEA S.A. o zbyciu 2,2 procent udziałów w kapitale Exatela. Wcześniej PGE zamierza sprzedać spółkę Polkomtel z jej siecią telefonii Plus. Największe szanse na zakup Exatela ma Zygmunt Solorz. Może stać się jej właścicielem, gdy przejmie kontrolę nad spółką Polkomtel.

Ponieważ na zakup akcji Polkomtela właściciele (PGE) przyznali Solorzowi wyłączność, wszystko wskazuje, że transakcja zostanie sfinalizowana w najbliższych dniach. Tomasz Zadroga, prezes PGE stwierdził niedawno, że kiedy zakończy się sprzedaż Polkomtela, wszczęty zostanie przetarg na zbycie Exatela, tak by spółka mogła zostać sprzedana przed końcem 2011 r. Wśród potencjalnych zainteresowanych przejęciem Exatela wymienia się Polkomtel, Netię i związany z Rosjanami GTS.

Planów sprzedaży Exatela nie zmienił nawet fakt, że spółka podpisała umowę ramową o współpracy z Agencją NATO ds. Konsultacji, Doradztwa i Kontroli NC3A (NATO Consultation, Command and Control Agency), która otwiera Exatelowi możliwości udziału w organizowanych przez Agencję przetargach na usługi teleinformatyczne.

Można jedynie przypuszczać, że tego rodzaju transakcje dokonywane w cieniu kampanii wyborczej, nie wzbudzą żadnego zainteresowania opinii publicznej i zostaną przeprowadzone w medialnej ciszy. Tymczasem wiele z obecnych publikacji prasowych, w tym dotyczących szefa ABW, może stanowić element „wielkiej gry” związanej z przyszłymi transakcjami na rynku spółek teleinformatycznych.

CDN...

13.07.2011 19:15 153

605, STRATEGIA WYBORCZA CZY IMPERATYW MORALNY?

Od wielu tygodni jesteśmy świadkami rozgrywania groźnej, propagandowej kombinacji. Jej scenariusz przypomina intrygę, która przed rokiem przyczyniła się do klęski Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich. Polega na użyciu tego samego prymitywnego mechanizmu, przy pomocy którego narzucono prezesowi PiS milczenie w sprawie tragedii smoleńskiej i sprowadzono treść kampanii do spraw drugorzędnych, pozwalając jednocześnie Komorowskiemu na uniknięcie konfrontacji z trudnymi pytaniami.

Przez cały okres kampanii prezydenckiej styszeliśmy zgodny chór mędrków oceniających Jarosława Kaczyńskiego i jego partię. Dywagacje o „błędnej, twardej retoryce”, „powrocie do wojny politycznej”, „zgubnych emocjach”, „pobudzaniu pierwotnych instynktów polskich” itp. zbiór słów-paralizatorów skutecznie zablokował temat tragedii smoleńskiej oraz pozbawił społeczeństwo szansy na poznanie prawdy o kandydacie Platformy.

Późniejsze zachowania grupki politycznych renegatów-rozłamowców, wśród których brylowali członkowie komitetu wyborczego, potwierdziły jedynie, że mieliśmy do czynienia z działaniem celowym, a narzucona kandydatowi PiS błędna strategia była podstawową przyczyną porażki.

Opozycja „za rogiem publicznej toalety”

Każde z fałszywych określeń, jakie uknuto wobec intencji Jarosława Kaczyńskiego, służyło sparaliżowaniu środowisk domagających się wyjaśnienia przyczyn tragedii i wyciszeniu głosów opozycji. Bez najmniejszych trudności wmówiono Polakom, jakoby prawda o śmierci naszych rodaków miała być groźna dla spokoju społecznego, nieść zagrożenie dla debaty publicznej, wywoływać zło i konflikty. Uprawnioną i konieczną w każdej demokracji krytykę rządzących sprowadzono do „złych emocji” i „gry tragedią”. To, co w każdym państwie należy do zakresu niezbywalnych praw obywateli nazwano

„politycznym awanturnictwem” i okrzyknięto „zagrożeniem dla spokoju społecznego”, nawiązując tym samym do putinowskiej maksymy: „*Opozycję należy bić pałką po łbie, a swoje poglądy może wyrażać za rogiem publicznej toalety*”. Zaatakowane tym jazgotem społeczeństwo miało nabrać przekonania, że samo mówienie o tragedii smoleńskiej jest przejawem politycznego awanturnictwa, a domaganie się od grupy rządzącej wyjaśnienia przyczyn katastrofy urasta do miana działalności sprzecznej z polskim interesem, godzi w sojusze i idee pojednania. Szczególnie groźnie brzmiały wówczas słowa rozlicznych „przyjaciół” Jarosława Kaczyńskiego, nie szczędzących mu dobrych rad i krytyki za „*zbędną eskalację konfliktów*”. Z upodobaniem spekulowano o rzekomych konfliktach w PiS-ie i zmianie na stanowisku prezesa, przeciwstawiano Kaczyńskiemu Ziobrę, straszono Macierewiczem i wieszczono „*kryzys przywództwa*”. Ci sami pseudo-moralisci, którzy z zapalem tropili wypowiedzi prezesa PiS, nie mieli cienia odwagi, by ocenić słowa polityków Platformy, napiętnować aferzystów lub dostrzec prawdę o postaci Komorowskiego. Ośmieleni dyspozycją rządzących, ukryci w stadzie gęgaczy rezonowali identyczne brednie według kanonu słów – paralizatorów.

Narzucona narracja

Wielu z polityków PiS-u przyjęło wówczas narzuconą przez media narrację, poddało się dyktatowi prostackiej retoryki, tłumaczyło z własnych słów, kajało za domniemane winy. Inni starali się nie przekraczać ram zakreślonych przez sztab rozłamowców i za główne problemy Polski uznali sprawy finansów publicznych, służby zdrowia czy reformy administracji. Ten żenujący spektakl musiał skończyć się przegraną Kaczyńskiego i zmarnowaniem szansy na przełamanie monopolu grupy rządzącej.

Zaledwie kilka dni po wyborach, kandydat PiS-u stwierdził: „*Zajmowanie się sprawą katastrofy smoleńskiej jest moim moralnym obowiązkiem wobec osób, które zginęły 10 kwietnia pod Smoleńskiem. To nie jest żadna nowa strategia, to jest imperatyw moralny*”.

Te słowa zdawały się świadczyć, że dostrzeżono największy błąd kampanii i odtąd tragedia smoleńska stanie się centralnym punktem odniesienia w kwestiach moralnych i politycznych.

Znakiem uwolnienia od zgubnych ograniczeń był wrześniowy list Jarosława Kaczyńskiego w sprawach polityki zagranicznej, w którym polityk PiS-u zaprezentował tezy godne męża stanu i przypomniał fundamentalną zasadę: „*by polityka była skuteczna musi być najpierw moralnie słuszna*”. Kolejny dobry (choć spóźniony krok) polegał na oczyszczeniu PiS-u z frustratów - politologów i jednodniowych gwiazdek medialnych, których zasługi polegały głównie na atakowaniu własnego środowiska.

Mogło się wydawać, że dotkliwe doświadczenia z okresu kampanii prezydenckiej zostaną poddane dogłębnej analizie, a partia opozycyjna uczyni wszystko, by uniknąć podobnych błędów w trakcie wyborów parlamentarnych. Zadanie to tym łatwiejsze, że prymitywna propaganda grupy rządzącej doznaje codziennych klęsk w starciu z prawdą o śledztwie smoleńskim, w związku z sytuacją gospodarczą kraju, stanem przygotowań do turnieju Euro czy represjami wobec środowisk opozycyjnych. Każdy z tych tematów pozwala na przejęcie inicjatywy medialnej i narzucenie własnej narracji.

Falstartem okazał się sposób prezentacji wyjątkowo ważnego „Raportu o stanie Rzeczypospolitej”, który poprzez zweeksławienie treści dokumentu na marginalną kwestię „ślaskości” przykryto kabotyńską histerią i wykorzystano do dorobienia PiS-owi „nacjonalistycznej” gęby. Błędnym posunięciem była również dobrowolna rezygnacja Kaczyńskiego z immunitetu. W najgorętszym okresie przedwyborczym, prezes PiS przyjął rolę podsądnego w procesie wytoczonym przez zapiekłego wroga i zdał się na wolę „aparatu sprawiedliwości”. Niedawny spektakl ze skierowaniem na badania psychiatryczne pokazał jakim celom służą organy sądowe III RP.

Polska jako rosyjski koń trojański

Zapewne już wówczas grupa rządząca musiała uznać, że możliwe jest powtórzenie scenariusza z wyborów prezydenckich i zastosowanie niemal identycznych działań propagandowych. To dlatego szef partii budującej na nienawiści zwrócił się do PiS-u z apelem „*oszczędźmy Polsce agresji i słów niemądrych*”, a do tłumieniu głosów opozycji wykorzystał szantaż tzw. prezydentki i zakłęcia na „*istotę polskiego interesu narodowego*”. Dodatkowy element obecnej kombinacji przewiduje również uaktywnienie środowisk inspirowanych przez służby, kanapowych partyjek oraz grup lepperowskich populistów. Przystąpiły one do wytyczania „trzeciej drogi” i tworzenia politycznych „alternatyw”, działając na rzecz odebrania PiS-owi kilku procent wyborców.

Za działania standardowe można uznać generowanie konfliktów w łonie PiS-u, próby dezintegracji oraz medialne rozgrywanie rzekomych sporów i personalnych waśni. Ten model działań poznaliśmy, gdy próbowano zdyskredytować wystąpienie posłów opozycji na forum PE. Brednie o „samowoli” Ziobry i „wojnie” z prezesem partii miały przykryć skuteczną akcję europosłów i zmniejszyć dotkliwość ciosu.

Podobny mechanizm zastosowano wobec prezentacji smoleńskiej Białej Księgi, w której opozycja wypunktowała dziewiętnaście mocnych zarzutów pod adresem władzy. Zgodnie z zasadą, iż słowa płynące z Kremla są dla nadwiślańskich hołdowników najwyższym źródłem inspiracji i tym razem czekano na reakcję rosyjskich decydentów. Komentatorzy rządowych mediów oraz ludzie z PO-PSL wyrazili swoje opinie dopiero wówczas, gdy Władimir Mamontow redaktor „Izwestii”, organu Gazpromu, określił wystąpienie posłów PiS-u jako „*taniec na grobach*” i uznał, że jest to „*najczystszej wody brudna polityka*”. Ponieważ rosyjskie „czynniki oficjalne” odmówiły komentowania dowodów zawartych w Białej Księdze, identycznie postąpili polscy przyjaciele, uchylając się od rzeczowych komentarzy, a poprzestając jedynie na knajackich złośliwościach i twierdzeniach o „*fobiach i frustracjach Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza*”.

Również w tym przypadku zastosowano doniesienia medialne o budowaniu przez Macierewicza „frakcji radykalnej” oraz „wymknięciu sytuacji spod kontroli” sugerując, że Kaczyński staje się niewolnikiem „spiskowych teorii” i ulega podszeptom likwidatora WSi.

Kłopotliwe dla rządzących jest przypominanie o wasalizacji polskiej polityki zagranicznej i uzależnianiu jej od dyktatu Rosji. Ten cel łatwo osiągnąć wskazując na podporządkowanie interesom rosyjskim niemal wszystkich priorytetów polskiej prezydencji. Tak istotną okoliczność trzeba nagłośnić, by uświadomić Polakom, że rząd PO-PSL zabiega o cele wyznaczone przez kremlowskich strategów i spełnia na forum międzynarodowym rolę rosyjskiego konia trojańskiego.

Niebezpieczna ochrona wyborów

Rezonans rządowych mediów wskazuje również, że zagrożeniem dla władzy jest zapowiedź powołania Korpusu Ochrony Wyborów i otwarte przypominanie o obawach związanych z fałszowaniem wyniku wyborczego. Ten dobry pomysł, warto poszerzyć o ustanowienie obserwatorów zagranicznych i zainteresowanie organów UE przebiegiem polskich wyborów.

Już na przykładzie tych reakcji doskonale widać, które z działań PiS-u są rzeczywiście groźne dla grupy rządzącej i mogą pokrzyżować jej plany propagandowe. Obecna władza boi się wniosków zawartych w Białej Księdze, a za główne zagrożenie uznaje przypominanie o tragedii smoleńskiej oraz piętnowanie odpowiedzialności moralnej i politycznej. Wskaźnikiem realnych obaw są również publikacje żurnalistów zatroskanych losom opozycji, którzy wskazując na Ziobrę i Macierewicza zadają dramatyczne pytanie „*kto najbardziej szkodzi PiS-owi*”? Gdy do zatroskanych głosów dołącza minister Sikorski mówiąc o „*sabotażu wewnątrz PiS*”, można niezawodnie wytypować osoby groźne dla układu rządzącego i wytyczyć kierunki przyszłych działań.

Zaskakujące, że w sztabie PiS-u pojawiają się pomysły i zachowania korespondujące z oczekiwaniami władzy. Rozczarowanie powinna budzić postawa szefa sztabu wyborczego, który bez cienia refleksji podąża za narracją rządowych przekazników i otwarcie dywaguje o „*błędach Ziobry i Kurskiego*”. Tego rodzaju samokrytyka jest działaniem wręcz samobójczym i utwierdza propagandystów PO w obranej strategii.

Niepokojąca wydaje się też zapowiedź skoncentrowania kampanii na sprawach „*służby zdrowia, wzroście cen, rozwoju samorządności i wsparciu dla przedsiębiorców*”. Nie umniejszając wagi tych spraw, trzeba dostrzec, że żadna z nich nie pozwala na ukazanie rzeczywistych problemów państwa ani destrukcyjnej roli obecnej władzy. W przekazie PiS-u zbyt mało miejsca poświęca się sprawom ukazującym autentyczne oblicze grupy rządzącej: aferze marszałkowej i stoczniowej, nielegalnemu finansowaniu PO z mafijnych pieniędzy, wyprzedaży strategicznej infrastruktury bezpieczeństwa, samowoli służb specjalnych czy uleganiu dyktatowi Rosji. Kompletnym nieporozumieniem jest także propozycja debaty Kaczyński-Tusk. Już przychylna reakcja PO winna wskazywać, że medialna konfrontacja tych polityków zostanie wykorzystana propagandowo i przedstawiona w formie alibi na uwierzytelnienie fasadowej demokracji III RP.

Nie traktować ich jako partnerów

Warto przypomnieć mądrą deklarację prezesa PiS sprzed roku: „*Nie będę współpracował z nikim, kto był nie w porządku wobec mojego brata i innych poległych. Bo zachowania wobec nich były haniebne, one politycznie i moralnie wykluczają współpracę. Absolutnie wykluczam mój udział we współpracy do czasu jakiejś daleko posuniętej ekspiacji z ich strony.*” Partnerska dyskusja z ludźmi oskarżanymi o współudział w zastawieniu pułapki smoleńskiej i wprowadzanie rządów totalitarnych, byłaby nie tylko aktem politycznej schizofrenii ale przede wszystkim służyła legalizacji metod obecnej władzy.

By wyznaczyć skuteczną strategię kampanii wyborczej, nie trzeba obszernych analiz ani szczegółowych sondaży. Prymitywny mechanizm działań grupy rządzącej sprawia, że wystarczy działać wbrew „dobrym radom” medialnych mędrków oraz bacznie obserwować reakcje rosyjskich i rządowych przekazników. Nie wolno bać się nazywania rzeczy po imieniu, bez światłocieni i zabójczych kompromisów. Pora też, by sztab PiS-u potrafił ocenić doświadczenia kampanii prezydenckiej, a niektórzy politycy zrozumieli, że nie da się dokonać zmiany życia publicznego III RP bez ostrego konfliktu z grupą rządzącą i przyjęcia sporów i wojen jako naturalnej powinności oppositio. Tchórzliwe podważanie tego porządku leży w interesie rządzących i prowadzi do absurdu, w którym miarą demokracji miałby być serwilizm i uległość, a wyrazem skuteczności - amoralny koniunkturalizm.

15.07.2011 18:45 62

606, „WSPÓLNOTA BRUDU”

Od czasu, gdy ówczesny kandydat na marszałka Sejmu Bronisław Komorowski, w reakcji na wezwanie przez Komisję Weryfikacyjną WSI oświadczył: „*Pan Macierewicz powinien zniknąć*”, osoba likwidatora Wojskowych Służb Informacyjnych należy do najczęściej atakowanych przez rządowe media i polityków grupy rządzącej.

Ta nieskrywana nienawiść do Antoniego Macierewicza ma całkowicie racjonalną podstawę. Likwidacja WSI - owego „*peryskopu, za pomocą którego Rosjanie pozyskiwali wiedzę o mechanizmach funkcjonowania naszego państwa*” (jak określił tę służbę prof. Zybortowicz) sprawiła, że funkcjonujący dotąd „triumwirat” III RP (służb-biznesu-polityki) został mocno zdeorganizowany i osłabiony.

Dlatego bezwzględny priorytetem rządu Donalda Tuska stało się przywrócenie wpływów środowiska WSI i powrót do wzorca służb ustalonego w roku 2004. Z chwilą przejęcia władzy przez Platformę, wszelkie działania rządu zostały ukierunkowane na zablokowanie procesu weryfikacji żołnierzy WSI, przejęcie nowopowstałych służb wywiadu i kontrwywiadu wojskowego oraz pełną reaktywację postkomunistycznego układu. Tuż po powstaniu rządu PO-PSL nastąpiły czystki w służbach specjalnych, szykany wobec szefów służb; nagonka na Mariusza Kamińskiego, oskarżenia przeciwko Święczkowskiemu, przesłuchania i represje wobec funkcjonariuszy kontrwywiadu wojskowego. Jedną z pierwszych decyzji nowego rządu było powołanie na stanowisko dyrektora Departamentu Kadr MON gen Janusza Bojarskiego, byłego szefa WSI. Zmiana ekipy politycznej uaktywniła również grupy obrońców tej służby. Już w listopadzie 2007 r. złożono do Trybunału Konstytucyjnego wnioski o stwierdzenie niezgodności z Konstytucją niektórych przepisów ustawy wprowadzającej ustawę o SKW i SWW. Kolejne miesiące przyniosły szereg zawiadomień do prokuratury przeciwko członkom Komisji Weryfikacyjnej oraz zawiadomień i pozwów przeciwko Antoniemu Macierewiczowi. W czerwcową noc 2008 roku, Sejm głosami obecnej koalicji uchwalił nowelizację ustawy o SKW i SW, która faktycznie zakończyła proces weryfikacji. W uzasadnieniu noweli napisano wprost: *„Projektowane przepisy generalnie otworzą drogę żołnierzom zawodowym zniesionych Wojskowych Służb Informacyjnych do „zagospodarowania ich” niezależnie od faktu czy Komisja Weryfikacyjna wyda, czy też nie, swoje stanowisko.”*

Jednocześnie utrudniano pracę Komisji Weryfikacyjnej, dyskredytowano i zastraszano jej członków, pomawiano szefa komisji, a wokół procesu likwidacji wytworzono atmosferę oskarżeń i klimat działań nielegalnych. Pod koniec 2007 roku rozpoczęto kombinację operacyjną z udziałem ludzi WSW/WSI, szefostwa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego, nazwaną przeze mnie aferą marszałkową. Polegała na działaniach zmierzających do uzyskania dostępu do tajnego aneksu z Raportu z Weryfikacji WSI, a gdy okazało się to niemożliwe, na zdyskredytowaniu członków Komisji Weryfikacyjnej i dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego. Działania te miały również na celu zdezwuwanie treści zawartych w aneksie oraz uprzedzenie ewentualnych zarzutów dotyczących powiązań polityków Platformy ze środowiskiem byłych WSI.

Częścią operacji, prowadzonej m.in. przez rządowe media była kampania oszczerstw i pomówień pod adresem Antoniego Macierewicza oraz akcja dezinformacji społeczeństwa na temat skutków likwidacji wojskowych służb. Zadanie było o tyle łatwe, że zdecydowana większość Polaków nie mając żadnej wiedzy merytorycznej na temat działania służb i ich historii, ulegała komunałom podawanym przez dyspozycyjne media. Wiedzę na temat likwidacji WSI odbiorcy mieli czerpać głównie od brylującego w przekazach medialnych gen. Marka Dukaczewskiego. Dość przypomnieć o szczególnych rewelacjach generała: zatrzymaniu zagranicą *„kilku znajomych jednej z osób wymienionych w raporcie”*, *„nielegalnym kopiowaniu ściśle tajnych dokumentów ewidencji operacyjnej”*, *„wygaszaniu”* Służby Kontrwywiadu Wojskowego, *„bo straciła kontrolę nad listą współpracowników”*, *„zagrożeniu życia dwóch agentów zdekonspirowanych w Raporcie”*, czy najnowszych - o *„hakach skrywanych w lochach Kancelarii Prezydenta Kaczyńskiego”*, użyciu *„w ciągu 10 dni skopiowanych, nielegalnych materiałów WSI przeciwko jednemu z kandydatów”* i straszeniu publikacją aneksu, jako bronią wyborczą. Wprawdzie żadne z opowieści Dukaczewskiego nie znalazły potwierdzenia w faktach, nie przeszkadza to jednak rządowym mediom nadal traktować byłego szefa WSI jako wiarygodne źródło informacji i obsadzać go w roli „eksperta”.

Skala manipulacji jest szczególnie widoczna, gdy zauważymy, że te same media zupełnie inaczej odnoszą się do słów Antoniego Macierewicza. Choć nigdy nie wykazano, by był on autorem jakiegokolwiek fałszywej informacji lub wprowadzał w błąd opinię publiczną - jest przez media szkalowany i przedstawiany jako człowiek niewiarygodny. Poziom nienawiści podsycanej najbardziej kłamliwymi i prymitywnymi oskarżeniami, można porównać tylko z poziomem lęku, jaki wśród politycznych patronów WSI wzbudza wiedza byłego przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej. Nie może zatem dziwić, że skala ataku jest zawsze proporcjonalna do skali lęku ale też do skuteczności działania Antoniego Macierewicza.

Nagonkę wobec polityka zorganizowano tuż po przejęciu władzy przez PO-PSL, rozpowszechniając brednie o rzekomym zatrzymaniu na lotnisku. Wkrótce potem bezprawnie pozbawiono go dostępu do informacji niejawnych i oskarżono o najcięższe zbrodnie: wynoszenie dokumentów, kopiowanie tajnych danych, zniszczenie wojskowego kontrwywiadu. Zgiełk wywołała kandydatura Macierewicza do sejmowej komisji ds. zabójstwa Krzysztofa Olewnika. Ówczesny marszałek Komorowski posunął się nawet do politycznego szantażu informując reporterkę i programu radia, że jeśli klub PiS-u nie wycofa kandydatury, powołanie komisji stanie pod znakiem zapytania. *„A przecież czekają na nią Polacy, czeka rodzina Olewników”* - ubolewał Komorowski. Szczególne zainteresowanie osobą Macierewicza wykazują członkowie stowarzyszenia „Sowa”, zrzeszającego byłych żołnierzy WSI. Poseł PiS jest bohaterem większości publikacji zamieszczanych na stronie stowarzyszenia oraz zawiadomień kierowanych do prokuratury. Ataki medialne nasiliły się po objęciu przez Macierewicza funkcji przewodniczącego zespołu parlamentarnego PiS ds. tragedii smoleńskiej.

Te same media przemilczają fakt, że Macierewicz wygrał wszystkie procesy wytaczane mu w związku z Raportem WSI, zaś dobrowolne zobowiązania płacone z naszych podatków przez ministra Klichę są konsekwencją politycznych decyzji ministra o zawarciu ugody ze skarżącymi. Chodzi przy tym zwykle o te same osoby, których skargi przeciwko Macierewiczowi zostały już przez sądy odrzucone.

W październiku 2009 roku poseł PiS musiał żądać od Mirosława Harasima redaktora naczelnego Polskiej Agencji Prasowej sprostowania nieprawdziwych informacji na temat procesów, przesyłając obszerne fragmenty 17 orzeczeń, które zapadły w wygranych sprawach. Podobne oświadczenie złożył Macierewicz w maju br. w odpowiedzi na fałszywe informacje rozpowszechniane przez posłów PO i rządowe media. W oświadczeniu znalazły się słowa:

„Pragnę wskazać, że stanowisko zaprezentowane przez Platformę Obywatelską w osobie posła Roberta Tyszkiewicza jest nieudolną próbą obrony premiera Donalda Tuska oraz Ministra Obrony Narodowej Bogdana Klichy, których przychylność wobec byłych żołnierzy WSI skutkuje przegranymi przez Skarb Państwa procesami. Dlatego wskazaną przez posła Tyszkiewicza sumę powinni wspólnie i solidarnie wyłożyć premier Donald Tusk, minister Bogdan Klich oraz poseł Robert Tyszkiewicz.”

Jednocześnie od wielu miesięcy prokuratura wojskowa umarza kolejne postępowania prowadzone na skutek zawiadomień złożonych przez Komisję Weryfikacyjną WSI. W czerwcu br. Wojskowa Prokuratura Okręgowa w Warszawie poinformowała np. o umorzeniu kilkunastu śledztw *„dotyczących podejrzenia popełnienia szeregu przestępstw, których mieli się dopuścić oficerowie WSI w związku z wykonywaniem obowiązków służbowych”*. Wspólną cechą wszystkich rozstrzygnięć prokuratury, jest ich całkowita tajność. Opinia publiczna nie ma żadnych możliwości, by dowiedzieć się, na jakiej podstawie prokurator umorzył postępowanie. Nie ma również możliwości poznania opisu zdarzeń ani ustalonego stanu faktycznego. Żadna ze

spraw nie została rozpatrzona przez sąd i w żadnej nie pozwolono na uchylenie rzekomych tajemnic wojskowych służb. To sprawia, że jesteśmy zdani wyłącznie na orzeczenia organu słynącego z apolityczności.

Mimo, iż prokuratorskie decyzje o umorzeniu nie mają mocy rozstrzygnięć sądowych, nie korzystają z tzw. powagi rzeczy osądzonej, są tajne i pozbawione uzasadnień - zostały przez media i środowisko byłych WSI okrzyknięte koronnymi dowodami na „niewinność”. Mają świadczyć, że w WSI w ogóle nie popełniano przestępstw i są wykorzystywane jako argument na podważenie wiarygodności Raportu. Dzięki tak skonstruowanej manipulacji, odbiorcy mają nabrać przekonania, że likwidacja WSI była szkodliwa dla Polski, a sam likwidator i jego Raport nie zasługują na zaufanie.

Nietrudno dostrzec, że nasilenie takiej retoryki ma miejsce w czasie, gdy Antoni Macierewicz przedstawił smoleńską Białą Księgę i 19 niezwykle poważnych zarzutów pod adresem obecnej władzy. Ludzie z byłych WSI nie ukrywają, że ich zamysł polega na demagogicznym zestawieniu Raportu z Weryfikacji WSI z tezami Białej Księgi. W tekście „Magia Macierewicza” zamieszczonym na stronie stowarzyszenia „SOWA”, można przeczytać:

„Mamy kolejny ”Raport Macierewicza”, tym razem na temat katastrofy smoleńskiej. Wierny harcownik Kaczyńskiego ponownie wkroczył do akcji i przy pomocy sprawdzonych, skutecznych metod sączy do głów Polaków to, co stanowi istotę bytu politycznego PIS-u, jad nienawiści zakamufLOWANY miłością do ojczyzny. [...] Mieszanina faktów i kłamstw oraz zarzutów o zbrodniczą działalność miała już miejsce wcześniej, w Raporcie Macierewicza dot. WSI. Na bazie fałszywych oskarżeń, czego dowodem są także umorzone sprawy przeciwko byłym oficerom WSI, dokonano w białych rękawiczkach egzekucji wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. [...] Ta sama metoda działania z nadzieją na kolejny sukces. Przecież już raz się udało. Z lekcji historii należy jednak wyciągać wnioski. Drugi raz się nie damy nabrać. A może jednak ???” - zadaje „dramatyczne” pytanie autor z „SOWY”.

Wszelkie decyzje sądowe oraz rozstrzygnięcia prokuratury w sprawach dotyczących byłych WSI, wydają się nieprzypadkowe. Od wielu miesięcy wpisują się w ten sam proces reaktywacji wpływów, z którym mieliśmy do czynienia na początku rządów PO-PSL. Wówczas wydawało się, że rząd Tuska spłaca przedwyborcze zobowiązania wobec środowisk, które ułatwiły Platformie dojście do władzy. Jeśli również dziś obserwujemy ścisłą kooperację i wspólnotę intencji, warto zadać pytanie: jaką cenę przyjdzie nam jeszcze zapłacić?

.....

„Wspólnotą brudu” - nazwał prof. Andrzej Zybertowicz grupę ludzi, ”którzy mają wspólnie coś za skórą, mają interes, żeby się wzajemnie chronić, ale jednocześnie trzymają się wzajemnie na uwięzi”

18.07.2011 18:39 177

607. METODA „NA ŚCIOSA”

Ilością bredni napisanych na „temat Ściosa” można byłoby obdzielić wielu blogerów lub zespół redakcyjny niejednej gazety. Część z owych dywagacji czerpie inspiracje z elaboratu zatytułowanego „Aleksander ŚCIOS, czyli - IV prawda...” autorstwa „byłego wieloletniego oficera Kontrwywiadu i Wywiadu RP 2 i 1/2 oraz RP 3” zamieszczonego przed trzema laty na portalu Związku Byłych Funkcjonariuszy Służb Ochrony Państwa. Inni korzystają z cennych myśli zawartych w paszkwilu Michała Podobina ze stowarzyszenia Pro Milito, dziś blogera Nowego Ekranu. Zainteresowanych odsyłam do linków umieszczonych pod tekstem

Pracy tych zacnych autorów i ich epigonów, zawdzięczam rolę agenta służb chińskich, rosyjskich i izraelskich oraz miano cenzora i manipulanta. Od kilku miesięcy, dzięki wzmocnionym wysiłkom ludzi z Nowego Ekranu, stałem się dla odmiany Piotrem Bączkiem, cynglem Sakiewicza oraz niszczycielem środowisk pravicowych. Ta diagnoza bliska jest również zadomowionej na S24 grupce „rozumnych inaczej”, którzy śledząc z zapalem moje publikacje przyjmują wdzięczną rolę analityków, podsikujących nogawki autora.

Pomny, że mogło być gorzej, a owi wrogowie mogliby stać się moimi przyjaciółmi - nie narzekam. Nie próbuję też polemizować z ocenami tej maści adwersarzy, mając na uwadze, że nic tak nie deformuje kręgosłupa jak obcowanie z kartami.

W ostatnim czasie pojawiły się jednak oskarżenia znacznie większego kalibru. Ich wspólnym mianownikiem jest przypisywanie mi intencji, jakich nigdy nie wyrażałem oraz imputowanie poglądów nieobecnym w moich tekstach.

Prekursorami tej „metody na Ściosa” byli publicyści „Rzeczpospolitej” - Michał Szuldrzyński i Piotr Skwieciński, którzy z finezją ciężkobrajnych kafarów wyczytali w moim artykule zamieszczonym w „Gazecie Polskiej” rzeczy kwalifikujące autora na wieloletnią zsyłkę lub co najmniej leczenie psychiatryczne. Dokonując manipulacji moimi cytatami, publicyści „Rzepy” doszli do wniosku, że lekceważę „wręcz samą demokratyczną procedurę wyłaniania władz” i wzywam do rewolucji. Nie potrafiąc sprostać logice artykułu, Szuldrzyński napisał: „Ścios jednak posuwa się znacznie poza granice racjonalnej krytyki: odmawia prawomocności wyłonionej w wyborach władzy, lekceważy wręcz samą demokratyczną procedurę wyłaniania władz. Należałoby więc zapytać autora tekstu z ”Gazety Polskiej”, jak wyobraża sobie swój własny scenariusz dla Polski? Bo jego manifest brzmi jak wezwanie do wypowiedzenia demokratycznej umowy społecznej, do rewolucji.”

Opinie autorów „Rzepy” zasługiwałyby na polemikę, gdybym był przekonany, że powstały pod wpływem błędu, a nie intencjonalnej manipulacji. Ponieważ trudno uwierzyć, by ludzie rozumni nie potrafili odczytać prostego przekazu, dyskusja stała się zbędna, a jedyną odpowiedzią mógł być satyryczny manifest „Przeciw obłudnym żurnalistom”.

Błazeństwo owych panów byłoby zaledwie niewinną przypadłością, gdybyśmy żyli w państwie, w którym krytyka rządzących nie grozi przykrymi konsekwencjami, a zarzut wzywania „do wypowiedzenia demokratycznej umowy społecznej, do rewolucji” nie przypomina donosu. Po doświadczeniach ostatnich miesięcy trudno jednak podzielać wiarę, by III RP była takim państwem.

Na zakończenie swojej analizy, Michał Szuldrzyński napisał:

„Przypomnijmy: od długiego czasu grono rozhisteryzowanych przeciwników PiS podkreśla, że partia Kaczyńskiego jest antysystemowa i antydemokratyczna, powinna więc zostać wyeliminowana z życia publicznego. Teraz Aleksander Ścios nie tylko przemówił językiem bliskim wypowiedziom Stefana Niesiołowskiego, ale przy okazji dał przeciwnikom partii, z którą sympatyzuje, doskonały argument.”

Nie upłynęły trzy miesiące od życzliwego ostrzeżenia dziennikarza „Rzeczy”, gdy w dzisiejszym wywiadzie Stefana Niesiołowskiego w „Newsweeku” padły słowa: „Od katastrofy w Smoleńsku nie było właściwie dnia, by nie padały oskarżenia, że zamordowaliśmy świętego prezydenta, że okupujemy Polskę. Jest taki publicysta Aleksander Ścios, który w „Gazecie Polskiej” wprost stwierdził, że trzeba obalić władzę Tuska wszelkimi metodami.”

Pracownicy medialni Newsweeka przytomnie zareagowali: „Gazeta Polska” to 60 tysięcy nakładu..., dając tym kłamstwem wyraz swojej frustracji spowodowanej spadkiem sprzedaży „Newsweeka” o 39,2 procenta, podczas gdy sprzedaż „Gazety Polskiej” w kwietniu br. wyniosła 81,7 tys. (średnia ze stycznia br. 88,7 tys.)

Niesiołowski nie miał jednak wątpliwości o szkodliwym wpływie GP: „Ale to organ PiS. Zresztą taktyka Kaczyńskiego jest podobna. On bojkotuje prezydenta, premiera, nie uznaje rządu. Przekonuje, że obalenie Tuska jest patriotycznym obowiązkiem. Pan Ścios jest głupszy od Kaczyńskiego, bo dodaje, że nawet użycie siły byłoby tu uzasadnione. Platforma tego nie mówi. Dlatego nie przyjmę, że w tej sprawie jest jakkolwiek symetria.”

Ponieważ próba prostowania belkotu Stefana Niesiołowskiego byłaby nieskuteczna, napiszę krótko: polityk Platformy kłamie. W żadnym moim tekście opublikowanym w „Gazecie Polskiej” nie ma stwierdzenia: „trzeba obalić władzę Tuska wszelkimi metodami” ani słów „nawet użycie siły byłoby tu uzasadnione”. To rzecz łatwa do sprawdzenia i samodzielnej weryfikacji. Tak bezczelny i oparty na fałszu atak dyskwalifikowałby każdego polityka w normalnym państwie. W III RP kłamstwa Niesiołowskiego zostaną podchwyczone i uznane za wiarygodny opis poglądów „Gazety Polskiej”.

Warto natomiast dostrzec, że tego rodzaju oceny znajdują swoje źródło w artykule Michała Szuldrzyńskiego i stanowią twórcze rozwinięcie hipotez autora. Z obserwacji dynamiki tego procesu wynika, że rzucone w przestrzeń medialną dywagacje dziennikarza, ewoluują obecnie w formę wypowiedzi prominentnego polityka grupy rządzącej, a miejsce hipotez i przypuszczeń zajmują już twarde stwierdzenia. Niezmienna pozostaje sugestia, że retoryka Ściosy jest szkodliwa dla PiS-u, dając „przy okazji przeciwnikom partii, z którą sympatyzuje, doskonały argument.”

„Prorocstwo” Szuldrzyńskiego już się wypełniło, ja zaś znam odpowiedź na pytanie: co dalej i wiem, skąd nastąpi kolejne uderzenie.

Wiem także, że metoda „na Ściosy” to tylko jeden z elementów manipulacji i propagandowego „dorabiania gęby” PiS-owi. W tej grze, moja osoba i publikacje są zaledwie pretekstem i nie one wydają się najważniejsze. To, co widzimy jest bowiem projekcją lęku.

Tego samego, który po 10 kwietnia stał się nieodłącznym towarzyszem ludzi z grupy rządzącej. Prowadząc ostatnią grę wierzą jeszcze, że ewolucja metody „na Ściosy” pozwoli im oszukać lub przestraszyć Polaków.

Spróbujmy zniszczyć ich wiarę.

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=39:aleksander-cios-czyli-iv-prawda&catid=12:wpyno&Itemid=42

<http://bezdekretu.blogspot.com/2009/08/as-cenzor-pro-milito.html>

<http://www.rp.pl/artykul/644604.html>

<http://www.rp.pl/artykul/9133,645644-Skwiecinski--Dreyfus-vs--Dreyfus.html>

<http://cogito.salon24.pl/297734,widmo-czarnego-sufitu>

<http://cogito.salon24.pl/299761,przeciw-obludnym-zurnalistom>

<http://www.newsweek.pl/artykuly/sekcje/polska/dziekuje-za-bulteriera--stefan-niesiolowski-dla-newsweeka,79629,1>

20.07.2011 20:14 59

608, BEZPIECZEŃSTWO NA SPRZEDAŻ - (2)

Przejęcie przez Solorza spółki Polkomtel znacząco zmieni dotychczasowy układ sił na rynku telekomunikacyjnym. Powstaną dwa silne ośrodki: Solorza z Polkomtelem (telefonii Plus) i Cyfrowym Polsatem oraz francusko -niemiecka grupa TP.S.A, PTK Centertel (Orange) współpracująca z T-Mobile. Trzecią, znacznie słabszą grupę stanowić będą rozproszone P4 (Play) i Netia. Dzięki tej transakcji właściciel Polsatu wyrasta na głównego gracza rynku telekomunikacyjnego i może zagrozić dominującej dotychczas Telekomunikacji. Nie chodzi jednak tylko o rozwój nowych technologii, dostępność do Internetu czy przygotowanie nowych ofert dla klientów sieci Plusa.

Prawdziwa gra toczy się o znacznie większą stawkę.

Nietrudno dostrzec, że sprzedaż Emitela i Polkomtela oraz zapowiedź zbycia spółki Exatel są posunięciami w ramach celowej strategii obecnego rządu. Polega ona na wyprowadzeniu na zewnątrz skarbu państwa całej infrastruktury sieci telekomunikacyjnych a zatem na rezygnacji z zarządzania tą infrastrukturą. Na naszych oczach następuje demontaż podstawowego systemu bezpieczeństwa państwa, jakimi są sieci przesyłowe.

W przypadku sprzedaży Emitela, nabywcą jest firma o kapitale zagranicznym, to zaś oznacza, że państwo polskie utraciło możliwość zarządzania własną infrastrukturą bezpieczeństwa. Odtąd istniejąca sieć przesyłowa spółki ale też cała infrastruktura nadawcza, którą Emitel ma zamiar skupić w najbliższych latach, będzie należała do obcego kapitału.

Sprzedaż Solorzowi spółki Polkomtel tylko pozornie oznacza pozostawienie jej w rękach polskiego przedsiębiorcy. Nabywca - spółka Spartan Capital Holdings zarządzana przez Tobiasza Markusa Solorza nie ma 18 mld zł, jakie oferuje za Polkomtel, deklaruje jednak, że finansowanie transakcji jest zabezpieczone. Pieniądze mają pochodzić od konsorcjum pięciu banków, w którego skład wchodzi Crédit Agricole CIB, Deutsche Bank, Royal Bank of Scotland, Société Générale Corporate and Investment Banking oraz PKO Bank Polski SA. Zdaniem wielu analityków o przyszłej strategii zarządzania Polkomtelem będzie decydować zakres porozumienia Solorza z bankami. W tej sytuacji, nie sposób mówić o prywatyzacji, w której stroną jest polski przedsiębiorca. Nie znamy też rzeczywistych partnerów zagranicznych tej transakcji, zaś zarządzanie spółką będzie zależało wyłącznie od planów konsorcjum bankowego.

Po sprzedaży Polkomtela, Polska Grupa Energetyczna planuje sprzedaż spółki Exatel S.A. w której jest większościowym udziałowcem. Utrata kontroli nad tą spółką oznaczać będzie wejście w ostatnią fazę rozbioru polskich sieci strategicznych.

Wiele wskazuje, że proces ten rozpoczęli i zakończą Rosjanie.

Poprzednia próba sprzedaży Exatela przez PGE zakończyła się niepowodzeniem. W styczniu PGE zdecydowała o unieważnieniu przetargu, po tym jak nie otrzymała ofert wiążących. Oferty złożyły wówczas m.in. GTS Polska i Netia, jednak do finału zostały zakwalifikowane Polkomtel i Mediatel. Już na początku czerwca br. prezes PGE Tomasz Zadroga poinformował, że bezpośrednio po sprzedaży Polkomtela PGE wróci do sprzedaży spółki Exatel. Zdaniem prezesa, proces ten powinien być mniej skomplikowany, gdyż wiele dokumentów i analiz jest już sporządzonych, a na potrzeby transakcji trzeba będzie dokonać jedynie wyceny spółki.

„Po Exatela stoi kolejka zagranicznych spółek. Każdy chce kupić elegancka, niezbyt zadłużoną spółkę. Jeśli nie dla siebie, to na handel. Zawsze Rosjanie odkupią polskie sieci strategiczne. Chociażby po to, aby sterować polskim systemem elektroenergetycznym. Będzie można wówczas szantażować Polaków i wymuszać na nich różne ustępstwa. Za niecały miliard złotych. Gdzie tu jest „polska racja stanu” i „mądre państwo”? - pytał w kwietniu br. prof. Urbanowicz w cytowanym już wcześniej artykule zamieszczonym w „Naszym Dzienniku”.

Dziś wizja utraty kontroli nad całym systemem bezpieczeństwa informatycznego i elektromagnetycznego staje się w pełni realna. Bój o najważniejszą spółkę strategiczną stoczą prawdopodobnie Polkomtel i GTS Poland, należąca do grupy telekomunikacyjnej GTS Central Europe. Ta ostatnia posiada spółki telekomunikacyjne w Czechach, Polsce, Rumunii, Słowacji i na Węgrzech, a dodatkowo świadczy usługi na terenie Ukrainy, Łotwy, Słowenii, Bułgarii, Chorwacji i Serbii. GTS Central Europe należało do konsorcjum finansowego Group Menatep z kapitałem rosyjskim, działającego później pod nazwą GML Ltd.

Zapowiada się powtórka sytuacji z 2005 roku, gdy GTS Polska zakupiła od funduszu Innova Capital 97,5% udziałów w strategicznej spółce telekomunikacyjnej Energis Polska i przejęła nowoczesną sieć światłowodową o łącznej długości 5.200 km. Pod koniec 2007 roku GTS Central Europe został sprzedany konsorcjum trzech funduszy inwestycyjnych, wśród których jest fundusz Innova Capital. Poza nim właścicielem GTS CE jest konsorcjum prywatnych funduszy inwestycyjnych, w skład którego wchodzi m.in. Columbia Capital, M/C Venture Partners, HarbourVest Partners, Oak Investment Partners oraz Bessemer Venture Partners.

W styczniu br. nastąpiło połączenie spółek GTS Poland i GTS Energis, a 4 maja 2011, GTS Poland Sp. z o.o. przejęła spółkę GTS Energis. To połączenie może oznaczać, że fundusze zarządzające GTS CE planują inwestycje na polskim rynku telekomunikacyjnym.

Na początku czerwca br. prezes GTS Poland Piotr Sieluk oświadczył, że jego firma jest zainteresowana przejęciem Exatela, jeśli ten zostanie wystawiony na sprzedaż. Zdaniem Sieluka, polski rynek jest rozdrobniony i musi nastąpić jego konsolidacja. Spółka planuje również wejście na giełdę i szuka zamówień na rynku publicznym. Niedawno GTS złożyła najlepszą ofertę w jednym z przetargów Ministerstwa Sprawiedliwości.

Mamy zatem sytuację, gdy w ręce funduszu kapitałowego Montagu Private Equity trafia strategiczna spółka Emitel, a inny z funduszy przymierza się do przejęcia Exatel S.A. Ze względu na skomplikowaną i niejasną strukturę kapitałową tego rodzaju funduszy, nie sposób przewidzieć jak zakończy się proces przekształceń własnościowych i kto w rezultacie zostanie właścicielem polskich sieci przesyłowych.

„Sygnał ostrzegawczy w postaci sprzedaży Emitela powinien wstrząsnąć służbami. Służby powinny natychmiast zabezpieczyć spółkę Exatel przed sprzedażem. Jeśli Exatel zostanie sprzedany, poniosą za to odpowiedzialność ci, którzy podpiszą się pod sprzedażą, poczynając od polskiego rządu „ - pisał w kwietniu br. prof. Urbanowicz.

Podobnie wypowiada się Antoni Macierewicz, wskazując, że *„sprawa sprzedaży spółek strategicznych powinna wywołać reakcję Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a przede wszystkim premiera”.* - *„Jeśli Exatel zostanie sprzedany - twierdzi Macierewicz -, będzie to oznaczało, że jest to zgodne z jego wolą, a w związku z tym powinien odpowiadać z art. 231 kk, czyli za niedopełnienie swoich obowiązków. To na premierze, jako odpowiedzialnym za funkcjonowanie służb specjalnych, spoczywa obowiązek zablokowania takiej transakcji”.*

Nie znamy oficjalnego stanowiska Donalda Tuska, jednak decyzje prywatyzacyjne podejmowane przez zarządy spółek skarbu państwa jasno wskazują, że dzieje się to za zgodą grupy rządzącej, a zatem nie należy liczyć na wstrzymanie sprzedaży Exatela. Właściciel spółki - PGE, jest tylko wykonawcą woli politycznej rządu PO-PSL. Można przypuszczać, że do sprzedaży Exatela dojdzie jeszcze przed wyborami, by wykorzystując okres wyborczy przykryć transakcję bieżącymi sprawami politycznymi.

Nie należy również oczekiwać, by ABW zablokowała sprzedaż strategicznych spółek. Ich prywatyzacja stanowi bowiem zwieńczenie procesu, który można obserwować od wielu miesięcy. W tym procesie, rola służby Krzysztofa Bondaryka została już precyzyjnie ustalona. Kolejne akty prawne i decyzje rządu sprawiły, że w rękach szefa Agencji znalazły się narzędzia pozwalające na skuteczne wpływy i zarządzanie sektorem teleinformatycznym.

Jak wskazywałem w części pierwszej, sprzedaż Emitela, Polkomtela czy Exatela nie pozbawia ABW możliwości nadzoru nad tymi spółkami. Wynika to z regulacji zawartych w ustawie o zarządzaniu kryzysowym, na podstawie których ABW uzyskała dostęp do dokumentów i informacji w firmach zarządzających infrastrukturą krytyczną oraz możliwość wpływu na obsadę stanowisk pełnomocnika ds. kontaktów z ABW. Nowe przepisy nałożyły na szeroki krąg podmiotów obowiązek przekazywania szefowi ABW nie tylko informacji o zagrożeniach o charakterze terrorystycznym, lecz również o zagrożeniach dotyczących działań, *„które mogą prowadzić do zagrożenia życia lub zdrowia ludzi, mienia w znacznych rozmiarach, dziedzictwa narodowego lub środowiska”.* W praktyce - pod pozorem walki z terroryzmem, dano ABW uprawnienia pozwalające głęboko ingerować w procesy gospodarcze i działalność najważniejszych firm.

Autorem nowelizacji ustawy uchwalonej w błyskawicznym tempie 6 miesięcy był wiceminister spraw wewnętrznych i administracji, szef Rządowego Centrum Bezpieczeństwa (RCB) Antoni Podolski. Po przyjęciu nowelizacji przez Sejm, ten był funkcjonariusz UOP odszedł z ministerstwa. Wydaje się, że zasadniczym celem uchwalenia ustawy było wyposażenie służby Bondaryka w nowy, potężny instrument nadzoru nad przedsiębiorcami. I choć nominalnie zapisy nowelizacji wzmacniały rolę dyrektora RCB, to faktycznie wiodącą pozycję w kwestiach związanych ze *„zwalczaniem terroryzmu”* przyznano szefowi ABW. Dziś Antoni Podolski jest członkiem rady nadzorczej firmy Niemczyk i Wspólnicy Ochrona Inwestycji, zajmującej się głównie wywiadem gospodarczym i należy do rady konsultacyjnej przy Centralnym Ośrodku

Szkolenia ABW. W radzie zasiada również właściciel firmy Piotr Niemczyk i inny członek rady nadzorczej Bartłomiej Sienkiewicz. Rzeczniczka ABW pytana, czy funkcjonowanie trzech członków rady konsultacyjnej w jednej prywatnej firmie zajmującej się wywiadem gospodarczym nie rodzi ryzyka wycieku tajnych informacji, orzekła, że „członkowie rady nie mają styczności z bieżącą realizacją zadań ABW”. Odmienne widział sprawę prof. Antoni Kamiński, były szef Transparency International Polska, który stwierdził, że „występuje tu ewidentny konflikt interesów. Ta firma ma uprzywilejowany dostęp do instytucji. Może dzięki temu czerpać korzyści. Przykładowo dzięki swoim kontaktom te osoby mogą uzyskiwać informacje potrzebne ich firmie”.

Potężnym narzędziem w rękach szefa ABW są również zapisy ustawy o ochronie informacji niejawnych. Zawarte w niej regulacje powierzają Agencji funkcję krajowej władzy bezpieczeństwa - instytucji odpowiadającej za kontakty m.in. z NATO, ale także za wydawanie upoważnień do dostępu do informacji niejawnych. Dotychczas odpowiedzialność za kontakty z sojusznikami była w Polsce podzielona. Również w zakresie certyfikatów bezpieczeństwa istniał wyraźny podział, a informacje wojskowe leżały w gestii SKW, cywilne zaś - ABW. Obecnie wojskowy kontrwywiad został faktycznie podporządkowany cywilnej agencji. Według ustawy, to szef ABW ma sprawować nadzór nad stanem ochrony informacji niejawnych i prowadzić inspekcje w podmiotach przetwarzających informacje.

To tylko jeden z mechanizmów pozwalających Bondarykowi na kontrolę spółek strategicznych. Są też inne. Od wielu miesięcy funkcjonariusze ABW obejmują stanowiska w firmach i instytucjach kluczowych w dziedzinie teleinformatyki. Jest to możliwe dzięki ścisłej współpracy z rządem Donalda Tuska. W listopadzie 2009 roku Agencja przejęła kontrolę nad NASK - najważniejszą instytucją polskiego Internetu. Naukowo-Akademicka Sieć Komputerowa zajmuje się m.in. przydzielaniem polskich domen i sprawuje technologiczną pieczę nad polską częścią sieci. W oparciu o rekomendację komisji konkursowej, minister nauki Barbara Kudrycka mianowała na stanowisko dyrektora NASK czynnego pułkownika ABW Michała Chrzanowskiego - byłego dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Teleinformatycznego i Informacji ABW. Pretekstem do przejęcia kontroli nad NASK było odwołanie poprzedniego szefa tej jednostki po kontroli finansowej. Od tej chwili, NASK stał się de facto kolejnym departamentem ABW. Jeśli zauważyć, że NASK, obok Exatela i Polkomtela posiada jedyne sieci przesyłowe kontrolowane dotąd przez państwo, ta nominacja nabiera szczególnego znaczenia. ABW ma również swojego człowieka w kierownictwie innej ważnej instytucji rządowej. Funkcjonariusz ABW Piotr Durbajło (były podwładny płk Chrzanowskiego) jest dziś członkiem Komitetu Sterującego w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. Ta wyspecjalizowana agencja rządowa zajmuje się zarządzaniem badaniami naukowymi i pracami rozwojowymi w strategicznych dla Polski dziedzinach. Projekty realizowane przez NCBiR są wykorzystywane m.in. w pracach na rzecz obronności i bezpieczeństwa państwa, a wiele z nich dotyczy sektora technologii informacyjnych i telekomunikacyjnych. W maju br. NCBiR przystąpił do stworzenia „odpowiedniej platformy działania, która mogłaby pomóc w realizacji zadań związanych z rozwojem sektora ICT z wykorzystaniem potencjału polskich jednostek naukowo-badawczych i firm komercyjnych oraz wypracowania podstawy dla podjęcia strategicznych decyzji dotyczących rozwoju rynku telekomunikacyjnego w Polsce w wieloletniej perspektywie.”

Warto dostrzec, że takie ulokowanie ABW i powierzenie służbie ogromnych spec uprawnień, pozwala na głęboką ingerencję w procesy gospodarcze oraz w działalność najważniejszych firm, czyniąc z Agencji faktycznego decydenta w kwestiach dotyczących rynku telekomunikacyjnego. Z tego względu, pozycja szefa ABW wydaje się szczególnie uprzywilejowana w zakresie rozstrzygnięć dotyczących transakcji prywatyzacyjnych. Tam bowiem, gdzie skarb państwa rezygnuje z zarządzania infrastrukturą bezpieczeństwa narodowego, nadal otwarty pozostaje obszar wpływów Krzysztofa Bondaryka.

Nie sposób zapomnieć, że w latach 2005-2006 Bondaryk pracował dla Zygmunta Solorza w Polskiej Telefonii Cyfrowej (PTC) - operatorze sieci komórkowych Era i Heyah. Był pełnomocnikiem PTC ds. informacji niejawnych mającym dbać o to, by nie dostały się one w niepowołane ręce. Funkcja ta obejmowała również współpracę ze służbami specjalnymi, gdy te żądały informacji o klientach firmy. W PTC działały wtedy dwa zarządy roszczące sobie prawo do kierowania spółką. Jeden związany z francuską firmą Vivendi, a drugi z Elektrimem Zygmunta Solorza. Bondaryk do pracy w PTC był delegowany przez stronę Solorza.

Francuski koncern Vivendi złożył wówczas w sądzie federalnym amerykańskiego stanu Waszyngton skargę przeciwko T-Mobile USA, T-Mobile Deutschland, Deutsche Telekom oraz Zygmunтови Solorzowi-Żakowi, głównemu udziałowcowi Elektrimu, zarzucając im nielegalne zawłaszczenie inwestycji Vivendi wartych 2,5 mld USD.

Jedną z odsłon wojny właścicieli było zawiadomienie prokuratury o popełnieniu przestępstwa „ujawnienia informacji stanowiących tajemnicę państwową”. Chodziło o kopiowanie i wynoszenie poza firmę tajnych informacji o tym, kim interesują się służby. Zawiadomienie do WSI i ABW złożył w tej sprawie Ryszard Pospieszyński, członek zarządu związany z francuską spółką Vivendi. Według niego ludzie z konkurencyjnego zarządu kopiowali dane o klientach Ery. I to dane szczególne - bowiem chodziło o billingi ludzi, którymi w ostatnich latach interesowały się służby specjalne.

W zawiadomieniu z roku 2005 Pospieszyński oskarżył o kopiowanie danych abonentów właśnie Krzysztofa Bondaryka, który odpowiadał w Erze za współpracę ze służbami, m.in. przy zakładaniu podsłuchów i sprawdzaniu billingów. Śledztwo w tej sprawie od 8 grudnia 2005 roku prowadziła ABW, pod nadzorem warszawskiej Prokuratury Okręgowej. Stało się ono główną przyczyną, dla której rząd PiS-u chciał zmienić prawo telekomunikacyjne i pozbawić operatorów wiedzy o tym, czym interesują się służby specjalne. Przygotowano nowelizację, lecz nie zdołano jej wówczas uchwalić. Co ciekawe - konieczność nowelizacji prawa w tym zakresie popierali również nowi szefowie służb specjalnych mianowani już za czasów koalicji PO - PSL oraz szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego Mariusz Kamiński. Mimo poczynionych uzgodnień międzyresortowych i ustaleń między służbami - tylko Krzysztof Bondaryk usiłował do końca torpedować zmianę przepisów.

31 stycznia 2008 r. dwa tygodnie przed oficjalnym objęciem przez Bondaryka stanowiska szefa ABW, śledztwo zostało umorzone „wobec braku ustawowych znamion czynu zabronionego”. Poprzedni szef ABW Bogdan Świączkowski był tą decyzją zdumiony i twierdził, że „w tym śledztwie były materiały na zarzuty”.

Do sprawy podsłuchów w Erze powróciła „Rzeczpospolita”, za sprawą cyklu publikacji Cezarego Gmyza, który powołując się na informacje z umorzonego śledztwa wskazał na faktyczną rolę Bondaryka. Dziennikarz „Rzeczpospolitej” przytoczył liczne dowody ze śledztwa, w tym zeznania Władysława Naja, poprzednika Bondaryka na stanowisku pełnomocnika ochrony informacji niejawnych w PTC. Opisał on spotkanie, do którego miało dojść na przełomie lutego i marca 2005 r., na którym Bondaryk prosił o wskazanie „najważniejszych celów będących w zainteresowaniu służb specjalnych”. Naja zeznał, że

usłyszał, iż "zbliżają się wybory i informacje te nie są obojętne". Bondaryk miał pytać wprost: "Kto interesował się Zygmuntem Solorzem?".

Cezary Gmyz zadał w tej sprawie kilka istotnych pytań, m.in.:

Czy Krzysztof Bondaryk wypytywał się Władysława Naja o kierunki zainteresowań służb specjalnych, a w szczególności o Zygmunta Solorza właściciela Polsatu? Czy Krzysztof Bondaryk po tym jak przejął władzę nad ABW jesienią 2007 roku podejmował jakieś działania w sprawie tego śledztwa w którym większość czynności prowadziła właśnie Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

Kilka miesięcy wcześniej ujawniono, że Bondaryk będąc już szefem ABW pobierał od operatora Ery wynagrodzenie (w sumie ok. 1,5 mln zł), a w zeznaniach majątkowych zataił ten fakt.

Warto wrócić do pytań zadanych przez Cezarego Gmyza, ponieważ mamy dziś do czynienia z sekwencją zdarzeń, które wpisują się w scenariusz rozgrywany wokół strategicznych spółek telekomunikacyjnych. Określenie rzeczywistej roli ABW wydaje się mieć kluczowe znaczenie dla zrozumienia mechanizmów tej gry.

O tym, że sprawy z niedalekiej przeszłości są nadal istotne, może świadczyć fakt, że ABW przed kilkoma dniami zatrzymała Władysława N., który przed laty obciążał w prokuraturze Krzysztofa Bondaryka. Zatrzymania dokonano w ramach śledztwa białostockiej prokuratury, dotyczącego składania nierzetelnej dokumentacji. Media podkreślały, że Agencji zatrzymała przeciwnika szefa ABW.

Gdy przed kilkoma tygodniami „Gazeta Wyborcza” w artykule „Przetracone śledztwo” opisała podejrzaną transakcję zakupu auta przez Bondaryka i zwróciła uwagę na odsunięcie od śledztwa prokuratora badającego nieprawidłowości u operatora Ery, istotną część tej publikacji stanowiła sprawa handlu fałszywymi fakturami w Polskiej Telefonii Cyfrowej i telewizji Polsat. Już w kwietniu br. media informowały, że Zygmunt Solorz wpłacił kaucję za menadżerów PTC, zatrzymanych pod zarzutami oszustwa, przestępstwa przeciwko wiarygodności dokumentów, naruszenia kodeksu spółek handlowych i kodeksu karnego skarbowego.

Trudno nie dostrzec, że włączenie szefa ABW w sprawę nieprawidłowości w spółce PTC i medialne wywołanie tematu może mieć związek z planami inwestycyjnymi Solorza: dokonany już zakupem Polkomtela i zamiarem kupna Exatela. Być może uderzenie w Bondaryka należy odczytać jako próbę pokrzyżowania tych planów.

Można też odnieść wrażenie, że przy udziale prokuratur i służb specjalnych toczy się ostra walka o dominację na rynku infrastruktury telekomunikacyjnej, a kolejne odsłony tego spektaklu ujawniają rzeczywistą pozycję graczy. Niestety, żaden z nich zdaje się nie reprezentować państwa polskiego, bo choć gra dotyczy spraw strategicznych dla naszego bezpieczeństwa, to zawodnicy działają w interesie obcego kapitału i nieznanym inwestorów.

Trafną diagnozę tego stanu postawił Jarosław Kaczyński, gdy do jednego z głównych problemów Polski zaliczył brak informacji na temat działania służb i ich kontroli przez państwo. „Dziś dostęp do informacji jest blokowany przez mnóstwo różnego rodzaju tajemnic państwowych, które dotyczą nawet najwyższych urzędników - stwierdził prezes PiS i dodał: „chodzi o to żeby pewnych aparatów nikt nie kontrolował, a żeby w istocie je kontrolowali ci, którzy mają duże pieniądze i związane z tym duże możliwości”.

21.07.2011 19:55 112

609, GRY WYBORCZE W TECHNOLOGII IT

Od długiego czasu grupa rządząca prowadzi zakrojone na ogromną skalę przygotowania do październikowych wyborów. Co najmniej od roku trwa sondowanie nastrojów społecznych, mnożą się prowokacje z udziałem ludzi służb i ośrodków propagandy. Przyspieszono tzw. procesy prywatyzacyjne, sprzedając m.in. firmy strategiczne dla bezpieczeństwa państwa. Pod osłoną rozlicznych wrzutek medialnych i tematów zastępczych, rząd PO-PSL poszerza również uprawnienia służb specjalnych oraz wprowadza regulacje służące nadzorowaniu i pacyfikacji społeczeństwa.

Zakres i różnorodność tych akcji wskazują, że obecny układ działa w poczuciu realnego zagrożenia, mając świadomość, że utrata władzy przez PO-PSL przyniesie Polakom prawdę o okolicznościach tragedii smoleńskiej. Proces ten w konsekwencji doprowadzi do osądzenia osób odpowiedzialnych za katastrofę, skompromituje „elity” powielające kremłowską dezinformację i zakończy się upadkiem tworu zbudowanego na kłamstwie „transformacji ustrojowej”. Dla układu rządzącego, stawka zbliżających się wyborów jest na tyle wysoka, że uzasadnia stosowanie każdego środka, nie wykluczając fałszerstw wyborczych i rozwiązań siłowych.

Ważnym składnikiem przygotowań są poszczególne akty prawne, dotyczące przebiegu wyborów. Dzisiejsza koalicja strachu, posiadająca sejmową większość, może dowolnie naginać przepisy, konstruując je w taki sposób, by służyły interesom rządzących.

Przykładem może być Kodeks wyborczy, przyjęty przez Sejm 3 grudnia 2010 roku. Przewiduje on możliwość przeprowadzenia dwudniowych wyborów, wprowadza jednomandatowe okręgi wyborcze do Senatu, zakazuje publikacji płatnych ogłoszeń i audycji wyborczych, zabrania prowadzenia kampanii billboardowej, umożliwia głosowanie przez pełnomocnika oraz głosowanie korespondencyjne, stwarzając tym samym sposobność do rozlicznych fałszerstw i nadużyć wyborczych. Ponieważ Kodeks ma wejść w życie 1 sierpnia br., o tym, czy stosowane będą nowe przepisy, czy

dotychczasowe zdecyduje Bronisław Komorowski. Wszystko bowiem zależy od tego, kiedy prezydent zarządzi wybory, przed końcem lipca, czy w pierwszym tygodniu sierpnia. Tym samym, na trzy miesiące przed wyborami nadal nie są znane nawet podstawowe reguły ordynacji wyborczej.

Z niezrozumiałych przyczyn, ta fatalna, ograniczająca prawa opozycji ustawa została w momencie uchwalenia wsparta głosami PiS-u, a dopiero później zaskarżona do Trybunału Konstytucyjnego. W dniu, w którym trafi do Państwa obecny numer Gazety Polskiej, Trybunał podejmie decyzję dotyczącą wniosku grupy posłów opozycji.

Niezależnie od rozstrzygnięcia TK, ostateczną decyzję w kwestii terminu i czasu trwania wyborów podejmie Bronisław Komorowski. Stwarza to wręcz idealną sytuację dla grupy rządzącej, która z całą pewnością musi znać prawdziwe intencje swojego partyjnego kolegi.

Wprawdzie przed kilkoma dniami Komorowski zapowiedział, że wyznaczy termin wyborów na 9 października i będą one jednodniowe, zastrzegł jednak, że ostateczna decyzja zostanie ogłoszona na początku sierpnia. Nie można wykluczyć, że obietnica Komorowskiego powstała w związku z zapowiedzią PiS-u o wezwaniu elektoratu do bojkotu pierwszego dnia wyborów oraz pomysłem powołania Korpusu Ochrony Wyborów.

Istnieją przesłanki, by nie traktować tej obietnicy jako wiążącej. Jeśli przyjąć, że rząd Tuska zna prawdziwe zamiary prezydenta, warto zwrócić uwagę na treść rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji w sprawie szczegółowych wymagań w zakresie ochrony lokali obwodowych komisji wyborczych w czasie przerwy w głosowaniu. Jest to projekt z dn. 7 lipca br., a zatem powstał już po zapowiedzi Komorowskiego o jednodniowych wyborach.

Regulacje zawarte w tym rozporządzeniu mówią wyraźnie o *"ochronie lokali obwodowych komisji wyborczych, w czasie przerwy w głosowaniu"*, po *"zakończeniu głosowania w pierwszym dniu głosowania"*, co może sugerować, że rząd Tuska przygotowuje się jednak do wyborów dwudniowych, a niewiążąca deklaracja Komorowskiego stanowi humbug wypuszczony na potrzeby opozycji. Powinniśmy pamiętać, że jeszcze na początku czerwca br. Komorowski orzekł, że *"w interesie polskiej demokracji jest to, żeby jak najwięcej ludzi chciało i mogło uczestniczyć w wyborach"* i zapowiedział: *"dwudniowe wybory będą oceniał z tego właśnie punktu widzenia"*.

Jeśli nawet Trybunał Konstytucyjny uzna wybory dwudniowe za sprzeczne z Konstytucją lub orzeknie, że nowe przepisy w ogóle nie będą dotyczyć najbliższych wyborów, grupa rządząca ma jeszcze spory arsenał środków, by nie dopuścić do wygranej PiS-u. Próby szykan sądowych wobec lidera opozycji czy zapowiedź wniosku o Trybunał Stanu, można traktować jako działania sondujące reakcje społeczne. Pozwalają absorbować uwagę środowisk opozycyjnych, tworzą korzystną dla władzy atmosferę propagandową i służą generowaniu nowych konfliktów. W najbliższym czasie można spodziewać się kolejnych tego typu prowokacji. Jakkolwiek mogą poważnie utrudnić kampanię wyborczą PiS-u, nie one jednak wydają się najgroźniejsze.

Rząd Tuska, sprawując dziś tzw. prezydencję w UE znajduje się bowiem w sytuacji na tyle kłopotliwej, że miałby problem z wytłumaczeniem się z otwartych działań represyjnych wobec opozycji. Dlatego wystąpienie europosłów PiS na forum PE i poinformowanie opinii międzynarodowej o zamordystycznych zapędach „liberatów” z PO, należy uznać za doskonałe, prewencyjne posunięcie. Tego rodzaju mocne wypowiedzi powinny stanowić przeciwwagę dla rządowej propagandy i towarzyszyć Tusкови podczas całego okresu przewodnictwa w UE.

Jeśli w najbliższych miesiącach nie nastąpią żadne przełomowe zdarzenia, ostatnią linią obrony grupy rządzącej może stać się sama procedura wyborcza. Warto pamiętać, że kluczowe znaczenie dla prawidłowego wyniku wyborczego będzie miał tryb przekazywania danych za pośrednictwem sieci elektronicznych, a następnie sposób ich obliczania przez Państwową Komisję Wyborczą. Tą procedurą partia opozycyjna zdaje się jednak w ogóle nie interesować. Tymczasem PKW dokonała już wyboru firm, które zajmą się obsługą październikowych wyborów.

Łączy do sieci publicznej i infrastrukturę techniczną dla Krajowego Biura Wyborczego ma zapewnić spółka ATM S.A., wybrana w bezprzetargowym trybie zapytania o cenę.

Przypomnę, że spółka ATM jest producentem rejestratora lotniczego zamontowanego w samolocie Tu-154 M. Po katastrofie smoleńskiej w mediach ukazała się informacja, że na pokładzie oprócz rosyjskich czarnych skrzynek znajdował się także polski rejestrator - ATM-QAR/R 128 ENC, zapisujący odczyty z urządzeń samolotu. Podczas katastrofy miał on ulec częściowemu zniszczeniu, ale ocalał nośnik, który umożliwił odczytanie danych. Formalnie rejestrator ATM należy do sił powietrznych, jednak faktyczną opiekę nad nim sprawowała Służba Kontrwywiadu Wojskowego. W marcu br. biegli zatrudnieni w ATM .S.A. odczytali informacje zapisane w czarnej skrzynce. Choć rzecznik NPW płk Zbigniewa Rzepa zapewniał wówczas, że opinia biegłych ma być gotowa w ciągu kilku dni, do dziś nic nie wiemy o efektach pracy ekspertów z ATM.

Według komunikatu PKW wyboru oferty ATM. S.A. dokonano ze względu na niską cenę usługi. Z informacji zamieszczonych na stronie spółki wynika, że nigdy wcześniej nie obsługiwała ona wyborów parlamentarnych.

Drugą z firm wyłonionych do elektronicznej obsługi wyborów jest spółka cywilna Pixel Technology. Ta łódzka firma już kilkakrotnie była bohaterem skandali związanych z wadliwym funkcjonowaniem systemu informatycznego. W 2002 roku Krajowe Biuro Wyborcze do współpracy przy wyborach zaprosiło samorządową organizację - Związek Powiatów Polskich, który za 6,5 mln zł miał skomputeryzować terenowe komisje wyborcze. Związek za ponad 3 mln zł zatrudnił jako swoich podwykonawców programistów z Pixela. Oprogramowanie użyte przez firmę zawierało jednak błąd, który wpłynął na opóźnienie w obliczaniu wyników wyborów samorządowych. *"Wadliwa architektura części stworzonego przez nas oprogramowania spowodowała przesłanie danych wyborczych do centralnej bazy danych w Krajowym Biurze Wyborczym. Wpłynęło to także na nadmierne obciążenie systemu i spowolnienie przetwarzania w nim danych wyborczych"* - stwierdził wówczas Tomasz Szeler, dyrektor Pixel Technology s.c. w oficjalnym komunikacie przekazanym PAP.

PKW zdecydowała, że sporządzi ekspertyzę wyjaśniającą przyczyny niewydolności systemu informatycznego oraz zwróciła się z prośbą do NIK o podjęcie postępowania kontrolnego w Krajowym Biurze Wyborczym (KBW) w zakresie wykorzystania środków na obsługę informatyczną wyborów samorządowych. NIK miała również ustalić przyczyny niewydolności systemu informatycznego.

Minęły zaledwie dwa lata i KBW ponownie wybrało firmę Pixel Technology na wykonawcę systemu informatycznego Platforma Wyborcza. Umowę ze spółką podpisano do końca 2006 r. Obejmowała obsługę siedmiu różnych wyborów do Sejmu i Senatu oraz prezydenckich w 2005 r. i samorządowych w 2006 r. Zwracano wówczas uwagę, że KBW dokonało wyboru Pixela, mimo, że w ogłoszeniu o przetargu na wybór dostawcy Platformy Wyborczej wyraźnie zaznaczono, iż *"w przetargu mogą wziąć udział oferenci nie wykluczeni na podstawie art. 19 ust. 1 i art. 22 ust. 7 Ustawy o zamówieniach publicznych"*. Pierwszy z nich mówił zaś, że *"z ubiegania się o udzielenie zamówienia publicznego wyklucza się (...) dostawców i*

wykonawców, którzy w ciągu ostatnich 3 lat przed wszczęciem postępowania nie wykonali zamówienia lub wykonali je z nienależytą starannością".

Najwyraźniej KBW zapomniało, że firma Pixel brała udział w nieudanym projekcie budowy systemu obsługującego wybory samorządowe w 2002 r i w ogóle nie powinna zostać dopuszczona do przetargu.

O Pixelu usłyszeliśmy ponownie w 2006 roku, gdy w trakcie wyborów samorządowych spółka musiała w ekspresowym tempie dostarczyć komisjom wyborczym w całej Polsce nową, poprawioną wersję systemu komputerowego. Dotychczasowy groził bowiem błędami w trakcie przeliczania głosów na mandaty. W efekcie do komisji wyborczych wysłano komunikat PKW, która poleciła ponowne przeliczenie głosów za pomocą nowej wersji systemu w gminach liczących powyżej 20 tys. mieszkańców.

Pojawia się pytanie: dlaczego, pomimo tylu złych doświadczeń PKW nadal powierza spółce Pixel wykonanie i obsługę oprogramowania wyborczego? Co decyduje, że niewielka spółka cywilna, o której działalności niemal nic nie wiemy otrzymuje tak poważne, państwowe zamówienia? Warto pamiętać, że Pixel Technology obsługiwała również proces obliczania wyników głosowania w wyborach prezydenckich 2010 roku.

Sprawa jest istotna, bowiem od działania sieci przesyłowych, za które ma odpowiadać ATM oraz oprogramowania spółki Pixel będzie zależał prawidłowy przebieg najbliższych wyborów parlamentarnych, a w szczególności proces naliczania oddanych głosów. Jakiegokolwiek błędów bądź awarii systemu mogą wywołać zasadne wątpliwości co do ostatecznego wyniku wyborczego, a w efekcie wpłynąć na radykalizację nastrojów społecznych. Łatwo przewidzieć, czym skończy się przedłużanie procedury liczenia lub jak zareagują wyborcy na informację o różnicach w obliczaniu głosów, zwłaszcza, jeśli o końcowym zwycięstwie zdecyduje niewiele punktów procentowych. Czy taki scenariusz był brany pod uwagę przez grupę rządzącą?

Partia opozycyjna nie ma obecnie możliwości, by na jakimkolwiek etapie skontrolować prawidłowość danych przekazywanych drogą elektroniczną. Za tę, szczególnie odpowiedzialną czynność odpowiadają bowiem pełnomocnicy ds. obsługi informatycznej, nadzorujący pracę operatorów obsługujących obwodowe komisje wyborcze. Nawet dysponując danymi od wolontariuszy z Korpusu Ochrony Wyborów, PiS nie będzie w stanie zweryfikować wyników przesyłanych do PKW z obwodowych komisji, a tym bardziej nie będzie mógł uzyskać informacji na temat funkcjonowania systemu zarządzanego przez spółkę Pixel Technology.

Warto byłoby wykazać zainteresowanie procedurą wyłonienia firm odpowiedzialnych za organizację elektronicznej obsługi wyborów oraz zadbać o obsadę stanowisk pełnomocników ds. obsługi elektronicznej. Jeśli dopuszczamy scenariusz, w którym grupa rządząca dokonuje fałszerstwa wyborczego, jest jeszcze czas na podjęcie konkretnych działań.

24.07.2011 14:45 222

610, NORWEGIA. ROSYJSKI ŚLAD

Jeśli władzom Norwegii wystarczy determinacji, by wnikliwie zbadać wszystkie okoliczności piątkowej tragedii, będą musiały poddać analizie również tropy prowadzące do Rosji. Istnieją poszlaki, by na zbrodnicze dzieło „prawicowego ekstremisty” spojrzeć w perspektywie niedawnych wydarzeń związanych z barwną postacią pewnego rosyjskiego awanturnika.

„My, działacze publiczni z Rosji, poprosimy o pomoc dla naszego przyjaciela, który został niedawno aresztowany w Norwegii i o uratowanie jego życie. Według naszej wiedzy, Władimir Datsik, pseudonim „Red Tarzan”, mistrz świata w MMA i obywatel Federacji Rosyjskiej, 21 września 2010 przybył z Sankt Petersburga (Rosja) do Norwegii i zwrócił się do władz norweskich o przyznanie mu azylu politycznego” - tej treści apel ukazał się we wrześniu ub. r na wielu stronach internetowych związanych z ruchem nacjonalistycznym. W Polsce zamieścił go portal autonom.pl.

Człowiekiem, o którego ratowanie zabiegali koledzy nacjonaści był Władimir Datsik, były komandos, kickbokser i aktywista rosyjskiego ugrupowania nazistowskiego Słowiański Sojusz. W Rosji dał się poznać jako zawodnik w widowiskowych „walkach bez zasad”. Ten „syna boga Swarżycza” jak sam siebie nazywał twierdził, że w ogóle nie odczuwa bólu i jest w stanie przetrzymać wszystkie uderzenia. Podczas walk bił się nie tylko z rywalami, ale również z sędziami i promotorami, co sprawiło, że przestał dostawać zaproszenia i musiał zakończyć karierę. W marcu 2007 roku Datsik został zatrzymany w Sankt Petersburgu pod zarzutem udziału w 50 napadach z bronią, m.in. na sklepy z telefonami komórkowymi. Do zatrzymania groźnego przestępcy użyto oddziału Specnazu, ponieważ milicja obawiała się sama interweniować. Podczas przeszukania w mieszkaniach rodziny Datsika znaleziono m.in. pojemniki z trującym cyjankiem potasu, którym można było wytruć połowę miasta.

Wkrótce aresztanta uznano jednak za człowieka niespełna rozumu i osadzono w dobrze strzeżonym szpitalu psychiatrycznym. W lipcu 2010 roku niespodziewanie przeniesiono Datsika do zakładu o łagodnym rygorze. Kilkanaście dni później „Red Tarzan” uciekł z „psychuszki” rozrywając rzekomo gołymi rękami ogrodzenie. Jak twierdził, przy pomocy przyjaciół z ugrupowania Słowiański Sojusz, które posiada również oddziały w Norwegii przedostał się na pontonie do tego kraju i nawiązał kontakty z ludźmi z organizacji nazistowskich. We wrześniu 2010 Datsik sam zgłosił się do biura emigracyjnego i wręczając urzędnikom kilka sztuk broni, poprosił o azyl polityczny w Norwegii. Przedstawił się jako ofiara politycznych prześladowań, mówił o torturach i wymuszaniu zeznań. Po badaniu przez norweskich psychiatrów został uznany za człowieka zdrowego.

Przed norweskim sądem ekstradycyjnym Datsik złożył sensacyjne oświadczenie mówiąc, że jego ucieczka z Rosji do Norwegii została zorganizowana przez służby specjalne i była związana ze zleceniem, jakie otrzymał od oficerów FSB. Datsikowi miało nakazać zamordowanie przywódcy czeczeńskiej diaspory i szefa emigracyjnego rządu Czeczenii Ahmeda Zakajewa, który w tym czasie został zatrzymywany w Polsce.

W licznych wywiadach udzielonych norweskim mediom Datsik przyznawał się do planowania zabójstw na tle rasowym i obszernie przedstawiał swoje poglądy. Paradował w koszulce ze swastyką i chwalił zdjęciami, na których pozował z bronią. W tym samym czasie norweskie służby otrzymały sygnały, że grupa neonazistów planuje atak na ambasadę Rosji w Oslo lub chce urządzić rzeź norweskich muzułmanów. Informując o tym norweski „Dagbladet” podkreślał, że może mieć to związek z obecnością Władysława Datsika. Pod zarzutem przygotowywania zbrojnych napadów zatrzymano wówczas trzech innych Rosjan. Jednym z nich był 33-letni Stanisław Prihodko, właściciel studia tatuażu w Oslo. To u niego zatrzymał się Datsik po ucieczce do Norwegii. W miejscu gdzie znajdowało się studio, policja zabezpieczyła wiele sztuk broni maszynowej, sprzęt wojskowy oraz skradzione legitymacje policyjne i mundury.

Za posiadanie broni norweski sąd skazał Datsika na osiem miesięcy pozbawienia wolności, zaliczając mu na poczet kary 98 dni spędzonych w areszcie. O jego ekstradycję wystąpiła jednak Rosja. To wówczas pojawiły się apele do organizacji międzynarodowych, w których przedstawiano Datsika jako działacza politycznego, prześladowanego przez reżim Putina. Sam Datsik przekonywał, że w Rosji grozi mu śmierć za ujawnienie współpracy ze służbami specjalnymi. Liczne organizacje neonazistowskie w Norwegii i w Europie organizowały akcje obrony „Czerwonego Tarzana”. W grudniu 2010 roku odbyła się w Oslo manifestacja jego zwolenników. Choć Norwegia nie ma umowy ekstradycyjnej z Rosją, władze tego kraju po ustaleniu z prokuraturą rosyjską zdecydowały się jednak wydać Datsika i w marcu br. został on deportowany do Rosji. Nie wiadomo, co dzieje się z nim obecnie.

W Norwegii działa wiele grup i organizacji nazistowskich, jawnie głoszących nienawiść rasową i nawołujących do przemocy. Przy niezwykle liberalnym prawie norweskim, działalność tych grup nie napotyka praktycznie na żadne przeszkody. Prasa norweska opisując przypadek Datsika zwracała uwagę, że członkowie grup nie kryją się ani z faszystowską symboliką ani z głoszonymi poglądami. Ta pobłażliwość wydaje się jednak mieć głębsze przyczyny. Pod często prymitywną retoryką i ideologią głoszoną przez tego typu organizacje, kryją się bowiem powiązania sięgające kontaktów politycznych i związków ze służbami specjalnymi. Hasła i symbolika neonazistowska są zwykle propagandową przynętą dla użytecznych „żołnierzy” i służą stworzeniu organizacji karnych i ślepych wykonawców. Prawdziwi przywódcy grup mają zaś powiązania z organizacjami międzynarodowymi, korzystają często z ochrony politycznej i wsparcia ze strony służb. W Rosji np., co nie jest tajemnicą, grupy nacjonalistyczne i nazistowskie są zwykle inspirowane przez służby FR i wykonują pożyteczną rolę „straszaków” wobec „czarnych” przybyszów z Kaukazu.

Dziś jeszcze nie sposób ocenić, czy i na ile wydarzenia związane z Władysławem Datsikiem mogą mieć związek z piątkową masakrą. Służby norweskie będą zapewne analizować również taką możliwość. Warto natomiast zwrócić uwagę, że jest mało prawdopodobne, by Anders Behring Breivik działał wyłącznie sam. Zorganizowanie akcji terrorystycznej na taką skalę, wydaje się przekraczać możliwości jednego człowieka.

Jeszcze mniej wiarygodne wydają się polityczne motywy tej zbrodni - tak chętnie nagłaśniane przez media i samego sprawcę. Rzeczą całkowicie zaskakującą musi być kompletny eklektyzm, a wręcz chaos w rzekomych poglądach politycznych Breivika. Ten „chrześcijański fundamentalista” okazuje się być jednocześnie członkiem loży masonskiej, a wyznając nienawiść do lewicy, gloryfikuje Obamę. W swoich pismach sprawca przyznaje się zaś do fascynacji Papieżem i Putinem i pisze: „*Putin wydaje się być zdecydowanym liderem, który zasługuje na respekt. Nie jestem pewien, czy mógłby stać się naszym największym przyjacielem, czy wrogiem*”.

Publikujący manifesty polityczne Breivik kreuje się na ideologa „wojny rasowej” i chce epatować publiczność „prawicowym ekstremizmem”. Jednocześnie wypisuje brednie o „*początkach rewolucji*” i rewolucyjnych planach „*zmieniania społeczeństwa norweskiego*”.

Kto prześledziłby wypowiedzi Władysława Datsika dla norweskich mediów, dostrzegłby z łatwością podobne pomieszenie pojęć, haseł i ideologii. I choć rosyjski bandyta jest z pewnością człowiekiem bardziej prymitywnym od złotowłosego Norwega, ta cecha wydaje się łączyć obu „prawicowych ekstremistów” i sugerować, że prawdziwych motywów i mocodawców należy poszukiwać w zupełnie innych obszarach.

27.07.2011 15:44 107

611, ROSYJSKI ŚLAD. FAKTY

Dwa miesiące przed zamachami w Norwegii, na stronie internetowej jednej z rosyjskich organizacji nacjonalistycznych, pojawiły się fotografie 82 osób zatrzymanych przez norweską policję podczas manifestacji antyfaszystowskich w ubiegłych latach. Były to zdjęcia pochodzące z policyjnych kartotek, jakie policja sporządza standardowo wobec każdego zatrzymanego. O publikacji zdjęć, policję zawiadomili młodzi Norwedzy, przerażeni zapowiedzią odwetu ze strony rosyjskich nacjonalistów.

„*Czuję się zdradzony przez policję*” - powiedział jeden z mężczyzn. Większość z nich w rozmowie z reporterem VG Nett twierdziła, że nie miała żadnego związku z organizacjami antyfaszystowskimi, a na manifestacjach znalazła się przypadkowo. Ich obawy wywołały groźby zamieszczone pod zdjęciami. Policja ustaliła, że fotografie zamieścił w Internecie 22 letni Rosjanin, mieszkaniec miejscowości Vestfold. W jaki sposób trafiły do niego z policyjnych kartotek, nie ustalono. Nie wykluczone, że norweskie służby będą musiały przypomnieć sobie to zdarzenie i sprawdzić, czy na zdjęciach zamieszczonych na rosyjskiej stronie nie znaleźli się przypadkiem członkowie młodzieżówki Partii Pracy.

Zagrożenie ze strony rosyjskich organizacji nacjonalistycznych, było poważnie analizowane przez norweskie służby. Policyjna Służba Bezpieczeństwa (PST) w corocznym raporcie opublikowanym w lutym 2011 roku stwierdziła, że „*związki rosyjskich neonazistów z norweskimi grupami antyislamskimi stanowią zabójczy koktail, który może wybuchnąć w każdej chwili*”.

W marcu br. podczas procesu ekstradycyjnego Władysława Datsika, prasa norweska przypomniała tezę zamieszczoną w raporcie PST : „*Istnieją przesłanki, że doszło do kontaktu między norweskimi prawicowymi ekstremistami, a zorganizowanymi grupami przestępczymi. Może to ułatwić ekstremistom łatwiejszy dostęp do broni, zwiększając tym samym zagrożenie użycia przemocy*”

Zwracano również uwagę na wzrost wpływów brytyjskich i rosyjskich organizacji ekstremistycznych w Norwegii. Zdaniem Janne Kristiansena z PST, szczególnie groźne były kontakty z rosyjską Unią Słowiańską, którą reprezentował Datsik. Przywódca rosyjskiej organizacji Dmitrij Demuskin twierdził, że posiada ona w Norwegii 15-20 członków. W ocenie PST, pobyt Datsika w Norwegii posłużył do zbudowania w tym kraju „*przyczółka Unii Słowiańskiej*”. W tym celu wykorzystano m.in. popularność, jaką Datsik cieszył się w kręgach fanów MMA (Mixed Martial Arts) - dyscypliny, w której zawodnicy walczą wręcz stosując wszystkie techniki dozwolone w innych sportach walki bez broni. Anders Breivik wyznał w swoim internetowym „manifestie”, że zalicza się do miłośników tej dyscypliny.

Wczoraj w norweskim dzienniku „Aftenposten” po raz pierwszy pojawiła się sugestia, że sprawca zamachu mógł mieć związki z Władysławem Datsikiem i grupą rosyjskich neonazistów. Podobne twierdzenie znalazło się również we wczorajszej relacji Aleksandra Braterskiego z rosyjskiego The Moscow Times.

W poprzednim tekście na temat rosyjskiego śladu, wspominałem o akcji norweskich służb z grudnia ubiegłego roku, gdy pod zarzutem przygotowania zbrojnego zamachu zatrzymano w Oslo trzech Rosjan, a podczas rewizji przeprowadzonej w studiu tatuażu znaleziono arsenał broni, mundury policyjne i sprzęt wojskowy. Akcja norweskiej policji była możliwa dzięki pomocy rosyjskiego FSB. Po przybyciu Władysława Datsika do Norwegii, Rosjanie przekazali szczegółowe informacje dotyczące planowania zamachu na ambasadę Rosji w Oslo, sugerując również, że celem mogą być Norwedzy lub norwescy muzułmanie.

„*Broń jest ukryta w kanapie narożnej ze skóry, która stoi w recepcji w studio tatuażu*” - informował PST szef ochrony rosyjskiej ambasady w Oslo.. Rosyjska FSB zabiegała, by norweska policja podjęła działania w czasie gdy do Oslo przybył Władysław Datsik. Ambasada Rosji przekazała nawet zdjęcia Datsika paradykującego po ulicach Oslo, informując, że ma on przy sobie dwa rewolwery. Informacje były na tyle szczegółowe, że podano, iż w jednym z rewolwerów znajduje się pięć kul.

Warto przypomnieć, że następnego dnia po zamachu, FSB zaproponowała (jako pierwsza) pomoc służbom norweskim, a przewodniczący komisji spraw zagranicznych Rady Federacji Michaił Margielow zapowiedział, że Rosja oferuje pomoc śledczych, mających „*ogromne doświadczenie w walce z ekstremizmem*.”

Już tylko na podstawie powyższych faktów, można uznać, że rosyjski ślad w sprawie piątkowego zamachu jest jak najbardziej wiarygodny i nie sposób zaliczyć go do „prawackich teorii spiskowych”.

„*Jeśli przeżyję i zostanę aresztowany, rozpocznie się etap propagandy*” - napisał Anders Breivik w swoim „manifestie” „2083. Europejska Deklaracja Niepodległości” opublikowanym w sieci na dwie godziny przed zamachami. To jedno z nielicznych prawdziwych słów w tym kilkusetstronicowym zbiorze bredni, które od piątkowego wieczoru stanowią podstawową lekturę podekscytowanych żurnalistów i domorosłych ekspertów od terroryzmu.

Jeśli po „*etapie propagandy*” przyjdzie czas na rozsadek i rzetelne śledztwo, jestem przekonany, że rosyjski ślad zostanie potraktowany z należytą uwagą.

Źródła:

<http://www.vg.no/nyheter/innenriks/artikkel.php?artid=10092993>

<http://www.vg.no/nyheter/innenriks/artikkel.php?artid=10093057>

<http://www.vg.no/nyheter/utenriks/terrorisme/artikkel.php?artid=10030043>

<http://www.vg.no/nyheter/innenriks/artikkel.php?artid=10099306>

<http://www.aftenposten.no/nyheter/iriks/article4181167.ece>

http://www.pst.politiet.no/Filer/utgivelser/trusselvurderinger/NTV2011_web.pdf

<http://www.themoscowtimes.com/mobile/article/441048.html>

<http://www.vg.no/nyheter/innenriks/artikkel.php?artid=10012735>

28.07.2011 18:39 94

612, KRĄG MILCZENIA

Druga połowa roku upłynie pod znakiem kampanii wyborczej, ta zaś zostanie zdominowana tematem tragedii smoleńskiej. W najbliższym czasie czeka nas bowiem prezentacja aż trzech dokumentów dotyczących zdarzeń z 10 kwietnia.

Po raz kolejny Donald Tusk wyznaczył termin publikacji tzw. raportu komisji Millera, zastrzegając jednak, że data 29 lipca nie jest do końca pewna. Obietnicę ogłoszenia raportu słyszeliśmy już w lutym br., a następne miesiące przyniosły dalsze, nie zrealizowane zapowiedzi. Trudno wręcz policzyć, ile podawano terminów i jakich argumentów używano, by

usprawiedliwić zwłokę. Ten stan niepewności utrzymywany jest do chwili obecnej. Jeszcze na początku czerwca br. Tusk stwierdził: „*Jestem bliski pewności, że czerwiec to będzie ten miesiąc, kiedy cała sprawa znajdzie swój finał*”. Pod koniec miesiąca rzecznik rządu zapowiedział jednak, że raport zostanie podany do publicznej wiadomości dopiero za kilkanaście dni. Obecne wyjaśnienia o rzekomo przedłużającym się tłumaczeniu dokumentu, świadczą jedynie o bezmiarze nonszalancji, z jaką Tusk traktuje Polaków.

Zachowanie grupy rządzącej nie pozostawia złudzeń, że raport Millera ma zostać wykorzystany w bieżącej grze politycznej i stanowi element przedwyborczej strategii. Takie zastosowanie wynika głównie z moskiewsko-warszawskich kalkulacji, zaś podstawowym powodem wielokrotnego przesuwania terminu wydaje się brak gotowości Rosjan na zaakceptowanie konkluzji „wspólnego raportu”.

O konstrukcji wspólnego dzieła mówił wyraźnie premier rządu, gdy w styczniu br., tuż po publikacji tzw. raportu MAK, zapowiedział: „*Raport MAK nie jest kompletny. Zwrócimy się do Rosji o wspólną wersję raportu*”. W ramach tuskowej deklaracji, można spodziewać się nieznacznej modyfikacji stanowiska Rosji o punkty wyznaczające ewentualną wspólwinę strony rosyjskiej. Może chodzić o ustępstwa w kwestii odpowiedzialności kontrolerów lotniska w Siewiernym lub uznanie, że błędne było udzielenie pozwolenia na lądowanie Tu-154 i niezamknięcie lotniska z powodu złej pogody. Tego rodzaju „element krytyki” zostanie wykorzystany przez rządowe media w trakcie kampanii wyborczej i przedstawiony jako triumf polityki Tuska. Kampania propagandowa prowadzona w bliskości wyborów wykreowałaby szefa Platformy na „bohatera narodowego”, tego co się „Putinowi nie kłania” i dezinformując znaczną część społeczeństwa mogła zaważyć na wyniku wyborczym.

Z zapowiedzi ministra Millera wiemy, że jego raport ma być w 90 procentach zbieżny z rosyjskim, a różnice będą polegały na „zaskakującej konkluzji”, zaanonsowanej już dawno przez premiera rządu. Podczas sejmowego wystąpienia poświęconego tzw. raportowi MAK, wzburzony okrzykami opozycji Tusk wypalił: „*Ci, którzy teraz krzyczą, potem będą słuchać prawdy w milczeniu i smutku*” i dodał, że „*Polska dysponuje pełniejszymi dokumentami na temat katastrofy*”. Można sądzić, że ów „wspólny raport” będzie zawierał informacje poszerzone o wiedzę dotyczącą rzekomego przebiegu rozmowy braci Kaczyńskich, a wskazując na ewentualne błędy rosyjskich kontrolerów przyniesie rewelacje, przy których zbledną rosyjskie oszczerstwa wobec generała Błasika.

Całkowicie odmienne od pozerstwa grupy rządzącej, jest zachowanie parlamentarnego zespołu PiS ds. tragedii smoleńskiej. Po publikacji Białej Księgi, w której zawarto 19 wniosków dotyczących kwestii związanych z przygotowaniem, organizacją i przebiegiem lotu oraz działaniami władz polskich i rosyjskich po katastrofie, padła zapowiedź, że końcowy raport zostanie ogłoszony na początku września. Jasność deklaracji Antoniego Macierewicza wskazuje, że intencją zespołu jest jak najszybsze i najpełniejsze poinformowanie Polaków o faktach związanych z tragedią 10 kwietnia. Tę zasadniczą różnicę podkreślił szef parlamentarnego zespołu, gdy pytany, czy Biała Księga powstała, aby wymusić publikację raportu Jerzego Millera, odpowiedział: „*Z ministrem Millerem nie sposób konkurować, gdyż od czterech miesięcy zapowiada coś, czego nie robi. W tej konkurencji nie startuję. Miller łamie swoje wszystkie obietnice i słowa. Z tym konkurować nie sposób*”.

Trzecim dokumentem dotyczącym okoliczności tragedii smoleńskiej ma być raport Najwyższej Izby Kontroli. Warto przypomnieć, że w sierpniu ubiegłego roku przewodniczący zespołu parlamentarnego PiS zwrócił się z wnioskiem do NIK o przeprowadzenie kontroli administracji rządowej w zakresie właściwego przygotowania wizyt prezydenta i premiera w Katyniu. W odpowiedzi na wniosek, wiceprezes NIK stwierdził, że Izba z własnej inicjatywy przygotowuje już obszerną kontrolę funkcjonowania służb państwowych, traktując ją jako zadanie priorytetowe.

Choć publikację raportu zapowiedziano dopiero późną jesienią, już dziś wzbudza zainteresowanie, ponieważ w jednym z punktów mają znaleźć się zarzuty przeciwko szefowi MON. Inspektorzy NIK skontrolują w sumie siedem instytucji rządowych: MON, Sztab Generalny, Dowództwo Sił Powietrznych, 36. Specjalny Pułk Lotnictwa Transportowego, Kancelarię Prezydenta i Premiera oraz BOR, sprawdzając, czy przestrzegano w nich procedur i zasad bezpieczeństwa.

Wiele wskazuje, że to właśnie raport NIK-u może mieć największe znaczenie w ocenie stopnia odpowiedzialności grupy rządzącej. Ta jedna z ostatnich niezależnych instytucji, ma bowiem bezpośredni wgląd w dokumentację dotyczącą przygotowań do tragicznego lotu, a zatem do tych dowodów, które grupa rządząca ukrywała dotąd przed opinią publiczną. NIK posiadając narzędzia kontroli, których nie miał zespół poselski PiS-u może dotrzeć do wielu interesujących informacji i znacząco zweryfikować prawdziwość raportu komisji Millera.

Jednym z najważniejszych elementów kontroli, wydaje się sprawdzenie stanu zabezpieczenia prezydenckiej wizyty przez BOR. Już z Białej Księgi mogliśmy się dowiedzieć, że działania Biura Ochrony Rządu były niewystarczające i niezgodne z obowiązującymi przepisami. Lista uchybień jest długa. Począwszy od niesprawdzenia stanu lotniska i wieży kontroli lotu i wyrażenia zgody na warunki narzucone przez Rosjan (m.in. brak broni), poprzez brak łączności grupy zoficerem funkcyjnym w Warszawie i zlekceważenie informacji o zagrożeniu atakiem terrorystycznym, po nieobecność funkcjonariuszy na lotnisku Siewiernyj. Szef Biura publicznie zarzekał się, że funkcjonariusze byli obecni na płycie lotniska w Smoleńsku. Dopiero po wielu miesiącach przyznał, że BOR-owcy czekali na przylot delegacji w oddalonym o kilkanaście kilometrów Katyniu. Wbrew ustawie o BOR, po katastrofie nie wszczęto nawet wewnętrznego postępowania wyjaśniającego, a szef tej służby został awansowany za „catokształt pracy”.

Wszystko, co dotyczyło zabezpieczenia wizyty prezydenta, powinno znaleźć się w tzw. teczce operacyjnej. Chodzi m.in. o informacje, kto zabezpieczał transport, jak i kiedy dokonano sprawdzenia terenu lotniska, jaki był plan ochrony prezydenta

i osób mu towarzyszących. Przed wylotem taka teczka, jako główny plan działania jest zatwierdzana przez szefa BOR lub jego zastępcę. Do tych kluczowych informacji dotrą lub już dotarli inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli.

Rzetelne sprawdzenie jednej ze służb specjalnych w kwestii zabezpieczenia wizyty w Katyniu, byłoby rzeczą bezprecedensową. Bo choć od tragedii smoleńskiej upłynęło 15 miesięcy, polska opinia publiczna nadal nic nie wie o działaniach służb specjalnych podejmowanych przed i po 10 kwietnia. Nie wiemy: co robiły poszczególne formacje, by zapewnić ochronę najważniejszych osób w państwie i jakie czynności asekuracyjne podjęto przed tragedią, co robiły służby w dniu katastrofy i w jaki sposób gromadzono informacje dotyczące jej przebiegu?

Zdarzenia z ostatnich lat dowiodły natomiast, że „odzyskane” przez układ rządzący służby nie potrafiły zapewnić bezpieczeństwa w kluczowych momentach i poza dbałością o interesy własne i swoich mocodawców ich szefowie nie wykazywali zainteresowania ochroną spraw polskich. Dość wymienić czystki po przejęciu władzy, sterowane przecieki do mediów, wewnętrzne audyty i kontrole czy donosy pisane na poprzedników. Służby ochrony państwa winne są zaniedbań w sprawie geologa zamordowanego przez Talibów, zaginięcia szyfranta Zielonki, braków w ochronie kontrwywiadowczej przetargów stoczniowych, licznych afer z udziałem szefów służb oraz niemniej częstych przecieków tajnych informacji. To za rządów PO-PSL służby specjalne otrzymały wręcz nieograniczone możliwości zbierania dowolnych informacji na temat obywateli. Równocześnie, za czasów tych rządów obywatele utracili prawo do posiadania podstawowej wiedzy na temat pracy służb, a próby wyjaśnienia zdarzeń z ich udziałem, zawsze kończyły się fiaskiem. Odkąd grupa rządząca opanowała sejmową komisję ds. speclużb, a Donald Tusk stał się największym specjalistą w sprawach tajnych formacji i objął osobisty dozór nad ich funkcjonowaniem, nad tym obszarem nie istnieje również kontrola ze strony parlamentu.

W warunkach III RP, która po esbeckich „władcach tajemnic” odziedziczyła całą koncepcję działania służb specjalnych, podstawowym gwarantem nienaruszalności ich interesów jest mit tajności. Nie przypadkiem w polskim prawie istnieją aż 62 akty prawne, w których definiuje się rodzaje tajemnic prawnie chronionych. Choć ujawnienie większości z nich nie grozi żadnym niebezpieczeństwem, służby czuwają nad podtrzymywaniem mitologii „tajemnic państwowych”, upatrując w tym sposób na wykazanie własnej niezbędności. Taka konstrukcja jest niezwykle przydatna również wówczas, gdy chcąc ukryć nieudolność lub nawet najcięższe przestępstwa, sięga się po tarczę w postaci formuły o konieczności ochrony informacji niejawnych i zapewnia społeczeństwo o wymogu tajności.

Nie chodzi przy tym o wiedzę dotyczącą „kuchni” służb i ich pracy operacyjnej, a wyłącznie o informacje związane z wykonywaniem obowiązków wynikających z jawnych ustaw i rozporządzeń. Jako przykład dotyczący Smoleńska, można wymienić bulwersującą sprawę wielomiesięcznego ukrywania przez jedną ze służb zdjęć satelitarnych, przekazanych przez Amerykanów tuż po katastrofie. Nie znamy żadnych okoliczności sprawy, a nawet nazwy służby odpowiedzialnej za tę sytuację, zaś płk Rzepa z Prokuratury Wojskowej posłużył się i w tym przypadku formułą o niemożności ujawnienia „procesowych materiałów dowodowych mających charakter niejawny”. Czy istnieją powody, by Polacy nie mogli dowiedzieć się, co robiła Służba Kontrwywiadu Wojskowego i Żandarmeria Wojskowa przerzucone, zgodnie z oświadczeniem ministra Klicha „w sobotę wieczorem na miejsce katastrofy”? Jak polskie służby zabezpieczyły teren zdarzenia, czy nie dopuściły do przechwycenia przez obce państwo naszych tajemnic? Jak zapobiegano niszczeniu przez Rosjan dowodów rzeczowych, jakie działania podjęto, by je odzyskać? Na te i setki innych pytań, nie znamy odpowiedzi.

Ukrywanie informacji dotyczących zdarzeń z 10 kwietnia za fasadą tajemnicy lub rzekomej troski o bezpieczeństwo państwa, jest oczywistym nonsensem. Nie tylko dlatego, że samo dopuszczenie do gigantycznej tragedii stanowiło największą kompromitację w dziejach służb specjalnych i przyniosło zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa, ale przede wszystkim z racji wagi samego wydarzenia - najważniejszego w historii ostatnich kilkudziesięciu lat. Mamy prawo sądzić, że argument tajemnicy, tak chętnie nadużywany również przez prokuraturę, służy głównie do ograniczenia prawa obywateli do uzyskania rzetelnych informacji.

Raport komisji Millera nie przyniesie żadnych odpowiedzi na pytania dotyczące służb specjalnych. Znamy już bowiem stanowisko rządzących i graniczącą z histerią obronę szefów tych służb przez premiera. Również dokument parlamentarnego zespołu PiS, z uwagi na brak dostępu do materiałów źródłowych, nie będzie zawierał danych z tego obszaru. Wydaje się, że raport kontrolny NIK, w którym znajdą się informacje dotyczące BOR-u może stanowić przełom w dotychczasowej praktyce i choć w tym zakresie przerwie krąg milczenia wokół służb III RP i roli, jaką odegrały w tragedii smoleńskiej.

31.07.2011 19:42 22

613. AFERA MARSZAŁKOWA. PROTOKOŁY NIEZGODNOŚCI

Sprawa afery marszałkowej - „matki” wszystkich późniejszych afer za czasów rządów PO-PSL, zdaje się nie zaprzętać dziś uwagi publicznej. Zgodnie z zasadą przemilczania własnych draństw, rządowe media nie poświęcają uwagi procesowi, który niedawno rozpoczął się przed warszawskim Sądem Rejonowym na Bemowie. Proces ma zostać przemilczany, chociaż na liście świadków znajdują się m.in. Bronisław Komorowski, szef ABW Krzysztof Bondaryk, rzecznik rządu Paweł Graś, Antoni Macierewicz, a także znani dziennikarze oraz wysocy rangą byli oficerowie WSI.

Przypomnę, że chodzi o kombinację operacyjną z udziałem ludzi WSW/WSI, szefostwa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego, rozgrywaną w latach 2007-2008. Celem kombinacji było uzyskanie dostępu do tajnego aneksu z Raportu z Weryfikacji WSI, a gdy okazało się to niemożliwe -

podjęcie działań zmierzających do oskarżenia członków Komisji Weryfikacyjnej WSI oraz dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego. Chodziło przy tym o zdezwuowanie treści zawartych w aneksie oraz uprzedzenie ewentualnych zarzutów dotyczących powiązań polityków Platformy ze środowiskiem byłych WSI. Priorytetem kombinacji pozostawała osłona politycznego „patrona” wojskowych służb - Bronisława Komorowskiego.

W toku kombinacji korzystano z silnego wsparcia medialnego, a sygnałem do rozpoczęcia akcji pod fałszywą nazwą „afery aneksowa” był artykuł Anny Marszałek opublikowany w „Dzienniku” w dn. 19 listopada 2007r. zatytułowany - „*Aneks do raportu o WSI na sprzedaż*” i opatrzony nagłówkiem - „*Każdy może kupić tajne dokumenty*”. Żadne z kłamstw rozpowszechnianych przez rządowe media nie znalazły potwierdzenia. Nigdy nie było żadnej „afery z aneksem”, nigdy nie wykazano, by nastąpił jakikolwiek przeciek treści z tego dokumentu. Wszelkie oskarżenia i rzekome dowody, o których miesiącami zapewniali nas żurnaliści i „specjaliści” od służb okazały się fałszywe, a intensywnie prowadzone czynności śledcze nie przyniosły rezultatów. To z tego powodu trwa dziś tchórzliwe milczenie „wiodących mediów”.

Oskarżenie przeciwko Wojciechowi Sumlińskiemu o „płatną protekcję” oparto zatem na doniesieniu złożonym przez byłego pułkownika WSW/WSI Leszka Tobiasza z Oddziału 33. Zarządu III WSI. Tobiasz - absolwent moskiewskich kursów GRU, pracował w charakterze oficera operacyjnego ataszatu w Moskwie, a w okresie rządów SLD - UP był odpowiedzialny za działania wobec hierarchów Kościoła katolickiego, a następnie - do chwili rozwiązania WSI - za inwigilację i pozyskiwanie dziennikarzy. W sprawie Tobiasza prokuratury wojskowe prowadziły od 2006 r. dwa śledztwa: z doniesienia podwładnych o fałszowanie dokumentów i z doniesienia Komisji Weryfikacyjnej WSI o złożenie nieprawdziwego oświadczenia weryfikacyjnego. W lipcu br. Leszek Tobiasz został prawomocnie skazany na pół roku więzienia w zawieszeniu za przekroczenie uprawnień. Sądy uznały za przestępstwo wezwanie przezeń do WSI pewnego oficera - po to, by uniemożliwić mu udział w ważnym głosowaniu.

Nie przeszkadzało to prokuraturze traktować Tobiasza jako w pełni wiarygodnego świadka oskarżenia i na podstawie jego donosu przez wiele miesięcy podejmować działania wobec członków Komisji Weryfikacyjnej WSI.

Przed kilkoma dniami portal niezależna.pl opublikował kopie dokumentów dotyczących afery marszałkowej. Są to m.in. zawiadomienie Krzysztofa Bondaryka do prokuratury, protokół jego przesłuchania oraz postanowienie o przeszukaniu domu Piotra Bączka.

Treść tych dokumentów winna wywołać polityczne „trzęsienie ziemi” w każdym praworządnym państwie. Lektura protokołu przesłuchania szefa ABW oraz złożonego przezeń zawiadomienia, pozwala na postawienie tezy, że mamy do czynienia z rażącą niezgodnością między zeznaniami Komorowskiego, a oświadczeniem Bondaryka.

Przypomnę, że 30 października 2008 roku Wojciech Sumliński złożył w warszawskiej prokuraturze doniesienie, w którym wskazał, że stał się ofiarą fałszywego pomówienia i podkreślił, iż prowokację przeprowadzili wspólnie i w porozumieniu marszałek Sejmu Bronisław Komorowski i szef ABW Krzysztof Bondaryk. Doniesienie dotyczyło możliwości zorganizowanych działań, które miały na celu skompromitowanie Komisji Weryfikacyjnej WSI, a sam Sumliński jako dziennikarz, który sprawę WSI badał, niejako „przy okazji” stał się jednym z celów prowokacji. Miesiąc wcześniej, ówczesny szef klubu PiS Przemysław Gosiewski, zwrócił się do prokuratury z wnioskiem o zbadanie, czy Bronisław Komorowski miał obowiązek zawiadomić prokuraturę, po tym jak oficer WSW/WSI Aleksander L. złożył mu propozycję korupcyjną, a Leszek Tobiasz poinformował go o rzekomej korupcji. Klub PiS złożył zawiadomienie po ujawnieniu przez media na początku września 2008 roku treści zeznań Komorowskiego złożonych przed prokuraturą.

W przypadku obu zawiadomień, prokuratura nie dopatrzyła się ze strony marszałka Sejmu żadnego naruszenia prawa i odmówiła wszczęcia śledztwa.

Warto zatem zwrócić uwagę, że w zeznaniach Komorowskiego oraz w ujawnionych obecnie zeznaniach Bondaryka, występują oczywiście, rażące niezgodności.

Ówczesny marszałek Sejmu zeznał bowiem, że jego pierwsze spotkanie z Tobiaszem miało miejsce 21 listopada 2007r.. Co więcej podkreślił: „*tej daty jestem pewien, w kalendarzu niestety nie zapisano dnia spotkania z Lichockim, ale mogło to być około dzień lub dwa przed rozmową z Tobiaszem.*” Dalej Komorowski oświadczył: „*Tobiasz chciał mi okazać zdobyte dowody w postaci nagrań i na kolejne spotkanie, 3 grudnia 2007 r. - przyniósł je. Widziałem kamerę, dyktafon, kasety video i kasety do dyktafonu.*”

„*O ile pamiętam - oświadczył Komorowski prokuratorowi - następnego dnia przekazałem powyższą informację Ministrowi Koordynatorowi Pawłowi Grasiowi oraz szefowi SKW płk. Reszce. Minister Graś następnie powiedział mi , że jest to sprawa, którą powinno zająć się ABW z uwagi nie tylko na korupcję, ale również na zagrożenie państwa. Po kilku dniach przeprowadziłem rozmowę z szefem ABW panem Bondarykiem. Po pewnym czasie, myślę że po około dwóch tygodniach, Tobiasz stawiał się w umówionym miejscu i czasie do dyspozycji ABW, która zajęła się tą sprawą.*”

Całkowicie inny przebieg zdarzeń wynika z ujawnionego przez niezależna.pl protokołu przesłuchania Krzysztofa Bondaryka. Szef ABW zeznał, że „*około tygodnia po powierzeniu mi przez Premiera funkcji p.o obowiązki szefa ABW w dniu 16 listopada 2008 w godzinach popołudniowych minister Graś poinformował mnie telefonicznie o potrzebie spotkania*” na terenie Sejmu i zawiadomił, „*w skrócie, że istnieje potrzeba-prośba ze strony Marszałka Komorowskiego, abym się udał do jego biura poselskiego, ponieważ jest u niego w tym memencie ktoś, kto ma informacje ważne dla bezpieczeństwa kraju*”. Z treści dalszych zeznań Bondaryka wynika, że spotkanie z Tobiaszem odbyło się w Sejmie tego samego dnia, a Tobiasz miał

mieć przy sobie dowody na rzekomą korupcję w Komisji Weryfikacyjnej WSI. W tym samym dniu, Bondaryk swoim samochodem przewiózł Tobiasza do siedziby ABW na Rakowiecką, zaprowadził do pokoju, po czym wezwał „funkcjonariusza pionu śledczego panią Fetke”. Tobiasz został przesłuchany i przyjęto od niego zawiadomienie o przestępstwie.

Z zeznań Bondaryka wynika zatem, że Komorowski wezwał szefa ABW 23 listopada 2007 roku, a nie, jak twierdził marszałek Sejmu dopiero w grudniu. Bondaryk przewiózł Tobiasza swoim samochodem do siedziby ABW, a nie Tobiasz „stawił się w umówionym miejscu i czasie do dyspozycji ABW”. Tobiasz miał przy sobie „dowody” rzekomej korupcji już w dniu spotkania z Bondarykiem, a nie 3 grudnia, jak twierdzi Komorowski.

Najciekawsze jednak, że w zawiadomieniu złożonym do prokuratury w dniu 27 listopada 2007 roku Bondaryk przedstawia jeszcze inny scenariusz i w ogóle przemilcza rolę Komorowskiego. Szef ABW zawiadamia bowiem Prokuraturę Okręgową w Warszawie, że „w dniu 23 listopada do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego zgłosił się ob. RP Leszek Tobiasz”. Nie ma słowa o roli Komorowskiego, o osobistej eskorcie Bondaryka ani o zdarzeniach, które doprowadziły Tobiasza do siedziby ABW.

Te i wiele innych niezgodności w zeznaniach najważniejszych aktorów afery marszałkowej powinny zainteresować każdy niezależny organ ścigania oraz wzbudzić podejrzenia odnośnie intencji owych świadków. Z umorzeń dokonanych przez prokuraturę wynika, że takich niezgodności nie stwierdzono, choć dysponowała ona tymi samymi materiałami.

To zaledwie jeden przykład z szeregu nieprawidłowości, jakie można dostrzec w sprawie sprzed trzech lat. O jej prawdziwym przebiegu Polacy nigdy nie zostali poinformowani. Obowiązująca do dziś zмова milczenia sprawiła, że została ona ukryta przed opinią publiczną i żadne z jej elementów nie pojawiły się w trakcie prezydenckiej kampanii Bronisława Komorowskiego. Wybór tej postaci na prezydenta Polski, to ceną, jaką już zapłaciliśmy za zaniechanie wyjaśnienia afery marszałkowej.

SIERPIEŃ 2011

02.08.2011 17:51 33

614. W KOMUNISTYCZNYM GORSECIE SŁUŻALCZOŚCI

System komunistyczny traktując państwo jako instrument totalitarnej władzy podporządkował swojej ideologii również sądownictwo i uczynił z niego jeden z filarów ustroju. Powierzył mu także zadanie dodatkowe, czyniąc z tzw. wymiaru sprawiedliwości zbrodnicze narzędzie represji, zależne od partii i aparatu bezpieczeństwa. Ta funkcja sądów PRL wynikała bezpośrednio z treści Konstytucji, która w art. 58 stanowiła, iż „Sądy stoją na straży ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ochraniają zdobycze polskiego ludu pracującego, strzegą praworządności ludowej, własności społecznej i praw obywateli, karzą przestępców.”

Konstytucyjna hierarchia pozwalała komunistom na traktowanie sądów i prawodawstwa jako narzędzia ochrony władzy i strażnika partyjnych interesów. O żadnej niezawisłości i niezależności nie mogło być mowy. Brak norm prawnych chroniących obywatela przed samowolą rządzących, ujawniał natomiast całkowitą fikcyjność praw obywatelskich. Prawo stanowione w PRL było prawem rządzących, dawało partii pełnię władzy nad obywatelem oraz umożliwiało zwalczanie istniejącej i potencjalnej opozycji.

III RP zbudowana na fundamencie państwa komunistycznego, dziedzicząc jego struktury i aparat represji, zachowała również w niezmienionym stanie sądownictwo, dokonując w tym obszarze zmian fasadowych i pozorowanych. Przede wszystkim, armia dyspozycyjnych sędziów i prokuratorów, prześladowanych przez lata własnych obywateli przeszła „do „nowego” państwa i na mocy fikcji „transformacji ustrojowej” stała się kadrą na której oparto wymiar sprawiedliwości III RP. Warto przypomnieć, że w PRL-u trudno byłoby znaleźć grupę bardziej upolityczoną i uległą wobec reżimu. Przykładowo: w roku 1953 do PZPR należało 25% sędziów, w 1966 już 58%, a w 1984 - 54 %. W 1982 r. na 113 nowo powołanych sędziów Sądu Najwyższego - 88 należało do partii komunistycznej, 11 do dwu partii kolaborujących, a tylko 14 było bezpartyjnych.

Jeszcze gorszej mógł wyglądać odsetek tajnych współpracowników bezpieki działających w „wymiarze sprawiedliwości” PRL. W tym zakresie nie istnieją pełne i wiarygodne statystyki, jednak o skali problemu możemy wnioskować choćby na podstawie wykazu nazwisk osób podlegających w swoim czasie procedurom lustracyjnym, które trafiły na listę sporządzoną w Biurze Rzecznika Interesu Publicznego, zwaną „listą Nizieńskiego”. Na ogólną liczbę 588 osób, co do których zachowały się dokumenty rejestracyjne w ewidencji organów peerelowskiej bezpieki, znajduje się aż 335 nazwisk adwokatów, 81 sędziów i 30 prokuratorów. Gdy we wrześniu 2007 roku IPN opublikował pierwsze katalogi osób publicznych, będących w przeszłości współpracownikami SB, znalazły się w nich nazwiska 4 sędziów Naczelnego Sądu Administracyjnego, 2 - Trybunału Konstytucyjnego i po jednym - Sądu Najwyższego i Trybunału Stanu.

Sędziowie III RP, obok wojskowej bezpieki przekształconej w WSI, są jedyną grupą zawodową, którą ominęła nawet szczątkowa weryfikacja. Całkowicie bezpodstawnie przyjęto, że w środowisku tym dojdzie do samooczyszczania i pozbędzie się ono skompromitowanych członków. Założenie to okazało się mrzonką, a samorządy korporacyjne nie tylko nie pozbyły się zbrodniarzy w togach, ale przez lata chroniły ich od jakiejkolwiek odpowiedzialności. Żaden z komunistycznych sędziów i prokuratorów legalizujących sowieckie ludobójstwo na polskich patriotach, odpowiedzialnych za prześladowania opozycji

czy drakońskie wyroki stanu wojennego, nie został nawet postawiony w stan oskarżenia. Czy może zatem dziwić, że ministrami sprawiedliwości takiego aparatu zostawali tajni współpracownicy bezpieki, jak Bentkowski, Chrzanowski, Jaskiernia czy Cimoszewicz?

Gdy po dziewięciu latach, w grudniu 1998 r. udało się uchwalić ustawę o odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy w latach 1944-1989 sprzeniewierzyli się niezawisłości sędziowskiej, okazało się, że Krajowa Rada Sądownictwa (KRS) nie znalazła żadnego sędziego, którego zachowanie podlegałoby ocenie ustawy. W okresie od wejścia w życie ustawy do października 2001 r. wpłynęło 30 spraw, z czego 28 zostało złożonych przez ministra sprawiedliwości, a tylko dwie były efektem wniosków rzecznika dyscyplinarnego. We wszystkich sprawach z wniosku ministra sprawiedliwości rzecznicy dyscyplinarni dystansowali się od nich, wskazując, że działają z polecenia ministra. Sprawy dotyczyły zaledwie około 50 sędziów, w większości w stanie spoczynku, spośród których tylko jeden nie był sędzią karnym. W toku postępowania aż 41 sędziów już na samym początku zostało uwolnionych od stawianych im zarzutów. Opisując tę farsę dr Przemysław Czarnek w artykule zamieszczonym w „Naszym Dzienniku” wskazywał, że „efekty weryfikacji PRL-owskiego wymiaru sprawiedliwości są więc zatrważające. Wynika z niej - wbrew oczywistym faktom - że wszyscy sędziowie okresu komunistycznego działali na wskroś etycznie, byli niezawisli i niezależni.”

Kontynuacja personalna, brak lustracji i dekomunizacji nie są jedynymi przesłankami pozwalającymi dostrzec w wymiarze sprawiedliwości III RP spuściznę państwa komunistycznego. W czasach PRL szczególną rolę w kształtowaniu „sprawiedliwości socjalistycznej” odgrywała interpretacja, czyli wykładnia prawa dokonywana przez Sąd Najwyższy. Kontrowersyjną sprawą była kwestia „wytycznych wymiaru sprawiedliwości i praktyki sądowej” wydawanych przez SN poczynając od 1949 r. Wytyczne miały zapewnić jednolitość orzecznictwa w sprawach cywilnych i karnych oraz jego zgodność z zasadami „praworządności ludowej”. W praktyce, główne tezy wytycznych były przygotowywane poza SN, przez partię komunistyczną, zaś Sądowi Najwyższemu pozostawiano redakcję tekstu i jego uzasadnienie. Taki mechanizm czynił z „wymiaru sprawiedliwości” autentyczne narzędzie partii rządzącej, pozwalał dowolnie interpretować zapisy prawa i strzec przywilejów aparatu władzy.

W III RP rolę wyroczni i organu stojącego na straży zdobyczy „transformacji ustrojowej” powierzono Trybunałowi Konstytucyjnemu. Ten komunistyczny, niedemokratyczny twór, powołany przez Jaruzelskiego ustawą z 1985 roku miał początkowo ograniczone kompetencje. Dopiero po 1989 roku nastąpiło poszerzenie uprawnień TK i przekształcenie go w organ orzekający nie tylko o zgodności ustaw z Konstytucją ale kształtujący cały porządek prawny. Odkąd orzeczenia TK mają moc powszechnie obowiązującą i są ostateczne, organ ten stał się faktycznie najwyższą władzą w państwie, wyjętą (podobnie jak sądy) spod jakiegokolwiek kontroli obywateli. Sędziowie Trybunału wyznaczeni na 9-letnie kadencje są praktycznie nieusuwalni i mogą bezkarnie wydawać nawet najbardziej absurdalne, stronicznie orzeczenia, przekraczając niejednokrotnie swoje kompetencje i ingerując w bieżące sprawy polityczne. Podobne instytucje występują jedynie w państwach byłego Bloku Sowieckiego; w Rosji, Białorusi, na Litwie i Ukrainie, nie istnieją natomiast w dojrzałych demokracjach.

Nietrudno dostrzec, że orzecznictwo TK, szczególnie w kwestiach dotyczących rozliczenia z reżimem komunistycznym, lustracji i dekomunizacji, jest zawsze zgodne z intencjami grupy rządzącej, chroni interesy komunistycznej nomenklatury, esbeków i ich tajnych współpracowników. Jednocześnie Trybunał stoi na straży przywilejów własnego środowiska, strzegąc elitarności poszczególnych zawodów prawniczych i blokując do nich dostęp osobom spoza środowiska, pozbawionych znajomości i rodzinnych koligacji. Warto przypomnieć wyrok z kwietnia 2006 roku, gdy TK ukazał się w roli reprezentanta korporacyjnego lobby i uznał, że do wykonywania zawodu adwokata nie wystarczy wykształcenie prawnicze i staż w kancelarii. Nadal potrzebna ma być aplikacja, odbyta koniecznie pod nadzorem wywodzącej się z okresu PRL-u instytucji, samorządu adwokackiego. Tym samym, Trybunał zadbał o zachowanie dotychczasowego, peerelowskiego status quo oraz utrzymanie mechanizmów naboru kadr według zasad ustanowionych w okresie komunizmu. Niezwykle korzystne dla układu rządzącego umocowanie TK, czyni z tej instytucji faktycznego gwaranta porozumień okrągłego stołu i rzecznika wąskiej grupy interesów. Jedynym ministrem, który chciał zburzyć ten patologiczny układ był Zbigniew Ziobro, dotąd darzony przez środowiska prawnicze szczera nienawiścią.

Nie może zatem dziwić, że sądownictwu III RP oraz tzw. organom sprawiedliwości opartym na ciągłości personalnej i mentalnej, powierzono rolę identyczną do tej, jaką spełniały w państwie „realnego socjalizmu”. Przekonuje nas o tym szereg decyzji i orzeczeń sądowych wydawanych w interesie grupy rządzącej. Niezawisłość - słowo wytrych, mające dowodzić realnych zmian w systemie sądownictwa, służy głównie do legalizacji każdego, najbardziej niegodziwego lub głupiego wyroku. Wmówienie Polakom, że nie wolno tych wyroków podważać bądź z nimi dyskutować, pokazuje jedynie skalę arogancji, z jaką spadkobiercy komunistycznej mentalności traktują obywateli.

Polskie sądownictwo według opinii społeczeństwa jest w opłakanym stanie. Każdy, kto miał nieszczęście zetknąć się z tym organem mógł doświadczyć na sobie skutków fatalnego funkcjonowania sądów. Choć (tuż po Niemczech) mamy rekordową w Europie liczbę sędziów (10 322) urzędników sądowych, asystentów, kuratorów i referendarzy, a każdy Polak co miesiąc na ich utrzymanie płaci 24 zł i 10 gr., co daje nam pierwsze miejsce w UE - sądy III RP pracują źle, a droga do uzyskania wyroku wciąż się wydłuża. Między bajki można włożyć zapewnienia, że powodem tego stanu rzeczy jest przeciążenie sądów pracą, nie dofinansowanie lub braki kadrowe.

Podobnie jak w PRL-u, ustanawiane w III RP prawo, nadal najlepiej chroni grupę rządzącą. Dowie się o tym każdy, kto prześledzi wyroki wydawane z pozwów Adama Michnika lub dostrzeże praktyki prokuratury umarzającej większość spraw aferyalnych. Hańbą wymiaru sprawiedliwości jest nierozliczenie żadnej ze zbrodni komunistycznych; począwszy od zagłady polskiej opozycji w latach 50., poprzez morderstwa robotników na Wybrzeżu, zbrodnie stanu wojennego i mordy polityczne lat 80. Ci sami sędziowie, którzy przez 22 lata nie potrafili osądzić żadnego bandyty z SB i PZPR, zadbał jednak o

bezpieczeństwo swoich kamratów i w grudniu 2007 roku na mocy uchwały Sądu Najwyższego zdecydowali, że sędziowie i prokuratorzy okresu stanu wojennego nie mieli uprawnień do badania zgodności aktów prawnych z Konstytucją PRL, a co za tym idzie - nie byli zwolnieni z obowiązku ich stosowania. Wyrok ten sprawił, że wszyscy, postawieni w stan oskarżenia sędziowie i prokuratorzy aparatu represji zostali zwolnieni od odpowiedzialności karnej, a wszczęte postępowania umorzono.

Wyniesiona z okresu PRL-u zasada, iż wymiar sprawiedliwości służy interesom władzy ludowej, została w niezmienionej formie adoptowana w warunkach III RP. Nie były potrzebne żadne dodatkowe regulacje, by każdy prokurator, ten z Pciim i ten z Prokuratury Krajowej wiedział, że gorliwe odczytanie i wykonanie intencji władzy będzie skutkowało szybszą ścieżką kariery i większymi szansami na awans. Ta zasada, funkcjonująca również w wielu innych środowiskach, została w wymiarze sprawiedliwości wyniesiona na wyżyny hipokryzji i stanowi podstawową przeszkodę w pozbyciu się komunistycznego gorsetu służalczości. W równym stopniu dotyczy ona sędziów, którzy podlegają ocenom swojej korporacji, a ich kariera jest zależna od rekomendacji KRS i decyzji prezydenta.

Obecna władza posunęła się w tej hipokryzji dalej i w roku 2008 dokonała zmian w ustawie o prokuraturze, rozdzielając stanowiska ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Okrzyknięte wówczas rewolucyjnymi nowelizacje służyły uwolnieniu rządu Donalda Tuska od odpowiedzialności za stan bezpieczeństwa obywateli oraz stworzeniu silnej korporacji prokuratorskiej, która w zamkniętym systemie zawodów prawniczych stałaby się potężnym i wpływowym lobby. Powołanie urzędu Prokuratora Generalnego tylko pozornie wzmacniało niezależność prokuratury. Brak umocowania tego urzędu w Konstytucji (tak jak dzieje się to w dojrzałych systemach prawnych) sprawił, że niezależność PG stała się iluzoryczna, podlega on bowiem ocenie politycznej dokonywanej corocznie przez Sejm i Senat i jest opiniowany przez ministra sprawiedliwości. Odrzucenie sprawozdania, uprawnia premiera do wnioskowania o odwołanie Prokuratora. Jak zwracał wówczas uwagę prof. Piotr Winczorek „istnieje ryzyko, że prokurator generalny sam stanie się politykiem”. Obserwacja wówczas Andrzeja Seremeta, w związku ze śledztwem w sprawie tragedii smoleńskiej, zdaje się potwierdzać tę ocenę. Z całej „rewolucyjnej” koncepcji zmian, najważniejszym elementem było powołanie Krajowej Rady Prokuratorów (KRP), która poprzez prawo wnioskowania o nominacje prokuratorskie oraz szerokie uprawnienia konsultacyjne stała się organem decyzyjnym w zakresie polityki karnej. Postawienie na czele Rady byłego komunistycznego prokuratora Edwarda Zalewskiego, dało grupie rządzącej gwarancję zachowania wpływów na decyzje prokuratorskie, a poprzez właściwą politykę kadrową zabezpieczało trwałość układu postkomunistycznego.

03.08.2011 19:06 41

615. ZAMACH W NORWEGII

W STRONĘ „DEMOKRACJI KIEROWANEJ”

W lutym br., podczas narady Narodowego Komitetu Antyterrorystycznego we Władykaukazie prezydent Rosji Miedwiediew przewidywał, że „*należy nauczyć się walczyć z ekstremizmem w internecie*”. Podkreślając „*konieczność wypracowania metod walki z ekstremistami, w tym również religijnymi, w internecie*” zwracał uwagę, że „*w walce tej konieczne są decyzje wyprzedzające*”. Zdaniem Miedwiediewa, „*ekstremizm nie uznaje ani religii, ani przynależności narodowej. Dotyczy wszystkich, i tylko zespolone wysiłki potrafią pokonać to zjawisko*.” Prezydent Rosji zapewnił jednak, że jego kraj wypracowuje coraz skuteczniejsze metody zapobiegania atakom ekstremistów, a obowiązujący w Federacji Rosyjskiej system zapewnia bezpieczeństwo jej obywatelom.

Rosyjskie inspiracje

Dopiero po zamachu w Norwegii, społeczność międzynarodowa miała okazję docenić przenikliwość myśli rosyjskiego przywódcy. Anders Breivik mógł nawet dostrzec ją wcześniej, bo w opublikowanym w internecie manifestie „chrześcijańskiego fundamentalisty” napisał: „*Niefunkcjonująca w Europie demokracja mas powinna zostać zastąpiona przez formę demokracji kierowanej, przypominającą tę w Rosji*”.

Norweski zamachowiec musiał zatem wiedzieć, że „demokracja kierowana” wymaga inspirowania poszczególnych zdarzeń, a nawet tworzenia pożądanych faktów. Choćby takich, o których wspomina diaboliczny sekretarz ambasady rosyjskiej Vladimir w „Tajnym agencie” Conrada, gdy mówi o „*spowodowaniu jakiegoś określonego, znaczącego faktu, powiedziałbym niemal - faktu przerażającego*”.

Wiedzę o tworzeniu takich faktów, Breivik mógł czerpać nie tylko z internetu. Jak twierdzi opozycyjny polityk białoruski Michaił Reszetnikow, Norweg był kilkakrotnie na Białorusi, gdzie m.in. miał uczestniczyć w szkoleniu sabotażowo-terrorystycznym prowadzonym przez byłego białoruskiego oficera KGB. Do państwa Łukaszenki Breivik miał wjechać z fałszywym paszportem, a podczas szkolenia używać pseudonimu „Viking”.

Niezależnie od wartości tej informacji, istnieją dość mocne poszlaki, by postać „prawicowego ekstremisty” łączyć również z działalnością rosyjskich grup nacjonalistycznych i nazistowskich, a w kontekście zamachu dostrzec rolę rosyjskich służb specjalnych. Wiele tego typu organizacji działających w Rosji jest głęboko infiltrowana przez służby, a członkowie tych grup wykonują często zadania zlecone przez FSB. Można nawet sądzić, że rola „straszaków” i „czyścicieli”, jaką organizacje te wykonują wobec „czarnych” przybyszów z Kaukazu, jest jednym z powodów ich trwałej obecności w realiach Federacji Rosyjskiej.

Jak dotąd, w publikacjach dotyczących zamachu, wątek rosyjski nie pojawia się niemal w ogóle. Jest to o tyle zaskakujące, że służby norweskie już wiele miesięcy przed tragicznymi wydarzeniami mogły obserwować szczególną aktywność rosyjskich organizacji ekstremistycznych, a wzmianka na ten temat znalazła się nawet w oficjalnym raporcie Policyjnej Służby Bezpieczeństwa (PST). W opublikowanym w lutym 2011 roku dokumencie ostrzegano, że „*związki rosyjskich neonazistów z norweskimi grupami antyislamskimi stanowią zabójczy koktajl, który może wybuchnąć w każdej chwili*”.

Służby norweskie musiał również zaalarmować fakt, że dwa miesiące przed zamachami, na stronie internetowej jednej z rosyjskich organizacji neonazistowskich pojawiły się fotografie 82 osób zatrzymanych przez norweską policję podczas manifestacji antyfaszystowskich. Były to zdjęcia pochodzące z kartotek, jakie policja sporządza standardowo wobec każdego zatrzymanego. O publikacji zdjęć zawiadomili policję młodzi Norwedzy, przerażeni zapowiedzią odwetu ze strony rosyjskich nacjonalistów. Większość z osób widniejących na zdjęciach twierdziła, że nie miała żadnego związku z organizacjami antyfaszystowskimi, a na manifestacjach znalazła się przypadkowo. Choć norweska policja zdawała się bagatelizować sprawę, obawy młodych ludzi wywołały groźby zamieszczone pod zdjęciami oraz informacja, że Rosjanie dysponują adresami zamieszkania Norwegów. Nie wiadomo, w jaki sposób zdjęcia z policyjnych kartotek trafiły na rosyjską stronę.

Na pontonie po azyl

Niewykluczone, że zdarzenie to można łączyć z pobytem w Norwegii Władysława Datsika - byłego komandosa, zawodnika MMA (Mixed Martial Arts), członka rosyjskiego ugrupowania nazistowskiego „Słowiański Sojusz”. Datsik, nazywany w Rosji „Red Tarzanem”, był znany jako brutalny zawodnik w widowiskowych „walkach bez zasad”. Jego karierę zakończyło aresztowanie w marcu 2007 roku, pod zarzutem udziału w 50 napadach z bronią, m.in. na sklepy z telefonami komórkowymi. Do zatrzymania przestępcy użyto oddziału Specnazu, ponieważ milicja obawiała się sama interweniować. Podczas przeszukania w mieszkaniach rodziny Datsika znaleziono m.in. pojemniki z trującym cyjankiem potasu, którym można było wytruć połowę miasta. Wkrótce Datsika uznano za człowieka chorego psychicznie i osadzono w pilnie strzeżonym szpitalu psychiatrycznym. W lipcu 2010 roku niespodziewanie przeniesiono go do zakładu o łagodnym rygorze. Na tyle łagodnym, że kilkanaście dni później „Red Tarzan” uciekł z „psychuszki” i (jak twierdził) przy pomocy przyjaciół z ugrupowania „Słowiański Sojusz” przedostał się na pontonie do Norwegii. We wrześniu 2010 roku Datsik sam zgłosił się do biura emigracyjnego w Oslo i wręczając urzędnikom kilka sztuk broni, poprosił o azyl polityczny. Przedstawił się jako ofiara politycznych prześladowań, mówił o torturach i wymuszaniu zeznań. Po badaniach przez psychiatrów norweskich został uznany za człowieka zdrowego i aresztowany pod zarzutem nielegalnego posiadania broni.

Gdy przed kilkoma dniami przedstawiłem na swoim blogu „rosyjski ślad”, zwracałem uwagę, że przed norweskim sądem ekstradycyjnym Datsik złożył sensacyjne oświadczenie twierdząc, jakoby jego ucieczka do Norwegii została zorganizowana przez rosyjskie służby specjalne i była związana ze zleceniem, jakie otrzymał od oficerów FSB. Mieli oni nakazać Datsikowi zamordowanie przywódcy czeczeńskiej diaspory i szefa emigracyjnego rządu Czeczenii Ahmeda Zakajewa. Nie można wykluczyć, że oświadczenie to było elementem korzystnej dla Datsika linii obrony i miało mu zapewnić azyl polityczny w Norwegii. Warto jednak dostrzec grę, jaką rozpoczęły wówczas służby rosyjskie.

W czasie, gdy uciekinier pojawił się w Norwegii, FSB natychmiast przekazała służbom tego kraju ostrzeżenie przed planowanym zamachem na ambasadę Rosji w Oslo, sugerując również, że celem ataku mogą stać się Norwedzy lub norwescy muzułmanie. FSB zabiegała, by policja podjęła działania wobec Datsika, zaś ambasada Rosji przekazała zdjęcia Rosjanina paradyującego po ulicach Oslo, informując również, że ma on przy sobie dwa rewolwery. Dane były na tyle szczegółowe, że podano, iż w jednym z rewolwerów znajduje się pięć kul. Dzięki pomocy FSB, w grudniu ubiegłego roku norweskie służby przeprowadziły akcję, podczas której pod zarzutem przygotowania zbrojnego zamachu zatrzymano w Oslo trzech Rosjan związanych ze „Słowiańskim Sojuszem”, a w trakcie rewizji przeprowadzonej w studiu tatuażu, w którym mieszkał Datsik znaleziono arsenał broni, mundury policyjne oraz sprzęt wojskowy. Informacje przekazane Norwegom przez szefa ochrony rosyjskiej ambasady w Oslo były niezwykle precyzyjne „*Broń jest ukryta w kanapie narożnej ze skóry, która stoi w recepcji w studio tatuażu*” - zawiadamiali Rosjanie.

Front współpracy terrorystycznej?

W marcu br. podczas procesu ekstradycyjnego Datsika prasa norweska przypomniała tezę zamieszczoną w raporcie PST : „*Istnieją przesłanki, że doszło do kontaktu między norweskimi pravicowymi ekstremistami, a zorganizowanymi grupami przestępczymi. Może to ułatwić ekstremistom łatwiejszy dostęp do broni, zwiększając tym samym zagrożenie użycia przemocy*”. PST próbowała ustalić, czy broń znaleziona u Rosjan miała trafić do norweskich organizacji neonazistowskich i analizowała ich kontakty z angielskimi i rosyjskimi grupami. Zdaniem Janne Kristiansen z PST, szczególnie groźne były kontakty z rosyjskim „Słowiańskim Sojuszem”, który miał reprezentować Datsik. Przywódca tej organizacji Dmitrij Demuskin twierdził, że posiada ona w Norwegii 15-20 członków. W ocenie PST, pobyt Datsika w Norwegii miał służyć zbudowaniu w tym kraju „*przyczółka Unii Słowiańskiej*”. W tym celu wykorzystano m.in. popularność, jaką Datsik cieszył się w kręgach fanów MMA. Anders Breivik wyznał w swoim internetowym „manifestie”, że również zalicza się do miłośników tej dyscypliny.

Organizacje neonazistowskie w Norwegii i w Europie organizowały akcje obrony „Czerwonego Tarzana”. W grudniu 2010 roku odbyła się w Oslo manifestacja jego zwolenników. Chociaż Norwegia nie ma umowy ekstradycyjnej z Rosją, władze tego kraju, po ustaleniach z prokuraturą rosyjską zdecydowały się jednak wydać Władysława Datsika i w marcu br. został on deportowany do Rosji.

Można przypuszczać, że obecność Datsika w Norwegii została wykorzystana przez służby rosyjskie w dwóch celach. Przede wszystkim, pozwoliła Rosjanom na nawiązanie ścisłej współpracy z Norwegami i zaprezentowanie się jako sprzymierzeniec w walce z terroryzmem „prawicowych nacjonalistów”. Uwiarygodnienie FSB w roli ważnego sojusznika państwa natowskiego, to dostateczny powód, by rozegrać spektakl z udziałem „Słowiańskiego Sojuszu” i poświęcić kilku pionków. Drugi cel, mógł być równie ważny. Akcje przeciwko grupom ekstremistycznym, podjęte po uzyskaniu szczegółowych informacji od Rosjan, stanowiły niezwykle dogodną okazję do zbadania reakcji Norwegów w sytuacji zagrożenia terrorystycznego i poznania stopnia sprawności ich służb. Mogły również być rodzajem testu dla norweskiego kontrwywiadu, pozwalając określić, jak dalece jest on zdolny przeciwdziałać rosyjskim wpływom i aktywności agentury.

Wydaje się również, że to wówczas nastąpiło precyzyjne ukierunkowanie działań służb norweskich i ograniczenie obszaru penetracji zagrożenia terrorystycznego do „prawicowych” grup neonazistowskich i nacjonalistycznych. Odtąd to one miały stać się wrogiem numer jeden.

Zamach i „przyjacielska” pomoc

Kompletny chaos panujący w pseudofilozoficznych dywagacjach Breivika, mógł wówczas ulec uporządkowaniu, a w dotychczasowym masonie i „prohomoseksualnym antyrasizmie” odezwał się duch „krzyżowca” i „chrześcijańskiego ekstremisty”, który z nienawiści do muzułmanów, zapragnął zabijać rodowitych Norwegów.

Cała rzekoma ideologia Breivika nie przypadkiem sprawia wrażenie nie tylko narzędzia propagandowego, ale też rodzaju użytecznej kurtyny, za którą łatwo ukryć prawdziwe cele i motywacje.

Następnego dnia po zamachu, to FSB (jako pierwsza) zaproponowała pomoc służbom norweskim, powołując się przy tym na swoje „ogromne doświadczenie w walce z ekstremizmem.” Rosjanie mogą w tej grze występować z pozycji wnikliwych i dalekowzrocznych partnerów, opierając się na wcześniejszych sukcesach.

Od dnia zamachu możemy obserwować zadziwiająco zgodny chór głosów wskazujących na zagrożenia płynące ze strony „prawicowego ekstremizmu”. Ilustracją tego zjawiska może być publikacja „Głosu Rosji” zatytułowana „*Breivik nową twarzą terroryzmu*”. Zdaniem jednego z ideologów kremlofskich, dyrektora Centrum Informacji Politycznej Aleksieja Muchina, Breivik został „*specjalnie wymyślony do promocji nowego „brendu terrorystycznego i jest liderem pewnej grupy, która zaprezentuje się, kiedy ucichną wszystkie emocje.*” Muchin, podobnie jak dziesiątki żurnalistów, ekspertów od terroryzmu, a polskich warunkach - polityków Platformy, zwraca uwagę na „prawicowych radykałów” i wyjaśnia, że „*z upływem czasu, kiedy będzie podkreślane ideologiczne podłoże tej tragedii, kiedy ucichnie ból po śmierci ludzi, najprawdopodobniej ten brend będzie wykorzystany w ramach jednej bądź kilku grup ultraprawicowych i ultraradykalnych.*”

„*Nie jest wykluczone -* dopowiada Muchin, „*że Breivik traktuje siebie jako część pewnego systemu, którego interesy miał prezentować*”. W zgodnej opinii postępowych mediów oraz rzeszy rezonatorów, ten nowy, zbrodniczy system to świat prawicowych i chrześcijańskich wartości, sprowadzonych do miana „*ekstremistycznych myśli i poglądów*”. Na przykładzie Breivika wiemy już, że propagowanie nowego „brendu terrorystycznego” odbywa się głównie poprzez internet. Dopiero w tym kontekście nowego znaczenia nabierają cytowane na początku słowa Miedwiediewa o „*konieczność wypracowania metod walki z ekstremistami, w tym również religijnymi, w internecie*”.

Wszystko przez internet

Na tle innych państw Rosja jawi się tu jako państwo „w awangardzie”. Już w maju br. zaproponowała opracowanie specjalnej konwencji ONZ w sprawie walki z przestępczością cybernetyczną, ostrzegając, że internet, w tym portale społecznościowe i blogi, stały się miejscem rozpowszechniania „*ideologii terrorystycznej, rekrutacji członków grup ekstremistycznych i przygotowania terrorystów-samobójców*”. Zdaniem Rosjan „*powstał taki kraj z miliardową ludnością - internet - gdzie nie ma prawa*”. Zaproponowali więc służbom specjalnym NATO i Unii Europejskiej opracowanie wspólnej strategii działania wobec zagrożeń wynikających z wolnego Internetu. Wprawdzie początkowo projekt został przyjęty bez entuzjazmu, jednak obecnie, po wydarzeniach w Norwegii i potwierdzeniu internetowych kontaktów i inspiracji Breivika, można się spodziewać, że stosunek ten ulegnie radykalnej zmianie.

Warto odnotować pojawienie się również „polskiego śladu”, choć usytuowanego w obszarze całkowicie innym, niż próbuje go odnaleźć ABW. To z inicjatywy polskiej prezydencji, natychmiast po zamachu zwołano posiedzenie unijnych ekspertów COTER (komitetu ds. terroryzmu) oraz TWG (grupy roboczej ds. terroryzmu), a w ramach Europolu powołano zespół ekspertów ds. badań „*zagrożenia niemuzułmańskiego*”. Działania te mają na celu nie tylko zmianę unijnych przepisów dotyczących obrotu i śledzenia na rynku UE substancji chemicznych, ale zmierzają w stronę zrewidowania zasad bezpieczeństwa wewnętrznego. Zwraca się przy tym uwagę, że policja, jak też służby specjalne nie były przygotowane na pojawienie się zjawiska terroryzmu wewnętrznego i okazały bezradność wobec działalności „*osób o nastrojach radykalnych, nosicieli skrajnie prawicowych poglądów*”.

Na uwagę zasługuje wypowiedź dyrektora Europolu Roba Wainwrighta, który dwa dni po zamachach orzekł: „*Są pewne oznaki, że skrajna prawica jest coraz bardziej aktywna, zwłaszcza w internecie. Jest bardziej obyta i używa mediów społecznościowych, aby przyciągnąć młodych ludzi*”.

Nie ulega wątpliwości, że doświadczenia Rosjan - sojuszników w walce z wewnętrznym terroryzmem, okażą się niezastąpione dla unijnej wspólnoty. Redaktor naczelny rosyjskiego czasopisma „Nacionalnaja oborona” Igor Korotczenko podkreśla, że *„system priorytetów został ukształtowany w Norwegii w działalności służb specjalnych w sposób nieprawidłowy”* i zwraca uwagę, że wobec nowego zagrożenia Europa musi podjąć zdecydowane działania:

„Zrewidowane będzie ustawodawstwo dotyczące radykalnych osób i organizacji, wyrażających ekstremistyczne myśli i poglądy. Odpowiednio zaktywizowana zostanie praca związana ze skrajnie prawicowymi organizacjami. Wszystko to, jak można zakładać, uzyska kształty zmiany priorytetów w działalności służb specjalnych szeregu państw europejskich. Można zakładać, że na porządku dziennym znajdzie się kwestia ewentualnego utworzenia jednolitego europejskiego banku danych dotyczących organizacji ekstremistycznych oraz osób, mogących być uznany za nosicieli poglądów ekstremistycznych. Ponadto, w znacznie większym stopniu, niż dotychczas, będzie sprawdzany Internet i poczta elektroniczna. W sumie, system bezpieczeństwa w Europie - przy pozornym zachowaniu praw i swobód obywateli - zostanie usztywniony.” - przewiduje Korotczenko.

O trafności tej prognozy można się przekonać, słuchając wystąpień polityków unijnych. W większości dominuje nawoływanie do *„niezwłocznego wypracowania wspólnych posunięć mających przeciwdziałać ksenofobii i nietolerancji.”* Rosja, postrzegana jako doświadczony partner i sprzymierzeniec, będzie odtąd odgrywać znacznie większą rolę w kształtowaniu polityki bezpieczeństwa unijnego, a istniejące w tym kraju rozwiązania w zakresie „demokracji kierowanej” mogą okazać się przydatne w warunkach UE.

Dziś jeszcze jest za wcześnie, by ocenić globalne skutki norweskiej tragedii. W sprawie zamachu, pojawiają się dziesiątki wątpliwości dotyczących nie tylko przebiegu zdarzeń i działań służb norweskich, ale przede wszystkim prawdziwych motywacji i źródeł inspiracji sprawcy. Zawarte w jego „manifestach” sugestie i towarzysząca zdarzeniu narracja europejskich mediów, zdają się stanowić bardziej rodzaj propagandowego humbugu i wyznacznika politycznych intencji, niż przynosić odpowiedź na podstawowe pytanie: cui bono?

05.08.2011 19:15 92

616. OTWORZYĆ DRZWI PUTINOWI

Historyczny sukces polskiej prezydencji

Gdy przed dwoma laty płk Putin zapewniał, że *„problemy z Polską dadzą się rozwiązać dzięki Tusкови”*, a po wyborach prezydenckich, „Izwiestija” donosiła: *„Wybranie na prezydenta pragmatyka Komorowskiego ustawiło wszystko na swoje miejsca. Ideologicznie emocjonalna przesada epoki Kaczyńskiego dobiegła końca.”* - zapewne niewiele osób zdawało sobie sprawę, gdzie doprowadzi nas droga wytyczona przez „zaufanych przyjaciół” Moskwy.

Nawet po tragedii smoleńskiej, większość Polaków nie chciała zrozumieć, że wyznaczona rządowi Tuska rola rosyjskiego „konja trojańskiego”, uczyni z nas państwo pozbawione własnych dążeń i ambicji. Istotę tych hańbiących relacji widać szczególnie mocno w zakresie celów tzw. polskiej prezydencji, z których każdy jest podporządkowany globalnym interesom reżimu Putina.

Jeśli dlatego propaganda rządowa przemilczała pierwszy i największy sukces polskiego przewodnictwa w UE, trzeba go tym bardziej nagłośnić i pokazać, jaką niespodziankę szykują Polakom wielbicieli rosyjskiego satrapy.

W dniu, w którym komisja Millera przedstawiała polskojęzyczną wersję łgarstw w sprawie tragedii smoleńskiej, bez echa przeszła informacja, że Komisja Europejska zaaprobowała propozycję, aby cały obwód kaliningradzki został objęty unijnymi regulacjami bezwizowego ruchu przygranicznego. Oznacza to, że prawo unijne zostanie celowo zmienione, by Rosjanie zamieszkujący obwód mogli bez problemów przekraczać polską granicę.

Decyzja KE zapadła po blisko dwuletnich zabiegach dyplomatycznych Polski, Niemiec i Rosji. Autorem pomysłu, który nazwałem kiedyś „projektem Prusy Wschodnie” był rosyjski minister Ławrow, a jego wykonawstwo powierzono Radostławowi Sikorskiemu. To polski minister przy każdej, dyplomatycznej okazji zabiegał o otwarcie granicy z Rosją, nazywając ten pomysł *„wspaniałą rzeczą dla Rejonu Morza Bałtyckiego, Litwy, Polski i Rosji”*. Miesiąc przed rozpoczęciem polskiego przewodnictwa, Siergiej Ławrow dobitnie stwierdził, że *„jedyną przeszkodą na drodze jak najszybszego podpisania umowy jest biurokratyczne podejście, które ignoruje interesy dwóch krajów, których to dotyczy, czyli Polski i Rosji”* i zapowiedział, że *„zdrowy rozsądek, weźmie górę i sprawa zostanie rozwiązana w ciągu najbliższych miesięcy.”*

Należy wręcz podziwiać skuteczność Sikorskiego, który na drodze do wykonania tej dyrektywy musiał pokonać niejedną przeszkodę. Warto pamiętać, że od kilku miesięcy wśród państw strefy Schengen pojawiła się tendencja uszczelniania wewnętrznych granic UE. Kontrole na granicach przywróciła już Dania, a na początku lipca zrobiła to Norwegia. W tej sytuacji, zgoda na otwarcie granicy z obwodem kaliningradzkim wydawała się nierealna. Problem dotyczył wynegocjowanej w sierpniu 2010 roku polsko-rosyjskiej umowy o małym ruchu granicznym, która od początku była sprzeczna z prawem

unijnym. Zakłada ono bowiem, że państwa UE mogą zawierać umowy dotyczące zewnętrznych granic lądowych, w których szerokość pasa przygranicznego wynosi od 30 do 50 km, podczas gdy obwód kaliningradzki rozciąga się z północy na południe na odległość ponad 100 km. Dla polskiej umowy, przewidującej objęcie ruchem bezwizowym całego obwodu musiałby zatem zostać stworzony wyjątek. Dodatkowym problemem jest fakt, że umowa traktuje obwód jako podmiot prawa międzynarodowego - mimo, iż stanowi on jedynie część terytorium Federacji Rosyjskiej.

Decyzja KE z 29 lipca br. oznacza, że przywileje małego ruchu przygranicznego obejmą wszystkich mieszkańców obwodu, a także proporcjonalny obszar po polskiej stronie, czyli dwa województwa: pomorskie i warmińsko-mazurskie.

Ten obłędny projekt grupy rządzącej, był najmocniej forsowanym pomysłem dyplomatycznym ostatnich lat, a do jego realizacji wyznaczono sztandarową inicjatywę rządu Tuska - tzw. Partnerstwo Wschodnie. Gorącym zwolennikiem projektu byli Niemcy, zabiegając o otwarcie granicy z Kaliningradem na forum UE i podejmując temat przy okazji rozmów z unijnymi partnerami. Pomysł jest silnie wspierany przez „związek wypędzonych z Prus Wschodnich” i należał do priorytetów polityki Angeli Merkel. W samym Kaliningradzie patronuje mu „Bałtycka Partia Republikańska”, wobec której Rosjanie wykazują zadziwiającą pobłażliwość.

Wspólny rosyjsko-niemiecki plan zmierza do uczynienia z obwodu kaliningradzkiego rosyjskich „drzwi do Europy”, poprzez które Rosjanie wejdą w obszar polityki gospodarczej UE, a ich przedsiębiorcy uzyskają unijne fundusze. U podstaw projektu mogła leżeć koncepcja, przed którą ostrzegał przed laty prof. Paweł Wieczorkiewicz; by w perspektywie najbliższych 10-20 lat obwód wrócił do niemieckiej macierzy, stając się symbolem historycznego sojuszu rosyjsko-niemieckiego. Wpływy niemieckie stają się w samym Kaliningradzie na tyle silne, że wyczuleni na swoją terytorialną jedność Rosjanie nie mają nic przeciwko, by piloci rosyjskich linii lotniczych informując pasażerów o miejscu lądowania, posługiwali się już dawną niemiecką nazwą Königsberg.

Dzięki inwestycjom UE obwód przekształciłby się w rodzaj „euroregionu” pod niemiecko-rosyjskim protektorem. Pozostając oficjalnie pod władzą Rosji chłonałby niemiecki kapitał, dając w zamian dostęp do rynku rosyjskiego i stając się głównym narzędziem w umacnianiu politycznego znaczenia Niemiec w tym regionie.

W wypowiedziach ludzi z grupy rządzącej nie znajdziemy ani jednego racjonalnego argumentu, który wskazywałby na korzyści, jakie Polska miałaby odnieść z otwarcia granicy z najbardziej zmilitaryzowanym i słynącym z przestępczości regionem Rosji. Nikt też nie informuje Polaków o rozlicznych zagrożeniach związanych z niekontrolowanym napływem Rosjan. *„Ten region jest jedną wielką katastrofą. Zatrucie środowiska i przestępczość są najwyższe w całej Rosji, władza jest w kieszeni mafii, liczba zarażonych gruźlicą i HIV - najwyższa w Europie.”* - ostrzegał przed laty Elmar Brok, szef Komisji Zagranicznej Parlamentu Europejskiego. Premier Szwecji Göran Persson twierdził zaś, że *„tam występuje prawie każdy problem, jaki można sobie wyobrazić, z odpadami atomowymi włącznie”*.

Przed kilku laty Aleksander Kulikow, przemawiając w regionalnej Dumie mówił o obwodzie kaliningradzkim: *„Przestępcy kontrolują 60 proc. państwowych instytucji, 80 proc. banków i większość prywatnych przedsiębiorstw, a obroty tych firm wzrosły w ciągu pięciu lat aż siedemnastokrotnie”*. Według danych WHO odsetek zachorowań na gruźlicę jest w obwodzie o 33,6 proc. wyższy od średniej w Rosji, choć i tak Federacja należy pod tym względem do rekordzistów. Liczba zarażeń dzieci tą chorobą proporcjonalnie do liczby mieszkańców jest ponad czterokrotnie większa, a mężczyźni dożywają tam średnio 59 lat, co stanowi jedną z najniższych przeciętnych na świecie.

Jest oczywiste, że otwarcie granicy z Kaliningradem (a w praktyce z całym obszarem Rosji) spowoduje u nas ogromny wzrost przestępczości mafii rosyjskiej i może wywołać liczne zagrożenia epidemiologiczne. Warto też pamiętać, że w regionie przebywa ok. 200 tys. rosyjskich żołnierzy. *„Nie ma co się bać lotnictwa w Kaliningradzie, tylko bardzo wysokiego tam wskaźnika AIDS albo tego, że nieopłacani i wzburzeni żołnierze zawsze mają karabiny”* - ostrzegał przed laty pewien wojskowy specjalista.

Projekt otwarcia granicy z Kaliningradem niesie również dla Polski szereg zagrożeń politycznych i nie pozostanie bez wpływu na naszą przyszłość. Zgoda rządu PO-PSL na budowanie politycznej koncepcji Prus Wschodnich, jest w perspektywie historycznej aktem wręcz samobójczym, głęboko sprzecznym z naszymi interesami. Polsce wyznaczono tu rolę państwa tranzytowego, a w tym wypadku rolę „europejskiej wycieraczki” - po której rzesze Rosjan wejdą do Europy, a nad głowami Polaków zostanie zawieszony antypolski sojusz Moskwy i Berlina. Tej misji nie ukrywa Donald Tusk, gdy twierdzi, że rolą jego rządu jest *„usuwanie przeszkód stojących na drodze poprawy relacji rosyjsko-niemieckich”*.

Po decyzji Komisji Europejskiej, owo „usuwanie przeszkód” doprowadzi do sytuacji, gdy każdy z nas będzie miał okazję odczuć na własnej skórze skutki „pojednania” z płk Putinem i doświadczyć „cywilizacyjnych zdobyczy” płynących z obwodu kaliningradzkiego. Jedynie odebranie władzy dogmatycznym „przyjaciółom Rosji”, może uchronić nas od katastrofalnych skutków tego obłędnego projektu.

08.08.2011 16:58 108

2.09.2007 - „Mówiąc o roli Ryszarda Krauzego w ujawnieniu przecieku o akcji CBA, premier Kaczyński zasugerował, że mógł on być zainteresowany tym, by nie nastąpiła kompromitacja Andrzeja Leppera.”

29.09.2007 - „Ryszard Krauze otrzymał kredyty dzięki znajomościom w państwowych bankach, a Leppera ostrzegł, żeby był spokojny i giełda nie spanikowała podczas debiutu jego spółki na GPW - takie domysły możemy przeczytać w „Dzienniku”. Gdy Petrolinvestowi - spółce Krauzego - groziła utrata koncesji na poszukiwanie ropy, Krauze otrzymał kredyt w wysokości 300 milionów złotych z państwowych banków PKO BP i Banku Gospodarstwa Krajowego na kontynuowanie inwestycji. Cztery dni później władze Kazachstanu przywróciły mu zagrożone pozwolenie. „Dziennik” sugeruje, że to nie przypadek.”

Grudzień 2007 - „Przełom w śledztwie dotyczącym afery gruntowej i przecieku tajnych informacji? Prokuratura dysponuje nagraniami z kamer i rozmów telefonicznych, które mogą w istotny sposób zmienić bieg tego postępowania - ustalił „Wprost”. [...]Ważnym dowodem jest nagranie z kamery zamontowanej w Ministerstwie Rolnictwa. 6 lipca 2007 r. zarejestrowała ona, że o godzinie 13.02 do gmachu resortu wszedł ówczesny szef policji Konrad Kornatowski. Towarzyszył mu współpracownik Ryszarda Krauzego. [...]Dowody, którymi dysponuje prokuratura, mogą też rzucić nowe światło na nieformalne wpływy, które miał w rządzie Ryszard Krauze. W czasie gdy trwały działania operacyjne CBA w sprawie afery gruntowej, Andrzej Lepper kilkakrotnie rozmawiał z szefem Prokomu. „Andrzej, ten facet ma zostać w ZUS” - mówił Krauze Lepperowi podczas jednej z nagranych rozmów. Było to wówczas, gdy zmieniano szefa ZUS: Aleksandrę Wiktorow zastąpił Paweł Wypych, zapowiadający ogłoszenie konkursu na nowych dyrektorów. Andrzej Lepper nie wypiera się znajomości z Ryszardem Krauzem. - To, że pana Krauzego znam, nie jest tajemnicą. Rozmawialiśmy wiele razy, może też i o ZUS, ale tego nie pamiętam - mówi „Wprost” szef Samoobrony.”

4.12.2007 - „Ryszard Krauze może spokojnie wracać do Polski. Prokuratura cofnęła nakaz zatrzymania biznesmena. [...]Politycy PiS mówią, że to skandal. Ich zdaniem Platforma po cichu podejmuje decyzje korzystne dla Krauzego. Politycy PiS nie zostawiają na Cwiakalskim i PO suchej nitki. „Platforma daje sygnał wpływowym: Nic wam się nie stanie, nawet jeśli popełnialiście przestępstwa” - mówi Aleksander Szczygło.

27.12.2007 - „Krauze ma zarzut składania fałszywych zeznań. Ryszard Krauze był od końca sierpnia podejrzany o złożenie fałszywych zeznań - gdy jako świadek zeznał 14 lipca w sprawie przecieku z akcji CBA w resorcie rolnictwa - oraz o utrudnianie śledztwa w sprawie przecieku. Grozi mu do 5 lat więzienia. Warszawska prokuratura przesłuchała Ryszarda Krauzego i postawiła mu zarzut złożenia fałszywych zeznań.”

3.02.2008 - „Służby specjalne podczas swoich działań związanych z aferą gruntową w Ministerstwie Rolnictwa, nagrały rozmowy Ryszarda Krauzego z Andrzejem Kuną i wysokim rangą urzędnikiem ambasady Federacji Rosyjskiej. Według informacji tygodnika Wprost, biznesmen miał w jednej z rozmów usłyszeć od Andrzeja Kuny, słowa „pamiętaj, że te pola są od federalnych” co w kontekście inwestycji naftowych Krauzego w Rosji i w Kazachstanie, według polskich służb mogło oznaczać Federalną Służbę Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej czyli dawny KGB.

Rozmowa z Kuną dotyczyła interesów spółki Petrolinvest, która na wschodzie kupiła złoża ropy naftowej szacowane łącznie na 2 mld baryłek. Spółka dostała też pozwolenie na eksploatację złóż.

9.03.2008 - „Petrolinvest sprzedał wszystkie akcje serii D i pozyskał ok. 80 mln zł, poinformowała spółka.”

23.05.2008 - „Biznesmen Ryszard Krauze gorączkowo sprzedaje udziały w swoich spółkach.

Jak pisze Rzeczpospolita gdyński potentat w ciągu dziewięciu miesięcy spieniężył akcje za ponad miliard złotych. Według dziennika wiele wskazuje na to, że Krauze postanowił się skoncentrować na wydobywaniu ropy naftowej.”

24.09.2008 - Spółka paliwowa Petrolinvest pozyskała 24,0 mln zł brutto z emisji serii F.

10.03.2009 - „Petrolinvest: Austerlitz czy Waterloo” - Po totalnej wyprzedaży aktywów Ryszarda Krauzego z pozyskanych 1,2 mld zł do Petrolinvestu trafiło tylko 70 mln złotych. Dlaczego biznesmen oddaje kontrolę nad paliwową spółką?

Kontrakt na gaz z Morgan Stanley, nowa cena za kazachskie aktywa, rozmowy z EBOiR-em - w ciągu ostatniego miesiąca zarząd Petrolinvestu zadbał, by inwestorzy czuli, że mimo giełdowego krachu spółka jest na dobrej drodze do pozyskania dalszego finansowania swojego wydobywczego projektu. Najważniejsza była jednak informacja o pozyskaniu przez spółkę nowego akcjonariusza, kazachskiego miliardera Bakhyt-beka Baiseitowa. [...]Inwestorzy chcieli kupić udziały w Petrol-inveście za 1,4 mld dol., a Krauze na takim rynku wystawił na sprzedaż tylko 8-proc. pakiet za 40 mln dolarów. Zakładał, że w miarę postępujących badań sejsmicznych złóż oraz kolejnych odwiertów będzie rosła wielkość zidentyfikowanych złóż na koncesjach Petrolinvestu, a inwestorzy będą płacić za no-we akcje coraz więcej. Tak jak kiedyś w Biotonie. Przeliczył się. Słynne spotkanie na 40. piętrze hotelu Marriott, ucieczka przed aresztowaniem za granicę, potem kryzys na rynku subprime skutecznie odciążył jego nowe przedsięwzięcie od taniego finansowania. Z rynku udało się wczesną wiosną zebrać tylko 20 mln dolarów. Tymczasem na eksploatację złóż Petrolinvest w tym roku przeznacza 95 mln dol., a w przyszłym trzeba będzie wydać jeszcze 100-150 mln dolarów. [...]

Widać, że inwestycja, na którą Ryszard Krauze postawił prawie wszystko, przerosła go zarówno pod względem finansowym, jak i logistycznym. Aby dalej ją realizować, musi iść na wiele ryzykownych kompromisów. Oby się nie skończyło jak w piosence Kazika Staszewskiego: „gdy szczęście blisko, to zza węgła pada strzał”.

24.09.2009 - „Tuż przed przesłuchaniem byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry członkowie komisji śledczej ds. nacisków starli się w piątek o Ryszarda Krauzego. Głosami posłów PO i Lewicy przeforsowano skreślenie biznesmena z listy świadków. Parlamentarzyści PiS wrzą z oburzenia. Politycy PiS mówią o specjalnej ochronie, jaką biznesmenowi zapewnia PO.”

21.09.2010 - „Petroinvest zawarł z moskiewską firmą Yukola przedwstępną umowę dotyczącą nabycia 50 proc. akcji w Open Stock Company "Bogorodskneft" z siedzibą w Saratowie, poinformowała spółka w komunikacie.

Petroinvest, poszukujący ropy w Kazachstanie otrzymał wyłączność na negocjacje zakupu 50 proc. rosyjskiej spółki wydobywczej Borogodskneft z Saratowa, która ma licencję na wydobycie ropy. Teraz firma z Saratowa należy do spółki Jukola i od kilku lat prowadzi stabilne wydobycie. W tym roku ma wydobyć milion baryłek ropy. Udokumentowane i potwierdzone zasoby należące do spółki wynoszą ok 45 mln baryłek surowca. Dodatkowo, na obszarze objętym licencją spółki są złoża, których perspektywiczne zasoby szacowane są na 20 mln baryłek ropy. Po zagospodarowaniu kolejnego złoża Borogodskneft ma zwiększyć produkcję do 3 mln baryłek. Surowiec jest eksportowany przez rurociąg "Przyjaźń" do Polski i Niemiec. W razie domknięcia transakcji Petroinvest będzie odbierał ropę od Borogodskneftu.

Dotąd Petroinvest miał 86,32 mln zł straty netto w I poł. 2010 roku wobec 283,11 mln zł straty rok wcześniej. Przed opublikowaniem informacji akcje giełdowe Petroinvestu taniały o 0,25 proc. a jeden papier kosztował 12,13 zł. Po opublikowaniu, tego samego dnia zyskały 5,19 proc. na GPW w Warszawie. Petroinvest był już obecny na terenie Rosji. Spółka posiadała 60 proc. udziałów w pięciu koncesjach w rosyjskiej republice Komi. W ubiegłym roku uznała je jednak za mało perspektywiczne i sprzedała za symboliczne kwoty.”

17.11.2010 - Ryszard Krauze usłyszał w katowickiej prokuraturze, zarzuty działania na szkodę kontrolowanej przez siebie spółki Prokom Investments. Sprawa dotyczy 3 mln zł pożyczki, udzielonej w 2006 r. przez Prokom firmie King&King na poszukiwanie złóż ropy w Afryce. W sprawie stawianych Krauzemu zarzutów wielokrotnie wypowiadali się prawnicy i przedstawiciele organizacji biznesowych, m.in. Business Centre Club. Członkowie BCC uznali śledztwo w tej sprawie za pozbawione podstaw i wnioskowali, by nadzór nad nim objął prokurator generalny.

14.01.2011 - Zmianę Kodeksu spółek handlowych, dotyczącą odpowiedzialności karnej za działanie na szkodę spółki, proponuje Naczelna Rada Adwokacka. [...]Główna propozycja NRA dotyczy zmian w art. 585 Kodeksu spółek handlowych, przewidującego odpowiedzialność za działanie na szkodę spółki. - Czy ta inicjatywa ma związek z akcją w obronie konkretnych przedsiębiorców? - chcieli wiedzieć dziennikarze, nawiązując do głośnej sprawy biznesmena Ryszarda Krauze. To przypadkowa zbieżność - zapewniał tymczasem podczas konferencji prasowej Piotr Kardas, współautor projektu.

1.02.2011 - Akcje spółki Petroinvest kontrolowanej przez Ryszarda Krauzego zdrożały wczoraj o 89 proc. Naglej wyższe przygląda się KNF. W śróde Petroinvest zyskuje kolejne 37 proc.

2.03.2011 - „Andrzej Lepper założył firmę i rusza na podbój świata biznesu. Maroko, Jordania, Emiraty Arabskie, Irak, Chiny i przede wszystkim Białoruś - tam były wicepremier chce robić interesy. Były wicepremier założył firmę Apa Trade i zamierza zająć się pośrednictwem. Jego współnikiem jest oskarżony w aferze gruntowej Piotr Ryba. [...]

„Wszędzie mamy współpracowników - mówi tajemniczo Andrzej Lepper, by od razu dodać, że biznes biznesem, ale z polityki nie odchodzi. - Na pewno Samoobrona mocno uderzy w czasie wyborów parlamentarnych - obiecuje. [...] Wszystko wskazuje na to, że wystarczy mu też klientów. W ciągu tygodnia do spółki Leppera i Ryby zgłosiło się 22 przedsiębiorców zainteresowanych współpracą.”

8.07.2011 - Kontrolowana przez Ryszarda Krauzego spółka dostała kolejne trzy koncesje na poszukiwanie gazu łupkowego, a zaraz potem ogłosiła, że znalazła także w USA partnera do łupków. Petroinvest posiada już siedem koncesji na poszukiwanie gazu w łupkach. Zdaniem amerykańskich ekspertów złoża gazu łupkowego w Polsce mogą być największe w Europie.

21.07.2011 - Krauze nie odpowie za sprawę King & King. Umorzenie sprawy Krauzego było możliwe dzięki zmianie kodeksu spółek handlowych. Parlament wyrzucił z niego art. 585 mówiący, że kto działa na szkodę własnej spółki, może zostać ukarany nawet trzema latami więzienia. Nowe prawo weszło w życie zaledwie dwa tygodnie po jego ostatecznym przyjęciu, 1 lipca. Najczęściej, jeśli chodzi o podobne nowelizacje, ten proces trwa około trzech miesięcy.

26.07.2011 - „Liderzy PO obawiają się wezwania Ryszarda Krauzego przed komisję nacisków mówił Zbigniew Ziobro na konferencji w Sejmie. - Przed chwilą wyszedłem z komisji naciskowej. Mimo że stawiałem się po raz czwarty i byłem gotów odpowiedzieć na wszystkie pytania, okazało się to niemożliwe. Nie może być tak, że są święte krowy, równi i równiejsi. Całą sprawą zaczęła się od wind, którymi poruszał się Ryszard Krauze i Janusz Kaczmarek. Pan Krauze, to nie ulega wątpliwości, jest postacią kluczową w tej sprawie, w wątku związanych z przeciekami oraz przekroczeniem uprawnień.

W Wielkiej Brytanii nikomu nie przyszło do głowy, by nie wezwać na jawne przesłuchanie przed komisję magnata, który trzęsie mediami na całym świecie, pana Murdocha, który musiał się publicznie tłumaczyć. [...] Natomiast w Polsce miliarder może mieć poczucie, że stoi ponad prawem i zasady go nie wiążą. I pytam premiera i marszałka Sejmu, dlaczego?

4.08.2011 - „Większość zarzutów wobec rządzących w latach 2005-2007 nie znalazła potwierdzenia - taki wniosek sformułował w projekcie raportu szef komisji śledczej ds. nacisków Andrzej Czuma (PO). - "Nie pozwolę, żeby komisja stała się lawetą do strzelania wobec jakiegokolwiek partii politycznej, w szczególności jeśli chodzi o PiS" - powiedział Czuma.

Suplement:

12.11.2007 - Antoni Macierewicz - do niedawna szef komisji weryfikacyjnej WSI - odpowiedział na pytanie o informacje dziennika "Polska", że "znaczna część aneksu skupia się na działalności wpływowych biznesmenów", w tym Ryszarda Krauzego. Według "Dziennika", autorzy aneksu "przeanalizowali dziesiątki stron dokumentów SB na temat Krauzego. Nie są mu wprost stawiane zarzuty o współpracę ze służbami, raczej jest to obraz jego wpływów i powiązań biznesowych". [...]

Wiadomo, że firma Prokom Krauzego informatyzowała w latach 90. ZUS - tak by każdy ubezpieczony miał własne konto. Za wdrożenie systemu informatycznego, nadzorując kontrakt z Prokomem, odpowiadał w ZUS jego wiceprezes Adam Kapica. Kapica miał - razem ze Stanisławem Alotem i Ewą Lewicką - zarzut niedopełnienia obowiązków i przekroczenia uprawnień w śledztwie co do komputeryzacji ZUS. Nie objął go jednak akt oskarżenia w tej sprawie. Alot i Lewicka zostali w maju tego roku uniewinnieni z tych zarzutów przez sąd. Groziło im do 3 lat więzienia; nie przyznawali się do zarzuconych im czynów. W październiku tego roku Kapica popełnił samobójstwo - trwa wyjaśnianie okoliczności jego śmierci.

W lutym tego roku Kapica został wymieniony w raporcie z weryfikacji WSI wśród "zidentyfikowanych osób współpracujących niejawnie z żołnierzami WSI w zakresie działań wykraczających poza sprawy obronności państwa i bezpieczeństwa sił zbrojnych" [...]

Krzysztof Król, rzecznik grupy Prokom, wszelkie sugestie łączące Krauzego ze światem przestępczym uznaje za absurd. Według "Dziennika", zapowiada on, że jeśli prezydent odda raport, to Krauze natychmiast odda sprawę do sądu.

Źródła:

<http://www.money.pl/archiwum/wiadomosci/artikul/premier;krauze;mogl;oslaniac;leppera,249,0,262649.html>
<http://www.money.pl/gospodarka/wiadomosci/artikul/krauze;ostrzegl;leppera;zeby;nie;psuc;gielody,255,0,269055.html>
<http://www.wprost.pl/ar/119749/Tasmy-Krauzego/>
<http://news.money.pl/artikul/nakaz;aresztowania;krauzego;cofniety,172,0,301484.html>
<http://news.money.pl/artikul/krauze;ma;zarzut;skladania;falszywych;zeznan,169,0,309417.html>
<http://news.money.pl/artikul/sluzby;specjalne;podsluchiwal;krauzego,10,0,318218.html>
<http://www.money.pl/gielda/wiadomosci/artikul/petrolinvest;pozyskal;z;emisji;80;mln;zl,87,0,327255.html>
<http://www.forbes.pl/artikuly/sekcje/sekcja-strategie/petrolinvest--austerlitz-czy-waterloo,2458,1>
<http://www.money.pl/gielda/wiadomosci/artikul/krauze;sprzedal;akcje;za;ponad;miliard;zlotych,16,0,344080.html>
http://forsal.pl/artikuly/452932,petrolinvest_kupi_50_procent_akcji_bogorodsknieft_z_rosji.html
<http://wiadomosci.dziennik.pl/polityka/artikuly/302931,nie-przesluchaja-krauzego-po-go-chroni.html>
<http://news.money.pl/artikul/szef;prokomu;oskarzony;o;dzialanie;na;szkode;firmy,97,0,712033.html>
http://prawo.gazetaprawna.pl/artikuly/478503,adwokaci_chca_bronic_przedsiębiorców_zmieniając_kodeks_społeczny_handlowy.html
http://wyborcza.biz/biznes/1,101562,9039625,Naftowej_spolce_Krauzego_kurs_wystrzelil_o_89_procent_.html
http://www.se.pl/wydarzenia/kraj/andrzej-lepper-wraca-chce-robic-interesy-na-bialorusi_173715.html
<http://www.samoobrona.org.pl/pages/02.Partia/00.Aktualnosci/index.php?document=346.html>
<http://krs.serwisprawa.pl/0000365601,apa-trade-spolka-z-ograniczona-odpowiedzialnoscia.html>
http://wyborcza.biz/gieldy/1,101260,9918326,Spolka_Krauzego_ma_partniera_z_USA_do_lupkow.html
<http://www.rp.pl/artikul/691069.html?print=tak>
<http://niezalezna.pl/13735-ziobro-liderzy-po-boja-sie-krauzego>
<http://www.polskatimes.pl/fakty/435260,czuma-ws-naciskow-zarzuty-wobec-politykow-pis-nie,id,t.html>
<http://www.wprost.pl/ar/117552/Macierewicz-o-prywatyzacji-wielkich-podmiotow/>

10.08.2011 19:08 117

618. JEDNYM GŁOSEM

Gdy 12 stycznia br. gen. Tatiana Anodina oficjalnie ogłaszała tezy rosyjskiej dezinformacji, wielu komentatorów orzekło, że publikacja raportu MAK uderzy w rząd Donalda Tuska, a nawet może doprowadzić do zmian na polskiej scenie politycznej. Wydawało się, że sposób w jaki Rosjanie zaprezentowali ewidentne kłamstwa godzi w propagandową wizję poprawy stosunków polsko-rosyjskich, obnaża błędy i indolencję rządu i daje mocne argumenty partii opozycyjnej. Towarzyszącą wydarzeniu atmosferę skandalu potęgowała reakcja grupy rządzącej, której przedstawiciele unikali wyraźnego potępienia rosyjskich tez. Zwracałem wówczas uwagę, że jesteśmy świadkami wspólnej i dobrze reżyserowanej gry, w której stawką jest nie tylko sprawa smoleńska, ale również wynik jesiennych wyborów parlamentarnych i utrzymanie przy władzy obecnego rządu.

Reżyseria „lepszyc czasów”

Następnego dnia, po widowiskowym powrocie z Dolomitów, Donald Tusk występując w roli polskiego męża stanu oświadczył: „*Raport MAK nie jest kompletny. Zwrócimy się do Rosji o wspólną wersję raportu*”. Deklaracja Tuska wydawała się całkowicie niedorzeczna, ponieważ szefowa MAK-u podczas prezentacji w Moskwie stwierdziła, że „*raport niezależnej komisji jest ostateczny, a zostaje opublikowany z polskim i uwagami. Forma wspólnego raportu w standardach konwencji chicagowskiej nie jest przewidziana*”.

Mimo tych twardych słów, premier rządu oznajmił, że zgodnie z konwencją chicagowską prześle prośbę do Rosjan o rozmowy w sprawie „*uzgodnienia wspólnej wersji raportu*”. Gdyby to się nie udało, Tusk zapowiadał dalsze kroki: „*Jeśli rozmowy z Rosją nie doprowadzą do wspólnego stanowiska, możliwe będzie odwołanie się do instytucji międzynarodowych. Mam jednak nadzieję, że dojdzie do porozumienia z Rosjanami*.”

Jakby dla wsparcia tego oświadczenia, następnego dnia „Moskowskij Komsomolec” zamieścił artykuł, w którym znalazło się ważne sformułowanie: „*Moskwa musi mieć świadomość, co naszym dalszym stosunkom przyniesie zwycięstwo tej czy innej siły politycznej w Polsce*” oraz przypomnienie, że w 2011 roku odbywają się u nas wybory parlamentarne, po których zwycięska partia sformuje nowy rząd.

Ponieważ do dziś, grupa rządząca nie skierowała odwołania do żadnej z instytucji międzynarodowych, należy uznać, że doszło do porozumienia w kwestii „wspólnej wersji raportu”, a zaprezentowany przez ministra Millera dokument jest efektem politycznego kompromisu i został uzgodniony z Rosjanami. W tej sytuacji nie powinno dziwić, że Tusk wielokrotnie przekładał datę publikacji, oczekując najwyraźniej na wynik ostatecznych ustaleń ze stroną rosyjską. Trwały one przez cały okres pracy nad „polską wersją”. Pod koniec stycznia rosyjskie MSZ informowało, że „*Rosja i Polska mają zamiar kontynuować współpracę w wyjaśnianiu przyczyn katastrofy pod Smoleńskiem*”, a najpełniejszy scenariusz przyszłych wydarzeń zamieściła wówczas „Nowaja Gazeta”. Zdaniem wiceszefa tego pisma Andrieja Lipskiego: „*obecnie obliczane są procenty winy stron za to, co się stało. Ich zakres jest szeroki: od pełnego negowania jakichkolwiek błędów ze strony rosyjskich kontrolerów (raport MAK) po oskarżanie strony rosyjskiej o świadome doprowadzenie do katastrofy prezydenckiego Tu-154M, czyli faktycznie o zamach na polskiego prezydenta (ze strony wielu postaci z obozu Jarosława Kaczyńskiego)*”. „Nowaja Gazeta” uznała zatem, że „*coś pośredniego najpewniej znajdzie się w zapowiedzianym na koniec lutego lub początek marca raporcie polskiej komisji, którą kieruje minister spraw wewnętrznych Jerzy Miller*” i dobitnie wyjawiała cel tej gry: „*nieprzyjazne wobec Rosji siły w Polsce się umocniły, tworząc polityczny przyczółek dla przedwyborczej ofensywy przeciwko premierowi Tuskiowi i jego partii. Ci zaś muszą się bronić i dowodzić, że nie sprzedali się Rosjanom, lecz jedynie chcą wyjaśnić prawdę bez skłócenia się z Rosją. Jeśli obie strony nie wykażą gotowości do dalszej współpracy [...] i nie spróbują w jakiś sposób uzgodnić stanowisk, a także wzajemnych pretensji, nasze stosunki znów czekają nie najlepsze czasy*.”

Dychotomia sterowana

We wspólnym charakterze „raportu” Millera można również znaleźć wyjaśnienie zagadki dotyczącej datowania dokumentu, ujawnionej przez portal niezależna.pl. Jeśli bowiem wersja rosyjskojęzyczna została zatwierdzona z dniem 1 lipca 2011 r. (taka data znajduje się na tej wersji), musiało upłynąć wiele dni, nim dokument przetłumaczono i zespolono z wersją polską. Stąd na dokumencie w języku polskim widnieje data 25 lipca.

Jest oczywiste, że opinia publiczna nie mogła dowiedzieć się o prawdziwym pochodzeniu „raportu”, ani nabrać podejrzeń, że został uzgodniony z Rosjanami. Zarysowana już w styczniu br. fałszywa dychotomia miała sugerować, że istnieją jednak rozbieżności między tezami MAK-u, a ustaleniami komisji Millera. Wytworzenie propagandowej atmosfery sporu leżało w interesie obu stron. Grupa rządząca mogła w ten sposób dowieść troski o wyjaśnienie przyczyn tragedii i wykazać rzekomą samodzielność. Rosjanie zaś uzyskiwali potwierdzenie swoich tez z „niezależnego źródła” i osiągalni efekt dobrowolnego przyznania się do winy. „Raport Millera” był zatem niezbędnym uzupełnieniem rosyjskich kłamstw, nadając im wymiar polskojęzycznej nostryfikacji. Jak dalece sięga to usprawiedliwienie mogliśmy się przekonać czytając zapewnienia ppłk Roberta Benedicta o tym, iż „*Rosjanie nie zniszczyli wraku Tupolewa, by ukryć dowody. To strona polska pozwoliła rozmontować wrak na części*.”

O wspólnym autorstwie „raportu Millera” świadczą także pierwsze reakcje Rosjan, którzy nie mogąc przyznać się do dwustronnych uzgodnień, wskazywali na istotne podobieństwa, szczególnie w zakresie akceptacji polskiej odpowiedzialności za katastrofę. W wielu wystąpieniach strony rosyjskiej widoczna jest nie tylko satysfakcja z uległej postawy rządu Tuska, ale również pogarda, z jaką Rosjanie traktują słabych i zniewolonych „partnerów”.

Leonid Słucki, wiceprzewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Dumy już kilka godzin po konferencji prasowej Millera orzekł: „*W tej historii postawiono kropkę nad i. Wszystkie fakty ustalono. Żadne dodatkowe dochodzenie niczego nie doda i nie zmieni. Dlatego też należy pogodzić się z prawdą, jakakolwiek by była, i odłożyć dossier do historii*.”

Przewodniczący Komisji Technicznej MAK Aleksiej Morozow zareagował podobnie i uznał, że: „*polska wersja katastrofy pod Smoleńskiem w dużej mierze jest zbieżna z raportem Międzypaństwowego Komitetu Lotniczego, lecz niektóre wnioski na razie są niezrozumiałe*” Zapowiedział przy tym, że „*szczegółowe komentarze techniczne MAK ujawni po zapoznaniu się z materiałami polskiej komisji*”. W oświadczeniu Morozowa był zawarty element wręcz ironicznej gry, bowiem owa „polska komisja” korzystała wyłącznie z danych udostępnionych przez Rosjan i nie dysponowała własnym materiałem dowodowym. Po dwóch dniach Morozow mógł zatem podzielić się odkrywczą uwagą: „*Nie zobaczyliśmy nic nowego w raporcie polskiej komisji w stosunku do naszego. Strona polska praktycznie powtórzyła nasze uwagi techniczne*”.

Dobry nastrój nie opuścił przedstawiciela MAK-u podczas całej konferencji prasowej. Rosjanin podkreślał, że istnieje całkowita zgoda strony polskiej i rosyjskiej w kwestii odpowiedzialności pilotów, ich złego wyposażenia i przygotowania oraz błędów popełnionych podczas przygotowania do lotu. Zwracał uwagę, że podstawą tej zgody jest akceptacja rządu polskiego na wyjaśnianie przyczyn katastrofy na podstawie załącznika 13 Konwencji Chicagowskiej. Morozow z satysfakcją podkreślał, że to Donald Tusk zgodził się, aby katastrofa była wyjaśniana na podstawie załącznika 13 Konwencji Chicagowskiej i oświadczył wprost: *„Z punktu widzenia prawa raport wszedł w życie. Zgodnie z informacją od strony polskiej w związku z załącznikiem 13 raport polski jest wewnętrzny, a załącznik 13 Konwencji Chicagowskiej nie przewiduje formy wspólnego raportu ze śledztwa.”*

Otrzymaliśmy wyraźną sugestię, że po zgodzie Tuska na przekazanie całego śledztwa Rosjanom, nie mamy dziś żadnych możliwości, by zakwestionować ustalenia MAK. Nazwanie „raportu Millera” dokumentem „wewnętrznym” pokazuje, że Rosjanie traktują go jako uzupełnienie swojego raportu, głównie w zakresie legalizacji podstawowych kłamstw i uwiarygodnienia polskiej winy.

Nie przypadkiem największy nacisk Morozow położył na wzmocnienie tezy o rzekomym wpływie na załogę gen. Andrzeja Błasika oraz dywagacjom na temat roli „głównego pasażera”. W stwierdzeniu, iż: *„Dowódca Sił Powietrznych, idąc do kabiny, musiał przejść przez salon głównego pasażera. Wnioski każdy może wyciągnąć sam”* - zawarta jest nie tylko esencja rosyjskiej dezinformacji ale również bezgraniczna pogarda, z jaką moskiewscy decydenci traktują obecny rząd i polskojęzyczne media, gorliwie uczestniczące w rozpowszechnianiu oszczerstw.

Dogodną podstawą do dalszego rozgrywania tego wątku stanowił zapis, jaki znalazł się w „raporcie” Millera.: *„Można natomiast stwierdzić, że istniała presja, która oddziaływała na załogę w sposób pośredni, związana z rangą lotu, obecnością najważniejszych osób w państwie na pokładzie samolotu i wagą uroczystości w Lesie Katyńskim. Należy także przyznać, że elementem presji pośredniej była obecność Dowódcy Sił Powietrznych w kabinie załogi, gdyż w świadomości dowódcy statku powietrznego mogła pojawić się obawa o ocenę jakości wykonania przez niego podejścia do lądowania.”*

Tzw. eksperci MAK twórczo rozwinęli tę myśl i podczas konferencji prasowej mogliśmy usłyszeć, że *„obecność dowódcy Sił Powietrznych gen. Andrzeja Błasika w kabinie pilotów Tu-154M jest dowodem na wywieranie na nich bezpośredniej presji psychicznej”*.

Razem ku przyszłości

Istotnym dowodem wspólnej gry wokół „raportu” komisji Millera są również dwa zdarzenia, następujące tuż po publikacji. Następnego dnia pojawiła się bowiem zaskakująca informacja, że jest już organizowany specjalny transport do Smoleńska, a wrak tupolewa zostanie niebawem przewieziony do Polski. Kolejny dzień przyniósł natomiast wiadomość, że prokuratura wojskowa zwróciła się do strony rosyjskiej o możliwość przebadania we wrześniu przez polskich ekspertów wraku składowanego w Smoleńsku. Skąd ta nagła aktywność w kwestii wraku tupolewa? Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju rewelacje mogły się pojawić tylko wówczas, jeśli Rosjanie uznali, że zwrot samolotu jest już możliwy, a zatem jego badanie nie podważy też zawartych w oficjalnej wersji zdarzeń. Informacje podane natychmiast po prezentacji „raportu” Millera mają głównie wydźwięk propagandowy i służą wykazaniu skuteczności działań strony polskiej, ale też uwiarygodnieniu „dobrej woli” Rosjan.

Bezspornym potwierdzeniem rosyjskich inspiracji jest też decyzja o likwidacji 36 Specjalnego Pułku oraz dymisje generałów i oficerów *“z pionu odpowiedzialnego za szkolenia i przestrzeganie procedur bezpieczeństwa lotów”*. W „raporcie” MAK znalazły się liczne „zalecenia” dotyczące tej jednostki (str.184 i nast.), w których m.in. podkreślano konieczność zmian w przepisach oraz *„wprowadzenia wielu zmian dotyczących treningu na symulatorach i zastosowania Specjalnych Procedur Operacyjnych, z naciskiem na współdziałania załogi”*. Likwidacja pułku jest gestem w stronę potwierdzenia winy polskich pilotów i stanowi akt nadgorliwego wypełnienia rosyjskich dyspozycji. Dzięki tej decyzji staniemy się jedynym krajem, którego transport samolotowy najważniejszych osób w państwie realizować będą cywile. Odtąd nad bezpieczeństwem lotów VIP-ów czuwać będą „wyspecjalizowane” firmy, szczególnie podatne na wpływy obcych wywiadów.

Punktowane przez wielu komentatorów różnice techniczne widoczne w obu „raportach” nie mają istotnego znaczenia. Specjaliści od dezinformacji doskonale wiedzą, że większość Polaków nigdy nie przeczyta żadnego z dokumentów, a wśród tych, którzy przebrnęli przez ich lekturę, tylko niewielu zdoła zrozumieć kwestie techniczne i dostrzeże różnice w interpretacji. W tej sytuacji podstawowe znaczenie ma przekaz rządowych mediów i taka prezentacja tematów, by stanowiły pożywkę dla medialnych spekulacji. Dlatego w rosyjskich i polskojęzycznych mediach przewija się ton, w którym podkreśla się winę polskich pilotów, mówi o naszych zaniedbaniach i błędach oraz eksploatuje wątek rzekomych nacisków. Obowiązująca od 10 kwietnia narracja nie uległa zmianie, a oba dokumenty należy osądzić wyłącznie w kategorii środków politycznych. Oceniany z tej perspektywy „raport” Millera przynosi potwierdzenie, że grupa rządząca nadal wykonuje misję zakładników kłamstwa smoleńskiego.

619. ŚWIADEK „W KORONIE”

Jedna z głównych trosk posłów Platformy w trakcie prac tzw. komisji naciskowej dotyczyła niedopuszczenia do przesłuchania Ryszarda Krauzego. Chociaż nazwisko biznesmena początkowo znajdowało się na liście świadków, to kolejne miesiące przyniosły radykalną zmianę stanowiska PO i ujawniły historyczny sprzeciw przed wezwaniem świadka. Działania jakie podejmowano, by uniknąć jego przesłuchania przybierały niekiedy groteskową formę.

Od 2009 roku koronnym argumentem szefa komisji Andrzeja Czumy, stało się orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z dnia 28.11.2008 r. Poseł PO na podstawie werdyktu, który zapadł w sprawie wniosku PiS-u o stwierdzenie niekonstytucyjności uchwały o powołaniu komisji śledczej, wysnuł własny wniosek i autorytarnie stwierdził, jakoby Trybunał zakazał komisji przesłuchiwanie Krauzego.

O wartości tego argumentu przesądzieli sami eksperci prawni komisji, którzy na pytanie posła Mularczyka : „czy w wyroku TK wprost jest mowa o panu Ryszardzie Krauze i czy Komisja może a priori wykluczyć świadka, który występuje w aktach sprawy, z przesłuchania, twierdząc, że ten świadek i tak nic nie wniesie do naszej sprawy i że nie przybliży nas do wyjaśnienia tutaj prawdy”, udzielili zdecydowanej odpowiedzi przeczącej. Ekspert prawny komisji Magdalena Bielowicka stwierdziła: „Wyrok Trybunału Konstytucyjnego ani nie nakazuje, ani nie zakazuje przesłuchania jakiegokolwiek świadka. To, czy świadek zostanie przesłuchany przez Komisję, czy jest przydatny, czy ma wiedzę, [...] to tylko zależy wyłącznie od Komisji. Czyli to Komisja decyduje o tym, jakiego świadka wzywa bądź jakiego świadka nie wzywa.”

Tej treści stanowisko zajęło trzech spośród czterech ekspertów. Mimo wyraźnej wykładni, Andrzej Czuma stanowczo sprzeciwiał się wezwaniu świadka, zaś poddany pod głosowanie wniosek posłów PiS-u został natychmiast odrzucony głosami PO i SLD. Do dziś w rządowych mediach Czuma powtarza swój psedoprawny „argument z orzeczenia TK”.

Do wykreślenia biznesmena z listy świadków doszło w przeddzień wezwania przed komisję Zbigniewa Ziobro. Postowie PiS stwierdzili wówczas, że Platforma chroni Krauzego przed przesłuchaniem i zapowiedzieli ponowne zgłoszenie wniosku. Uczynił to poseł Arkadiusz Mularczyk w trakcie posiedzenia komisji w dniu 24.09.2010. Mularczyk podkreślał, że „istotne jest wyjaśnienie, jakie relacje łączyły pana Ryszarda Krauze z panem Andrzejem Lepperem, czego dotyczyły spotkania z panem Kaczmarkiem na 40. piętrze w hotelu Marriott. Nie za bardzo rozumiem, dlaczego państwo tych okoliczności nie chcecie poznać i nie chcecie, ażeby opinia publiczna w Polsce również poznała tą stronę sprawy tzw. afery gruntowej i afery przeciekowej. Więc mówię, nieprzesłuchanie tego świadka naraża prace naszej Komisji na nieważność”.

Po odrzuceniu również tego wniosku, Arkadiusz Mularczyk podczas konferencji prasowej w Sejmie stwierdził, że „komisja staje się po prostu farsą”, a Platforma „chce pokazać wyłącznie jedną stronę medalu”.

Po raz kolejny, nazwisko biznesmena powróciło w dniu 26 lipca br. za sprawą Zbigniewa Ziobry. Wezwany tego dnia przed komisję były minister sprawiedliwości oświadczył bowiem, że chce złożyć wniosek o przesłuchanie Ryszarda Krauze i od rozpatrzenia tego wniosku uzależnia swoje dalsze wyjaśnienia. W uzasadnieniu Ziobro stwierdził: „Pan Ryszard Krauze z całą pewnością posiada bardzo obszerną wiedzę na temat ewentualnych nacisków, nieprawidłowości działania również tutaj siedzącego prokuratora generalnego. Wiem o tym, choćby z jego wywiadów, jakich udzielał. Tak, że jest osobą bardzo dobrze poinformowaną, miał kontakt z wieloma świadkami, którzy tu byli przesłuchiwanymi, czy też osobami pełniącymi kluczowe funkcje publiczne w naszym państwie. Można powiedzieć, że wszystko zaczęło się od Ryszarda Krauze, jego spotkania z Januszem Kaczmarkiem. Ta zagadka 40. piętra Hotelu Marriott do dziś nie została rozwiązana. Ale z całą pewnością Ryszard Krauze był osobą od początku zaangażowaną w całą sprawę, co więcej, prokuratura uznała go za osobę centralną całej sprawy, ponieważ stawiała mu zarzuty składania fałszywych zeznań i mataczenia w sprawie.”

Ziobro przywołał następnie wypowiedzi biznesmena z wywiadu, jakiego udzielił tygodnikowi „Newsweek”. Krauze twierdził w nim, jakoby wydarzenia związane z jego osobą miały „bardzo negatywny wpływ na jego wiarygodność i notowania spółek, kryzys giełdowy.” Polityk PiS-u trafnie więc zauważył, że Krauze „może tutaj świadczyć o konsekwencjach tych ewentualnych nacisków i nadużyć, które miały rzekomo mieć miejsce w okresie mojego funkcjonowania w prokuraturze. Podaje tu nawet dokładne liczby, które robią wrażenie, 5 mld, o które kapitał zmniejszył się do 1,5 mld. Więc jednym słowem, pan Ryszard Krauze jest osobą, jak sam mówi, pokrzywdzoną, centralnie zaangażowaną w całą sprawę, posiada ogromną wiedzę, z racji tych swoich kontaktów z wszystkimi tutaj przesłuchiwanymi niemal osobami. [...]osoba, która odgrywa tak istotną rolę w całym tym przedsięwzięciu rzekomych nadużyć, których miałem się dopuszczać, wydaje mi się osobą centralną, z którą chętnie też bym się skonfrontował, jeśli Komisja uznałaby to za rzecz oczywiście ważną dla poznania prawdy”.

W reakcji na wniosek Ziobry, Andrzej Czuma ponownie powołał się na zużyty „argument z Trybunału”, a gdy Ziobro zaoponował przeciwko takiej nadinterpretacji, usłyszał w odpowiedzi: „To, że pan Krauze w wywiadach mówi, że naciska lub nie naciska, lub jego naciskano, to chciałbym się podzielić z panem posłem moją refleksją z zeszłego tygodnia, kiedy gościłem w biurze poselskim osobnika, który ma bezpośrednie kontakty z panem Jezusem i mówił, że on ma bezpośrednio..., wie, co dla Polski jest ważne i nieważne. Objawienia pana Ryszarda Krauzego naprawdę nie interesują absolutnie komisji i jego wynurzenia, czy ktoś naciskał na niego, albo on naciskał, albo próbowano naciskać, kompletnie nas nie interesują panie posle”.

Sam Mrozek nie wymyśliłby bardziej niedorzecznej sytuacji, w której „obwiniony” wnioskuje o przesłuchanie przeciwnika mającego potwierdzić jego winy, zaś „oskarżyciel” sprzeciwia się temu, uznając a priori ewentualne zeznania świadka za „objawienia”.

Tuż po wyjściu z obrad komisji Ziobro zorganizował konferencję prasową, na której stwierdził, że „liderzy Platformy Obywatelskiej obawiają się z jakichś powodów wezwania Ryszarda Krauzego. Donald Tusk, Grzegorz Schetyna, nie wiem dlaczego, obawiają się, by pan Ryszard Krauze stanął przed tą komisją.[...] Nie może być tak, że są święte krowy, równi i równiejsi. Całą sprawą zaczęła się od wind, którymi poruszał się Ryszard Krauze i Janusz Kaczmarek. Pan Krauze, to nie ulega wątpliwości, jest postacią kluczową w tej sprawie, w wątku związanych z przeciekami oraz przekroczeniem uprawnień.” Nawiązując do niedawnego przesłuchania Roberta Murdocha, Ziobro podkreślił, że „w Polsce miliarder może mieć poczucie, że stoi ponad prawem i zasady go nie wiążą”. Padło zatem pytanie: „pytam premiera i marszałka Sejmu, dlaczego?”

Choć jest to pytanie najwyższej wagi, nie uzyskamy na nie odpowiedzi. Kilka dni później, komisja naciskowa nagle zakończyła prace, a sprawę przesłuchania Ryszarda Krauzego przykryła teza zawarta w projekcie stanowiska komisji, iż „nie ma podstaw do stwierdzenia, aby w latach 2005- 2007 istniał mechanizm, który umożliwiałby funkcjonariuszom publicznym zajmującym kierownicze stanowiska państwowe nielegalne wywieranie wpływów na prokuratorów, funkcjonariuszy policji i służb specjalnych”.

Tak sformułowany wniosek końcowy, musiał zostać odebrany pozytywnie przez opozycję. Tym samym, zablokowano możliwość zadawania kłopotliwych pytań i dalsze drażnienie tematu świadka. Rządowe media natychmiast zadbały, by nawet ta ewidentna kompromitacja została przemilczana, a przy wydatnym udziale opozycji wręcz przekuta w sukces. Spektakl, jaki grupa rządząca odegrała z zakończeniem prac komisji naciskowej zasługuje zatem na miano wzorcowego aktu propagandy i manipulacji. Propagandy, ponieważ dzięki brzmieniu konkluzji raportu, Andrzej Czuma został obdarzony mianem „człowieka przyzwoitego”, a Platforma zyskała wizerunek partii, którą stać na obiektywną ocenę politycznego rywala. Manipulacji, bowiem zamykając prace komisji Platforma działała przede wszystkim we własnym interesie i ta prawda została ukryta przed społeczeństwem. Celem tego zabiegu było uniknięcie uciążliwej sytuacji związanej z osobą świadka, którego przez trzy lata nie chciano wezwać ani przesłuchać. Kończąc farsę komisji naciskowej, politycy PO najwyraźniej uciekli od pytań dotyczących powiązań z kluczową postacią afery gruntowej i przeciekowej.

14.08.2011 17:19 31

620. RĘKA Z TAMTEGO ŚWIATA. ROK 1920

Dziwny jakiś traf zrządził, że kierunek kontrakcji naszej Brygady rozwijał się właśnie wzdłuż dróg prowadzących do mej okolicy. Po nagłym załamaniu się generalnego ataku nieprzyjaciela na linię Wisły i odparciu go od Warszawy, kolej zwyciężać przysłała na wojska polskie. Dwojąc się i trojąc w powszechnym natarciu na zuchwałego wroga, forsownymi marszami dosłownie nadeptywając mu na pięty, ledwośmy zdążyli go wytracać, roznosząc na bagnietach i szablach bose i głodne kupy najeźdźców, którzy, potraciwszy głowy i dowódców, umykali w popłochu, czasami tylko zwracając się ku nam do obrony, z rozpaczą i rozjuszeniem osaczonego zwierza. (...) Po jakimś czasie straciliśmy nawet łączność z rozbitym nieprzyjacielem. Uchodził zawsze o dzień drogi marszu przed nami, plądrując, niszcząc, paląc i rabując, co się da.

Jako dowódcy kompanii piechoty, dano mi rozkaz zajęcia i utrzymania, aż do nadejścia sił głównych, pewnego wzgórza, które było położone na rozstaju dróg, skąd kilkanaście tylko wiorst dzieliłoby mnie od wsi Jaskrońca.

Prawie bez przeszkód, wyłapując jedynie maruderów, oraz czerwonoarmistów, brodatych wielkorusów, chcących się poddać "z dobrowoli", dotarłem pomyślnie do wskazanego miejsca. Na owym wzgórzu u rozstajnych dróg stał znany mi z dawien dawna dworek, otoczony starym parkiem. Właściciele uszli przed burzą wojenną, zaś zdobywcy stali tam przez jakiś czas kwaterą, o czym świadczyły wymownie ślady ich krótkiej, ale że się tak wyrażę, doszczętnej gospodarki.

Dla tego dworku miałem zawsze osobliwy sentyment. Leżał na drodze do powiatu, którym jeździłem do szkół za czasów mego chłopięctwa. Ile razy mijalem to miejsce, i wtenczas, i potem uderzało mnie zawsze wielkie podobieństwo tego domu i ogrodu i w ogóle całego obejścia, do własnego mego gniazda, gdzie się urodziłem, wychowałem i żyłem.

Skoro więc rozstawiłem placówki i posłałem dowództwu odpowiedni meldunek, nie mogłem się opędnąć dawnemu sentymentowi. I w szczerym wzruszeniu jąłem lustrować opuszczone obejście, poczynawszy od domu.

Smutny obraz dawało to domostwo, urządzone jak widać, w ciągu długich lat, może paru stuleci. W czcigodne naczynie, wznoszone i przebudowywane przez szereg pokoleń, kształtując zbiorową duszę szlacheckiej rodziny od dziadów-pradziadów tu osiadłej, rojne od wspomnień droższych, nad relikwie, pełne żywego smutku i radości tych, co się w zaciszu starych ścian urodzili, żyli byli i pomarli - wdart się żywioł obcy, wrogi i niszczący. I pohulał, wygodziwszy niszczycielskim swym instynktem.

W oknach nie zostało ani jednej całej szyby. Nie od kul wyleciały - powytlukiwano je śnać naumyślnie kolbą, kijem, pięścią, z żołdackiej chandry, dla zbytku. W pokojach wszystka posadzka była dokładnie wyważona, klepka po klepcie wydartą ze

spojeń. W pośrodku izby, niegdyś jadalnej, pozostała kupa popiołu i węgla po ognisku, wznieconym z połamanych mebli. Komu i po co przydał się ten ogień - niewiadome; było lato, upał dokuczał nawet w nocy, a dla uwarzenia stawy znajdowała się obok dobrze urządzona kuchnia. Wszystkie meble, szafy, kredensy, leżały w drzazgach, szczapach i strzępach. Nogi co krok deptały po szkle, ścielącym się od roztrzaskanych luster. Tapety tu i ówdzie powydzierano pasami od sufitu aż do podłogi, ściany okryto szeregiem odręcznych napisów i rysunków kredą, węglem lub dziegiem, utrzymanych w stylu owych prymitywów, które zdobią mury i parkany moskiewskich koszar, więzień i fabryk. Doborowa biblioteka, składająca się z paru tysięcy starannie oprawionych ksiąg, przedstawiała zwichrzoną kupę podartych, zetlonych szpagatów.

Uwagę mą zwróciła duża księga in folio, leżąca na podłodze w niedbałym rozwarciu i roztrzepaniu kart, z resztkami grubej pozłoty na brzegach i grzbiecie, tłoczona czcionkami greckimi na papierze, pożółkłym od czasu. Nachyliwszy się zapuściłem wzrok między wiersze. Owiata mię wspomnieniem znajoma treść:

boski Platon bronił w obliczu wieków nieśmiertelnego Sokratesa... Przebiegłem oczami kartę do samego dołu i odwróciłem ją, sam o tym dobrze nie wiedząc. Wtem nagły fetor odepchnął, odtrącił mię od rozwartej księgi... Odwróconą kartę ohydna lepka kałuża okrywała rozlane odchody ludzkie. Jakem się przekonał, wszystkim wykwinniejszym księgom tej bibijoteki, przygodni czytelnicy wygodzili w ten sam sposób.

I co wogóle szczególnie mię uderzyło w całym tym rozgromionym domu, to mnogość tego specyficznie moskiewskiego zostawiania po sobie zelżywej, śmierdzącej pamiątki: w każdym kącie, w pośrodku każdego pokoju, na parapetach okien, na rozprutych materacach łóżek, na potłuczonych klawiaturze rozbitego fortepianu. Szczególna to chuć robić ze wszystkiego kloakę. Jeśli ślad obecności tych ludzi jest taki, cóż dopiero dzieć się musi w nich samych, pomyślałem...

Ból prawie fizyczny targnął mą duszę. Wybiegłem co tchu z zapowietrzonych izb, aby się przejść po ogrodzie. Lecz i tu ścigała mię zhora w obrazie krzewów, roślin południowych, które wyniszczone były w sposób niezwykle gruntowny, tak, aby nigdy już odrosnąć nie mogły: w obrazie malw, róż, georginii, słoneczników, pościnanych snać ciosami kija czy też knuta; w obrazie urodzajnych jabłoni i gruszy, których gałęzie, obciążone rześnym, zielonym jeszcze owocem, zwiślały, wsparte czubem o stratowaną murawę; odłamano je od macierzystego pnia, który świecił w miejscu oddarcia gałęzi okrutną, białą raną.

Uchodząc od tych widoków zabrnąłem, idąc zboczem porośłego gęsto wzgórze, aż nad staw, będący właściwie dużą sadzawką, sakramentalnym dodatkiem "parku" w każdym niemal obejściu dworskim w Polsce.

Woda, obrzeżona gajem tataraków, lśniła w sierpniowym słońcu, jak żywe srebro i jak szczere złoto. Bliżej ku zarośłom brzegów wydawała się być szczelnie okryta mnóstwem dużych, mokrych szmaragdów: to rzęsa wodna, oraz wywrócone na kształt płaskich talerzów, lśniące listowie przekwitłych nenufarów leżały na wodnej tafli, niby zielona łuska bajecznych płazów, pospanych w południowym upale.

Z rozkoszą zanurzyłem wzrok w tym zakątku wilgotnej zieleni. Wtem zwidziało mi się, że w pośrodku srebrno - złotej wody nieruchomieje coś białego, coś niby kilka kęp śniegu, kiedy wraz z lodem taje na wiosnę w odmarzającym stawie. Po uważnych oględzinach rozpoznałem, że są to martwe łabędzie. Jeden, drugi, trzeci... piąty... dziesiąty... Powystrzelano je zapewne, ot, tak sobie, dla moskiewskiej, hulaszkiej zabawy.

W drodze powrotnej szczegół innych, nierównie więcej przykry, zabrał mą uwagę. Idąc aleją wygracowaną brzegiem stawu, ujrzałem jeszcze kilka łabędzi. Były również martwe. Ktoś wpadł widocznie na pomysł osobliwy. Młode sadzonki wierzb nad stawem czyjeś ręce rozłupały toporem, czy szablą od góry aż do korzenia i w otrzymane stąd widły, sprężyste zwierające się rozdartymi połowami, powszczepiano wysmukłe długie szyje ptaków. Płaskie ich głowy, z rozwartymi szeroko dziobem, zwiślały martwo z jednej strony drzewek, zaś z rozpacznie rozpostartymi skrzydłami, których pióra wbiły się, wgrzebały w ziemię, niby zgrabiałe palce zmarłych w męce. Szary i biały puch wyścielał dokoła trawę i staniał się za najlżejszym powiewem.

- Łabędziom nawet, za to jedno, że były "pańskim" ptactwem, nie darowali ci ludzie -pomyślałem w zgryzocie i całej nieswoj, dygocąc z obrzydzenia, podążyłem w stronę rozstawionych za parkiem placówek, niby to w celu sprawdzenia, jak się służba pełni, w istocie zaś po to, żeby coś czynić, czymś się zająć, żeby tylko nie pozostawać dłużej sam na sam z sobą, z moją męką pęczniejącą mi w głowie, jak obolały gnojny wrzód.

Ledwom się z parku wydostał, natrafiłem wnet na mych żołnierzy. Zgromadzeni byli w liczbie kilku pod murem ogrodu. Mówili bardzo głośno i wszyscy razem, pilnie ze wszystkich stron oglądając coś znajdującego się na ziemi. Na mój widok ucichli i rozstąpili się, dając mi przejść. Rzuciłem okiem wdół na rzecz, która wywołała zbiegawisko.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś niesamowity, pokraczny grzyb, białawy, i bardzo duży, po niedawnym deszczu wyparł się z mokrego gruntu.

- Melduję posłusznie - posłusznie - odraportował mi któryś - względem tego, co wiejskie ludzie powiadają, że tutaj ma leżeć nasz polski oficer. Ciężko był ranny, powiadają. Popod lasem znalazły go "bolszewniki" po jednej bitwie i przywlokły, psiekrwie, aż tutaj; ciągli za nogi, włócząc głębią po ziemi, ta i zakopały żywcem, nieboraka. Ino ręką z tamtego świata kiwa nam teraz... Mamy los, panie poruczniku!

Ukląkłem, aby się lepiej przyjrzeć. Nie nasuwało się żadnych wątpliwości, że ręka stercząca z ziemi, należy do człowieka, zakopanego żywcem. Dokola kiści ziemia była szczególnie zruszona. A w zastygłym na wieki ruchu samej ręki było coś, mrozącego krew w żyłach: wymowna, chociaż niema jak śmierć, opowieść umarłego gestu o strasznym skonie istoty żywcem pogrzebanej, która ostatnim wysiłkiem rozpaczy, z podziemnym krzykiem ust, pełnych gliny, siłła się wydostać na powietrze, lecz tylko tą ręką okropną ręką trupa, zdołała wydrzeć się z grobu na świat...

- Sterczy ku tobie błagalna dłoń! - samo się tak określiło w mej myśli, werselem z ponurego "Chorału", zjawisko z pod ziemi wyszłe, zapożyczające Wojnę przed sąd Boga Żywego...

Po ziemistym już ciełe owej ręki biegło kilka skrzętnych mrówek, jak to mrówki zazwyczaj biegają po czymś: pośpieszenie, niby-to bez żadnego celu, po mrówczemu. Wszystkie palce, prócz wskazującego, układały się w nieszczelną pięść, ten jeden zaś, niedołącznie przygarbiony, wskazywał kędyś na ukos, w niewiadomy punkt. Wpęzła nań właśnie boża krówka, podobna do toczącej się kropelki krwi, wydostała się na koniec paznokcia, po czym rozpołowiła nie od razu twarde korale swych łusek, wreszcie rozpięta błoniaste skrzydełko i odleciała prosto w sierpniowy błękit!...

- Sierzancie! gdzie jest sierżant? zawołać sierżanta! - krzyknąłem, nie wiedząc o tym, że głos mój brzmi charkotliwie jak bełkot, pomieszany z jękiem, i że na twarzy jestem blady i ziemisty, jak ta z pod ziemi wskazująca na coś ręka.

- Ściągnąć zaraz wszystkie posterunki. Opatrzeć broń. Za kwadrans maszerujemy do Jaskrońca!...

Serce tłukło się mi po całej piersi wyżalonym tempie, niby sto bębnow, głuchym warkotem uderzających z nagła na alarm.

Tom opowiadań "Koń na wzgórzu" 23-letniego porucznika **Eugeniusza Małaczewskiego** (1897-1922), z którego pochodzi powyższy fragment był uważany w okresie międzywojennym za jedną z najbardziej wstrząsających opowieści o wojnie bolszewickiej, a także za jeden z najbardziej antysowieckich utworów, jakie stworzyła literatura polska.

Do twórczości Małaczewskiego nawiązywał Prymas Tysiąclecia ks. kard. Stefan Wyszyński, gdy 3 sierpnia 1962 roku mówił w Warszawie:

"Będziemy szli najmiłsi, po kolana w polskim błocie, a jeśli trzeba, to padniemy na twarz w to błoto, bo mamy je uświęcić (...), tak - jak zapowiadał ongiś Eugeniusz Małaczewski w 'Koni na wzgórzu'. Upaść duchowo na ziemię polską, miłośnię ją objąć, a przycisnąwszy usta i serce swoje do niej, wsłuchiwać się w głosy, które tam słyszą. Może jeszcze nie słyszą ich na powierzchni w pogwarze, jak to określił Małaczewski - 'sejmikującego życia', ale już są w głębi serca Matki - ziemi polskiej, już idą".

W przededniu święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 91 rocznicy Bitwy Warszawskiej i Dnia Wojska Polskiego - warto przypomnieć fragment wielkiej, a zapomnianej literatury oraz nadal aktualne słowa Prymasa Wyszyńskiego.

Fragment opowiadania został opublikowany w Biuletynie Informacyjnym AK sierpień-wrzesień 2006r.

Cytat z homilii kard. Stefana Wyszyńskiego pochodzi z Naszego Dziennika, z artykułu „Wielcy Zapomniani: Eugeniusz Korwin-Małaczewski - pisarz i żołnierz”

<http://www.naszdziennik.pl/index.php?typ=my&dat=20090814&id=my11.txt>

TEKST ZOSTAŁ UKRYTY PRZEZ SALON 24

17.08.2011 19:07 18

621. PRZYJACIELE ŁUKASZENKI

Obecny rząd do perfekcji opanował umiejętność adaptacji polskiej polityki zagranicznej do potrzeb Moskwy lub Berlina. Toteż od czterech lat podstawowym zadaniem koalicji PO-PSL na arenie międzynarodowej jest „usuwanie przeszkód stojących na drodze poprawy relacji rosyjsko-niemieckich” - jak trafnie zdefiniował swoją misję Donald Tusk. Dokonana pod tym kątem analiza wyczynów ministra Sikorskiego zawsze wskaże, że płk Putin lub kanclerz Merkel znajdują się wśród prawdziwych i zwykle jedynych beneficjentów.

Prawdziwe intencje grupy rządzącej są szczególnie widoczne w stosunkach polsko-białoruskich. Państwo Łukaszenki, będąc postsowieckim dominium Moskwy stanowi idealne narzędzie dla rozgrywania rosyjskich interesów ekonomicznych i politycznych. To Rosja jest dziś głównym partnerem Białorusi i tylko wsparcie Moskwy pozwala funkcjonować tej byłej republice sowieckiej. Bez dostaw taniego gazu, kredytów i otwarcia rynku dla białoruskich towarów, gospodarka Białorusi upadłaby natychmiast. Jednocześnie istnienie reżimu Łukaszenki stanowi dziś mocną kartę przetargową w procesie

negocjacji porozumienia Rosja-UE. Państwa UE uznają bowiem prawo Rosji do ingerencji na tym obszarze i upatrują w niej gwaranta „demokratycznych przemian”.

Dopóki zachowanie białoruskiego status quo leżało w interesie Moskwy grupa rządząca prowadziła politykę zbliżenia z reżimem Łukaszenki, nie dbając przy tym o represje dotyczące opozycję i polską mniejszość na Białorusi. Stąd okres ocieplenia stosunków z Łukaszenką, wizyta Sikorskiego w Mińsku czy gesty „pogodnej dyplomacji”. Jeszcze przed białoruskimi wyborami polski i niemiecki minister spraw zagranicznych ściskali dłoń dyktatora, prosząc o uczciwy przebieg wyborów i zabiegając o zbliżenie Białorusi z Zachodem.

Słowa Łukaszenki z grudnia ubiegłego roku: „*To, co ostatnio Polska zrobiła dla Białorusi, warte jest każdych pieniędzy*”, trafnie charakteryzują ówczesne relacje. Białoruski przywódca pomylił się jednak twierdząc, że „*stosunki polsko-białoruskie czeka świetlana przyszłość*”. Sytuacja uległa gwałtownej zmianie, gdy fałszując wybory i rozpędzając manifestacje opozycji Łukaszenka zadart jednocześnie z Moskwą odmawiając podporządkowania się żądaniom Kremla. Po ostatniej fali represji reżim białoruski utracił bowiem jakiekolwiek pole manewru na arenie międzynarodowej i znajdując się pod presją narastających problemów gospodarczych, stanął wobec konieczności przyjęcia rosyjskiego dyktatu. W zamian za kredyty Rosja żąda wykupienia kluczowych białoruskich zakładów przez rosyjskich inwestorów. Dokonana w ten sposób przymusowa prywatyzacja doprowadzi do przejęcia kontroli nad białoruską gospodarką, a w konsekwencji do upadku państwa i umocnienia dominującej pozycji Rosji w tym regionie. W interesie Moskwy leży dziś, by nagłaśniać i krytykować posunięcia reżimu, a nawet inspirować akty sprzeciwu wobec Łukaszenki. Wszystko to w celu zmuszenia dyktatora do ustępstw. Białoruś staje się również mocną kartą przetargową w procesie negocjacji porozumienia Rosja-UE. Państwa Zachodu liczą, że działania Moskwy pozwolą obalić lub złagodzić reżim Łukaszenki i otworzyć rynek białoruski na unijne inwestycje.

Od czasu zaostrzenia rosyjskiego kursu, identyczną tendencję można zauważyć w wypowiedziach polityków z grupy rządzącej. Podczas posiedzenia Rady Gabinetowej Bronisław Komorowski oświadczył, że „*szczególnym wyzwaniem dla polskiej prezydencji będzie ostra reakcja na sytuację na Białorusi*” i podkreślił, że „*tylko wspólne działanie w tym zakresie wszystkich krajów wrażliwych na kwestie demokracji na wschodzie Europy może przynieść pozytywne efekty*”. Nagła aktywność polskich polityków w nagłaśnianiu represji reżimu, nie wpływa jednak z pragnienia obrony „wolności i demokracji” lecz znajduje mocne uzasadnienie w realizacji interesów Rosji. Od wielu miesięcy Białoruś i rozgrywane tam operacje stanowią jeden z najmocniejszych atutów w relacjach z UE, a kryzys białoruski stwarza Moskwie możliwość przejęcia władzy w tym kraju. Tylko dlatego, grupa rządząca występuje dziś przeciwko reżimowi i stroi się w szaty rzeczników demokracji.

By rozumieć w pełni istotę relacji polsko-białoruskich, warto zwrócić uwagę na cyniczny spektakl jaki został odegrany po ujawnieniu wiadomości, że Prokuratura Generalna przekazała białoruskim śledczym informację o rachunkach bankowych Alesia Białackiego, szefa białoruskiego Centrum Praw Człowieka „Wiasna”. Białacki został następnie zatrzymany przez KGB i oskarżony o ukrywanie dochodów.

Dobiegające z rządowych mediów głosy oburzenia i krytyczne wypowiedzi polityków PO-PSL są bezprzykładnym aktem obłudy ale też wiary w niewiedzę Polaków, zaś słowa Sikorskiego o „*karygodnym błędzie*” i „*zdwojeniu wysiłków na rzecz demokracji na Białorusi*” - zasługują na miano szczytu hipokryzji.

Przekazanie przez organ III RP informacji białoruskiemu KGB nie jest bowiem żadnym „błędem” ani zdarzeniem incydentalnym. Od dawna istnieje ścisła współpraca służb polskich i białoruskich, a jej ofiarami padło już wielu obywateli Białorusi. Ostatnia informacja potwierdza jedynie, że mamy do czynienia ze stałą choć ukrywaną przed Polakami praktyką.

Już w lutym 2008 roku, na portalu Kresy24.pl pojawiła się informacja, że polskie służby zrobiły prezent białoruskiemu KGB i wydały zakaz wjazdu Józefowi Porzeckiemu - wiceprezesowi zwalczanego przez Łukaszenkę Związku Polaków na Białorusi. Znający okoliczności sprawy informator twierdził, że polskie służby uległy sugestiom białoruskiego KGB na temat rzekomej „agenturalnej działalności” Porzeckiego. Nie zweryfikowano tych informacji i zaufano osobie, która je przekazała. Portal podkreślał, że „*nie ulega wątpliwości, iż zakazując Porzeckiemu wjazd do polskie służby po raz kolejny podważyły prezent KGB, uderzając w sam środek ZPB. Można tylko sobie wyobrazić jaką radość sprawiło białoruskim służbom podważenie zaufania do Porzeckiego w polskim środowisku na Grodzieńszczyźnie i jak destrukcyjnie wpłynie to na Związek*”. Już wcześniej, Porzecki był szykanowany przez polskie władze, a zakaz wobec niego zdjęto na jesieni 2005 roku, po dojściu do władzy PiS. Polskie MSZ przeprosiło wówczas działacza za dawne szykany, przyznając, że wcześniejsza decyzja o zakazie wjazdu była całkowicie bezpodstawa. Po cofnięciu zakazu Porzecki wielokrotnie przyjeżdżał do Polski i reprezentował ZPB, w towarzystwie Andżeliki Borys. W opinii polskich działaczy na Białorusi, sprawa Porzeckiego mogła być sygnałem do władz w Mińsku, że w sprawie polskiej mniejszości Warszawa jest skłonna pójść na ustępstwa. Polacy w Grodnie byli wówczas oburzeni sytuacją: „*Kto podejmuje podobne decyzje? To prowokacja wymierzona w Polaków na Białorusi. Tyle wycierpieliśmy od białoruskich władz, teraz przez swoich mamy cierpieć?*” - mówił wówczas czołowy działacz ZPB Wiesław Kiewlak.

Można byłoby to zdarzenie uznać za incydentalne, gdyby nie informacja z listopada 2009 roku, mówiąca o tym, że Polska przekazała do białoruskiego KGB dane o transakcjach Białorusinów w naszym kraju, a białoruska bezpieka szantażuje tymi informacjami swoich obywateli i pracowników polskiego konsulatu w Grodnie, wzywając dziesiątki osób na przesłuchania. Białorusini opowiadali wówczas, że przesłuchujący ich funkcjonariusze KGB obiecywali umorzenie postępowania bądź rezygnację ze ściągania cła w zamian za informacje o polskich urzędach celnych. - „*Interesowało ich, jak działa polski urząd celny, czy ktokolwiek z celników po polskiej bądź białoruskiej stronie bierze łapówki. Kto się z kim przyjaźni*” - opowiadaj jeden z drobnych handlarzy.

Z kolei na przesłuchania do białoruskiej milicji finansowej (Departament Dochodzeń Finansowych Komitetu Kontroli Państwowej) wzywano też obywateli Białorusi pracujących w dziale wizowym Konsulatu Generalnego RP w Grodnie. Formalnym powodem były rzekome nieprawidłowości przy wydawaniu wiz. „Naprawdę chodziło o zastraszenie naszych pracowników” - twierdził jeden z konsulów. Było oczywiste, że wykorzystując dane przekazane przez polskie służby, KGB prowadzi działania zagrażające naszemu bezpieczeństwu i wykorzystuje materiały do typowych działań wywiadowczych i werbowniczych. Rzeczniczka ABW pptk Katarzyna Konieczna-Wróblewska zapytana wówczas, czy polska instytucja, do której KGB zwraca się o dokumenty powinna o tym powiadomić ABW odparła, że instytucje państwowe nie mają takiego obowiązku. Gdy próbowano ustalić, która z polskich instytucji przekazała materiały do KGB, Ministerstwo Finansów orzekło, że nie pochodzą one ze służb skarbowych i celnych - jedynych, które mają zbiorczy wykaz takich danych. Być może odpowiedzi należało szukać w informacji ujawnionej w grudniu 2009 roku, na temat wewnętrznego dokumentu wywiadu skarbowego, w którym funkcjonariusz tej służby opisywał, jak na żądanie przełożonych przekazał oficerom ABW wiadomości z baz danych ministerstwa skarbu. Tak bliska (i bezprawna) współpraca nie może dziwić, bowiem od lat kolejni szefowie wywiadu skarbowego to osoby, których kariery są ściśle związane z ABW. W ten sposób Agencja miała pozyskiwać dane o przedsiębiorcach, którzy nie są objęci żadnym postępowaniem.

W marcu 2010 roku potwierdzono, że Polska przekazuje białoruskiemu KGB informacje o transakcjach handlowych na terenie naszego kraju, przeprowadzanych przez obywateli Białorusi, w tym polskiego pochodzenia. Do zaprzestania tej praktyki wezwali rząd parlamentarzyści z sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą, występując do Tuska z dezyderatem. Rada Naczelna Związku Polaków na Białorusi wystosowała zaś list do premiera, w którym napisano: *„Ocieplenie relacji między Polską a Białorusią, które obserwujemy od kilkunastu miesięcy, nie przełożyło się wcale na polepszenie sytuacji mniejszości polskiej, czego świadectwem są prześladowania Polaków m.in. w Iwieńcu”*. Miesiąc później Maciej Płażyński, szef Stowarzyszenia Wspólnota Polska oświadczył, że oczekuje twardego stanowiska władz polskich w sprawie przejęcia przez władze białoruskie należącego do Związku Polaków Domu Polskiego w Iwieńcu. Również prezydent Lech Kaczyński oczekiwał, że przedstawiciel rządu polskiego i minister Sikorski *„w mocnych słowach przedyskutuje z szefem białoruskiej dyplomacji kwestię mniejszości polskiej na Białorusi”*.

Trafną ocenę ówczesnej sytuacji zawarł Tomasz Pisula, prezes fundacji Wolność i Demokracja, gdy w grudniu 2009 roku stwierdził: *„Kontakty polsko-białoruskie trwają od ponad roku, ale wszystko odbywa się w najwyższej tajemnicy. Szkoda, bo jesteśmy państwem demokratycznym, wybieramy urzędników i powinniśmy wiedzieć o ich działaniach. W tym przypadku mam wrażenie, że ponad głowami Polaków w Polsce oraz na Grodzieńszczyźnie i ponad głowami Białorusinów powstają pewne fakty polityczne, które potem dość trudno będzie odkręcić, bo mają dalekosiężne konsekwencje”*.

Wiemy obecnie, że współpraca służb i instytucji polskich z KGB trwa do dnia dzisiejszego, a ujawniony ostatnio kasus Alesia Bialackiego jest typowym „wypadkiem przy pracy”. Kolaboracja z reżimem Łukaszenki odbywa się w ścisłej tajemnicy, zatem to, co przenika do mediów zdradza zaledwie fragment rzeczywistości. Przyjęta przez polityków PO-PSL poza „obrońców demokracji” stanowi element cynicznej gry w spektaklu reżyserowanym przez Moskwę. Ich werbalne deklaracje i propagandowa krytyka reżimu przypominają teatr odgrywany na potrzeby opinii publicznej i są mistyfikacją podporządkowaną interesom Kremla.

20.08.2011 22:32 24

622. TRZEBA „WIEDZIEĆ JAK”

Są obszary życia publicznego, w których obecny rząd wykazuje nadzwyczajną aktywność. Dotyczy to m.in. sfery legislacyjnej, gdzie mobilizacja objawia się niekiedy w sprawach najpilniejszych czy leżących w centrum zainteresowania społeczeństwa.

Nie wiemy zatem, co sprawiło, że grupa rządząca uznała nagle za niezbędne zgłoszenie ustawy, która od 12 lat nie mogła doczekać się uchwalenia. 22 lipca br. wpłynął do Sejmu rządowy projekt ustawy o pomocy rozwojowej. W opisie projektu można przeczytać, że dotyczy on *„organizacji, zasad i form współpracy rozwojowej podejmowanej z krajami - biorcami pomocy rozwojowej poprzez m.in. wsparcie trwałego rozwoju społeczno-gospodarczego, działania zmierzające do redukcji ubóstwa, poprawę stanu zdrowia, promocji standardów demokratycznych i społeczeństwa obywatelskiego”*. Wśród form owej współpracy wymienia się np. udzielanie kredytów i pożyczek oraz redukcję i konwersję zadłużenia państw rozwijających się. Do odbiorców tej pomocy zaliczono takie państwa jak: Białoruś, Ukraina, Mołdawia, Kazachstan czy państwa afrykańskie.

Zgłoszenie ustawy poprzedziła równie nagle reaktywacja działalności Fundacji „Wiedzieć Jak”, powołanej w roku 2001 przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Wśród celów fundacji wymienia się *„udzielanie pomocy krajom w okresie transformacji w kierunku gospodarki rynkowej i prywatnej przedsiębiorczości oraz wspomaganie ich rozwoju gospodarczego, społecznego i politycznego.”* Fundacja zaprzestała działalności kilka lat temu, a jej ostatnim prezesem był Jacek Kluczkowski, w latach 80. sekretarz komisji kultury ZSMP i dziennikarz m.in. „Sztandaru Młodych”. W III RP Kluczkowski był m.in. szefem gabinetu marszałka Sejmu Marka Borowskiego, ambasadorem Polski na Ukrainie, a od 2011 roku jest ambasadorem w Kazachstanie i Kirgistanie.

Przed zgłoszeniem rządowego projektu ustawy, 27 czerwca br. odbyło się posiedzenie odnowionej rady Fundacji „Wiedzieć Jak”. Omówiono na nim kwestie związane ze wznowieniem działalności oraz propozycje zmian statutu, w tym nazwy na

"Fundacja Solidarności Międzynarodowej". Dokonano również wyboru nowych władz. Przewodniczącym został Krzysztof Stanowski, podsekretarz stanu w MSZ, zajmujący się współpracą rozwojową. W skład rady fundacji weszli m.in. Marek Borowski - wieloletni członek PZPR, były marszałek Sejmu i minister finansów za rządów SLD, Paweł Kowal, były wiceminister spraw zagranicznych w rządzie PiS, obecnie członek PJN, Jerzy Koźmiński, były ambasador w USA, Henryka Krzywonos, Katarzyna Pełczyńska- Natęcz, Ks. Kazimierz Sowa, Henryk Wujec i Jacek Protasiewicz - poseł PO.

Dopiero lektura rządowego projektu ustawy o pomocy rozwojowej pozwala zrozumieć, w jakim celu reaktywowano fundację powołaną za rządów SLD.

W projekcie przewiduje się bowiem, że minister spraw zagranicznych - z uwagi na szczególne warunki polityczne w danym kraju - będzie mógł zlecić zadania z dziedziny współpracy rozwojowej Polskiej Fundacji Międzynarodowej Współpracy i Rozwoju „Fundacja Wiedzieć Jak”. Na realizację tych zadań fundacja otrzyma dotację celową z budżetu MSZ. Jak wyjaśniono w uzasadnieniu *„chodzi o zadania polegające na wspieraniu organizacji pozarządowych, niezależnych mediów, instytucji demokratycznych, rządów prawa oraz promowaniu ochrony praw i wolności człowieka.”*

W III RP nikogo nie dziwi już sytuacja, gdy promocją „praw i wolności człowieka” zajmują się członkowie partii komunistycznej lub tajni współpracownicy bezpieki. Pozornie egzotyczny skład rady fundacji również nie jest żadną osobliwością, jeśli zauważyć, że powołano do niej osoby wspierające obecny układ rządzący.

Trudno natomiast pozbyć się wrażenia, że celem niespodziewanej aktywności w obszarze „pomocy dla państw rozwijających się” nie jest sama ustawa o pomocy rozwojowej, a wskrzeszenie postkomunistycznej fundacji i skierowanie do niej środków budżetowych i unijnych. W projekcie ustawy mówi się bowiem o możliwości wykorzystania programów oraz instrumentów finansowych Unii Europejskiej. Dotychczas z powodu braku instytucji zarządzającej takimi funduszami, było to utrudnione. Odpowiedni zapis ustawy czyni z Fundacji „Wiedzieć Jak” faktyczny organ decyzyjny w zakresie dystrybucji środków przeznaczanych na pomoc. W przypadku *„państw niedemokratycznych lub o niestabilnej sytuacji politycznej”* rozdział tych środków będzie się odbywał bez konieczności organizowania przetargów publicznych, a zatem fundacja sama zdecyduje, komu i w jakim zakresie powierzy realizację zamówień. Nowy skład rady fundacji zdaje się natomiast świadczyć, że jest ona miejscem powstałym w ramach budowania „szerokiej koalicji”, zawiązywanej przed zbliżającymi się wyborami.

23.08.2011 18:42 337

623. NIE ROZMAWIAC

Mam szczerą nadzieję, że Jarosław Kaczyński nigdy nie zgodzi się na telewizyjną debatę z Donaldem Tuskiem. Z trzech, podstawowych powodów:

1. Tego rodzaju debaty nie mają żadnego znaczenia informacyjnego i nie służą poznaniu myśli dyskutantów. Ich końcowe przesłanie zależne jest wyłącznie od ocen dokonywanych przez funkcyjne media. Cokolwiek zatem powie Kaczyński i jakkolwiek skompromituje się Tusk, ośrodki propagandy okrzykną zwycięzcą polityka PO. Znając układ sił i rolę dzisiejszych mediów - nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Prezes PiS-u musi mieć w pamięci swoją debatę z Bronisławem Komorowskim, z czasu kampanii prezydenckiej. Mimo, iż operując faktami i rzeczowymi argumentami rozgromił wówczas prymitywnego rozmówcę, zostawiając go z pustą szklanką i z pustą głową - Polakom zafundowano dwudniowy spektakl propagandowy, w którym pracownicy mediów prześcigali się w zapewnieniach o wygranej Komorowskiego. Ilustracją tej hucpy był choćby sondaż telefoniczny GfK przeprowadzony natychmiast na zlecenie „Rzeczpospolitej”, w którym zwycięzcą debaty okrzyknięto marszałka Sejmu. Również na Salonie 24 byliśmy świadkami propagandowej kampanii „czerwonych” blogerów, przekuwających w sukces drużącą klęskę Komorowskiego. Pora zatem przyjąć, że każdy, nawet najbardziej udany występ telewizyjny Jarosława Kaczyńskiego zostanie zdewaluowany i przytłoczony bełkotem dyżurnych analityków i publicystów. Ponieważ większość Polaków dopiero z mediów dowiaduje się - jak i co powinna myśleć - efekt debaty jest łatwy do przewidzenia.

2. Każde wspólne wystąpienie prezesa partii opozycyjnej z premierem tego rządu, zostanie wykorzystane jako propagandowy glejt i posłuży uwiarygodnieniu polityki grupy rządzącej. Już pozytywna reakcja ludzi PO i rządowych mediów na propozycję debaty powinna wskazywać, że konfrontacja tych polityków zostanie obrócona przeciwko Kaczyńskiemu i przedstawiona w formie alibi na uwierzytelnienie fasadowej demokracji III RP.

PiS nie może zapominać, że przez cztery lata rządów obecnego układu, był pozbawiany praw opozycji parlamentarnej, oczerniany i atakowany w sposób sprzeczny z zasadami cywilizowanych państw. W konsekwencji doszło do zdarzeń, które diametralnie zmieniły polską rzeczywistość. Tragedia smoleńska była możliwa, ponieważ przez wcześniejsze lata deptano godność prezydenta RP, drwiono z niego i szydzono, za cenę poklepywania z rosyjskim ludobójcą. Była możliwa, bo nienawiść do braci Kaczyńskich przerastała nawet poczucie wspólnoty narodowej i skłaniała obecny rząd do wrogich działań przeciwko polskiemu prezydentowi.

Podobnie - morderstwo działacza PiS-u było możliwe, ponieważ grupa rządząca świadomie wytworzyła atmosferę nagonki wobec opozycji, czyniąc ze ślepej nienawiści jedyny program polityczny. Bandyta, który 19 października ubiegłego roku przyszedł zabić Jarosława Kaczyńskiego, nie był szaleńcem ani desperatem. Przyszedł, by wykonać to, do czego był nakłaniany i motywowany przez wiele miesięcy. Zabił, bo do zabójstw i przemocy został wezwany przez ludzi mieniących się politykami i dziennikarzami. Zabił, bo czuł przyzwolenie i akceptację dla zbrodni.

Dlatego prezes PiS nie powinien dziś swoją osobą legalizować czteroletniej kampanii nienawiści. Obraz Tuska jako partnera politycznego dla szefa opozycji, służy wyłącznie interesom propagandowym Platformy i zostanie wykorzystany w celu uzasadnienia iluzorycznej demokracji III RP. To rząd Tuska poszukuje potwierdzenia swojej pozycji w stosunku do środowiska, z którym prowadził śmiertelną wojnę. Debata, w której premier zostanie wykreowany na męża stanu chce się zatrzeć pamięć o latach nikczemnych praktyk i udowodnić Polakom, że kraj pod rządami PO-PSL to państwo dojrzałej i stabilnej demokracji.

Tego rodzaju spektakle mają również rozbić siłę argumentacji PiS-u w sprawie tragedii smoleńskiej i pozbawić tę partię wiarygodności krytyków grupy rządzącej.

Jeśli jedna z podstawowych tez Białej Księgi głosi: „Rząd D. Tuska od jesieni 2009 r. współdziałał z rządem Federacji Rosyjskiej przeciwko Prezydentowi RP Lechowi Kaczyńskiemu w celu rozdzielenia rocznicowych uroczystości katyńskich poprzez zorganizowanie odrębnego spotkania premiera D. Tuska z W. Putinem w Katyniu w dn. 7 kwietnia 2010 r. Rządy obu państw ponoszą odpowiedzialność za tę sytuację, która doprowadziła do tragedii smoleńskiej.” - w jakich kategoriach oceniać wówczas zasiadanie do debaty z Donaldem Tuskiem?

3. Nie można prowadzić partnerskiej rozmowy z człowiekiem, którego oskarża się o polityczną i moralną odpowiedzialność za tragedię smoleńską. *„Nie będę współpracował z nikim, kto był nie w porządku wobec mojego brata i innych poległych. Bo zachowania wobec nich były haniebne, one politycznie i moralnie wykluczają współpracę. Absolutnie wykluczam mój udział we współpracy do czasu jakiejś daleko posuniętej ekspiacji z ich strony.”* - powiedział Jarosław Kaczyński dwa dni po przegranych wyborach prezydenckich.

Debata z szefem PO byłaby zatem aktem politycznej schizofrenii i relatywizmu - całkowicie niezrozumiałym i nieakceptowanym przez ogromną rzeszę wyborców PiS-u. Przekaz płynący z takiego zdarzenia, nie tylko nie przyniósłby korzyści politykowi opozycji, ale zdecydowanie osłabił jego wizerunek człowieka o trwałych, moralnych zasadach.

Jeśli w wystąpieniach Jarosława Kaczyńskiego pojawia się zdecydowana zapowiedź wyjaśnienia prawdziwych okoliczności tragedii smoleńskiej i osądzenia winnych śmierci polskiej elity - czy prezes PiS ma prawo siadać do rozmów z człowiekiem, którego odpowiedzialność wydaje się bezsporna i który za lata swoich rządów może ponieść konsekwencje karne?

W tym kontekście pojawia się również problem powinności człowieka honorowego. Ten bowiem nie podejmuje polemiki ani dyskusji z kimś, kto nie zasługuje na miano godnego przeciwnika, kto posługuje się fałszem, zdradą i przemocą, a z własnego państwa uczynił folwark prywaty i obcego dominium. Ponieważ mamy dziś do czynienia z władzą totalną, wspartą na osłonie propagandy i grze służb specjalnych, walczącą z opozycją przy pomocy aparatu państwa - nie można w tej walce ulegać zwodniczym „regułom demokracji”, a tym bardziej rezygnować z jedynej broni ludzi uczciwych. Tą bronią jest moc słowa i nazywania rzeczy po imieniu - bez światłocieni i zabójczych kompromisów. Tylko tak możliwa jest walka z „bezszałtem” dławiącym Polskę. Zamiast z nim debatować i uwiarygodniać jego draństwa, trzeba uczynić go widocznym, nazwać prawdziwym imieniem i powalić w bezpośredniej bitwie.

25.08.2011 18:44 182

624, SAMOBÓJSTWA DOSKONAŁE

Przez historię XX wieku przewija się długa lista organizacji przestępczych, które na „zbrodni doskonałej” zbudowały fundamenty komunistycznego porządku: Grupa Jaszy, Wydział II NKWD, Zarząd IV, Wydział DR MGB, Wydział IX WGU, Departament XIII PGU, VIII Departament Zarządu „S” PGU, Grupa „D” MSW..... Zastępy koncesjonowanych morderców, „nieznani sprawcy”, specjaliści od eliminacji idealnej. Działający w systemie, który ze zbrodni uczynił rzecz banalną i powszechną.

Do dziś rosyjskie służby i ich filie w państwach bloku wschodniego stosują śmierć, jako narzędzie nacisku i kontroli. Zabójstwa przeciwników politycznych, niewyjaśnione zgony rywali czy samobójstwa niewygodnych świadków nikogo nie dziwią, a świat Zachodu ze zrozumieniem przyjmuje tę współczesną postać opróczyny. Na przestrzeni dziesięcioleci to piętno „zbrodni doskonałej” najpełniej wskazuje na przynależność do kręgu moskiewskiego dominium i wyznacza obszar wpływów kremlowskich suwerenów.

Piętno obcego elementu

III RP, której fundamenty zbudowano na zabójstwie księdza Jerzego Popiełuszki, przez ostatnie 20 lat doświadczyła również aktów takiej zbrodni. Jadwiga Popiełuszko, ksiądz Suchowolec, Niedzielak, Zych, Walerian Pańko, Michał Falzmann, Marek Karp, ale też Stanisław Trafalski, Piotr Jaroszewicz, Sylwester Kaliski, Jerzy Fonkiewicz, Tadeusz Steć, Ireneusz Sekuła, Jeremiasz Barański, to tylko najbardziej znane nazwiska ludzi, których dopadli specjaliści od eliminacji.

Od czasu dojścia do władzy płk Putina i przejęcia rządów przez grupę siłowników „eliminacja doskonała” stała się w Rosji nie tylko narzędziem umacniania wpływów ale również metodą rozwiązywania konfliktów. Obok zabójstw Litwinienki, Polittkowskiej, Estemirowej czy dziesiątków niewygodnych dziennikarzy, reżim Putina nie waha się sięgać po środki ostateczne również wobec własnych, niewygodnych funkcjonariuszy. Rozpętana przez Putina „wojna służb” przynosi każdego roku kolejne ofiary, które w oficjalnych statystykach figurują jako „akty samobójcze” i „nieszczęśliwe wypadki”. We wrześniu 2008 roku w katastrofie samolotu na Uralu zginął generał Giennadij Troszew - doradca Putina do spraw kozackich, zwolennik publicznych egzekucji Czeczenów. 21 czerwca 2009 w Moskwie, w niewyjaśnionych okolicznościach zginął gen. mjr Konstantin Petrow, a 23 listopada tego samego roku został otruty w kawiarni w Iżewsku pułkownik GRU Anton V. Surikow. W sierpniu 2010 „utopił się” generał - major Jurij Iwanow zastępca szefa Głównego Zarządu Wywiadu (GRU), zaś dwa miesiące później był szef Federalnej Służby Ochrony generał Wiktor Czerwizow wyszedł na klatkę schodową w swoim domu tylko po to, by strzelić sobie w głowę z pamiętkowego makarowa. Nie upłynął miesiąc, gdy w identyczny sposób rozstał się z życiem główny ekonomista Gazpromu, Siergiej Kljuka.

Przywołuję realia współczesnej Rosji, by wskazać, że po roku 2007 również w polskim życiu publicznym odciska się piętno „obcego elementu”. W logice działań grupy rządzącej można dostrzec wiele źródeł rosyjskich inspiracji, nawet wówczas, gdy wymóg zachowania fasadowej demokracji wymusza modyfikację metod.

Gdy przed kilkoma laty Wiktor Suworow ostrzegał: *„kiedy u was w tajemniczych okolicznościach zaczną ginąć dziennikarze, to będzie znak, że władza moskiewskich służb rozlewa się na Polskę”*, niewiele osób chciało wierzyć, że *„wtedy będzie za późno”*. I choć w III RP nie giną jeszcze niewygodni dziennikarze, nie sposób nie zauważyć, że okres obecnych rządów to czas, gdy śmierć „w niewyjaśnionych okolicznościach” zagroziła na stałe w naszej rzeczywistości. Oceniając kolejne, coraz liczniejsze przypadki, trudno zapomnieć o „złotej myśli” zabójców z KGB, którzy twierdzili, że *„Każdy głupiec potrafi popełnić morderstwo, ale trzeba być artystą by popełnić naturalną śmierć”*. W tym „artystycznym” pojęciu naturalnej śmierci zawiera się również akt samobójstwa, jako najbardziej dojrzała forma zbrodni doskonałej.

Polski korowód śmierci

Po 2007 roku mamy zatem do czynienia ze złowrogą sekwencją zdarzeń. Można ją dostrzec w sprawie zabójstwa Krzysztofa Olewnika, gdzie doszło do likwidowania niewygodnych świadków, aktów zastraszania, niszczenia dowodów oraz wielu innych zdarzeń wskazujących na poczucie bezkarności mocodawców tej zbrodni. Cena „złotego milczenia” wymagała sięgnięcia po tak dobrane środki, by wykrycie prawdziwych przyczyn zgonu stało się niemożliwe.

W kwietniu 2008 roku „samobójstwo” popełnił Sławomir Kościuk - jeden ze skazanych za zabójstwo Olewnika. W styczniu 2009 roku w celi więziennej w Sztumie w identyczny sposób doszło do „samobójstwa” drugiego ze sprawców, Roberta Pazika, a w lipcu na rozstanie z życiem zdecydował się strażnik więzienny, który pełnił dyżur w olsztyńskim więzieniu, gdy w celi powiesił się Wojciech .Franiewski - przywódca grupy porywaczy. Już jeden przypadek równie zdumiewających, desperackich czynów stanowiłby ostrzeżenie dla każdej praworządnej demokracji. W Polsce, ta potrójna, samobójcza sekwencja wywołała ledwie kilka lakonicznych komunikatów prokuratury, w których zapewniono społeczeństwo, że samobójstwa zatwardziały recydywistów należą do epizodów równie oczywistych, co incydentalnych.

W tej samej konwencji przedstawiono Polakom inne, tajemnicze wydarzenia.

19 stycznia 2009 roku w swoim domku letniskowym w Owczyglowach koło Obornik powiesiła się funkcjonariuszka ABW ppłk Barbara P. Choć zmarła zostawiła list pożegnalny do rodziny, przyczyny targnięcia na życie nie zostały wyjaśnione i podane do publicznej wiadomości. *„Barbara P. za rządów PiS zajmowała się najpoważniejszymi sprawami w ABW. Gdy do władzy doszła PO, oficer została odsunięta od śledztw”* - twierdził wówczas portal dziennik.pl. Kobieta w liście pożegnalnym oskarżyła obecne kierownictwo agencji o nagonkę oraz nękanie „w związku z pełnieniem ważnych funkcji w czasach PiS”.

13 kwietnia 2009 roku zaginął chorąży Służby Wywiadu Wojskowego Stefan Zielonka, służący w wojskowych służbach od 30 lat. Zielonka dysponował wiedzą o tajnikach łączności w NATO oraz miał dostęp do najściślejszych danych, m.in. wiadomości nadawanych z placówek zagranicznych do centrali. Wielomiesięczny teatr medialnych spekulacji i celowych dezinformacji zakończono wiadomością o rzekomym samobójstwie szyfranta i odnalezieniu jego zwłok w Wiśle. W kreacji scenariusza samobójstwa posunięto się tak daleko, że przy ciele mężczyzny wyłowionego z rzeki odnaleziono torbę z dokumentami, wśród których znajdować się miały m.in. wyciągi z kont bankowych na nazwisko Stefana Zielonki. Informacja ta była sprzeczna z treścią pierwszych doniesień po zaginięciu szyfranta, w których podkreślano, że Zielonka zabrał z domu różnego rodzaju rzeczy pamiątkowe, ale pozostawił wszystkie dokumenty. Przyczyny śmierci Stefana Zielonki nie zostały ustalone, a prokuratura nie potwierdziła, że żołnierz popełnił samobójstwo.

Kilka miesięcy później, 23 grudnia 2009 roku w niezwykle zagadkowych okolicznościach samobójstwo przez powieszenie popełnił Grzegorz Michniewicz - Dyrektor Generalny Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, członek Rady Nadzorczej PKN Orlen. Natychmiast po śmierci Michniewicza z internetu większość wiadomości i artykułów związanych z osobą samobójcy. Ponieważ operację w takim zakresie mogły przeprowadzić tylko służby ochrony państwa, zasadne wydaje się pytanie: jakie informacje i przed kim starano się ukryć? Na temat śmierci Michniewicza pojawiły się liczne hipotezy. Po 10 kwietnia 2010 roku zwracano uwagę, że w dniu domniemanego samobójstwa do Polski wrócił remontowany w rosyjskiej Samarze Tu-154M nr 101, który potem uległ katastrofie pod Smoleńskiem, a śmierć urzędnika może mieć związek z organizacją wizyty prezydenta Kaczyńskiego w Katyniu. Również postępowanie prokuratury wzbudziło zasadne wątpliwości. W śledztwie nie sprawdzono bilingów rozmów Michniewicza. Nie zbadano także uwarunkowań zawodowych urzędnika, z których wynikało, że miał on dostęp do tajnych informacji w kancelarii Donalda Tuska. Lekarz dokonujący sekcji zwłok nie określił nawet godziny zgonu Michniewicza, zaś prokuratura nie odtworzyła przebiegu ostatnich godzin z życia rzekomego samobójcy. Prokurator uznał, że nie doszło do ingerencji osób trzecich, a śledztwo szybko zakończono.

12 czerwca 2011 roku samobójstwo przez powieszenie popełnił oficer Służby Kontrwywiadu Wojskowego, służący w Centrum Wsparcia Teleinformatycznego i Dowodzenia Marynarki Wojennej w Wejherowie. Centrum jest jednostką zabezpieczenia operacyjnego i odpowiada za całokształt przedsięwzięć związanych z funkcjonowaniem systemów łączności i informatyki

Marynarki Wojennej. Żołnierz posiadał najwyższą klauzulę dostępu do materiałów niejawnych. Samobójstwo oficera SKW miało nastąpić po godzinach służbowych i poza miejscem wykonywania obowiązków.

5 sierpnia br. w siedzibie Samoobrony w Warszawie znaleziono zwłoki byłego wicepremiera Andrzeja Leppera. Zdaniem policji i prokuratury, Lepper miał popełnić samobójstwo przez powieszenie. Taką wersję podano natychmiast po ujawnieniu zdarzenia, sugerując jednocześnie, że przyczyną samobójstwa miały być problemy finansowe zmarłego. Dwa dni później redaktor naczelny „Gazety Polskiej” Tomasz Sakiewicz zgłosił się do prokuratury, by przekazać dowody wskazujące, że Andrzej Lepper chciał potwierdzić zeznania Jarosława Kaczyńskiego ws. afery gruntowej oraz że obawiał się o swoje życie. Sekcję zwłok rzekomego samobójcy przeprowadzono z trzydniowym opóźnieniem, nie stwierdzając „obrażeń, które wskazywałyby na udział osób trzecich”. Lepper jako były wicepremier miał dostęp do wielu informacji niejawnych, był również ważnym świadkiem w sprawach prokuratorskich i sądowych.

Mord - przemilczana codzienność?

Wszystkie wskazane powyżej zdarzenia łączą dwie zasadnicze cechy. Po pierwsze, dotyczą osób, które z racji swojej pracy zawodowej lub zajmowanego stanowiska posiadały unikalną, tajną wiedzę. W każdym przypadku były to informacje dotyczące bezpieczeństwa państwa lub spraw związanych z działalnością ośrodków władzy i najwyższych rangą decydentów. Depozyt takiej wiedzy stanowił o wyjątkowej pozycji zmarłych osób, ale niósł również realne zagrożenia dla ich osobistego bezpieczeństwa

Drugim wspólnym wyróżnikiem są niejasne okoliczności, w jakich miało dojść do samobójstw, brak istotnych ustaleń oraz charakterystyczne działania organów śledczych. W każdej ze spraw niemal natychmiast przyjęto wersję o śmierci samobójczej, choć późniejsze informacje ujawniały błędy lub zaniechania prokuratury i służb.

Można oczywiście zakładać, że spektakularne samobójstwa dokonywane przez najwyższych urzędników państwowych i oficerów służb specjalnych stanowią zaledwie ciąg przypadkowych incydentów, nie mających związku z sytuacją, w jakiej znalazła się Polska po roku 2007. Można zakładać, że służby ochrony państwa działają wzorowo, a III RP stanowi oazę, wolną od ingerencji obcych mocarstw, wewnętrznych konfliktów i walk grup interesów.

Wolno również sądzić, że brak kontroli nad służbami, poszerzanie ich uprawnień oraz wprowadzanie represyjnych ustaw, nie dowodzi inspiracji putinowskim modelem władzy i nie ma związku z polityką „pojednania” zawartego nad grobami ofiar Smoleńska.

Taka wiara cechuje jednak osoby żyjące w ahistorycznej amnezji, które z tchórzostwa lub wyrachowania rezygnują z daru samodzielnego myślenia i zadowalają się medialnym schematem interpretacji zdarzeń.

Tymczasem w każdym państwie tak niezwyklej sekwencja aktów samobójczych musiałaby wzbudzić reakcje organów władzy, wywołać niepokój społeczeństwa i prowokować dziesiątki zasadnych pytań. Nie przypadkiem wskazuję w tym kontekście na realia rosyjskie, bo tylko tam „doskonałe samobójstwa”, a nawet mordy polityczne stanowią przemilczaną codzienność i tylko tamtejsze społeczeństwo potrafi przyjąć je jako zdarzenia naturalne. Jeśli takie postawy zaczną dominować również wśród Polaków, nie musimy czekać innych znaków, by już dziś wiedzieć, że „władza moskiewskich służb rozlewa się na Polskę”.

28.08.2011 21:05 128

625. UDUSZENI WOLNOŚCIĄ

Gdyby zapytać dziennikarzy tzw. wiodących mediów: czy czują się dziś zniewoleni, obrzuciliby nas pogardliwym spojrzeniem, uznali za oszołomów i pisowskich szaleńców. Zapewne wielu z nich podobnie zareagowało na noworoczne życzenia Jarosława Kaczyńskiego z 2007 roku, gdy były premier życzył dziennikarzom „*przede wszystkim tego, czym powinni oddychać i jestem przekonany, że oddychają - czyli wolności, jak najwięcej wolności w 2008 roku. To służy dobremu wypełnianiu misji bardzo ważnej, ogromnie wpływowej*”.

Wierzę tym ludziom. Wierzę, że ten rząd i to państwo zapewnia dziennikarzom upragnione poczucie wolności. Pozwala im na upojenie mianem „czwartej władzy” i poznanie tajników „inżynierii dusz”. Wierzę tym ludziom, ponieważ opierają swoje przekonanie na świadomości bycia po właściwej stronie i uczestnictwa w dealektowaniu się technologią kłamstwa.

Z tym przekonaniem żyli w latach komunizmu, mając pewność, że bycie po stronie „pana” zapewni im nie tylko dochody i profity ale obdarzy również poczuciem wyższości wynikającym z roli małych demiurgów postępujących wokół pańskiego stołu.. Ilu z nich mogłoby doświadczyć podobnych rozkoszy, gdyby droga kariery była uzależniona od zdolności intelektu lub sprawności pióra?

„W komunizmie dziennikarz-publicysta miał być lepiej wiedzącym i dalej widzącym „ojcem narodu”, wieść go jak pasterz ku jedynie słusznej przyszłości.” - pisał przed laty towarzysz Jerzy Surdykowski, a Dariusz Fikus, w książce o stanie wojennym przypominał: „Dobór w tym zawodzie polegał na selekcji ujemnej. Kariery robili szybko ludzie bezmyślni i posłuszni. Dziennikarze należeli do tej grupy społecznej, która dość obficie czerpała z dobrodziejstw „budowania drugiej Polski”. (...) Pętając się wokół władzy, pełnymi rękami zagarniali to, co z tego obficie w owych latach zaopatrzonego stołu spadało.”

Trzeba przyznać się do własnej głupoty, jeśli po roku 1989 sądziliśmy, że „nowe państwo” zbudowane na sojuszu bandyty i cwaniaka, pozwoli ludziom mediów pozbyć się pęt niewolnictwa i odrzucić służebną dialektykę. A oni sami - po co mieliby to czynić, skoro obrana po 1989 r. idea ciągłości wymagała włączenia w nowy ustrój kolaborantów i gloryfikowała mentalność niewolników? Mając do wyboru kamienistą ścieżkę rzeczników społeczeństwa i szeroki gościniec przywilejów władzy - co innego mogli uczynić mali demiurgowie, jak nie podążyć za głosem „pana”?

Wierzę zatem, że obecna władza daje dziennikarzom bezkresne poczucie wolności i stanowi dla nich wcielenie ideału heglowskiej „dialektyki panowania i służebności”. Ponieważ cała strategia rządzenia partii Tuska opiera się na utrzymaniu dodatniego, medialnego wizerunku i jest zależna od efektów propagandowych - ten rząd dopuścił dziennikarzy do stołu obfitości i na nowo pozwolił rozkoszować się uczestnictwem w totalnym kłamstwie. Wystarczy, by uznając wyższość „pana” podporządkowali mu swoje aspiracje i oczekiwania.

Tych, którzy nie skorzystali z propozycji udziału w „rządzie dusz” i wykazywali skłonności do walki skazano na marginalizację lub skierowano do nich agentów ABW. Do pozostałych przewencyjne pouczenia wygłosił główny reżyser afery marszałkowej Bronisław Komorowski, gdy we wrześniu 2008 roku, stwierdził: „Ja bym sugerował dużą wstrzeźliwość w okazywaniu solidarności zawodowej dziennikarskiej” i powtórzył ten apel kilka miesięcy później: „Ja uważam, że tutaj jest jakaś głęboka przesada w okazywaniu solidarności korporacyjnej przez niektórych... a może środowiskowej”. Środowisko, pomne przykładu Sumlińskiego, musiało zapamiętać, że „przesada w okazywaniu solidarności korporacyjnej” może się również zakończyć „wsadzaniem do aresztu”.

Możemy sobie rościć, że dziennikarskim obowiązkiem jest opisywanie rzeczywistości, szczególnie tej, którą ludzie władzy chcieliby ukryć przed wzrokiem Polaków. Możemy utrzymywać, że obowiązek publicysty polega na stawianiu władzy trudnych pytań i ujawnianiu mechanizmów jej funkcjonowania. Wolno nam nawet sądzić, że istnieją standardy demokracji wyznaczające mediom rolę niezależnego arbitra i rzecznika interesów społeczeństwa.

Jednak to nie my i nie wciąż pauperyzowane społeczeństwo wyznaczamy granice dziennikarskich wolności. Ludziom oddanym w służbę wokół „pańskiego” stołu, nie mamy nic do zaproponowania, prócz kilku staroświeckich zasad i nudnych moralitetów. Oni wiedzą, że tylko wierne uczestnictwo w teatrze mimów zapewni im przetrwanie i pozwoli korzystać z nienależnej roli „autorytetów” i „władców dusz”. Bez „pana” i jego atrybutów władzy, byłiby wciąż skazani na poszukiwanie życiowej roli. W poczuciu misji kreatorów rzeczywistości, którą gwarantuje im obecny układ, odgrywają swoje żałosne role wirtualnych zwycięzców.

Przed kilkoma laty, w jednym z tekstów przypominałem słowa Józefa Tischner z ważnej książki „Spowiedź rewolucjonisty” w której autor zawarł przemyślenia dotyczące heglowskiej „Fenomenologii ducha”.

„Nie ma bardziej niebezpiecznej sytuacji dla człowieka — pisał Tischner — niż sytuacja pana-zwycięzcy. Oto we wnętrzu świadomości pana gnieździ się iluzja. Są przekonani, że są panami. Nie byłiby jednak panami, gdyby nie masy niewolników, którzy ich za panów uznali.”

Kim zatem są owe „masy niewolników” sankcjonujące fałszywą dialektykę i na kim opiera się glinianą potęgą „czwartej władzy”? To dzięki nim funkcjonuje załgany układ, w którym byle ćwierćinteligent uzurpuje sobie pozycję mędrca, a zakompleksiony żurnalista sili się na pozę wojownika. Tylko dlatego możliwe są występy bełkocących „analityków” i partyjne agitki miernot, odznaczonych przez rasę „panów” za „wybitne zasługi dla rozwoju niezależnego dziennikarstwa”.

„Nie byłoby jednak panami, gdyby nie masy niewolników, którzy ich za panów uznali”. Trzeba tę prawdę wybić wielkimi literami i rzucać w twarz wszystkim, którzy sami konserwują zabójczą dla wolności dialektykę. Komu rzesze dziennikarskich wyrobników zawdzięczają dziś swoją nienależną pozycję, jeśli nie tym, którzy ślepi i głusi na prawdę obdarzają ich zainteresowaniem lub chcą w nich postrzegać rzeczników naszych interesów?

Na nas spada odpowiedzialność za urojenia witkiewiczowskich Puczymordów, którym marzą się „papawerdy zakrapiane obliworyjnymi fałrami” i nie ma większego upodlenia, niż przynależność do „masy niewolników” podtrzymujących małych demiurgów w przeświadczeniu o wyjątkowości.

31.08.2011 18:46 190

„Mamy kolejny *”Raport Macierewicza”*, tym razem na temat katastrofy smoleńskiej. Wierny harcownik Kaczyńskiego ponownie wkroczył do akcji i przy pomocy sprawdzonych, skutecznych metod sęczy do głów Polaków to, co stanowi istotę bytu politycznego PiS-u, jad nienawiści zakamuflowany miłością do ojczyzny. [...] Szokuje wszystkich prawdą objawioną, prezentując mieszaninę faktów i mitów i wyciągając z tej papki niewiarygodne wnioski, zawsze jednak służące konkretnemu celowi. Tym razem ma udowodnić, że katastrofa była zamachem i do tego z dużym prawdopodobieństwem udziału ekipy rządzącej.” Ta opinia anonimowego autora ze stowarzyszenia „SOWA”, zrzeszającego byłych oficerów WSI doskonale odzwierciedla rodzaj retoryki stosowanej przez media w odniesieniu do Białej Księgi parlamentarnego zespołu PiS.

Jak należało się spodziewać, publikacja Białej Księgi została przyjęta przez rządowe media w zgodzie z podstawową zasadą propagandy, która mówi, że gdy nie da się o pewnych sprawach skutecznie kłamać, tak - by zachować przynajmniej pozory prawdy - rozwiązaniem staje się wówczas przemilczenie. Zgodnie przemilczano zatem 19 niezwykle ważnych wniosków zawartych w dokumencie, a reakcję ograniczono do wyświechtanych dywagacji o „fobiach i frustracjach Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza”.

Ponieważ rosyjskie „czynniki oficjalne” odmówiły komentowania dowodów zawartych w Księdze, identycznie postąpili „polscy przyjaciele” uchylając się od rzeczowych komentarzy i wyjaśnień, a poprzestając na knajackich złośliwościach.

Za tą symulowaną ignorancją skrywa się jednak potężny lęk grupy rządzącej. Ludzie odpowiedzialni za doprowadzenie do tragedii smoleńskiej zdają sobie sprawę, że ujawnienie końcowych tez raportu parlamentarnego zespołu PiS może zasadniczo zmienić obecną sytuację i będzie miało wpływ na wynik wyborów parlamentarnych. Już tezy zawarte w Białej Księdze wskazywały wyraźnie na odpowiedzialność polityczną rządu Donalda Tuska w kwestiach związanych z przygotowaniem do prezydenckiej wizyty w Katyniu, a w punkcie 18 przynosiły stwierdzenie o w pełni świadomym współdziałaniu przedstawicieli polskiego rządu z władzami Federacji Rosyjskiej na szkodę polskiego śledztwa, w celu uniemożliwienia dojścia do prawdy. Raport końcowy komisji PiS-u, będzie zatem faktycznym aktem oskarżenia wobec grupy rządzącej i przyniesie Polakom wiedzę o przyczynach katastrofy oraz mechanizmach, które doprowadziły do narodowej tragedii.

O lęku grupy rządzącej, świadczy cały szereg działań podejmowanych nie tylko przez organy państwa ale przez środowiska związane z obecnym układem.

Toteż od wielu miesięcy wśród byłych oficerów WSI prowadzona jest akcja skierowana bezpośrednio przeciwko Antoniemu Macierewiczowi. Mamy do czynienia z podważeniem procesu weryfikacji WSI, żądaniem postawienia przed sądem osób dokonujących weryfikacji (liczne zawiadomienia o rzekomych przestępstwach członków Komisji Weryfikacyjnej) oraz postulatem sporządzenia nowego kontr - raportu, w którym działalność formacji zostanie przedstawiona zgodnie z wołą „pokrzywdzonych”. W tę ofensywę wpisany jest plan zdyskredytowania Antoniego Macierewicza i współpracujących z nim osób, z których wiele uczestniczy dziś w pracach parlamentarnej komisji w sprawie tragedii smoleńskiej. Istnieje zamiar, by do tego celu wykorzystać również materiały Komisji Weryfikacyjnej WSI, „odzyskane” przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego z Kancelarii Lecha Kaczyńskiego. Chodzi o akta, które w listopadzie 2007 r., tuż przed przejęciem władzy przez obecną koalicję zostały przewiezione z siedziby SKW do prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego i służyły pracom nad aneksem do Raportu z Weryfikacji WSI.

Materiały te są obecnie analizowane przez SKW pod kątem nieprawidłowości w pracach Komisji. W lutym ub.r. gen. Marek Dukaczewski sugerował, że „Komisja mogła szukać haków na trzech byłych szefów MON - a dziś kandydatów na prezydenta - Bronisława Komorowskiego, Radosława Sikorskiego i Jerzego Szmajdzińskiego” oraz informował, że „Macierewicz w rozmowach w cztery oczy z oficerami szukał negatywnych informacji o Sikorskim i Szmajdzińskim.” Warto pamiętać, że śledztwo prokuratorskie wszczęte na wniosek stowarzyszenia „SOWA” i grupy dziewięciu oficerów WSI ma zakończyć się do 5 października 2011 roku.. Gdyby w tym czasie prokuratura postawiła Antoniemu Macierewiczowi zarzuty karne, zostanie to natychmiast wykorzystane przez rządową propagandę dla podważenia raportu sejmowego zespołu PiS i posłuży jako pretekst do ataku na partię opozycyjną. W tym samym kierunku zdają się zdyżać inne działania prokuratury wojskowej, która bada obecnie czy zespół parlamentarny nie złamał prawa prezentując Białą Księgę. Nie można wykluczyć postawienia zarzutów Antoniemu Macierewiczowi i wykorzystania prokuratury i sądów do walki politycznej. Z pewnością uderzenie w szefa zespołu koresponduje z politycznym zapotrzebowaniem grupy rządzącej, a ponieważ nie ma możliwości skutecznego zablokowania jego prac, a tym bardziej odwołania zeń Macierewicza podejmowane są próby zdyskredytowania niewygodnego polityka.

Część tej planowej akcji rozgrywa się również w sieci internetowej, a dotyczy głównie tych obszarów aktywności, gdzie toczy się tzw. śledztwo blogerskie. Ponieważ blogi są dziś jedynym miejscem, gdzie prowadzi się dyskusję o tragedii smoleńskiej i rozważa jej przyczyny, stały się również obiektem zainteresowania specjalistów od manipulacji i dezinformacji. Wprawdzie po 10 kwietnia pojawiła się wręcz niezliczona ilość publikacji internetowych na temat Smoleńska, można przyjąć, że zdecydowaną większość analiz, spekulacji i hipotez rozpowszechniano w ramach kampanii dezinformacji, a za autorami tych dzieł stali ludzie służb lub osoby związane z obecnym układem rządzącym. Przy czym - im bardziej absurdalna wydawała się hipoteza, tym mocniej była nagłaśniana i znajdowała rzesze internetowych rezonatorów. Świadczyło to nie tylko o intencji kierowania śledztw blogerskich na ślepe tory, ale także o zamiarze podważenia sensu samodzielnych poszukiwań.

Od kilku tygodni jesteśmy natomiast świadkami pojawienia się publikacji, których autorzy w sposób bezpośredni atakują przewodniczącego zespołu PiS i usilnie kontestują dotychczasowe ustalenia parlamentarzystów. Szczególny nacisk

położony jest na podważenie twierdzeń, iż przyczyną katastrofy smoleńskiej były "dwa wielkie wstrząsy" zarejestrowane przez urządzenia pokładowe i następująca po nich awaria systemu zasilania samolotu.

Autorzy tych publikacji zarzucają zespołowi parlamentarnemu, jakoby opierał swoje ustalenia na materiałach udostępnionych przez Rosję oraz sporządzonych na tej podstawie ekspertyzach, wykonanych w Redmond w USA. Odmawiając wiarygodności tych ustaleń i odrzucając twierdzenie o zablokowaniu systemów pokładowych samolotu na wysokości kilkunastu metrów nad ziemią, autorzy najczęściej przeciwstawiają jej hipotezę o „wielkiej mistyfikacji” jaka miała się dokonać na lotnisku w Smoleńsku. Niezależnie od argumentacji technicznej stosowanej w tych publikacjach, ich podstawowa cecha polega na oskarżaniu Antoniego Macierewicza o wprowadzanie w błąd opinii publicznej i narażaniu PiS-u na kompromitację. Insynuuje się również, że przewodniczący komisji działa z pobudek politycznych i dąży głównie do wypromowania własnej osoby. Troska autorów ma zatem wynikać z dbałości o prawdę i interesy partii opozycyjnej, a osoby te występują z pozycji zatroskanych „prawicowców” i zwolenników PiS-u. Podkreśla się przy tym, że wprawdzie Biała Księga zawiera trafne wnioski polityczne, jednak w zakresie przyczyn katastrofy formułuje błędne oceny.

Nietrudno dostrzec, że w tym przypadku mamy do czynienia z działaniem wyprzedzającym skutki ujawnienia końcowego raportu, ponieważ Biała Księga jedynie w ostatnim 19 wniosku informuje, iż *„upadek Tu-154 M nr 101 na ziemię był konsekwencją wydarzeń, które rozegrały się 15 metrów nad ziemią”* i nie zawiera szczegółowej argumentacji odnośnie hipotezy „dwóch wielkich wstrząsów”. Wiemy natomiast, że zapowiadany na początek września końcowy raport zespołu parlamentarnego ma przynieść wyjaśnienie przyczyn katastrofy oraz konkluzję wynikającą z badań urządzeń pokładowych.

Podważanie końcowych ustaleń zespołu przed opublikowaniem raportu stanowi więc klasyczny rodzaj prewencji propagandowej i wskazuje na intencje autorów owych publikacji. Wybór zarzutu, którego prawdziwości nie sposób dziś jeszcze zweryfikować, ma prowadzić do zdezawuowania całości prac zespołu, a wyprowadzany z rzekomej „argumentacji technicznej” bezpośredni atak na osobę przewodniczącego, obnaża prawdziwy cel tych zabiegów. Dodatkowa korzyść takich działań polega na dezintegracji i skłóceniu środowiska blogosfery, wywołaniu chaosu myślowego i podważeniu zaufania do opozycji.

W cytowanym na początku tekście autor „SOWY”, kojarzy Raport z Weryfikacji WSI z raportem zespołu parlamentarnego PiS i zadaje istotne pytanie. Możemy przeczytać: *„Mieszanina faktów i kłamstw oraz zarzutów o zbrodniczą działalność miała już miejsce wcześniej, w Raporcie Macierewicza dot. WSI.[...] Ta sama metoda działania z nadzieją na kolejny sukces. Przecież już raz się udało. Z lekcji historii należy jednak wyciągać wnioski. Drugi raz się nie damy nabrać. A może jednak ???”*

Podążając tropem takich skojarzeń można zauważyć, że istnieje ścisła relacja między obecnymi działaniami w sieci i prewencją propagandową, a metodą zastosowaną w latach 2006-2007 dla dyskredytowania Raportu z Weryfikacji WSI. Obrzucenie epitetami, rozliczne insynuacje i pomówienia oraz medialny atak na osobę Antoniego Macierewicza miał wówczas sprawić, że wszystkie tezy kilkusetstronicowego dokumentu Komisji Weryfikacyjnej zostaną przez społeczeństwo zignorowane, a jego treść ośmieszona. Z tamtej, udanej lekcji wyciągnięto właściwe wnioski i ponownie zastosowano identyczny mechanizm, licząc, że nadal nie potrafimy odpowiedzieć na proste pytanie.

WRZESIEŃ 2011

02.09.2011 20:02 4

627. ROBESPIERRE OD TAJEMNIC

Oceniając powołanie w roku 2008 Centrum Antyterrorystycznego ABW (CAT) trudno nie odnieść wrażenia, że projekt ten mógł być autorskim pomysłem szefa Agencji i stanowił w istocie kontynuację zamysłu, który przewijał się przez całą karierę Krzysztofa Bondaryka. Gdy cofnąć się w czasie o kilkanaście lat doskonale widać, że główne predyspozycje dzisiejszego szefa ABW polegały na skłonnościach do gromadzenia poufnych informacji o osobach życia publicznego i tworzeniu baz danych, które można było wykorzystać w walce politycznej.

Po wyborach parlamentarnych 1997 roku Krzysztof Bondaryk z rekomendacji Wojciecha Brochwicza został dyrektorem Departamentu Nadzoru i Kontroli MSWiA, a następnie wiceministrem odpowiedzialnym m. in. za wprowadzenie ustawy o ochronie informacji niejawnych i Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej. Szefem ministerstwa był wówczas Janusz Tomaszewski. Jak pisał Jarosław Kurski: *„Pełny dostęp do Tomaszewskiego ma tylko wąska grupa ludzi z gabinetu politycznego i minister Bondaryk. Kto ministra ukierunkowuje i szepcze mu do ucha? Na pewno ogromny wpływ ma na niego Bondaryk. [...] Mówi się o nim, że to typ psychologiczny Robespierre'a: "Ja jestem miarą moralności politycznej". Ofiara klasycznego dylematu rewolucjonistów. Cele świetlane, narzędzia - wątpliwe. Z czasem narzędzia stają się celem”*.

Stanowisko powierzone Bondarykowi okazało się na miarę oczekiwań ambitnego urzędnika.

W tym okresie powstał bowiem projekt budowy super bazy danych. Zgodnie z zamysłem Bondaryka - Wojskowe Służby Informacyjne, Urząd Ochrony Państwa, a także Policja, Straż Graniczna, Główny Inspektorat Celny i Inspekcja Skarbowa miały przekazywać do utworzonego w tym celu Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej (KCIK) wszelkie informacje

operacyjne. Centrum powołane 1 grudnia 1998 roku miało koordynować pracę wszystkich służb zwalczających przestępczość zorganizowaną i stać się ośrodkiem podejmowania decyzji operacyjnych z centralną bazą danych, którą mieli zarządzać operatorzy podlegli bezpośrednio Bondarykowi. To w KCIK-u miało decydować - kto się kim zajmuje i kto kogo rozpracowuje. Zarządzający tą bazą Bondaryk miałby wówczas nieograniczony dostęp do informacji i wpływ na działania wszystkich służb specjalnych. Sejm jednak odrzucił ten projekt. Nie przeszkodziło to Bondarykowi w dalszym gromadzeniu informacji i kontynuowaniu tworzenia Centrum. W ministerstwie nikt nie robił tajemnicy z faktu, że wiceminister stworzył załączek bazy danych. Miał osobny rejestr podsłuchów założonych przez Policję i Straż Graniczną oraz materiały dotyczące działań operacyjnych służb. Zainteresował się również aktami pozostawionymi przez MO i SB.

Chodziło o tzw. „różowe teczki” - czyli zbiór ok. 11 tysięcy akt osobowych osób o skłonnościach homoseksualnych, zgromadzonych w archiwach Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej, w katalogu „Hiacynt”. O zniszczenie tych akt zwracały się do kolejnych ministrów spraw wewnętrznych różne osoby i organizacje broniące praw człowieka, otrzymując zawsze informacje jakoby kartoteki zostały już zniszczone. Akta „Hiacynt” zawierały głównie materiały z lat 1985-87 kompromitujące ludzi z ówczesnych środowisk opozycji.

W połowie 1999 roku media ujawniły, że Janusz Tomaszewski i podlegli mu urzędnicy próbują gromadzić informacje o charakterze obyczajowym, m.in. o osobach sprawujących funkcje publiczne. Trzeba pamiętać, że Bondaryk, prócz tworzenia KCIK szefował Zespołowi ds. Współpracy z Biurem Rzecznika Interesu Publicznego, przekazując sędziemu Bogusławowi Nizieńskiemu materiały świadczące o współpracy lustrowanego z SB. Według mediów, a także niektórych posłów istniała obawa, że zbiera w ten sposób zdeponowane w Centralnym Archiwum MSW materiały „obyczajowe”, w tym dotyczące orientacji seksualnej - zbędne w pracy Policji i w procedurze lustracyjnej, ale przydatne w rozgrywkach politycznych. W obronie Bondaryka wystąpił wtedy Jan Maria Rokita, ówczesny szef Sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych:

„To, że MSWiA gromadzi informacje z milicyjnych archiwaliów, jakieś kartoteki z operacji „Hiacynt”, to piramidalne brednie. (...) Całą sprawę wyolbrzymiono, podobnie jak dobrą ideę powołania Krajowego Centrum Informacji Kryminalnych. Pod wpływem tych plotek część ludzi uległa psychozie. Sugestia jest tak silna, że kiedy wygłosiłem taką opinię wobec jednego z poważnych polityków, odpartł, że być może na mnie także Bondaryk i Tomaszewski mają jakiegoś haka”.

Sam Bondaryk w odpowiedzi na prasowe zarzuty napisał wówczas do „Gazety Wyborczej” obszerne dementi, zatytułowane „Gromadzimy, nie śledzimy”. Twierdził m.in.: *„Oświadczam stanowczo, iż resort spraw wewnętrznych i administracji nie dysponuje takim zbiorem danych. „Hiacynt” po prostu nie istnieje. Chyba że w wyobraźni autora artykułu”.* Dziś wiemy, że prawda wyglądała inaczej.

W roku 2004 okazało się, że akta „Hiacynt” istnieją i zostały przekazane do Instytutu Pamięci Narodowej. Pytany o nie prezes Leon Kieres stwierdził, że akta znajdują się pod jego pieczęcią, ale *„są rozproszone w archiwach IPN. Znajdują się w dokumentach dotyczących różnych innych spraw z okresu PRL”.* Obecnie wiadomo, że w IPN znalazła się tylko część zbioru „Hiacynt”. Materiały z tej kartoteki znajdują się również w Archiwum Komendy Głównej Policji.

Dlaczego Krzysztof Bondaryk interesował się tym zasobem? Być może odpowiedzi należy szukać w sprawie tzw. „grupy Lesiaka”. W roku 1992 w Biurze Studiów i Analiz UOP powstała instrukcja 0015. Wydał ją ówczesny dyrektor Biura Analiz i Informacji Piotr Niemczyk - późniejszy doradca Komisji ds. Służb Specjalnych z rekomendacji Platformy Obywatelskiej, a obecnie szef firmy Niemczyk i Wspólnicy Ochrona Inwestycji i członek rady konsultacyjnej przy ABW. W oparciu o tę instrukcję powstał zespół pułkownika Jana Lesiaka, który w 1993 roku opracował plany działań operacyjnych UOP. Ich elementem miała być inwigilacja przywódców antywałęsowskiej prawicy. Zamierzano ich kompromitować m.in. przy pomocy tajnych agentów UOP ulokowanych w środowiskach prawniczych. Do zespołu Lesiaka wchodzić mieli zarówno byli oficerowie SB, jak i ludzie z nowego naboru UOP. Szefem Urzędu był wówczas generał Gromosław Czempiński - oficer prowadzący Andrzeja Olechowskiego (TW Must) - jeden z faktycznych założycieli i ludzi ścisłego zaplecza PO. Grupa Lesiaka prowadziła swoje działania w latach 1991-1997, między innymi wobec Jarosława i Lecha Kaczyńskich, Jana Olszewskiego i Antoniego Macierewicza. Materiały sprawy inwigilacji znaleziono w tzw. szafie Lesiaka. W procesie Lesiaka, do którego doszło w roku 2006 prokuratura zarzuciła mu przekroczenie uprawnień w latach 1991-1997, m.in. przez stosowanie „technik operacyjnych” i „źródeł osobowych” wobec legalnie działających ugrupowań. Gdy w roku 1997 Wojciech Brochwicz - Raduchowski został wiceministrem MSWiA w rządzie Jerzego Buzka, mianował swoim doradcą Andrzeja Dunajko - oficera UOP działającego wcześniej w zespole płk. Lesiaka.

Niewykluczone zatem, że zainteresowanie Krzysztofa Bondaryka materiałami z archiwum „Hiacynt” miało związek z zamiarem kontynuacji działalności „grupy Lesiaka” i użycia ich w walce politycznej. W roku 1999 Jarosław Kaczyński poinformował opinię publiczną, że służby specjalne III RP próbowały wykorzystywać plotki i sugestie na temat domniemanego homoseksualizmu polityków. Mógłby na to wskazywać fakt, że w ujawnionych w październiku 2006 roku materiałach z „szafy Lesiaka”, znalazły się zalecenia dotyczące spraw obyczajowych. Dotyczyły one Jarosława Kaczyńskiego. W notatce z maja 1993 roku zalecano sprawdzić m.in.:

„Życie intymne, czy jest homoseksualistą, jeżeli tak, to z kim jest w parze, czy jest to związek trwały. Dane kobiety, przez którą J.K. zrezygnował z małżeństwa, co teraz ona robi, czy jest zamężna, czy utrzymuje z nią sporadyczne kontakty, czy jest prawdą, że łączyło ich uczucie, czy tylko uzasadnienie dla inności seksualnej.”

Warto pamiętać, że gdy inspirowana przez Belweder grupa Lesiaka rozpowszechniała plotki na temat rzekomego homoseksualizmu Kaczyńskiego, Wałęsa zapraszał do Belwederu *"Lecha z żoną i Jarka z mężem"*.

Bondaryk nie cieszył się długo majstrowaniem przy KCIK i dostępem do archiwum „Hiacynt”. We wrześniu 1999 roku został z powodu tych skłonności zdymisjonowany z rządu Jerzego Buzka - ponownie w atmosferze medialnego skandalu.

Gdy kilkanaście lat później powstawało Centrum Antyterrorystyczne wśród podstawowych celów nowej struktury wymieniano zbieranie wszelkich informacji o ewentualnych zagrożeniach terrorystycznych oraz koordynowanie działań poszczególnych służb. Argument o zagrożeniu terrorystycznym, jest do lat używany przez grupę rządzącą do systematycznego poszerzania uprawnień służby Bondaryka i stanowi klasyczny termin - wytrych, ułatwiający forsowanie rozwiązań legislacyjnych korzystnych dla obecnego układu.

W listopadzie 2008 roku Donald Tusk odwiedzając CAT zapewniał, że *„priorytetem Centrum Antyterrorystycznego jest ochrona państwa, władz, ale w pierwszym rzędzie polskich obywateli w Polsce i poza granicami naszego kraju”* Szef rządu podkreślał również, że *„zadaniem Centrum nie jest polityka i publicystyka, ale gromadzenie i analiza faktów, pod kątem zagrożenia.”*

Tymczasem pierwszym, pisemnym dziełem CAT był sporządzony pod wyraźną polityczną tezę osławiony *„raport w sprawie incydentu gruzińskiego”*. Treść owego raportu ujawniła w listopadzie 2008 roku jednak z gazet. ABW uznało w nim, że strzały w pobliżu samochodu, którym jechał prezydent Kaczyński były gruzińską prowokacją i twierdziło, że najpewniej to sami Gruzini wyreżyserowali incydent z udziałem polskiego prezydenta. Agencja doszła do wniosku, że *„teatr na granicy”* służył wzmocnieniu pozycji gruzińskiego przywódcy. Opinie zawarte w dokumencie pokrywały się z oficjalnym stanowiskiem władz Federacji Rosyjskiej oraz opinią ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego i stanowiły wręcz amatorską kompilację doniesień prasowych.

W tym samym czasie, dane Lecha Kaczyńskiego wprowadzono do tajnej Bazy Wiedzy Operacyjnej CAT ABW. Od tej chwili wobec głowy państwa można było stosować wszelkie rodzaje inwigilacji, w tym podsłuch. Ponieważ tego rodzaju rejestracja (poza wiedzą osoby zabezpieczanej) oraz gromadzenie poufnych informacji pochodzących m.in. z podsłuchu, nie mają nic wspólnego z tzw. zabezpieczeniem antyterrorystycznym - w działaniach ABW nietrudno rozpoznać tę samą ideę, która przyświecała powołaniu „grupy Lesiaka” i tworzeniu bazy danych na temat przeciwników politycznych.

04.09.2011 21:00 214

628. ŻADNYCH DEBAT CZYLI O „DZIENNIKARSKOŚCI”

Jarosław Kaczyński musiałby mieć wyjątkowo krótką pamięć, gdyby wyraził zgodę na propozycję zorganizowania debaty przez Igora Janke według scenariusza napisanego przez Wojciecha Sadurskiego.

Prezes PiS miał już okazję poznać, jak kończą się rozmowy moderowane przez ten tandem, gdy w kwietniu br. zgodził się na prezentację „Raportu o stanie Rzeczypospolitej”.

Zaproponowana wówczas przez Igora Janke formuła rozmowy z góry wykluczyła poważne traktowanie ponad stustronicowego dokumentu, a nazwanie go na forum S24 „manifestem politycznym” skutecznie zveksłowało wagę raportu do miary wyznaczonej nomenklaturą „Gazety Wyborczej”.

Pisałem o tym w obszernie w tekście *JAK "SYRNAĆ" RAPORT*. Przypomnę jedynie, że cała dyskusja nad niezwykle ważnym dokumentem PiS-u została sprowadzona na marginalną kwestię „ślaskości” i rzekomego nacjonalizmu partii opozycyjnej, wykorzystaną następnie do rozpętania kabotyńskiej hysterii w rządowych mediach.

Kierunek propagandowej rozgrywki został wytyczony już w momencie dyskusji na Salon24live i wynikał wprost z pytania zadane przez Wojciecha Sadurskiego: *„czy można odmawiać patriotycznej postawy politycznym oponentom, czy można łączyć patriotyzm narodowy z regionalnym?”* Do tej samej narracji powrócił Igor Janke, zadając wkrótce pytanie *„czy uważa Pan, że Donald Tusk nie jest patriotą?”*

Wprawdzie nie ma „złych” pytań, są jednak pytania głupie i w odpowiedzi udzielonej przez Kaczyńskiego taka sugestia pojawiła się wyraźnie: *„Pan popada tu w taką dziennikarskość, ale tę, proszę wybaczyć, nie najlepszą, rozmawiamy na wyższym poziomie, mam nadzieję, że już takich pytań nie usłyszę”*.

PiS i Jarosław Kaczyński nie odnieśli wówczas żadnej korzyści z prezentacji dokumentu na forum Igora Janke. Podstawowe pytanie zawarte w raporcie: *Dlaczego III Rzeczpospolita wymaga wielkiej naprawy?* - zostało pominięte milczeniem, a na pierwszy plan wysunięto kwestie użyteczne dla propagandowych rozgrywek.

Propozycja zorganizowania debaty politycznej wiąże się z podobnym zagrożeniem ale też wykracza poza obawy o medialne zdewaluowanie przekazu Jarosława Kaczyńskiego. Wbrew twierdzeniu pana Janke, iż gwarantuje on *„obu stronom*

identyczne, wynegocjowane warunki, wysoki poziom merytoryczny debat oraz całkowitą bezstronność, za którą odpowiadam własną reputacją” twierdzą, że „dziennikarskość” publicysty „Rzeczpospolitej” gwarantuje nam raczej nudnawy i boleśnie przewidywalny spektakl medialny, z wyraźnym wskazaniem na wygraną polityków Platformy.

Stanie się tak, ponieważ Igor Janke nie należy do dziennikarzy zdolnych zadawać trudne pytania ludziom z grupy rządzącej, a jego sposób rozumienia powinności dziennikarskich jest daleki od rzeczywistych potrzeb kampanii wyborczej i oczekiwań wyborców. W bezpośrednim starciu z politykami PO dziennikarz wykazuje raczej postawę kapitulanką i uległą, niż nacechowaną dociekliwością i odwagą. Jego publicystyczne analizy sceny politycznej są równie „poprawne” politycznie, jak miątkie i pozbawione rzeczowych konkluzji, a metoda argumentacji w stylu „panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek” czyni z nich materiał pozbawiony dziennikarskiej wyrazistości.

Igorowi Janke nie brakuje jednak odwagi, by dywagować o „narodzie Kaczyńskiego” lub rzucić w twarz prezesowi PiS, że uprawia „*marną politykierkę, i to nie najlepszą*”.

To co Igor Janke nazywa „bezstronnością” jest zatem w najlepszym wypadku oznaką powierzchowności ocen i kuglarskiej neutralności, w najgorszym zaś - dziennikarskim koniunkturalizmem, zabójczym dla czytelników i cherlawej demokracji III RP.

Chociaż Igor Janke wycofał się z propozycji zorganizowania debaty, inicjatywę przejęła jego redakcja i telewizja Polsat. Obawiam się, że większość zatrudnionych w tych mediach dziennikarzy nie tylko nie wie czym jest autentyczna bezstronność, ale uczyniła z tego określenia wygodną zbroję, mającą osłonić pospolity serwilizm.

Taki rodzaj „dziennikarskości” odpowiada z pewnością oczekiwaniom polityków PO, którzy z tzw. wiodących mediów uczynili rządową tubę propagandową i oparli swoje rządy na fałszywych „atrybutach wizerunkowych”. Jestem przekonany, że odpowiedzi na pytania, jakich można się spodziewać ze strony prowadzącego, nie sprawią Tusкови większych problemów, ale też nie przybliżą nas do wiedzy o stanie państwa.

Wątpię jednak, by ten styl „bezstronności” okazał się potrzebny politykom partii opozycyjnej, których obowiązkiem jest twarde rozliczenie rządzących z kilkuletniego okresu niszczenia Polski. Dziennikarz, który w trakcie debaty ma przede wszystkim reprezentować interesy społeczeństwa, winien mieć dość odwagi, by uczciwie obnażyć polską rzeczywistość.

Igor Janke podobnie jak wielu z jego kolegów z „Rzeczpospolitej” czy Polsatu - nie dają nam takiej gwarancji.

Warto również pamiętać, że jeden z podstawowych problemów dotyczących debaty Tusk-Kaczyński wiąże się z istnieniem nieprzekraczalnej *differentia specifica*, dostrzegalnej dla każdego, kto posiada zdolność samodzielnej oceny rzeczywistości. Obejmuje ona nie tylko różnice intelektualne rozmówców, ale przede wszystkim objawia się w odrębności formacji kulturowej i obyczajowej. Mogliśmy je dostrzec w poszczególnych wypowiedziach i zachowaniach obu polityków na przestrzeni kilkunastu lat oraz w stylu, w jakim sprawowali swoje urzędy. Najmocniej jednak zostały uwypuklone w niedawnej prasowej polemice, gdy Jarosław Kaczyński tekstem „Samochwały droga przez mękę” odpowiedział na artykuł Donalda Tuska z „Gazety Wyborczej”.

Był to w istocie genialny i może najważniejszy w ostatnim dwudziestolecu moment dekonspiracji całej samozwańczej „elity” reprezentowanej dziś przez środowisko Platformy Obywatelskiej. Odpowiedź Kaczyńskiego stanowiła również godny naśladowania wzór, jak należy rozmawiać z kimś pokroju Donalda Tuska i jak traktować przekaz formułowany przez jego środowisko.

„Ironia - napisał Kaczyński - jest najlepszą metodą - jak to się teraz mówi - dekonstrukcji napuszonego, autoreklamarskiego, płytkiego, nielogicznego, niespójnego i często pretensjonalnego dziełka Donalda Tuska. Czegoś takiego nie mogłem potraktować zbyt serio.” Sposób, w jaki polityk opozycji obnażył wówczas prawdziwy wymiar tuskowego elaboratu i kondycję intelektualną autora, odwołując się przy tym do postaci i dzieł literackich, nie stroniąc od faktów i rzeczowych argumentów - stawiał tę polemikę w rzędzie autentycznych pereł publicystyki politycznej.

Jarosław Kaczyński i jego sztab wyborczy muszą mieć świadomość, że ewentualna debata prezesa PiS-u z szefem PO powinna odbywać się w okolicznościach, które zagwarantują sposobność wykazania tej elementarnej odrębności. Jest to konieczne dla podkreślenia rzeczywistych, nie tylko politycznych różnic i wynika z prawa wyborców do posiadania rzetelnej wiedzy na temat osób reprezentujących największe formacje polityczne.

W moim przekonaniu - debata zorganizowana przez „Rzeczpospolitą” czy Polsat, nie stwarzałaby takiej sposobności, a poprzez przewidywalną formę i miłą treść, już na starcie dawała większe szanse politykowi z grupy rządzącej. Nic bowiem tak nie uziemia solidnego umysłu i nie przeszkadza prezentacji wizji politycznej, jak uczestnictwo w anemicznych, propagandowych spektaklach.

Podtrzymuję wszystkie argumenty przedstawione w tekście NIE ROZMAWIĄĆ. Jarosław Kaczyński popełni największy błąd w trakcie kampanii wyborczej, jeśli zdecyduje się na debatę z Donaldem Tuskiem. Będzie to błąd na tyle istotny, że może zaważyć na końcowym wyniku wyborczym. Ludzie, którzy doradzają prezesowi PiS taką debatę lub powstrzymują go przed definitywnym zakończeniem dywagacji na ten temat - pełnią w partii opozycyjnej (w najlepszym wypadku) rolę użytecznych idiotów niezdolnych do racjonalnej analizy sytuacji. Pomysł z powierzeniem organizacji takiej debaty

„zewewnętrznej firmie producenckiej” stanowi w istocie próbę obejścia moralnych i politycznych przesłanek, które już dawno powinny zdecydować o kategorycznym odrzuceniu propozycji rozmów z Tuskiem. W tym zakresie nie wolno brać pod uwagę sofistycznej gadaniny polityków PO i ich dziennikarskich akolitów, którzy deliberując nad „uchylaniem się” Kaczyńskiego udają, że czteroletni okres aroganckiej propagandy i niszczenia praw opozycji w ogóle nie miał miejsca. Są to „argumenty” z arsenału medialnych terrorystów, próbujących niezbornym jazgotem narzucić swoją wolę opozycji i zmusić ją do zgubnych i haniebnych rozmów.

08.09.2011 19:10 30

629. W SIECI

Stosowanie podsłuchów wobec prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz wprowadzenie jego danych do bazy wiedzy operacyjnej Centrum Antyterrorystycznego ABW (CAT) nie było jednostkowym incydentem, lecz stanowiło element szeroko zakrojonej akcji inwigilacji głowy państwa przez rząd Donalda Tuska.

Oceniając zdarzenia z lat 2008-2009, można dojść do wniosku, że już wówczas wokół prezydenta stosowano rozliczne działania operacyjne, a służby podległe premierowi otoczyły głowę państwa siecią obserwacji i podsłuchów.

Jako pretekst do rozpoczęcia działań wykorzystano śledztwo dotyczące przecieku z raportu CAT na temat wyjazdu Lecha Kaczyńskiego do Gruzji. ABW domagała się, by prokuratura ustaliła źródło przecieku do prasy poufnego dokumentu złożonego w większości z ogólnodostępnych informacji prasowych.

Wytaczanie armat

W toku śledztwa prokuratura przesłuchiwała dziesiątki świadków, m.in. premiera, marszałków Sejmu i Senatu oraz sprawdzała billingi urzędników z Kancelarii Prezydenta. Sięgnięto również do zapisów połączeń Lecha Kaczyńskiego i jego małżonki.. Na podstawie billingów i danych z BTS-ów przeprowadzano eksperymenty, mające wykazać gdzie poruszali się prezydenccy ministrowie, gdzie poruszał się prezydent, z kim się kontaktował i jak długo trwały rozmowy.

Trudno przypuszczać, by waga ewentualnego przestępstwa - ujawnienia zaledwie poufnego(niższa kategoria klauzuli tajności) dokumentu, usprawiedliwiała zakres podjętych wówczas czynności.

Dzięki informacjom ujawnionym przez Gazetę Polską wiemy dziś, że 25 października 2008 dane Lecha Kaczyńskiego wprowadzono do Bazy Wiedzy Operacyjnej CAT, co oznaczało, że od tej chwili wobec głowy państwa można było stosować wszelkie rodzaje inwigilacji, w tym podsłuch telefoniczny. Ponieważ w III RP obowiązuje pereelowska zasada rozdzielania czynności operacyjnych od procesowych, istnieje możliwość nieograniczonego gromadzenia danych na temat każdej osoby, bez żadnej weryfikacji sądowej, a informacje operacyjne o obywatelu można zbierać bez planu ich wykorzystania w sądzie. Stosowanie podsłuchu zwykłych telefonów nie nastrocza służbom żadnych problemów. ABW mogła podać jedynie sam numer prezydenckiego telefonu, nie informując nawet, w jakiej sprawie prowadzona jest kontrola operacyjna, ani do kogo należy aparat. Gorzej, gdy trzeba podsłuchać rozmowy prowadzone przez specjalne aparaty.

Warto przypomnieć, że niemal w tym samym czasie, gdy CAT zainteresowało się Lechem Kaczyńskim, prezydent otrzymał od ABW specjalny telefon komórkowy z możliwością szyfrowania. Dotychczas posługiwał się prywatnym telefonem oraz ośmioletnim służbowym aparatem komórkowym. Te jednak miały zbyt niski poziom bezpieczeństwa: można przez nie wymieniać jedynie informacje zastrzeżone na bardzo ogólny poziomie. Nowy aparat miał zapewnić poufność prezydenckich rozmów.

Rozmowy niekontrolowane

Pod koniec 2008 roku ABW przeprowadzała testy sześciu różnych modeli szyfrujących komórek. Bezpieczne telefony miał otrzymać prezydent oraz kilkadziesiąt najważniejszych osób w państwie. Pozwalały one na prowadzenie rozmów poufnych - obecnie na trzecim poziomie klauzuli tajności. Nie wiadomo, jakie telefony trafiły wówczas do Kancelarii Prezydenta.

W MON i MSZ (dzięki decyzjom Radosława Sikorskiego) stosowany jest komercyjny system BlackBerry autorstwa kanadyjskiej firmy Research in Motion (RIM), wobec którego istnieje szereg poważnych zastrzeżeń dotyczących bezpieczeństwa rozmów. BlackBerry jest systemem nie gwarantującym żadnego poziomu ochrony. Dlatego w wielu krajach UE odchodzi się od tych telefonów, zakazując ich używania w administracji państwowej i poszukuje rozwiązań opartych na własnych systemach kryptograficznych. W Polsce jednak zagraniczny (a zatem niepewny z punktu widzenia bezpieczeństwa) dostawca zmonopolizował kluczowe dla bezpieczeństwa obszary funkcjonowania państwa. Jest to tym dziwniejsze, że mamy w Polsce firmy i rozwiązania spełniające najwyższe normy bezpieczeństwa. Na tyle wysokie, że metod szyfrowania opartych na tym systemie zakazano m.in. w Rosji, na Białorusi i w Chinach, nie mogąc sprostać algorytmom szyfrującym polskiej produkcji. Chodzi o spółkę TechLab2000 i opracowany przez nią system Sytan (System Łączności Niejawnej), oferujący rozwiązania dla analogowych, cyfrowych i bezprzewodowych sieci telefonicznych.

W listopadzie 2008 MON zawarło z TechLab 2000 umowę na dostawę urządzeń szyfrujących systemu Sylana, a konkretnie telefonów szyfrujących ISDN Cygnus Titanium (+) Plus. Jak wynikało z opinii wydanej przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego potwierdzono techniczną przydatność tych urządzeń i uzyskano formalną akceptację możliwości ich wykorzystania w Wojsku Polskim. Jednocześnie stwierdzono, że „poszukiwanie innych wykonawców bez uwzględnienia powyższych treści prowadzić będzie do zwiększenia ryzyka realizacji dostawy na wymaganym poziomie bądź niewykonaniem dostaw dla Sił Zbrojnych RP w latach 2008-2009”.

ABW eliminuje Sylana

Tej pozytywnej opinii służb wojskowych nie podzielała jednak ABW, a spółka TechLab2000 i jej produkty stały się w latach 2008- 2009 przedmiotem zadziwiających działań Agencji. W listopadzie 2009 ujawniono, że producent Sylana z powodu problemów finansowych był zmuszony zastawić dokumentację dotyczącą systemu w spółce Biatel. Ponieważ TechLab nie wywiązał się ze spłaty zadłużenia w terminie, dokumentacja (zdaniem Biatela) przeszła na własność tej firmy. W tej sprawie ABW złożyła doniesienie do prokuratury, sugerując, iż mogło dojść do utraty kontroli nad systemem szyfrującym, używanym przez kancelarie premiera i prezydenta. Do dziś nie wiemy: kto podejmował wówczas próby dotarcia do dokumentacji systemu Sylana i dlaczego ABW, sprawująca nadzór kontrwywiadowczy nad tego rodzaju firmami nie zrobiła nic, by zapobiec zagrożeniom?

Okazało się bowiem, że ABW, jako instytucja certyfikująca urządzenia kryptograficzne od 2 lat odmawiała certyfikowania wyrobów TechLab. Doprowadziło to firmę do poważnych problemów finansowych i wymusiło zawarcie umowy o współpracy ze spółką Biatel S.A

W wydanym przez zarząd TechLab2000 oświadczeniu można było przeczytać, że „działania ABW dążą do wyeliminowania systemu SYLAN z rynku w sposób całkowicie bezprawny”. Jako przykład wskazywano, że „w styczniu 2008 roku TechLab zgłosił do certyfikacji oczekiwany przez administrację publiczną szyfrujący telefon komórkowy Krypton. Odpowiednie badania nie zostały rozpoczęte do dzisiaj. Liczne interwencje zarządu TechLab 2000 w tej sprawie nie przyniosły oczekiwanego efektu a pismo z wnioskiem certyfikacyjnym wystosowane do ABW przez zarząd TechLab 2000 pozostało bez odpowiedzi”.

Gdzie jest telefon prezydenta?

Wiemy, że Sylana był stosowany w Kancelarii Prezydenta i Kancelarii Premiera. Według nieoficjalnych informacji, szef Sztabu Generalnego, gen. Franciszek Gągor, oraz gen Andrzej Błasik używali natomiast telefonów BlackBerry . Po tragedii smoleńskiej Rosjanie nie zwrócili żadnych terminali używanych przez najważniejsze osoby w państwie. Prawdopodobnie trafiły one w ręce rosyjskich służb specjalnych, które, zależnie od poziomu zastosowanych zabezpieczeń - mogły znaleźć w nich wiele interesujących informacji. O takim zagrożeniu informował już 13 maja 2010 r. Washington Times” w artykule Billa Gertza.

Jeśli podczas tragicznego lotu prowadzono rozmowy telefoniczne korzystając z terminali BlackBerry istnieje niemal pewność, że były one podsłuchiwane przez służby innych państw. Amerykańska NSA prowadzi bowiem stały nasłuch państw UE przy pomocy systemu Echelon, a rozmowy prowadzone przez telefony RIM są możliwe do przechwycenia. Gdyby jednak w rozmowach VIP-ów korzystano z aparatów działających w systemie Sylana, rozmowy prowadzone przez prezydenta byłby nieczytelne dla obcych służb, a sam aparat znaleziony na miejscu katastrofy okazałby się nieprzydatny. Chyba, że ktoś dysponowałby pełną dokumentacją systemu Sylana.

W lutym 2008 roku w samolocie Tu-154M, którym podróżował prezydent zainstalowano również nowy telefon satelitarny. W doniesieniach o tym zdarzeniu twierdzono, że zapewnia on łączność szyfrowaną. Tymczasem po 10 kwietnia 2010 r. szefostwo Służby Kontrwywiadu Wojskowego przekonywało, że „na pokładzie Tu-154M, który rozbił się pod Smoleńskiem, był zwykły telefon satelitarny; nie było tam „tajnych kodów”, urządzeń ani materiałów kryptograficznych”. Nadal otwarte pozostaje pytanie: dlaczego Rosjanie nie wydali dotychczas prezydenckiego „zwykłego” telefonu i z jakich powodów służby specjalne wykazują zainteresowanie nie kodowanym aparatem?

Do długiej listy pytań związanych z bezpieczeństwem Lecha Kaczyńskiego i rolą służb specjalnych w okresie poprzedzającym katastrofę smoleńską, należałoby dodać również pytania o tajną łączność Kancelarii Prezydenta. Na podstawie dzisiejszej wiedzy działania ABW wobec spółki TechLab, można ocenić w kontekście stosowania podsłuchów wobec głowy państwa.

W oświadczeniu zarządu spółki TechLab2000 z 19 listopada 2009 r. postawiono niezwykle ważne pytanie: „Jakie są powody, dla których ABW nie uznała za stosowne wykorzystać gotowego od 2 lat telefonu komórkowego Krypton? Na podstawie jakich przesłanek ABW zdecydowała się wdrażać mobilny system komunikacji niejawniej nie współpracujący z wdrażanym od 2003 roku systemem łączności niejawniej na bazie SYLAN? Skoro ABW dostrzega oczekiwania administracji państwowej, to dlaczego przez ostatnie dwa lata dokonał zaniechania oraz kiedy w istocie planuje wdrożenie zapowiadanego systemu?”

System Sylana skutecznie uniemożliwiał śledzenie rozmów prowadzonych przy użyciu aparatów firmy TechLab. Jak podaje producent, szybkie rozszyfrowanie rozmowy z telefonu Krypton wymagałoby tak wielkiej mocy obliczeniowej, że w całym wszechświecie nie starczyłoby krzemu na komputery. Prezydencka rozmowa z takiego aparatu, byłaby nieczytelna dla podsłuchujących. W czym interesie leżało zatem wyeliminowanie tego systemu i pozbawienie głowy państwa bezpieczeństwa tajnych rozmów?

09.09.2011 19:18 140

630. CZY ZASŁUGUJEMY NA WIĘCEJ ?

„Bywało, że traciliśmy wolność, ale nie traciliśmy godności. Pod kierownictwem premiera Donalda Tuska idzie ku temu, że stracimy godność, a wolność też będzie zagrożona” - powiedział w Sejmie Jarosław Kaczyński podczas styczniowej debaty nad informacją rządu ws. katastrofy smoleńskiej.

Warto, by sztab wyborczy partii opozycyjnej pamiętał o tym oświadczeniu, gdy rozważa obecnie propozycję debaty Tuska-Kaczyński. Jeśli do niej dojdzie - rozmówca Tuska ryzykuje nie tylko oddanie pola, na którym rozgrywa się walka o znaczenie słów, ale również utratę podstawowego atrybutu odróżniającego opozycję od grupy rządzącej.

Przed rokiem Jarosław Kaczyński w liście otwartym dotyczącym spraw polityki zagranicznej przypomniał fundamentalną zasadę: *„by polityka była skuteczna musi być najpierw moralnie słuszna”*. Z tej zasady słuszności powinna wynikać odrębność programu PiS i ona decyduje o sile argumentów partii opozycyjnej. Niezależnie od wartości poszczególnych propozycji gospodarczych bądź politycznych, o ich doniosłości rozstrzygają przede wszystkim standardy moralne reprezentowane przez głoszących je polityków. Bez tych norm - projekty PiS-u nie będą się różniły od pustych obietnic wyborczych PO.

W ciągu ostatniego roku, Jarosław Kaczyński wielokrotnie pokazywał, że jego stosunek do ludzi z grupy rządzącej znajduje źródło w nakazie respektowania praw i zasad moralnych, bez których polityka staje się zaledwie prymitywną walką o władzę.

Słowa prezesa PiS: *„Nie będę współpracował z nikim, kto był nie w porządku wobec mojego brata i innych poległych. Bo zachowania wobec nich były haniebne, one politycznie i moralnie wykluczają współpracę.”* - wyrażały nie tylko sprzeciw wobec postaw przeciwników politycznych, ale ustalały nieprzekraczalne granice moralnego konsensusu.

„Absolutnie wykluczam mój udział we współpracy do czasu daleko posuniętej ekspiacji z ich strony” - dodał wówczas Kaczyński, wyraźnie określając warunki na jakich współpraca byłaby dopuszczalna.

Po 10 kwietnia 2010 roku te warunki nigdy nie zostały spełnione. W niedawnym wywiadzie dla „Naszego Dziennika” Kaczyński przypomniał, że nie chciał się spotkać z premierami Tuskiem i Putinem w Smoleńsku, by przyjąć ich kondolencje, mimo specjalnego zaproszenia z ich strony. Padły słowa: *„Nie chciałem odbierać kondolencji od ludzi, którzy w takim czy innym sensie są za to, co się stało, odpowiedzialni. Nie chciałem stwarzać wrażenia, że w kwestii tej tragedii traktuję ich jako niewinnych.”*

Partia opozycyjna wielokrotnie podkreślała osobistą odpowiedzialność Donalda Tuska za rozpętanie kampanii nienawiści i pogardy, której konsekwencją była tragedia smoleńska. *„Winą obciążającą Tuska jest generalnie ten tragiczny finał wojny z Prezydentem, a więc rozdzielenie wizyt w Katyniu na dwie. Finałem rozdzielenia była katastrofa i śmierć Prezydenta wraz z towarzyszącymi mu osobami. Tak widziałem to wtedy i tak widzę to do dziś”* - stwierdził niedawno Jarosław Kaczyński, a w Białej Księdze parlamentarnego zespołu PiS znalazły się mocne słowa, w których wskazano, że rząd Tuska ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za sytuację, która doprowadziła do tragedii smoleńskiej.

Przemawiając podczas styczniowego posiedzenia Rady Politycznej szef partii opozycyjnej nie miał wątpliwości, że zachowania grupy rządzącej po 10 kwietnia wynikają z kontynuacji programu nienawiści. *„Przez wiele miesięcy”* - uznał Kaczyński - *„trwała fatalna, żeby nie powiedzieć haniebna, znieślawiająca wielu ludzi, w tym świętej pamięci prezydenta RP kampania wokół nacisków, wokół rzekomych win tych, którzy polegli. Sam pomyśl, żeby obciążyć za katastrofę tych, którzy zginęli już pokazuje poziom moralny osób, które się w to angażowały”*.

Gdy były członek Platformy Obywatelskiej dokonał w Łodzi okrutnego mord politycznego, politycy PiS zaproponowali rządzącym podpisanie wspólnej deklaracji przeciw przemocy w życiu publicznym. Spotkali się z cynicznym rechotem i usłyszeli oświadczenie wiceszefa PO Rafała Grupińskiego: *„Jednostronne deklaracje i ustawianie się w roli pokrzywdzonego niewiele dają. Więcej refleksji nad sobą i mniej apeli do innych. To będzie lepsze dla całości sprawy”*. Kaczyńskiemu zarzucono, że nie chce się spotkać z Bronisławem Komorowskim, a swoimi wypowiedziami *„pokazuje niestety, że ciągle jest rozemocjonowany i ta agresja ciągle jest obecna w życiu publicznym”*.

Po morderstwie w Łodzi, prezes PiS przemawiając w Sejmie przypomniał, że kampania przeciwko niemu i jego partii rozpoczęła się 5 lat temu od przemówienia Donalda Tuska i jest dziś prowadzona w ramach *„przemysłu nienawiści”*. Podkreślił również, że *„to nie jest tylko atak na PiS, ale na wielką część społeczeństwa”*.

„Polacy mają prawo do wolności, suwerenności i godności” - przypomniał polityk podczas niedawnej konwencji wyborczej we Wrocławiu - *„Nie wolno nas oszukiwać ani nami manipulować.”*

Jeśli przyjmiemy, że w cytowanych wyżej słowach Kaczyńskiego zawarty jest autentyczny wyznacznik zasad, którymi chce kierować się partia opozycyjna, trzeba postawić pytania: czy wolno wówczas prowadzić partnerską debatę z człowiekiem oskarżanym o wzniesienie kampanii nienawiści, człowiekiem odpowiedzialnym moralnie i politycznie za tragedię smoleńską? A skoro w wystąpieniach Jarosława Kaczyńskiego pojawia się zapowiedź wyjaśnienia prawdziwych okoliczności tragedii smoleńskiej i osądzenia winnych śmierci polskiej elity, trzeba pytać: czy prezes PiS ma prawo siadać do rozmów z człowiekiem, którego odpowiedzialność wydaje się bezsporna i który za lata swoich rządów może ponieść konsekwencje karne?

Za odpowiedzią na te pytania kryje się niemniej ważny dylemat: jakiej treści przekaz otrzyma elektorat PiS, gdy po werbalnych deklaracjach szefa opozycji, Donald Tusk zostanie potraktowany jako partner i uznany godnym rozmówcą Jarosława Kaczyńskiego?

Juliusz Mieroszewski, na którego słowa *"by polityka była skuteczna musi być najpierw moralnie słuszna"* powoływał się Kaczyński, napisał kiedyś w emigracyjnej „Kulturze” : *„Polscy politycy nie doceniają słowa jako instrumentu oddziaływania politycznego. Domorośli "realiści" pouczają nas ustawicznie, że w polityce liczą się tylko fakty. Zapominają natomiast, że w polityce początkiem z którego kiełkuje i wyrasta fakt, jest zawsze słowo."*

Powinniśmy mieć pewność, że politycy opozycji traktują serio własne słowa i oświadczenia. Taka gwarancja jest nam potrzebna, by miarą zasad moralnych odróżnić skuteczną politykę od populistycznego politykierstwa. Jeśli hasłem wyborczym PiS mają być słowa: "Polacy zasługują na więcej" - niech tym „więcej” będzie zgodna z elementarną etyką korelacja słów i czynów.

15.09.2011 20:35 100

631. ŚWIAT OSTREGO WIDZENIA

Trudno, coraz trudniej wyznać: *„Świat zaczyna się od dokładnego, ostrego widzenia. Ostrego widzenia przedmiotów w jasnym obiektywnym świetle. Bez cienia."* Choć minęło ledwie kilka lat, gdy Książę Poetów przypomniał tę oczywistą prawdę - ilu z nas potrafi jeszcze patrzeć na rzeczywistość bez skazy „strasznego zamazania”? Bez lęku przed kształtem i słowem, które kształt nadaje?

Nawet ci, deklarujący wybór „w imię prawa i sprawiedliwości” - czy nie zasłaniają oczu znoszoną szmatą pragmatyzmu, słusznie przeczuwając, że jej porzucenie skończy złudny czas spokoju i wymusi decyzję, od których chcieliby uciec? Decyzje ostateczne, niosące odpowiedzialność ponad ich wątłe siły. Znajdą odwagę, by nam o tym powiedzieć? Czy po raz kolejny nazwą swoje tchórzostwo „politycznym realizmem” pozostawiając nas z otwartymi gębami? Na pośmiewisko.

Tylko poetę stać dziś na słowa: „teraz jest wojna”. Kto jej nie dostrzegł, niech nie mówi o wygranej i nie snuje planów na przyszłość. Ta bowiem niesie hańbę Wielkiej Ściemy, o której wkrótce będą pisać tylko samobójcy.

Adolf Bocheński w tekście z 1934 roku przypomniał, jak po stłumieniu Powstania Listopadowego car Mikołaj I przemówił do generała Łubieńskiego: *„Ja wam wszystko przebaczam, bunt, detronizację... ale czego nie mogę to – żeście mi zwichnęli plan panowania. Ja chciałem przez was cywilizować Rosję Wyście temu stanęli na przeszkodzie przez waszą głupią rewolucję"*. Bocheński dalej napisał: *„Gdyby dziś Woroszyłow zlikwidował regime bolszewicki, reprezentant polskiej opinii – może redaktor „Wiadomości” – odezwałby się doń prawdopodobnie w te słowa: „Wszystko wam daruję Klim Jefremowicz, ale nie to, żeście zwichnęli mi plan. Przez Rosję bolszewicką pragnąłem cywilizować Polskę"*.

Świat ostrego widzenia dla każdego zaczyna się za inną granicą. Nie zna reguły ani wzorca . Ci, którzy wiedzą o co dziś toczy się wojna, muszą odczuwać lęk. Jest to lęk przed powtórzeniem rozmowy z „Rusyfikacji Polski współczesnej” - tego dziejowego dialogu, w którym Polsce zawsze przypada rola ofiary. W świecie, o którym przypomniał nam Książę Poetów - nie ma miejsca na taki dialog.

Tym, którzy z zamazywania tego świata czynią dziś polityczny spektakl - trzeba wyznaczyć nieprzekraczalne granice. Trzeba, by wiedzieli, że naruszając je wystawiają się na naszą pogardę i gniew.

16.09.2011 18:54 85

632. PROWOKACJA JAKO ŚRODEK WYBORCZY

Skierowanie do mediów fałszywego oświadczenia o rezygnacji z kandydowania posłanki Beaty Kempy dowodzi, że przeciwnicy PiS-u sięgnęli po nowatorskie metody prowokacji. Okoliczności w jakich do niej doszło, zdają się wykluczać przypadkowość tej akcji. Również ze względu na wybór ofiary i formę przekazu zawartego w rzekomym liście.

Od wielu dni Beata Kempa prowadzi aktywną kampanię wyborczą, zajmując się przy tym tematami, które mogły przysporzyć jej kilku zaciekle wrogów.

Na początku września ukazał się wywiad, w którym posłanka oceniała sytuację w swoim regionie. Padły m.in. słowa: *"Jestem porażona osadzaniem się PSL-u na różnego rodzaju urządach. Odnoszę wrażenie, że w świętokrzyskim, gdzie od lutego działam, jest tak, że jak się nie jest związanym z PSL-em, to nie będzie się miało pracy w swoim powiecie. Stółek jest najważniejszy. Będę o tym szerzej mówić w kampanii wyborczej. Koalicja PO-PSL przerasta komunistów w rozdawnictwie urzędów dla swoich. Jestem tym zbulwersowana."*

Dwa dni później na blogu pewnego posła PSL z regionu świętokrzyskiego znalazł się tekst o intrygującym tytule „Porażenie Kempy”. Na wstępie poseł uspokajał, że nie chodzi o żadną „nową chorobę” i cierpliwie wyjaśniał: *„Chodzi o Panią Beatę Kempę, tymczasową naczelną funkcjonariuszkę PiS w regionie świętokrzyskim, przebywającą ostatnio na zesłaniu w Kielcach. Prezes tej partii, który bywa „porażony” średnio raz dziennie faktami tak „porażającymi”, że zwołuje konferencje prasowe, by o „porażeniach” donieść mieszkańcom Polski, niewątpliwie jest dla pewnych środowisk człowiekiem charyzmatycznym. Odpryski tej charyzmy zstąpiły ostatnio również na Panią Beatę Kempę, która „porażona” jest Polskim Stronnictwem Ludowym w regionie świętokrzyskim. [...] Według niej PSL nie reprezentuje rolników i chrześcijan, tylko popiera narkomanów i homoseksualistów. I do tego zajmuje intratne stanowiska. Dobrze? A jakże - oddaje w stu procentach PiS-owskie fobie, ale może też być emanacją ich skrywanych marzeń, a przy okazji przypina się łatkę ludowcom.”*

Autorem elaboratu był poseł Aleksander Sopiński, a tekst natychmiast powielił na swoim blogu inny prominentny działacz PSL z tego regionu, marszałek województwa świętokrzyskiego Adam Jarubas. Dwa dni wcześniej Jarubas pisał na swoim blogu (pisownia oryginalna) :

„Dowiaduję się oto dziś rano, że PSL nie reprezentuje rolników, nie wyznaje wartości chrześcijańskich, anawet chce pomóc dilerom w dostarczaniu naszym dzieciom narkotyków . Prawo i Sprawiedliwość, a w tym konkretnym przypadku posłanka Kępa robi to , aby zwykłych wyborców, niewyznawców, ale wyborców, zmierzić, odepchnąć, zostawić w domach, ewentualnie tych co się dadzą, przeciągnąć na swoją stronę. Liczy się każda duszyczka, a i bezcenne są te, które zostaną w domu. Wszystkich wyty dozwolone, byleby osiągnąć cel. Trzeba przyznać, żołnierzy to PiS ma, anajdzielniejsza żołnierka, bezkompromisowa i bez hamulców jest w świętokrzyskiem.”

Co sprawiło, że mężom stanu z PSL tak gwałtownie puścili nerwy, poplątały się słowa i zasady składni? Czym wytłumaczyć ten atak polityków koalicji rządzącej na posłankę PiS ? Kolejne dni przyniosły wyjaśnienie zagadki.

12 września świętokrzyscy politycy Prawa i Sprawiedliwości zorganizowali konferencję prasową, na której poinformowali o wystosowaniu listu do przewodniczącego Komisji Europejskiej Jose Manuela Barroso w sprawie wykorzystywania funduszy unijnych do kampanii wyborczej polityków PSL. Przewodnicząca świętokrzyskich struktur PiS Beata Kempa powołała się na publikację „Gazety Polskiej Codziennie”, z której wynikało, że w reklamach Regionalnego Programu Operacyjnego Unii Europejskiej występują kandydaci do Sejmu z listy wyborczej PSL, w tym marszałek województwa świętokrzyskiego Adam Jarubas. Darmowa kampania ludowców kosztowała około 600 tys. zł i została sfinansowana ze środków UE.

W liście do Barroso politycy PiS-u napisali m.in.: *„Niedopuszczalne jest, by pod pretekstem kampanii informacyjnej o sukcesie programów unijnych promowany był wizerunek polityków rządzącego w regionie ugrupowania w czasie bezpośrednio przed wyborami parlamentarnymi lub lokalnymi w sytuacji, gdy są oni czołowymi kandydatami tego ugrupowania w wyborach. Ten sposób promocji kandydatów powinien być finansowany ze środków Komitetów Wyborczych, a nie z funduszy unijnych.”*

PiS poinformował również przewodniczącego KE, że w wyniku protestów i nagłośnienia sprawy w lokalnych mediach, występujący dotąd w spotach reklamowych politycy PSL zostali zastąpieni przez profesjonalnych lektorów. W wypowiedzi dla Radia Kielce marszałek Jarubas stwierdził natomiast, że nie ma sobie nic do zarzucenia, a akcja PiS to „zwykła zagrywka polityczna”.

Kilka godzin po konferencji prasowej świętokrzyskich działaczy, z adresu mailowego identycznego z adresem sejmowej poczty elektronicznej Beaty Kempy wysłano list do Polskiej Agencji Prasowej, zatytułowany „Oświadczenie o rezygnacji z ubiegania się o kolejny mandat poselski”. Mail został wysłany o g.17.38, a już kilka minut później (17.44) PAP podała informację o rzekomej rezygnacji posłanki.

Musi dziwić, że Agencja nie próbowała zweryfikować otrzymanej informacji ani uzyskać jej potwierdzenia z innego źródła. W tym przypadku natychmiastowe upublicznienie fałszywki stanowiło rażące naruszenie zasad prawa prasowego, które w art.12.1 wyraźnie wskazuje, iż *„Dziennikarz jest obowiązany zachować szczególną staranność i rzetelność przy zbieraniu i wykorzystaniu materiałów prasowych, zwłaszcza sprawdzić zgodność z prawdą uzyskanych wiadomości lub podać ich źródło.”*

W treści maila znalazł się niezwykle charakterystyczny fragment, na który nikt dotąd nie zwrócił większej uwagi. Posłance PiS przypisano następujące słowa: *„kategorycznie zaprzeczam, że moja decyzja ma jakikolwiek związek z obrzydliwymi insynuacjami sugerującymi iż jako wiceminister sprawiedliwości miałam w 2006 roku w ramach osobistej zemsty doprowadzić do aresztowania prezesa Rafinerii Trzebinia. To kłamstwo!”*

Tak się składa, że przed kilkoma dniami na stronie internetowej redagowanej przez zwolenników byłego posła PO z Lublina zamieszczono wyjątkowo podły paszkwil - donos, w którym padło m.in. pytanie.: „Czy wiceminister sprawiedliwości w rządzie PiS Beata Kempa kazała aresztować prezesa Rafinerii Trzebinia tylko dlatego że w czasie wspólnych studiów prawniczych na Uniwersytecie Wrocławskim nie chciał być przez nią adorowany?! Zapytajcie samą Beatę Kempę!

Autor paszkwilu zatytułowanego „Obnażmy obłudę radiomaryjnych oszustów!” twierdził jakoby aresztowanie w roku 2006 prezesa Rafinerii Trzebinia Grzegorza Ślaka miało mieć „związek z faktem że Grzegorz Ślak studiował razem z Beatą Kempą na Uniwersytecie Wrocławskim na Wydziale Prawa i Administracji” i było aktem „zemsty za złamanie jej serca”.

Na końcu donosu podkreślono: „Nie chcemy tu szokować szczegółami ale jeżeli ktoś będzie zainteresowany tą sprawą to dysponujemy dramatycznym opisem całej sytuacji która zostawiła u Kempy trwały ślad i wieloletnią nienawiść do Ślaka.”

Twórca fałszywego maila musiał najwidoczniej korzystać z tekstu zamieszczonego na stronie wyborców byłego posła PO. To wątek wart podkreślenia, bowiem temat aresztowania Grzegorza Ślaka w powiązaniu z insynuacjami o rzekomych związkach z Beatą Kempą jest rozpowszechniany wyłącznie na tym portalu i próżno szukać go w innych miejscach sieci.

Drugim specyficznym wątkiem jest rozgrywanie akcentów osobistych dotyczących prywatnych spraw postanki. W mailu wysłanym do PAP jako uzasadnienie rezygnacji z kandydowania do Sejmu wskazane zostały względy rodzinne. W tekście pojawiają się sugestie, że praca dla PiS-u „*odbywała się kosztem życia osobistego*”. Na szczególną uwagę zasługuje jednak passus: „*Nadal chcę być czynna w życiu publicznym ale nie za wszelką cenę. Nie kosztem mojej rodziny*” i powtórzona na końcu listu deklaracja: „*Ten czas chcę poświęcić rodzinie. Jestem im to winna*”. Tak wyraziste odwołania do rodziny i życia rodzinnego użyte w kontekście rezygnacji z kandydowania, mogą świadczyć o intencji zastraszenia postanki. Zawarty w nich przekaz wydaje się sugerować, że powinna zrezygnować z pracy poselskiej dla dobra swoich bliskich.

Wbrew dywagacjom medialnych „analityków” oraz lekceważącym wypowiedziom polityków grupy rządzącej, nie można bagatelizować tej prowokacji ani nazywać jej żartem. Przygotowano ją w sposób świadczący o sporej wiedzy z zakresu informatyki i równie obszernej znajomości reguł manipulacji i dezinformacji. Warto przy tym pamiętać, że w realiach III RP produkcją fałszywek zajmowali się głównie ludzie służb wywodzący się z policji politycznej PRL. Sprawca mógł w tym przypadku liczyć na zdumiewającą łatwowierność PAP oraz odpowiednio ukierunkowany rezonans rządowych mediów. Natychmiast bowiem pojawili się użyteczni politolodzy i wszelkiej maści „analitycy”, którzy zgodnie orzekli, że mamy do czynienia z wewnętrzną rozgrywką w łonie PiS-u lub sytuacją, w której sama postanka spreparowała maila, by „*zrobić wokół siebie szum*”.

Jest raczej pewne, że organy ścigania III RP nie będą w stanie ustalić sprawcy/sprawców tej prowokacji. Niezależnie kto za nią stoi - stanowi mocny argument, że przeciwnicy PiS -u nie cofną się przed użyciem wszelkich środków by wygrać wybory i sięgną w tym celu po każdą metodę fałszerstwa.

17.09.2011 19:38 232

633. DWA GŁOSY

Gdy przeczytałem dziś wystąpienie Bronisława Komorowskiego wygłoszone w 72. rocznicę napaści sowieckiej na Polskę, po raz kolejny zrozumiałem, że państwo, którego przedstawicielem jest ten człowiek nigdy nie wyzwoli się ze stanu haniebnego upodlenia.

Każdy, kto poznał dzieje naszego kraju i wie czym była rozciągająca się nad Polską noc sowieckiej okupacji, musi odczuwać głębokie upokorzenie czytając słowa Komorowskiego. Upokorzenie - ale i gniew, że moi rodacy wybrali prezydentem postać tak niegodną i daleką od rozumienia polskiej historii.

Nie znajduję w języku konwenansów słów dostatecznie mocnych, by wyraziły odrazę wobec wykorzystywania tej daty dla wygłoszenia prostackiej, nacechowanej żalostną próżnością mowy, w której megalomania miesza się z intencją zamazywania prawdy historycznej. Można byłoby pytać: co wspólnego z agresją sowiecką mają opowieści o budowaniu pomników, recenzja marnego filmu Wajdy czy pogadanki o bohaterskich bojach Komorowskiego, okraszone ukraińskimi reminiscencjami? Jaki historyczny przekaz płynie dla Polaków od kogoś, kto nie potrafi nawet nazwać agresora po imieniu i chce w tragicznej dla nas dacie upatrywać „dobry dzień”? Nie zamierzam jednak cytować nawet fragmentów tego wystąpienia, pozostawiając jego lekturę zainteresowanym.

Tak brzmi głos człowieka, którego nie stać na prowadzenie odpowiedzialnej i godnej niepodległego państwa polityki historycznej. Człowieka, który z racji swoich słów i czynów nie ma moralnego prawa, by stać się reprezentantem narodu zdradzonego o świcie 17 września 1939 roku.

Pamięć o tym dniu, pamięć o milionach ofiar sowieckiego bestialstwa wymaga, żebyśmy dziś właśnie usłyszeli głos człowieka odważnego i dumnego. Kogoś, kto mówił językiem wolnych Polaków i nie klaniał się kremlowskiemu satrapom.

Dlatego chcę przypomnieć słowa mojego prezydenta Lecha Kaczyńskiego, wygłoszone 17 września 2009 roku pod warszawskim pomnikiem Poległych i Pomordowanych na Wschodzie:

„Dokładnie siedemdziesiąt lat temu Polska otrzymała cios w plecy. Wojsko Polskie walczyło wtedy w Warszawie, Modlinie, na Helu, w rejonie Lwowa, na Lubelszczyźnie i w wielu innych miejscach naszego kraju; trwała jeszcze bitwa pod Kutnem. Tego dnia około drugiej w nocy ponad sześćsettyśięcna armia sowiecka wdarła się w granice Rzeczypospolitej - dokonała aktu agresji; nie było to wkroczenie. O godzinie trzeciej nad ranem polski ambasador został wezwany do sowieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby dowiedzieć się, że państwo polskie nie istnieje, a rząd uciekł. W rzeczywistości rząd Rzeczypospolitej urzędował wtedy na jej terytorium.

Doszło do najzwyklejszego aktu agresji - aktu, który był aktem wojennym. Polska stała się ofiarą dwóch agresorów w trakcie, gdy wojna jeszcze trwała. Wiem, że powtarzam to nie po raz pierwszy, ale tę prawdę trzeba choćby i codziennie powtarzać.

Nasza armia w niejednym miejscu stawiała opór sowieckiemu agresorowi. Niektóre z licznych bitew i potyczek zostały przed chwilą przypomniane. Bohaterska była obrona Grodna, bohaterstwo żołnierze polscy wykazali w wielu innych miejscach, chociaż działali bez wyraźnego rozkazu. Po prostu bronili swojej ojczyzny i był to akt spontaniczny i normalny; żołnierze są od tego, żeby ojczyznę bronić.

Wielu z nich, w szczególności wielu oficerów dostało się do niewoli i decyzją z 5 marca 1940 roku, która formalnie była decyzją Biura Politycznego, a w rzeczywistości decyzją Stalina, zostali wymordowani. Jeżeli tego rodzaju akt, dotyczący 30 tysięcy ludzi, nie jest aktem ludobójstwa, to co nim jest? Pytam, bo to zostało w Polsce zakwestionowane, i to nie przez byle kogo. Świetnie rozumiem potrzebę pojednania, ale narody jednać się mogą tylko i wyłącznie w prawdzie, powtarzam: tylko i wyłącznie w prawdzie, szczególnie jeżeli chodzi o duży naród, taki jak polski, i jeszcze większy. Prawda natomiast jest prosta: pakt Ribbentrop-Mołotow, czyli w istocie Hitler-Stalin, to był pakt dwóch wyjątkowo agresywnych imperializmów i totalitaryzmów.

Czy mord katyński był aktem zemsty? Tak, bo jego rzeczywistym motywem był odwet za rok 1920. Czy nie był to akt szowinizmu, wielkoruskiego szowinizmu? Tak, był. Już wtedy, w 1940 roku tak to należało określić. To nie były już lata 20., lecz czasy, gdy ten wielkoruski szowinizm zaczął dominować także w ramach komunizmu. I taka jest prawda - i taką tylko prawdę jesteśmy w stanie przyjąć.

Lata 1939-1941 na terenie, który obejmował więcej niż 50 procent terytorium przedwojennej Drugiej Rzeczypospolitej, to lata nie tylko mordów na oficerach. To także tysiące egzekucji działaczy politycznych, w tym, co ciekawe, i działaczy lewicy, którzy w pierwszej chwili myśleli, że oto nadchodzą dobre czasy; szybko się skończyły, przed sowieckimi plutonami egzekucyjnymi. To niszczenie polskiej inteligencji, to wywiezienie setek tysięcy ludzi do Kazachstanu, na Zabajkale, do republik w północnej Europie, republik autonomicznych. To obozy i śmierć dzieci, kobiet i mężczyzn. Taka jest prawda o tych czasach i jest w naszym interesie, także politycznym, żeby o tym pamiętać - szczególnie wtedy, gdy 1 września, w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej na Westerplatte, w miejscu, które jest symbolem, słyszymy o planie nowej architektury Europy.

Mówiłem przed kilkoma godzinami na zjeździe Polskiego Towarzystwa Historycznego, że miejsce Polski w tej nowej architekturze musi być niezwykle ciasne; z natury rzeczy można powiedzieć. Nie próbujmy się więc w to miejsce wpisywać! Szukajmy Europy partnerskiej, w której naszemu krajowi należy się miejsce wynikające z jego wielkości i historii. Od historii bowiem nie da się uciec. Nasz świat to - dla dziś żyjących pokoleń - oczywiście przede wszystkim przyszłość, ale jej nie da się oddzielić od przeszłości.

Pojednanie w Europie, rozumiane w tym momencie szeroko, jest potrzebne. Ale podstawą tego pojednania musi być niejednokrotnie twarda prawda. Powtarzam raz jeszcze: Polska nie ma powodów do odrabiania lekcji pokory. Polska zachowała się tak, jak należało się zachować. Niech lekcję pokory odrabiają ci, którym niejedna taka lekcja się należy. W imię czego? Właśnie w imię przyszłości”.

linki:

wystąpienie Bronisława Komorowskiego:

<http://www.prezydent.pl/aktualnosci/wypowiedzi-prezydenta/wystapienia/art,123,wystapienie-prezydenta-w-72-rocznice-napasci-zsrr-na-polske.html>

link alternatywny:

<http://www.deon.pl/wiadomosci/polska/art,9710,17-wrzesnia-to-nasze-wspolne-zobowiazanie,strona,2.html>

wystąpienie Lecha Kaczyńskiego:

<http://www.prezydent.pl/archiwum-strony-lecha-kaczynskiego/wypowiedzi-prezydenta/wystapienia/art,679,wystapienie-prezydenta-rp-pod-pomnikiem-poleglych-i-pomordowanych-na-wschodzie,1.html>

20.09.2011 20:48 72

634. ANATOMIA KAPITULACJI

Wszelkie refleksje na temat bezpieczeństwa państwa polskiego przypominają dziś dyskusję akademicką, prowadzoną na bezużytecznym poziomie abstrakcji. Głównie z tej przyczyny, że 10 kwietnia 2010 roku doszło do tragicznego zdarzenia, które totalnie obezwładniło i skompromitowało cały system bezpieczeństwa państwa, a w wyniku tego zdarzenia państwo

polskie dobrowolnie wyrzekło się części swoich zewnętrznych prerogatyw oraz zrezygnowało z istotnych składników suwerenności.

Skutki tragedii smoleńskiej można porównać jedynie do następstw zbrojnej agresji, w wyniku której ginie głowa państwa i całe dowództwo wojsk, zaś pozostała w kraju władza wykonawcza ogłasza całkowitą i bezwarunkową kapitulację.

Do dziś żadna z osób odpowiedzialnych za doprowadzenie do katastrofy nie poniosła najmniejszych konsekwencji, a organy konstytucyjne tego państwa nie są w stanie ustalić wiarygodnych okoliczności tragedii. Państwo zbudowane pod rządami PO-PSL wykazało, że nie tylko nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa najwyższych rangą przedstawicieli, ale nie może sprostać egzekwowaniu swoich praw na arenie międzynarodowej i nie chce poznać winnych śmierci własnych rodaków.

Od 10 kwietnia ubiegłego roku mamy natomiast do czynienia z pogłębianiem procesu kapitulacji w obszarze politycznym i gospodarczym oraz wrogimi wobec Polski aktami dezinformacji, w stopniu porównywalnym jedynie z wojną informacyjną prowadzoną na terytorium obcego państwa.

W tej sytuacji rozważanie kwestii bezpieczeństwa staje się bezprzedmiotowe, ponieważ każda z nich jest dotknięta skazą w postaci nieusuniętych skutków tragedii smoleńskiej. Dopóki trwa stan permanentnej kapitulacji, nie sposób w ogóle mówić o poczuciu braku zagrożenia. Zapewnienia, iż „państwo zdało egzamin” są przejawem nie tylko pospolitej głupoty ale też pogardy dla państwa i jego obywateli.

Przykłady takiego skażenia można wskazać w dwóch, niezwykle ważnych obszarach: rezygnacji z bezpieczeństwa energetycznego oraz zaprzestania prowadzenia samodzielnej polityki zagranicznej.

Podpisana w październiku 2010 roku umowa gazowa z Rosją zakończyła dwuletni spektakl, w którym rząd Donalda Tuska oraz inne organy państwa polskiego traktowane były jako adresaci żądań i wykonawcy poleceń. Na tak uwłaczającą relację pozwolono Rosjanom już we wrześniu 2009 roku, przyjmując jako podstawę przyszłego kontraktu gazowego dyrektywę płk Władimira Putina. Zdecydowanym przeciwnikiem podpisania długoterminowej umowy był prezydent Lech Kaczyński, dla którego bezpieczeństwo energetyczne Polski stanowiło bezwzględny priorytet. Projekt jego autorstwa - Euroazjatycki Korytarz Transportu Ropy Naftowej, - którego część miał stanowić rurociąg Odessa-Brody-Płock-Gdańsk pozwalał na dostawy ropy naftowej z regionu Morza Kaspijskiego do Polski i Europy. W kręgu zainteresowania Lecha Kaczyńskiego leżała również sprawa wydobywania gazu łupkowego oraz jak najszybsze uruchomienie gazoportu. Również sprzeciw wobec budowy Nord Stream, blokującego wejście do portu w Świnoujściu wynikał z konsekwentnej, zgodnej z polskim interesem polityki bezpieczeństwa energetycznego.

17 listopada 2009 roku Lech Kaczyński przesłał do Donalda Tuska list, w którym zawarł pytania dotyczące kilku kluczowych kwestii związanych ze stanowiskiem negocjacyjnym rządu, zaś 26 marca 2010 roku odbyło się w Belwederze spotkanie ekspertów poświęcone bezpieczeństwu energetycznemu. Wywołało ono olbrzymie wzburzenie grupy rządzącej i spowodowało liczne ataki medialne na prezydenta, a obecni na spotkaniu przedstawiciele rządu opuścili salę obrad. Główny wniosek, płynący z przedstawionego wówczas raportu Piotra Naimskiego był bowiem taki, że umowa z Rosją jest niekorzystna dla Polski i zagraża naszemu bezpieczeństwu. Lech Kaczyński poważnie zastanawiał się nad prawnymi możliwościami zablokowania umów z Gazpromem i prowadził w tej sprawie liczne konsultacje. Można zatem przyjąć, że śmierć prezydenta usuwała poważną przeszkodę na drodze do podpisania kontraktu, który skazywał Polskę na 27 -letni dyktat Gazpromu i prowadził do ścisłego związania polskiej gospodarki z interesami rosyjskimi.

Nie może być dziełem przypadku, że negocjacje w sprawie umowy wyraźnie nabrały tempa po 10 kwietnia, przy czym grupa rządząca konsekwentnie odmawiała ujawnienia warunków umowy zastępując się rzekomą tajemnicą handlową. Doprowadziło to do sytuacji, w której polskie społeczeństwo pozbawiono elementarnej wiedzy o treści dokumentu, zastępując rzetelną wiedzę propagandowymi banaliami o „sukcesach negocjacyjnych”.

Po ujawnieniu faktycznych zapisów kontraktu stało się oczywiste, że nie zawiera on jakichkolwiek ekonomicznych korzyści dla strony polskiej, a u podstaw jego zawarcia leżał dogmatyczny kosmopolityzm i antypolonizm grupy rządzącej. Umowa stała się symbolem wasalnych, asymetrycznych stosunków łączących grupę Tuska z reżimem Putina. Nie sposób dziś jeszcze ocenić katastrofalnych skutków, jakie dla naszego bezpieczeństwa energetycznego będzie miało długoletnie i wyniszczające związanie gospodarki z potrzebami rosyjskich eksporterów energii i uczynienie z Polski organizmu zależnego od paliwowego „krwioobiegu” Federacji Rosyjskiej. W ramach podporządkowania interesom rosyjskim obecny rząd zrezygnował również ze sprzeciwu wobec lokalizacji niemieckiego odcinka Nord Stream i nie uczynił nic w sprawie zablokowania niekorzystnej inwestycji. Tym samym, losy gazoportu w Świnoujściu wydają się przesądzone, ponieważ biegnący po dnie Bałtyku gazociąg zablokuje wejście do polskich portów statków o największym tonażu i uniemożliwi rozwój gazoportu.

Nie trzeba tworzyć historii alternatywnej by zrozumieć, że po 10 kwietnia i eliminacji najgroźniejszego przeciwnika umowy gazowej, nastąpiła całkowita kapitulacja w zakresie bezpieczeństwa energetycznego i przyjęcie wszystkich warunków rosyjskich.

W jeszcze większym stopniu, następstwa poddania państwa polskiego widoczne są w obszarze dyplomacji i polityki zagranicznej. Przejawia się to nie tylko w rezygnacji z roli lidera wobec państw strefy postsowieckiej, odrzuceniu strategicznej polityki wobec Gruzji i Ukrainy czy sabotażu w sprawie tarczy antyrakietowej. Takie intencje grupa rządząca okazywała bowiem już od chwili dojścia do władzy, konsekwentnie zmieniając kierunki polskiej dyplomacji i podporządkowując ją interesom Moskwy i Berlina. Przeciwwagą dla demontażu polityki zagranicznej stanowił jednak silny

ośrodek prezydencki, a aktywna i nieugięta postawa Lecha Kaczyńskiego wywoływała wściekłość decydentów rządowych. To prezydent sprzeciwiał się ustępstwom w sprawie podpisania nowego porozumienia o wzajemnych stosunkach między Rosją, a UE, krytykował stanowisko Niemiec w sprawie wejścia Ukrainy i Gruzji do NATO i stał na przeszkodzie rosyjsko-niemieckim planom zawiązania sojuszu ponad głowami Polaków. Przede wszystkim jednak był strażnikiem prawdy historycznej i sprzeciwiał się próbom podporządkowania polskiej polityki fałszywym relacjom historycznym.

Tytuł jednej z publikacji „Niezawisimaj Gaziety” z 13 kwietnia 2010 roku: *„Katyńska kość niezgody w relacjach Warszawy i Moskwy zostanie pochowana razem z prezydentem Lechem Kaczyńskim”* - wiernie oddaje rosyjskie nadzieje związane ze śmiercią polskiego prezydenta.

Podobnie, jak oczekiwania polityków grupy rządzącej trafnie określa cytat z rosyjskiego „Kommiersanta”, w którym cztery dni po tragedii smoleńskiej napisano: *„ci politycy w Polsce, którzy opowiadają się za pojednaniem z Rosją, otrzymali taką swobodę manewru, o jakiej tydzień temu mogli tylko marzyć”*.

Tę „swobodę manewru” politycy PO-PSL wykorzystali do rezygnacji państwa polskiego z prowadzenia własnej - czyli nakierowanej na obronę polskich interesów - polityki zagranicznej i zastąpili ją uwłaczającą postawą rosyjskiego „konja trojańskiego”. Nie istnieje dziś w tym obszarze żaden, znaczący projekt, o którym moglibyśmy powiedzieć, że służy polskiej racji stanu.

„To ja decyduję, co jest polską racją stanu” - oznajmił rodzinom ofiar katastrofy smoleńskiej Donald Tusk, gdy przyznał, że nie występował do Federacji Rosyjskiej z wnioskiem o wspólne śledztwo, a nawet nie miał takiego pomysłu. Ale i w tym wyznaniu premier rozmija się z prawdą, bo od 10 kwietnia nie sposób wskazać działań, które służyłyby polskim interesom, można za to wymienić wiele celów realizowanych w interesie putinowskiej Rosji.

Począwszy od obłędnego pomysłu otwarcia granicy z Kaliningradem i akceptacji dla rosyjsko-niemieckiego projektu „Prusy Wschodnie”, reaktywacji Trójkąta Weimarskiego, tylko po to, by zaprosić doń Rosję i włączyć to państwo w decyzje dotyczące Europy, po staraniach w sprawie nowego układu między Federacją Rosyjską i UE i zabiegach o przyjęcie Rosji do Światowej Organizacji Handlu. Wszystkie cele tzw. polskiej prezydencji w UE zostały podporządkowane interesom Kremla, a podstawowym zadaniem koalicji PO-PSL na arenie międzynarodowej jest *„usuwanie przeszkód stojących na drodze poprawy relacji rosyjsko-niemieckich”* - jak zdefiniował swoją misję Donald Tusk.

Nie ma dziś w UE państwa, które w podobny sposób zrezygnowałoby z suwerennej polityki w stosunkach z innymi państwami i podporządkowało ją celom obcego mocarstwa. Mimo tej serwilistycznej postawy, obraz stosunków polsko - rosyjskich jest dziś fatalny i próżno szukać choćby jednego aktu świadczącego o poprawie relacji z Rosją. Nawet stworzenie rządowego Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia nie wywołało partnerskiej reakcji strony rosyjskiej i zostało zignorowane przez prezydenta Miedwiediewa.

To nie przypadek, że za czasów obecnego rządu do dyplomacji wrócili absolwenci Państwowego Instytutu Spraw Międzynarodowych, Akademii Dyplomatycznej czy podyplomowego studium w WSNS przy KC PZPR. Prorosyjskie zadania stawiane polityce zagranicznej III RP wymagają kadr wyhodowanych w kuźniach aparatu i ośrodkach agentury.

Symbolem służby dyplomatycznej pod rządami PO-PSL jest dziś postać Tomasza Turowskiego - pułkownika SB, któremu powierzono organizację wizyty Lecha Kaczyńskiego w Katyniu. Takim symbolem może być również osoba ostatniego szefa WSI gen Marka Dukaczewskiego, o którym wiemy, że był częstym gościem w gabinecie ministra Sikorskiego i prawdopodobnie doradzał szefowi MSZ w sprawach kadrowych.

Słowa Turowskiego z wywiadu, jakiego ambasador tytularny w Moskwie udzielił w dniu 12 kwietnia 2010 roku rosyjskiemu radiu, ukazują zaś nie tylko wymiar grozy wynikającej ze skutków tragedii smoleńskiej, ale również rzeczywistą skalę kapitulacji państwa polskiego. *„I Rosja, i Polska - powiedział Turowski - należą [...] do tej samej ogromnej judeo-chrześcijańskiej tradycji, a wielkie rzeczy w tej tradycji zawsze rodziły się we krwi. I jestem pewien, że z tej krwi wyrośnie to, na co my wszyscy czekamy - nowe, dobre stosunki pomiędzy Polską i Rosją”*

22.09.2011 19:32 47

635. ZABÓJCZE MODERNIZACJE „PANÓW W MUNDURACH”

Bronisław Komorowski może mieć istotne powody, by w sprawie katastrofy samolotu wojskowego CASA obarczać odpowiedzialnością ówczesne dowództwo Sił Powietrznych, w tym generała Andrzeja Błasika.

W niedawnej wypowiedzi radiowej Komorowski stwierdził, że *„trzeba mieć odwagę powiedzenia publicznie i jednoznacznie”*, że były minister obrony Klich popełnił błąd nie odwołując w roku 2008 gen. Błasika ze stanowiska szefa Sił Powietrznych. W wystąpieniu Komorowskiego znajdowała się sugestia, że to dowódca SP ponosił odpowiedzialność za katastrofę samolotu CASA.

Bez certyfikatu, bez przetargu

Warto zatem, by obecny prezydent - tak chętnie pouczający innych o potrzebie odwagi - sam wykazał choćby minimum tej cechy i publicznie ujawnił swoją rolę w zakupie hiszpańskiego samolotu oraz wyjaśnił szokujące okoliczności towarzyszące tej transakcji.

To on, jako minister obrony narodowej w rządzie Jerzego Buzka w połowie 2001 roku podpisał umowę na zakup samolotów CASA. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej, w grudniu 2000 r. MON ogłosił przetarg na samolot transportowy.

Przystąpiły do niego trzy firmy: hiszpańska CASA, włoska Alenia i ukraiński Antonow. W momencie zgłoszenia, żadna z nich nie posiadała odpowiednich certyfikatów natowskich. Dwie ostatnie firmy wykluczono z przetargu natychmiast, choć w krótkim czasie przedstawiły stosowne certyfikaty. CASA, która również nie miała certyfikatów na awionikę, potraktowana została ulgowo.

Już wówczas zwracano uwagę, że CASA C-295 sprawia wrażenie przerobionego na potrzeby wojska samolotu cywilnego i nie spełnia podstawowych warunków militarnych. Zbyt mała przestrzeń ładunkowa samolotu uniemożliwia m.in. załadunek standardowych palet NATO-wskich czy samochodu Hammer, a źle poukładany bagaż stwarzał zagrożenie katastrofą. Zaproponowany przez Włochów C-27J Spartan nie tylko miał większą ładowność i parametry amerykańskiego Herkulesa, ale znacznie dalej i szybciej latał.

Decyzję o rezygnacji z trybu przetargowego podjął minister obrony narodowej Bronisław Komorowski. 28 sierpnia 2001 roku podpisano kontrakt o wartości 211 mln dolarów, na mocy którego Polska otrzymała osiem maszyn z możliwością dokupienia czterech następnych. W zamian za zamówienie hiszpańskie EADS CASA i Avia System Group kupił większościowy pakiet PZL Warszawa-Okęcie za 28,5 miliona złotych obiecując zainwestowanie w najbliższych dwóch latach kolejnych 16 milionów. Miało tam powstać m.in. centrum serwisowe dla samolotów CASA. Centrum nigdy jednak nie powstało, przez co maszyny na wszystkie przeglądy i naprawy musiały każdorazowo latać do Hiszpanii.

W roku 2001 decydowały się losy trzech ogromnych przetargów na: samolot wielozadaniowy, transporter kołowy opancerzony i przeciwpancerny pocisk kierowany. Wartość tych zakupów przekraczała 25 mld zł.

Zastępcą Komorowskiego odpowiedzialnym za sprawy przetargów był wówczas wiceminister Romuald Szeremietiew - zwolennik przejrzystych procedur przetargowych. Postawa wiceministra musiała kolidować z interesami nieformalnych grup interesów w MON, w których główne role odgrywali oficerowie Wojskowych Służb Informacyjnych. Szeremietiew twierdził, że w sprawie wyboru samolotu transportowego istniały silne naciski ze strony tego środowiska.

„W czerwcu 2001 r. minister Komorowski zaprosił mnie na rozmowę” - wspominał Szeremietiew. „Wtedy z wyraźną troską w głosie powiedział, że w „dużej gazecie” wkrótce ukaże się bardzo „nieprzyjemny” dla mnie artykuł. I zapytał - ty wytłumaczysz się z budowy domu? „

7 lipca 2001 r. w „Rzeczpospolitej” ukazał się artykuł. autorstwa Bertolda Kittela i Anny Marszałek pt. „Kasjer z Ministerstwa Obrony”, w którym dziennikarze oskarżyli o korupcję Zbigniewa Farmusa - najbliższego współpracownika Szeremietiewa. O nim samym napisano, że „w ciągu czterech lat urzędowania poczynił inwestycje, na które nie ma pokrycia w dochodach.”

Tego samego dnia, po spektakularnym zatrzymaniu Farmus trafił do aresztu, gdzie następnie spędził łącznie 2,5 roku. W kilka godzin później, w atmosferze skandalu ze stanowiska odwołano Szeremietiewa. Wprawdzie wszystkie zarzuty okazały się nieprawdziwe i nie znalazły potwierdzenia w wieloletnim śledztwie, cel publikacji został osiągnięty. Szeremietiew odszedł z MON, a sprawy zakupów dla armii przejęli ludzie wyznaczeni przez Komorowskiego. Razem z wiceministrem posadę stracił płk Janusz Zwoliński, dyrektor Departamentu Zaopatrywania Sił Zbrojnych MON, któremu bezpośrednio podlegała kontrola nad przetargami. Zastąpił go protegowany Komorowskiego, płk Paweł Nowak - absolwent studiów podyplomowych Akademii Wojsk Pancernych w Moskwie. To on zdecydował o zakupie CASY. Wkrótce nastąpiła zmiana rządów, a nowym ministrem obrony został Jerzy Szmajdziński. Na stanowiskach pozostali jednak ludzie Komorowskiego, związani z przetargami dla wojska. Płk. Nowak za czasów rządów SLD dokonał zakupu transportera kołowego Patria i rakiety przeciwpancernej.

Brak winnych i deklaracje

25. lutego 2008 r., po katastrofie CASY (w której zginęło 20 oficerów WP) Prokuratura Wojskowa wszczęła śledztwo, w trakcie którego badano czy nie doszło do korupcji przy zakupie samolotów. Uwagę śledczych skupiły kwestie związane z wyborem dostawcy, zawarciem umowy i jej aneksowaniem.

W roku 2007 prowadzono również postępowanie dotyczące Bronisława Komorowskiego. Z odpowiedzi szefa Prokuratury Wojskowej Krzysztofa Parulskiego na interpelację posła Ludwika Dorna w sprawie śledztwa związanego z zakupem CASY wynika, że rozstrzygnięcie tego postępowania nastąpiło natychmiast po dojściu do władzy koalicji PO-PSL. W odpowiedzi ze stycznia 2009 roku Parulski stwierdził: „Prokurator Prokuratury Okręgowej w Warszawie prawomocnym postanowieniem z dnia 19 listopada 2007 r. odmówił wszczęcia śledztwa, sygn. V Ds. 385/07, w sprawie niedopełnienia w 2000 r. i następnych latach w Warszawie obowiązków służbowych przez funkcjonariuszy publicznych działających w celu osiągnięcia korzyści osobistych lub majątkowych w okresie pełnienia funkcji ministra obrony narodowej przez Bronisława Komorowskiego w związku z ogłoszonym, a następnie realizowanym przetargiem na zakup samolotu transportowego na potrzeby Wojska

Polskiego, tj. o czyn z art. 231 § 2 K.k., stwierdzając w uzasadnieniu tego postanowienia, że „proces realizacji zobowiązań offsetowych, choć realizowany nieterminowo, trwa”.

Po tragicznym wypadku CASY Bronisław Komorowski chętnie brylował w mediach i dywagował iż „należy zastanowić się nad wprowadzeniem odpowiednich regulacji dotyczących lotów z udziałem takiej kadry”. Twierdził wówczas, że „takie procedury dotyczą tylko najważniejszych osób w państwie. Prezydent, premier czy marszałek Sejmu nie mogą latać jednym samolotem”. Kilka dni później składał wieniec przed warszawskim Pomnikiem Lotnika „w geście solidarności z rodzinami 20 lotników - ofiar katastrofy”.

Informacje prasowe o braku centrum serwisowego hiszpańskich samolotów Komorowski określił jako „przedziwną plotkę”. Pytany wówczas o przyczyny katastrofy powiedział, że należy zachować ostrożność przy spekulowaniu i pouczył: „Wyniki mogą być zaskakujące, a spekulacjami można komuś zrobić krzywdę. Politycy powinni z daleka się trzymać się od udawania, że wiedzą wszystko o lotnictwie, nawet jak są byłymi ministrami obrony narodowej. Powinni zachować umiar w ponagłaniu wojskowych. Są procedury, jest komisja wypadkowa, która w tej chwili bada wszystkie dokumenty, przygotowuje się do przesłuchania wszystkich nagrań, jest czarna skrzynka, jestem pewien, że ten werdykt będzie jednoznaczny”.

Podraporty podkomisji

Śledztwo dotyczące katastrofy CASY można określić mianem złowrogiego preludium przed podobnymi działaniami podejmowanymi przez grupę rządzącą w sprawie tragedii smoleńskiej. Wbrew zapewnieniom ministra Klicha, iż „wszystkie okoliczności zostaną wyjaśnione” - postępowanie prowadzono nierzetelnie, pod z góry założoną tezę, ukrywając przed opinią publiczną szereg istotnych informacji.

Komisja badająca przyczyny katastrofy pracowała przez ponad dwa miesiące i podzielona została na kilka podkomisji, z których każda miała do sporządzenia podraport dotyczący np. pogody, stanu technicznego czy akcji ratowniczej. Dawalo to w sumie kilkaset stron analiz, wniosków i ekspertyz. Tymczasem raport końcowy komisji liczył nieco ponad 30 stron i nie zawierał najważniejszych informacji zawartych w podraportach.

Odpowiedzialnością za katastrofę obarczono wyłącznie załogę i kontrolerów lotów. Piloci - jak stwierdzono w raporcie - „zamiast kontrolować wskaźniki, wzrokiem poszukiwali lądowiska”. Komisji ustaliła, że tragicznemu zdarzeniu sprzyjały w szczególności: niewłaściwy dobór załogi, niewłaściwa współpraca załogi w kabinie, niekorzystne warunki atmosferyczne, dezorientacja przestrzenna załogi w wyniku niewłaściwego podziału uwagi w czasie lotu bez widoczności ziemi. Stwierdzono też, że system nawigacyjny ILS, w jaki wyposażony był samolot, nie mógł być użyty, bo system ten nie działał na lotnisku w Mirostawcu.

Oficjalny, odtajniony raport nie wspominał ani słowem, że awarii mogła ulec sama CASA. Za nieistotne uznano informacje, że w ciągu całego lotu aż dziewięć razy włączała się sygnalizacja awarii instalacji przeciwbłędzeniowej, a problemy z tą instalacją samolot miał już podczas wcześniejszych lotów. Komisja uznała to zjawisko normalne. Zawodziła także instalacja elektryczna. Wyłączenie jednej z tzw. szyn energetycznych było spowodowane, zdaniem komisji, włączeniem dodatkowych pomp hydraulicznych w samolocie. Również to zdarzenie komisja uznała za całkowicie prawidłowe. Wątpliwości komisji nie wzbudził też fakt, że samolot zatankowano paliwem o bardzo złej jakości, które mogło poważnie uszkodzić silniki.

W opinii wielu ekspertów, raport sprawiał wrażenie napisanego pod presją, z wyraźnie zarysowaną tezą - w taki sposób, by rzucić winę na błąd człowieka (pilotów i kontrolerów), a nie na zawodność sprzętu.

Jednocześnie śledztwu towarzyszyły okoliczności, które mogły wskazywać, że komuś bardzo zależało na ukryciu prawdy o przyczynach katastrofy.

Prawdopodobnie doszło do sfalszowania nagrań prowadzonych pomiędzy załogą samolotu a wieżą. Wśród nagrań były również rozmowy telefoniczne prowadzone przez służbowe telefony stacjonarne na terenie portu lotniczego. Prof. Stefan Grocholewski z Politechniki Poznańskiej badając na zlecenie prokuratury treść tych rozmów zauważył, że fragment dialogu pomiędzy dwoma oficerami został zarejestrowany w dwóch różnych miejscach. Ekspert nie wykluczył manipulacji przy nagraniach, jednak nie mógł tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością, ponieważ prokuratura do badań przekazała mu kopie, a nie oryginał zapisów. Zakwestionowany fragment dotyczył m.in. liczby ofiar i wynikało z niego, że rozmówcy nie wiedzieli, ile osób zginęło. Prokuratura nie zajęła się tym wątkiem, a autor ekspertyzy zmarł 25 marca 2010 r., w pół roku po jej sporządzeniu.

Milczenie po katastrofie

Wielokrotnie wracano uwagę na istotne podobieństwa katastrofy w Mirostawcu i okoliczności towarzyszących tragedii smoleńskiej. Jednym ze wspólnych elementów może być kwestia nagłego zdarzenia - awarii, do której miało dojść jeszcze nad ziemią. W Tu - 154 urządzenia pokładowe zarejestrowały dwa potężne wstrząsy i następującą po nich awarię systemu zasilania samolotu, w przypadku CASY mieliśmy do czynienia z gwałtownym przerwaniem zapisu czarnych skrzynek w momencie, gdy samolot znajdował się 329 stóp (czyli ok. 100 metrów) nad ziemią. Dane na ten temat pochodzą z wykresu pracy silników i sterów CASY i zostały umieszczone w jednym z załączników do upublicznionego przez armię raportu. Wynika z niego, że na 14 sekund przed rozbiciem samolotu załoga wyłączyła autopilota i przeszła na sterowanie ręczne. W tym

czasie żaden z pilotów i nawigator nie nawiązali kontaktu z wieżą kontrolną we Mirostawcu.. Wypowiadający się na ten temat piloci przypuszczali, że w kabinie musiało dojść do nagłej awarii, na tyle niespodziewanej, że załoga nie miała czasu poinformować o tym kontrolerów.

W czasie śledztwa zastraszano również rodziny ofiar, m.in. córkę gen. Andrzeja Andrzejewskiego grożąc im po tym, jak zakwestionowali wyniki ustaleń komisji badającej przyczyny wypadku.

Andrzej Smyczyński, brat tragicznie zmarłego pilota samolotu CASA kpt. Michała Smyczyńskiego, próbował na własną rękę dociec prawdy. Opowiadał, że już po ujawnieniu raportu na ulicy pod jego domem zaczęło go dwóch mężczyzn. Podjechali czarnym mercedesem z zasłoniętymi numerami rejestracyjnymi. Kierowca samochodu ostrzegł Smyczyńskiego: „Zostaw, gnoju, sprawę Mirostawca, bo jesteś na to za cienki. Wiemy dokładnie, gdzie mieszkasz, co robisz, z kim pracujesz, z kim się spotykasz. Jest to na razie prośba od wysoko postawionych panów w mundurach”. Na pożegnanie pokazał Smyczyńskiemu kaburę i wykonał ruch dłonią, jakby do niego wystrzelił

Również Klaudyna Andrzejewska - córka gen. Andrzejewskiego informowała o naciskach i groźbach, wywieranych na nią i na żonę generała. Próbowano wymóc, by córka nie publikowała żadnych artykułów ani nie występowała w mediach przed rocznicą katastrofy.

Przed rokiem media informowały, że resort obrony zbierał kompromitujące materiały na temat niektórych członków rodzin ofiar i zastanawiał się nad ich publikacją w tabloidach. Świadkowie twierdzili, iż próbowano zdyskredytować wizerunek tych rodzin, które krytykowały działania MON.

Sprawę gróźb, podobnie jak wszystkich pozostałych wątków związanych z katastrofą CASY umorzono, a nad zdarzeniem z 2008 roku zapadło milczenie.

Identycznie jak w przypadku tragedii smoleńskiej, winą obarczono załogę samolotu, żołnierzy i dowódców. Dywagowano o naciskach na lądowanie, a niedawna wypowiedź Komorowskiego wyraźnie nawiązuje do zarzutów stawianych gen Błasiakowi. Nikt nie poniósł odpowiedzialności politycznej, zaś sprawy dotyczące serwisowania samolotów skutecznie wyciszono.

Człowiek, który zdecydował o ich zakupie i zaakceptował fatalne warunki offsetowe, w wywiadzie z lutego br. uznał zakup samolotu CASA za jeden z „dwóch największych, gigantycznych projektów modernizacji” i „gigantyczny wysiłek modernizacyjny za gigantyczną ilość pieniędzy.”

„Uważam - pochwalił się Komorowski, „że zwierzchnictwo cywilne, akurat w odniesieniu do Sił Powietrznych może poszczycić się ogromnymi osiągnięciami w zakresie skutecznego i dobrego dla Sił Powietrznych kierowania”. Zdaniem Komorowskiego „szwankowało” jedynie dowodzenie SP, „które dało o sobie znać m.in. katastrofą pod Mirostawcem i brakiem wyciągnięcia daleko idących wniosków i odpowiednich wniosków, a to z kolei miało swój jakiś wpływ, w moim przekonaniu - to albo stwierdzi raport Millera, albo nie - ale gdzieś to prowadziło także do katastrofy smoleńskiej.”

23.09.2011 18:52 72

636. INFORMACJE BEZ GRANIC

Projekt tej ustawy wpłynął do Sejmu 1 sierpnia 2011 roku i już po pięciu dniach został skierowany do pierwszego czytania. 11 sierpnia ustawa została pozytywnie zaopiniowana przez Prokuratora Generalnego. Obradująca nad projektem sejmowa Komisja Administracji i Spraw Wewnętrznych przedstawiła swoje sprawozdanie już 29 sierpnia, zaś Senat uwinął się z pracą do 15 września. Ostateczny tekst Ustawy „o wymianie informacji z organami ścigania państw członkowskich Unii Europejskiej” został uchwalony przez Sejm w dniu 16 września br.

Powstały w błyskawicznym tempie totalny bubel prawny, może stać się jednym z najgroźniejszych narzędzi wymierzonych w polskich obywateli i stanowi kolejne, realne zagrożenie dla naszych praw obywatelskich.

Rząd Donalda Tuska uzasadniając projekt ustawy użył zwyczajowej formuły - wytrychu o „dostosowaniu prawa krajowego do unijnych standardów” oraz „wdrażaniu do polskiego systemu prawnego zasad wynikających z kilku decyzji ramowych Unii Europejskiej”. To tylko część prawdy, zaś nadany ustawie tytuł ma niewiele wspólnego z jej treścią.

Z założenia - ten akt prawny ma określać „zasady i warunki wymiany informacji z organami ścigania państw członkowskich Unii Europejskiej w celu wykrywania i ścigania sprawców przestępstw lub przestępstw skarbowych oraz zapobiegania przestępczości i jej zwalczania oraz przetwarzania informacji, a także podmioty uprawnione w tych sprawach”.

Tymczasem do projektu włączono liczne zmiany w ustawach, które miały dawać nowe uprawnienia - Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Straży Granicznej, Żandarmerii Wojskowej, Centralnemu Biuru Antykorupcyjnemu, Agencji

Wywiadu, Służbie Wywiadu Wojskowego i Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, a szczególnie Policji - do pozyskiwania w uproszczony sposób, a więc bez decyzji sądu, informacji dotyczących osób podejrzanych o dokonanie przestępstw. Dopiero sprzeciw opozycji oraz medialne nagłosnienie intencji rządu zdecydowały o wycofaniu najbardziej kontrowersyjnych zapisów. Pierwotny projekt przewidywał np. stworzenie nowego systemu danych pod nazwą Elektroniczny System Odzyskiwania Mienia (ESOM)- zapewniającego policji i służbom dostęp do baz danych banków czy biur maklerskich.

Obecny kształt ustawy nadal musi budzić poważne zastrzeżenia. Jej przepisy rozciągają bowiem procedury wymiany informacji o polskich obywatelach na organizacje międzynarodowe oraz państwa nie będące członkami UE i pozwalają na całkowitą dowolność działań służb. Sugestia zawarta w tytule ustawy, nie ma nic wspólnego z jej rzeczywistą zawartością.

Ustawa przewiduje utworzenie „punktu kontaktowego” w którym funkcjonariusze służb specjalnych III RP będą mieli bezpośredni dostęp do wszystkich baz danych na temat obywateli. Zadania „punktu kontaktowego” ma wykonywać Komendant Główny Policji, Komendant Główny Straży Granicznej oraz Szefowie ABW i AW. „Punkt kontaktowy” ma służyć wymianie informacji z organami ścigania państw członkowskich UE oraz organami „państw trzecich” poprzez kanały komunikacji wykorzystywane w międzynarodowej współpracy policyjnej, w szczególności udostępnianymi przez: INTERPOL, Europejski Urząd Policji - EUROPOL oraz biura SIRENE. Informacje mogą również przekazywać oficerowie łącznikowi lub „inni przedstawiciele podmiotów uprawnionych”.

„Punkt kontaktowy” będzie miał bezpośredni dostęp m.in. do: Krajowego Systemu Informacyjnego Policji, zbiorów danych PESEL, Centralnej Ewidencji Pojazdów, Centralnej Ewidencji Kierowców, systemu Pobyt, Krajowego Rejestru Karnego, Krajowego Rejestru Sądowego, Rejestru Dowodów Osobistych, Krajowego Rejestru Urzędowego Podmiotów Gospodarki Narodowej, Centralnej Ewidencji Wydanych i Unieważnionych Paszportów, Centralnej Bazy Osób Pozbawionych Wolności, danych udostępnianych za pośrednictwem Krajowego Systemu Informatycznego oraz tzw. danych referencyjnych obejmujących profile DNA.

Na podstawie uchwalonej ustawy - wszystkie informacje zawarte w tych systemach, mogą być przekazywane do dowolnego państwa świata, praktycznie bez czyjejkolwiek zgody i wiedzy. Taką możliwość wyraźnie przewiduje art.18 ustawy, pozwalający „w przypadkach niecierpiących zwłoki, jeżeli jest to niezbędne do zapobieżenia bezpośredniemu i poważnemu zagrożeniu bezpieczeństwa lub porządku publicznego” przekazywać informacje według uznania służb, a dopiero po ich przekazaniu informować „organ właściwy do udzielenia zgody”. Co więcej - służby nie mają obowiązku powiadamiania osoby o przetwarzaniu jej danych osobowych, czyli przekazują zagranicę dane bez jej zgody i wiedzy.

W praktyce oznacza to, że najbardziej poufne informacje o obywatelach polskich mogą bez przeszkód trafić do takich państw jak: Chiny, Kuba, Rosja, Wietnam czy Białoruś - wszystkie one bowiem są członkami międzynarodowej organizacji policyjnej INTERPOL oraz należą do „państw trzecich”, o których mowa w ustawie. Niedawny przypadek haniebnego denuncjacji białoruskich opozycjonistów, byłby zatem pod rządami nowej ustawy w pełni umotywowany. Można przyjąć, że po jej uchwaleniu, takie incydenty staną się stałą praktyką, zaś „wymiana informacji” - czyli donoszenie na własnych obywateli, również organom państw totalitarnych, będzie się odbywać w majestacie prawa.

Dzięki przyjęciu nowej ustawy Policja i służby specjalne, dzięki działalności „punktów kontaktowych” uzyskują wręcz nieograniczony dostęp do każdej informacji na temat obywateli. Zapisy zawarte w art.27 umożliwiają zaś Policji przetwarzanie tych danych „w innym celu” niż ten, w którym zostały uzyskane. Wystarczy, że uzna, iż „jest to niezbędne do realizacji zadań ustawowych Policji”.

Dziś jeszcze trudno przewidzieć wszystkie negatywne skutki, jakie może przynieść ustawa o zwodniczej nazwie. Poseł Tadeusz Woźniak z PiS, prezentując stanowisko Klubu Parlamentarnego stwierdził, że wynikające z tej ustawy „praktyki obozu rządzącego Polską mogą być niebezpieczne zarówno dla obywateli polskich, jak i miłujących wolność obywateli innych państw”.

„Mamy nadzieję - dodał Woźniak, „że po tegorocznych wyborach parlamentarnych Platforma Obywatelska będzie odsunięta od władzy i możliwości podstępного przepychania niekorzystnych z punktu widzenia obywateli rozwiązań.”

Tekst opublikowany w Warszawskiej Gazecie.

26.09.2011 19:22 84

637. WYBORY W CIENIU USTAWY O STANIE WOJENNYM

Za dwa tygodnie Bronisław Komorowski i jego partyjni koledzy, będą mieli w rękach realne narzędzie pozwalające wprowadzić w Polsce stan wyjątkowy.

Jutro bowiem, o godz. 10 Komorowski podpisze ustawę z dnia 30 sierpnia 2011 r. o zmianie ustawy o stanie wojennym oraz o kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych i zasadach jego podległości konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej oraz niektórych innych ustaw. Ustawa wejdzie w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia.

Projekt nowelizacji wpłynął do Sejmu w dniu 10 czerwca br. i była to bodaj pierwsza inicjatywa ustawodawcza Komorowskiego od czasu wyboru na prezydenta. W tekście z 13. 06. zatytułowanym STAN WYJĄTKOWY W INTERNECIE? przedstawiłem treść tej nowelizacji i związane z nią zagrożenia.

Opinia prawna sporządzona przez prof. dr hab. Andrzeja Szmyta eksperta ds. legislacji w Biurze Analiz Sejmowych, zawierała jednoznaczny konkluzję: „Wyrażam istotną wątpliwość co do potrzeby i kształtu proponowanej nowelizacji wymienionych ustaw”. Pytanie: po co potrzebna jest ta nowelizacja - przewijało się również w trakcie prac sejmowych komisji obrony narodowej, spraw zagranicznych oraz administracji i spraw wewnętrznych, debatujących nad ustawą.

Jedyna odpowiedź pochodziła od szefa BBN Stanisława Kozieja, który wyjaśnił posłom, że celem nowelizacji ustawy o stanie wojennym jest „wprowadzenie do obrotu prawnego pojęcia cyberprzestrzeni”. Na pytanie: po co wprowadzać to pojęcie i co uzasadnia taką pilną potrzebę - nie udzielono sensownej odpowiedzi.

Zdaniem sejmowego eksperta „pojęcie „cyberprzestrzeni” wydaje się być pojęciem jednak niedookreślonym, w świadomości społecznej nieco „domyślnym”, o nieustalonej treści normatywnej, raczej dość potoczną „zbitką pojęciową”. Tym większe znaczenie musi mieć jego prawne dookreślenie (zdefiniowanie), jako że potencjalnie wiąże się z konsekwencjami w sferze praw i wolności człowieka i obywatela.”

Zaproponowana przez Komorowskiego definicja „cyberprzestrzeni” jest tak dalece nieprecyzyjna i ogólnikowa, że można pod nią podciągnąć każdy system teleinformatyczny służący przetwarzaniu, przechowywaniu, wysyłaniu i odbieraniu danych poprzez sieci telekomunikacyjne. Zwraca na to uwagę również ekspert sejmowy i podkreśla, że „nawet w Uzasadnieniu projektu określenie „cyberprzestrzeń” używane jest częściowo wymiennie, a częściowo we fragmentarycznym związku z pojęciem „przestrzeni wirtualnej”.

Nie precyzując zatem, o jakie zagrożenie może chodzić, nowelizacja pozwala Komorowskiemu wprowadzić na wniosek Rady Ministrów stan wojenny lub stan wyjątkowy na części albo na całym terytorium państwa. Szczególnie ważny jest art.2 nowelizacji, przewidujący zmianę w ustawie o stanie wyjątkowym. Czytamy w nim:

„W sytuacji szczególnego zagrożenia konstytucyjnego ustroju państwa, bezpieczeństwa obywateli lub porządku publicznego, w tym spowodowanego działaniami o charakterze terrorystycznym lub działaniami w cyberprzestrzeni, które nie może być usunięte poprzez użycie zwykłych środków konstytucyjnych, Rada Ministrów może podjąć uchwałę o skierowaniu do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej wniosku o wprowadzenie stanu wyjątkowego”.

O tym, co stanowi „szczególne zagrożenie” dla ustroju państwa lub czym są „działania w cyberprzestrzeni” będzie decydować Rada Ministrów w oparciu o prawo, które nie zawiera żadnej precyzyjnej definicji tych określeń. Ewentualna decyzja RM będzie całkowicie fakultatywna i zależna od swobodnej interpretacji zagrożeń.

Jeśli nawet przyjmujemy, że inicjatywa Komorowskiego nie ma związku z wyborami parlamentarnymi, a uchwalona nowelizacja nie posłuży do pacyfikacji społeczeństwa - pojawiają się istotne pytania, na które nikt z rządzących nie udzielił odpowiedzi.

Przede wszystkim, o ekspresowe tempo uchwalenia ustawy. Nie znajduje ono uzasadnienia w żadnym realnym zagrożeniu, ani nawet w ulubionym przez rządzących argumentie - wytrychu o potrzebie „implementacji prawa europejskiego”. Na polu „definiowania cyberprzestrzeni” III RP dzierży bowiem palmę pierwszeństwa, a żadne inne państwo UE nie uznało za konieczne tworzenie w tym celu specjalnej ustawy. W ostatnich miesiącach nie słyszeliśmy też o szczególnie groźnych atakach hakerskich na urzędy państwowe, zaś lektura strony internetowej CERT Polska nie wywołuje nadmiernych emocji.

Pytać także trzeba o entuzjazm, z jakim inicjatywa ustawodawcza Komorowskiego spotkała się wśród jego partyjnych towarzyszy. Bo choć w trakcie prac sejmowych komisji, opozycja (a nawet SLD) zgłaszała wiele uwag, podkreślając m.in. szkodliwość zmiany materii konstytucyjnej poprzez niedopracowaną i zbędną ustawę - tylko posłowie rządzącej koalicji nie mieli najmniejszych wątpliwości, że dzieło Komorowskiego zasługuje na jak najszybsze uchwalenie.

Posłanka PO Bożena Sławiak zdobyła się nawet na pochwalne peany pod adresem twórcy ustawy i w trakcie prac komisji wyznała: „Ja się akurat bardzo cieszę i dziękuję panu prezydentowi, że zainicjował wprowadzenie pojęcia cyberprzestrzeni. Myślę, że już od wielu miesięcy, od wielu lat funkcjonujemy w tej cyberprzestrzeni, wszyscy o niej mówimy, a tak naprawdę nie była ona zdefiniowana i nawet jeśli żadne państwo nie wprowadziło jeszcze takiego pojęcia, to chyba dobrze, że Polska zasygnalizowała, że cyberprzestrzeń istnieje i że istnieją zagrożenia z nią związane.”

Pytania o przyczyny uchwalenia tej ustawy są z pewnością zasadne, jeśli przypomnimy sobie, co grupa rządząca i jej stronnicy uznają za „zagrożenia konstytucyjnego ustroju państwa” lub nazywają „działaniami w cyberprzestrzeni” - a zatem - co ich zdaniem mogłoby wywołać zagrożenie na tyle poważne, by zgłosić Komorowskiemu wniosek o wprowadzenie stanu wyjątkowego.

Tak się bowiem składa, że w czasie ostatnich miesięcy poznaliśmy definicję PiS-u, jako „partii antysystemowej”, walczącej „z systemem ustrojowym”. Usłyszeliśmy również porównanie tej formacji do Komunistycznej Partii Polski i określenie jej „opozycją antysystemową i antypaństwową”. Zdaniem prominentnego autora tych słów - PiS „to formacja, która chce

unicestwić państwo demokratyczne, ukształtowane po 1989 r”. Pamiętamy również, że zdaniem obecnej władzy, groźnymi „działaniami w cyberprzestrzeni” okazały się publikacje zawarte na stronie internetowej antykomor.pl. Były to czyny na tyle niebezpieczne, że wymagały zaangażowania Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Pamiętamy też o nadzwyczaj bliskich związkach Komorowskiego z ludźmi policji politycznej PRL i o szczególnym afekcie, z jakim dzisiejszy mieszkaniec Belwederu traktuje człowieka odpowiedzialnego za wprowadzenie w Polskę stanu wojennego.

Ustawa, którą Komorowski podpisze stwarza realne możliwości, by na mocy jednej, fakultatywnej decyzji zmienić każdy niekorzystny werdykt wyborczy lub zablokować zmiany groźne dla układu rządzącego. Jeśli taki scenariusz byłby brany pod uwagę - warto wiedzieć, że jutro to narzędzie zostanie uzbrojone.

http://orka.sejm.gov.pl/proc6.nsf/ustawy/4355_u.htm

<http://orka.sejm.gov.pl/proc6.nsf/opisy/4355.htm>

<http://wiadomosci.dziennik.pl/polityka/artykuly/332919,pis-jest-partia-antysystemowa-ale-mamy-male-mozliwosci-delegalizacji.html>

<http://www.polskatimes.pl/stronaglowna/320832,adam-michnik-pis-jest-jak-komunistyczna-partia-polski,id,t.html?cookie=1>

<http://cogito.salon24.pl/315542,stan-wyjatkowy-w-internecie>

28.09.2011 19:03 100

638. ALTERNATYWNE WIDMA PRZYSZŁOŚCI

Chcąc panować nad człowiekiem, trzeba sprawić, by zaczął się bać. Tę najprostszą zasadę władzy doskonale rozumiał Stalin, przyznając, że woli, by ludzie popierali go ze strachu niż z przekonania. Ono bowiem jest zmienne, podczas gdy strach zawsze pozostaje ten sam. Również grupa rządząca Polską opanowała perfekcyjnie tę regułę i z rozgrywania lęków uczyniła podstawowe narzędzie swojej władzy. Prymitywny, lecz skuteczny przekaz sączony przez ośrodki propagandy szermował lękiem przed demonicznymi „kaczorami”, epatował setkami rzekomych afer, straszył powrotem rządów przemocy i zniewolenia - oferując w zamian życie bez narodowych trosk i obywatelskiej odpowiedzialności. Funkcjonalność tej metody pozwala również dziś odwoływać się do najniższych instynktów społeczeństwa i straszyć Polaków recydywą „PiS-owskiej nocy”.

Miarą tego lęku jest jego całkowita irracjonalność, widoczna w zderzeniu z mizernymi efektami czteroletnich poszukiwań uzasadnienia dla tezy o „PiS-owskich zbrodniach”. Kłamstwa propagandystów okazują się wyjątkowo czytelne, gdy demagogię i medialny terrorizm zastąpimy rzeczowymi argumentami i spróbujemy wskazać prawdziwe zagrożenia odpowiadając na pytanie: co czeka Polaków, jeśli obecnej koalicji ponownie powierzą swój los i zdecydują o oddaniu władzy na kolejne lata?

Nie trzeba w tym celu snuć domysłów ani posługiwać się insynuacjami. Ostatnie cztery lata rządów PO-PSL przyniosły dość dowodów, na których można oprzeć opis realiów po 2011 roku i przedstawić scenariusz przyszłych wydarzeń. Zamiast pozwalać, by Polacy byli traktowani i straszni niczym dzieci - stwórzmy zatem kompendium autentycznych zagrożeń ze strony grupy rządzącej.

Po pierwsze trzeba dostrzec, że obecna władza dysponuje wszystkimi narzędziami, by utrzymać się przez następne lata, niezależnie od pogarszających się wskaźników ekonomicznych oraz politycznych zawirowań.

Temu celowi podporządkowano niemal wszystkie regulacje prawne, decyzje personalne, działania polityczne i ekonomiczne - tworząc monopartyjny, pseudodemokratyczny system, w którym media, służby specjalne oraz środowiska oligarchii spełniają rolę wsporników i strażników patologicznego układu. System ten obejmuje całą strukturę państwa, jego organy konstytucyjne, sądy, prokuratury i instytucje nadzoru, porządkując życie publiczne zgodnie z aktualnymi potrzebami władcy. Jest to system wzorowany na rządach kremlowskich „siłowników”. Tym mianem określa się w Rosji grupę dawnych i obecnych oficerów służb specjalnych, którzy mają bezpośredni wpływ na strategię polityczną oraz działania prezydenta i rządu Rosji. Ludzie ci konsolidują swoje interesy w wąskim kręgu decydentów i podejmują decyzje o charakterze scentralizowanym. Działaniom „siłowników” towarzyszą pozory legalizmu i demokracji, ponieważ formalne decyzje zapadają w sposób zgodny z obowiązującym prawem, a ich przesłanką są zwykle kwestie „bezpieczeństwa narodowego” lub względ na „dobro obywateli”.

Obecny rząd III RP uchwalił szereg ustaw, posiłkując się hasłem „zagrożeń terrorystycznych” lub „obowiązkiem implementacji prawa europejskiego”. Ich wspólna cecha polega na forsowaniu takich regulacji, które zapewniają kontrolę jak największych obszarów życia publicznego, a jednocześnie poszerzają uprawnień służb specjalnych. Służyły temu m.in.: nowelizacja ustawy o zarządzaniu kryzysowym, nowelizacja ustawy o ochronie informacji niejawnych, rozporządzenie o wdrożeniu unijnej dyrektywy o tzw. retencji danych, ustawa medialna, ustawa dotycząca bezpieczeństwa podczas Euro2012 czy nowelizacja ustawy o dostępie do informacji publicznej, pozwalająca ukryć niewygodne dla rządu informacje za parawanem „ochrony ważnego interesu gospodarczego państwa”. Znowelizowano także ustawy o policji, wywiadzie skarbowym, CBA, ABW, AW, Straży Granicznej, Żandarmerii Wojskowej oraz Służbie Wywiadu i Kontrwywiadu Wojskowego - dając służbom m.in. prawo ingerencji w procesy gospodarcze oraz rozległego stosowania metod operacyjnych. Dzięki ciągłemu poszerzaniu uprawnień inwigilacyjnych służb, III RP awansowała na pierwsze miejsce wśród państw UE w ilości stosowanych podstępów. Uchwalona przed kilkoma dniami ustawa o wymianie informacji z organami ścigania państw członkowskich Unii Europejskiej, umożliwia natomiast służbom zbieranie najbardziej poufnych danych o polskich obywatelach oraz przekazywanie ich nie tylko organom UE, ale także służbom specjalnym Rosji, Chin, czy Białorusi.

W przypadku wygranej PO należy spodziewać się powstania kolejnych aktów prawnych pozwalających na jeszcze ściślejszą kontrolę społeczeństwa, w tym cenzurę internetu. Temu ma służyć nowela ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną, która pozwoli na skuteczne zablokowanie treści internetowych niekorzystnych dla władzy. Istnieje również projekt zmian prawa dotyczącego retencji danych telekomunikacyjnych. Wprowadzenie tych rozwiązań umożliwi służbom niekontrolowany dostęp do naszych danych gromadzonych przez operatorów. Po wygranych wyborach rząd planuje kolejne nowelizacje i poszerzenie uprawnień służb, a szczególnie policji - do pozyskiwania w uproszczony sposób, a więc bez decyzji sądu, informacji dotyczących osób podejrzanych o dokonanie przestępstw oraz utworzenie ogromnej bazy danych - Elektronicznego Systemu Odzyskiwania Mienia (ESOM), zapewniającego służbom dostęp do informacji o klientach banków czy biur maklerskich.

Jednocześnie na podstawie już przyjętych przepisów rząd skutecznie ukryje informacje o stanie gospodarki i działaniach prywatyzacyjnych. Nadzór nad CBA oraz planowana obecnie pacyfikacja NIK-u pozwolą skupić w rękach władzy wszystkie mechanizmy kontroli antykorupcyjnej i zapewnią „ręczne” sterowanie procesami gospodarczymi. Po wyborach - ujawnienie nawet największych afer - stanie się wręcz niemożliwe. Na szczególną uwagę zasługuje zgłoszona przez Bronisława Komorowskiego tzw. ustawa o cyberbezpieczeństwie, a dokładnie nowela ustawy o *stanie wojennym oraz o kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych i zasadach jego podległości konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej*, przyjęta głosami koalicji w dniu 30 sierpnia br. Jej uchwalenie pozwala prezydentowi m.in. na wprowadzenie stanu wyjątkowego na podstawie niezdefiniowanych „zagrożeń w cyberprzestrzeni”.

Konstruując takie prawo grupa rządząca przygotowuje się do ostatecznej rozprawy z opozycją i stworzenia modelu parlamentarnego istniejącego w putinowskiej Rosji. Działalność przeciwników politycznych lub niezależnych mediów kontrolujących władzę jest niedopuszczalna w systemie opartym na kłamstwie. W trakcie drugiej kadencji grupa rządząca przystąpi zatem do ograniczenia aktywności, a następnie rozbiicia i likwidacji partii opozycyjnej i zgodnie z logiką sprawdzoną w latach 80. zastąpi ją grupami „konstruktywnej”, ściśle kontrolowanej opozycji. Prognozy takich działań słyszeliśmy wielokrotnie, by wspomnieć tylko dywagację Mazowieckiego o „rokoszu” czynionym przez PiS, deklarację Schetyny: „*zrobimy wszystko, żeby przerwać tę eskalację nienawiści*” czy radę prezydenckiego ministra o potrzebie leczenia „*takich ludzi*”, którą wkrótce potem chciał wprowadzić w życie warszawski sąd kierując prezesa PiS na obserwacje psychiatryczną. Podobnych działań należy spodziewać się w stosunku do niezależnych mediów. Inwigilacja dziennikarzy Gazety Polskiej, ataki na Radio Maryja, utrudnianie dystrybucji nowego tygodnika „Wprost Przeciwnie”, wystąpienia Rady Etyki Mediów w związku z artykułami o Smoleńsku czy utworzenie przez KRRiT centrum monitoringu prasy i mediów, by wspólnie z prezydentem „*obserwować, jak realizuje się dziennikarska rzetelność i obiektywizm*” - można uznać za zapowiedź represji, jakie mogą spaść na niezależne środowiska medialne.

Niewykluczone, że podobnie jak w Rosji do niszczenia opozycji zostaną wykorzystane nośne hasła zagrożenia „prawicowym ekstremizmem” oraz postulat walki z „przejawami nacjonalizmu”. Niedawną deklarację Prokuratora Generalnego o zamiarze spotkania z szefem ABW w sprawie „*incydentów o charakterze nacjonalistycznym i rasistowskim*”, można odczytać również w tym kontekście. Wywoływanie takich incydentów od dawna należy do kanonu działań służb Putina, czemu więc miałby nie pojawić w Polsce?

Intencja zatajenia prawdy o tragedii smoleńskiej zmusza grupę rządzącą do podjęcia takich kroków, również po to, by zapewnić sobie bezkarność. Opozycja wskazująca winnych tragedii, piętnująca błędy i akty zaprzęstwa, działająca na arenie międzynarodowej według reguł demokracji - stanowi śmiertelne zagrożenie dla obecnego porządku i musi zostać zneutralizowana. Błędne wydają się kalkulacje przejęcia władzy przez PiS na skutek całkowitego krachu gospodarczego lub innej formy kompromitacji władzy. Nie biorą one pod uwagę, że istniejący w III RP system wypracował skuteczne metody kanalizowania nastrojów społecznych, a posługując się dezinformacją i grą medialną z udziałem służb, zapewnił sobie wpływ na kształtowanie poglądów i zachowań Polaków. Przeświadczenie ogromnej części społeczeństwa o istnieniu naturalnych mechanizmów demokracji i towarzyszące tej wierze zaufanie do przekazu medialnego, jest jednym z najmocniejszych i cynicznie wykorzystywanych atutów grupy rządzącej. Najnowsza historia Polski zna upadki rządów, które chciały „same się wyżywić”, nie zna jednak przypadku obalania rządów uznanych przez społeczeństwo za demokratyczne.

Najpoważniejsze zagrożenie płynące z wygranej Platformy polega jednak na perspektywie trwałego związania Polski z władzą kremlowskich „siłowników” i dobrowolnym oddaniu naszego kraju w strefę wpływów Rosji. Podstawę tego scenariusza stanowią: zмова milczenia wokół tragedii smoleńskiej i przyjęta przez grupę rządzącą rola zakładników kłamstwa smoleńskiego, ekonomiczne uzależnienie Polski od dostaw rosyjskich źródeł energii, instytucjonalne zadekretowanie „przyjaźni” polsko-rosyjskiej oraz zdominowanie życia publicznego przez członków „partii moskiewskiej”. Pewne zwycięstwo płk Putina w przyszłorocznych wyborach prezydenckich w Rosji, będzie nieuchronnie prowadziło do wzmocnienia tendencji mocarstwowych i totalitarnych w tym kraju. Jeśli sąsiadem Rosji będzie państwo tak słabe jak dzisiejsza Polska, rządzone przez ludzi paktujących z wrogiem przeciwko własnemu prezydentowi - absurdałne byłoby oczekiwanie, że państwo to zdobędzie się na działania samodzielne i suwerenne. Nie można zapominać, że grupa rządząca Polską opiera swoje poczucie bezkarności na współdziałaniu z putinowską Rosją. To ona jest gwarantem, że sprawa Smoleńska zostanie przemilczana na arenie międzynarodowej. Stolice europejskie nie zdobędą się dziś na otwarty konflikt z państwem Putina i utratę ekonomicznych efektów „resetu”. Dla zażegnania takiej konfrontacji gotowe są na każdy rodzaj sojuszu z kremlowskim „diablem” i jak najmocniejsze zaciśnięcie oczu na prawdę o smoleńskiej tragedii. Dla Zachodu, koegzystencja z Rosją jest możliwa, jeśli państwo to otrzyma „należną” mu strefę wpływów i zaspokoi swoje mocarstwowe ambicje.

Dlatego w przypadku kontynuacji obecnych rządów, możemy się spodziewać, że kłamstwo smoleńskie stanie się podstawą nowego ładu europejskiego, w którym Polsce przewidziano rolę łącznika i „obszaru tranzytowego”. Zawarty ponad naszymi głowami sojusz Moskwy i Berlina, ma - według tej koncepcji - doprowadzić do budowy historycznych fundamentów trwałego współistnienia Wschodu z Zachodem. Nawet za cenę Polski. Wszystkie negatywne procesy zachodzące w polityce

zagranicznej III RP ulegną zatem pogłębieniu, a jej cele zostaną wyraźnie zdominowane przez rolę rosyjskiego konia trojańskiego. Stwierdzenie Bronisława Komorowskiego o wyjściu Polski z NATO, nie musiało być językowym lapsusem. Mogło bowiem wyrażać przyszłe intencje i zapowiadać decyzję zależną wyłącznie od woli Moskwy.

Polska słaba, bezwolna i pozbawiona perspektyw. Kraj wszechwładzy służb, inwigilacji obywateli, bez wolnych mediów i autentycznej opozycji. Zrujnowana gospodarka i rabunkowa polityka - ukryte za propagandową zastoną. Polska poddana dyktatowi wrogich mocarstw, niezdolna do samo-istnienia i walki o własne interesy - to wizja zagrożeń niezwykle realnych w przypadku wygranej Platformy. Uświadamia nam, że nigdy wcześniej nie staliśmy wobec tak dramatycznej sytuacji i nigdy wcześniej od naszego wyboru nie zależało tak wiele.

30.09.2011 18:51 89

639, POJEDNANIE ZE SZCZEGÓLNYM BŁOGOSŁAWIENSTWEM

Podczas osobistej rozmowy Donalda Tuska z płk Putinem w Katyniu uzgodniono powołanie odrębnych instytucji państwowych - centrów odpowiedzialnych za „*krzewienie idei dialogu polsko-rosyjskiego*”. Zbudowany na wzór Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej urząd miał doprowadzić do „*społecznej „ratyfikacji” polsko-rosyjskiego procesu dialogu i porozumienia.*”

Tragedia smoleńska nie stanowiła przeszkody w realizacji tych planów. Przeciwnie - natychmiast po 10 kwietnia 2010 roku przystąpiono do zadekretowania sojuszu zawiązanego nad katyńskimi grobami. Głównym architektem tych działań był ambasador tytularny w Moskwie Tomasz Turowski, którego słowa: „*z tej krwi wyrośnie to, na co my wszyscy czekamy - nowe, dobre stosunki pomiędzy Polską i Rosją*” - wyznaczają dziś podstawowy kierunek myślenia „elit” III RP. W grudniu 2010 roku, podczas wizyty prezydenta Rosji Miedwiediewa w Polsce, uroczyste podpisano list intencyjny w sprawie powołania Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia.

Obecna władza w błyskawicznym tempie przeforsowała uchwalenie specjalnej ustawy o utworzeniu Centrum. Jej projekt wpłynął do Sejmu w dniu 3 grudnia 2010 roku, a już 25 marca 2011 roku ustawa została przyjęta głosami klubów PO i PSL. Przeciwko głosowało jedynie 138 posłów PiS-u. 7 kwietnia br. - w rocznicę spotkania Putin-Tusk, ustawę podpisał Bronisław Komorowski, a 19 kwietnia weszła w życie.

Cele działalności rządowego Centrum są identyczne z zapisami zawartymi w peerelowskich statutach TPPR. Nie próbowano nawet maskować tej zbieżności i poddając tekst stylistycznej kosmetyce zapisano w nowej ustawie wszystkie zadania wyznaczane dotąd Towarzystwu przez komunistycznych ministrów spraw wewnętrznych.

Wzniesienie rządowej instytucji na fundamentach organizacji sławiącej „przyjaźń” z okupantem cofnęło nas w relacjach z Rosją do okresu Polski Ludowej i jest świadectwem wręcz niewiarygodnej podległości obecnych władz III RP. Wynika to również z faktu, że w Rosji nie powstało podobne Centrum, zatem Polska występuje z pozycji petenta zabiegając o „*ratyfikację polsko-rosyjskiego dialogu i porozumienia*” z państwem, które ostentacyjnie okazuje nam wrogość i pogardę. Podczas zorganizowanego we Wrocławiu w czerwcu br. I Polsko-Rosyjskiego Kongresu Mediów, miała zostać ogłoszona decyzja o powołaniu analogicznej instytucji w Rosji. W odczytanim podczas kongresu liście prezydenta Miedwiediewa nie było jednak słowa na ten temat, zatem „*polscy przyjaciele*” nadal cierpliwie oczekują na wzajemność Rosjan.

Tymczasem Centrum, na którego potrzeby przeznaczono z budżetu 4 mln zł prowadzi już działalność. Włączyło się np. w patronat nad konkursem dla młodzieży szkolnej „Historia bliska”. Honorowym patronem tego konkursu jest Bronisław Komorowski. Nie powinno dziwić, że w tym roku wygrała praca nawiązująca do tematu „Polska - Rosjanie..”. W komunikacie jury z XV edycji konkursu można przeczytać: „*Temat polsko-rosyjski wydawał się pozornie najłatwiejszy, przynajmniej w wymiarze źródłowym - można się było bowiem odwołać do okresu powojennego, mniej odległego i dobrze obecnego w pamięci pokolenia dziadków i rodziców. Ale i tu na uczestników czyhały pułapki; jednym z najczęstszych historycznych uproszczeń było badanie stosunków polsko-rosyjskich rozumianych jako polsko-radzieckie i niemal wyłącznie z perspektywy „doznanych przez nas-Polaków krzywd”. Temat wymagał od uczestników wysiłku zmierzania się z pokutującymi w naszym myśleniu uproszczeniami.*”

Przemawiając na uroczystości wręczenia nagród, pełnomocnik ministra kultury ds. organizacji Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia Sławomir Dębski wyraził nadzieję, że „*nowe pokolenia Polaków i Rosjan doprowadzą do końca wielką sprawę sprawiedliwego wyrównania wzajemnych stosunków w oparciu o prawdę historyczną, wyrwania ich z gorsetu - jak to ujął Juliusz Mieroszewski - „emocji, niekontrolowanych reakcji i głuchej a upokarzającej nienawiści”. Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia będzie takie wysiłki wspierać!*”

By współczesna postać TPPR-u mogła „wspierać wysiłki” i wypełniać ustawowe powinności, Centrum potrzebował nowej siedziby. I to siedziby nie byle jakiej. Trwa obecnie przeprowadzka do warszawskiego biurowca Centrum Jasna, położonego przy zbiegu ulic Świętokrzyskiej i Jasnej. Właścicielem tego luksusowego budynku jest Centrum Jasna sp. z o.o. - założona przez Archidiecezję Warszawską w celu zarządzania nieruchomością. We władzach spółki zasiadają ksiądz prałat Marian Raciński, ekonom Archidiecezji Warszawskiej oraz salezjanin ks. Kazimierz Olędzki.

Trudno uwierzyć, by ulokowanie Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia w biurowcu należącym do Archidiecezji Warszawskiej było dziełem przypadku lub mogło się dokonać bez wiedzy i zgody ordynariusza archidiecezji. W Centrum Jasna mają swoje siedziby m.in.: Biuro Informacyjne Parlamentu Europejskiego oraz Przedstawicielstwo Komisji Europejskiej w Polsce. Z informacji zamieszczonej na stronie internetowej spółki wynika, że cała powierzchnia

ośmiokondygnacyjny budynek jest od dawna wynajęta, zatem znalezienie miejsca dla rządowego Centrum nie było rzeczą łatwą i zapewne nie mogło umknąć uwadze właściciela.

Można przypuszczać, że ta konkretna decyzja jest kolejną oznaką sojuszu łączącego władzę państwową i kościelną w kwestii zadekretowania „pojednania” z Rosją. Po 10 kwietnia wielokrotnie z ust hierarchów Kościoła słyszeliśmy nawoływania do „otwarcia na pojednanie”. Już w trakcie pogrzebu pary prezydenckiej na Wawelu, kard. Dziwisz przypomniiał, jak „przed blisko półwieczem biskupi polscy wykonali prawdziwie proroczy krok w kierunku Niemców, mówiąc do nich w imieniu narodu polskiego: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie!” i stwierdził: „Musimy dorastać do wypowiedzenia tych samych słów wobec braci Rosjan.” Metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz komentując zaś grudniową wizytę Miedwiediewa w Polsce uznał, że „może mieć ona pozytywny wpływ na prace wspólnej komisji Kościoła w Polsce i Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, która opracowuje dokument o pojednaniu obydwu narodów.”

Głos metropolity warszawskiego zabrzmiał w tym samym czasie, gdy władze Rosji niszczyły nie tylko ślady po smoleńskiej tragedii, ale bez żadnego sprzeciwu Kościoła zawłaszczają miejsce kaźni polskich oficerów w Katyniu stawiając na terenie Zespołu Memorialnego w Lesie Katyńskim Cerkiew Zmartwychwstania Chrystusa. Inicjatorem tej budowy jest zwierzchnik rosyjskiej Cerkwi Cyryl, podejrzewany o wieloletnią współpracę z KGB, a projekt finansuje koncern Rosneft zarządzany do niedawna przez oficera KGB - Igora Sieczina.

Obraz dzisiejszych, fatalnych stosunków polsko-rosyjskich wskazuje, że postulat pojednania miałby się wypełnić na mocy spec ustaw i fałszywych, werbalnych deklaracji. Takie „pojednanie” nie ma nic wspólnego z wymiarem religijnym bądź moralnym, jaki nadaje się tej chrześcijańskiej powinności.

Nie opiera się na uczciwym rachunku krzywd, nie wypływa z żalu i uznania winy. Zachodzi również obawa, że powołana w szczególnym trybie rządowa agenda zostanie wykorzystana do dławienia głosów krytycznych wobec Rosji i posłuży do narzucenia Polakom oficjalnej interpretacji w sprawach stosunków polsko-rosyjskich. Ogromne zagrożenie wynika z prób indoktrynowania młodych Polaków podejmowanych przy współudziale tej instytucji i analizowania wspólnej przeszłości poprzez odrzucenie „historycznych uproszczeń”. Tak tworzy się pozory dialogu, próbując za pomocą fasadowych urzędów ukryć prawdę historyczną i zaprzeczyć istnieniu rzeczywistych podziałów. Władze kościelne, które takie instytucje wspierają, a nawet udzielają im gościny, nie służą dobrze Polsce ani Kościołowi.

PAŹDŹIERNIK 2011

03.10.2011 20:10 88

640, FAKTY W MIEJSCE ŁGARSTW. CZYM JEST PLATFORMA?

Po roku 1990 nie powstała w III RP partia równie prorosyjska i regresywna, jak Platforma Obywatelska. Nie ma też na naszej scenie politycznej innej formacji, która tak mocno byłaby powiązana z ludźmi komunistycznej bezpieki.

Jeśli dla wyborców Platformy takie twierdzenia brzmią obrazoburczo - zawdzięczają to własnej niechęci do wiedzy oraz postawie tzw. wiodących mediów, które od lat roztaczają nad partią Donalda Tuska propagandowy parasol ochrony, dbając, by Polacy nie poznali prawdziwego rodowodu rzekomych „liberatów”.

Korzeni Platformy należy szukać na początku lat dziewięćdziesiątych w marginalnej wówczas partii o nazwie Kongres Liberalno-Demokratyczny.. W powstaniu KLD istotny udział mieli ludzie związani z komunistyczną policją polityczną: Wiktor Kubiak oraz współzałożyciel KLD i PO Jacek Merkel. Pierwszy z nich to wieloletni współpracownik Zarządu II Sztabu Generalnego (tzw. wywiad wojskowy PRL). Kubiak współdziałał blisko z Grzegorzem Żemkiem znanym jako „mózg” afery FOZZ i w latach 80. zajmował się nielegalnym transferem z Zachodu urządzeń elektronicznych objętych zakazem eksportu do krajów komunistycznych. Po 1989 Kubiak objawił się jako biznesmen zainteresowany wspieraniem środowisk politycznych. To dzięki jego finansowej pomocy Donald Tusk mógł organizować spotkania KLD w biurze Kubiaka w Hotelu Mariott i wydawać pismo liberatów na kredowym papierze.

Jacek Merkel był tajnym współpracownikiem Wydziału XI Departamentu I SB MSW. W latach 80. Wydział XI prowadził działania na terenie Europy Zachodniej. Na czele wydziału stał płk Aleksander Makowski, późniejszy partner biznesowy Merkla. Przełożonym płk Makowskiego był gen. Władysław Pożoga, a efekty pracy Wydziału XI Dep. I przekazywano bezpośrednio do KGB. W latach 1991-93, Merkel był członkiem Prezydium Rady Krajowej KLD i szefem kampanii wyborczej, a od zjednoczenia Unii Demokratycznej i KLD pozostawał członkiem Rady Krajowej Unii Wolności. Wśród wielu partii powstałych w tym czasie, tylko KLD dysponował od początku dostatecznymi środkami, by zorganizować struktury partii i przeprowadzić w roku 1991 udaną kampanię wyborczą do Sejmu. Po wyborach politycy tej partii współtworzyli rząd, na którego czele stanął Jan Krzysztof Bielecki. Wśród członków tego rządu znajdowało się ośmiu tajnych współpracowników bezpieki, z tak charakterystycznymi postaciami na czele, jak Andrzej Olechowski (TW „MUST” Departamentu I, a następnie Dep.II SB MSW) oraz Michał Boni (TW ZNAK). Środowisko KLD (zwane ze względu na liczne afery - aferalami) odegrało również istotną rolę współuczestnicząc w nocnym zamachu na rząd Jana Olszewskiego.

Osoby tworzące KLD znajdziemy również przy narodzinach Platformy Obywatelskiej. Gdy „trzech tenorów” w świetle telewizyjnych kamer obwieszczało w roku 2001 powołanie „nowej siły” zapowiadając „uwalnianie tkwiących w nas talentów”, Ludwik Dorn w Tygodniku „Nowe Państwo” (z 2.03.2001) napisał: „Niezależnie od tego, że udział w tym przedsięwzięciu bierze szereg osobistości politycznych o życiorysach związanych z opozycją wobec PRL, to zarówno Andrzej Olechowski, główny animator Platformy (zarejestrowany tajny współpracownik kontrwywiadu zagranicznego PRL), jak i jego bezpośrednie zaplecze intelektualno-organizacyjne w postaci funkcjonariuszy komunistycznych służb specjalnych (generałowie Petelicki i Czempiński) oraz grupa finansowego wsparcia (Business Centre Club, gdzie czołową rolę odgrywają byli pracownicy biur radców handlowych PRL-owskich ambasad) kojarzeni są z komunistycznym wywiadem - dawnym I

Departamentem MSW. Platforma Obywatelska nie jest wyłącznie ekspozyturą "jedynki", ale w rękach realnej grupy kierowniczej stanowi użyteczne, w dużym stopniu kontrolowane narzędzie realizacji jej ekonomicznych interesów."

Zdaniem niektórych mediów powołanie Platformy poprzedziło spektakularne wydarzenie. W styczniu 2001 roku w warszawskim gmachu Intraco doszło do spotkania zorganizowanego przez byłego funkcjonariusza Dep.I SB MSW Gromosława Czempińskiego. W latach 70. Czempiński był oficerem prowadzącym Andrzeja Olechowskiego. Zebranych wówczas „przyjaciół jednej służby”, pułkowników: Krzysztofa Smolińskiego, Romana Deryłę, Marka Szewczyka, Zygmunta Cebulę i Wojciecha Czerniaka, Czempiński namawiał do wsparcia Platformy Obywatelskiej i zachęcał do budowania wokół tej partii grupy doradców i specjalistów od służb specjalnych. To dzięki tego rodzaju inicjatywom, Czempiński mógł po latach przyznać, że to on sformułował koncepcję powołania Platformy, a dopiero później przekonał do pomysłu Andrzeja Olechowskiego i Pawła Piskorskiego.

Głównym „ideologiem” partii był od początku Andrzej Olechowski. To z jego „Ruchu Stu” wywodzą się również późniejsi politycy PO - Aleksander Grad czy Paweł Graś. Cała antypisowska retoryka jest w ogromnej mierze zasługą Olechowskiego i to on wskazał kierownictwu Platformy prosty sposób na zdobycie poparcia wyborców. Również realizowany obecnie przez PO zamysł faktycznego demontażu państwa polskiego, to także pomysł byłego współpracownika Departamentu I SB MSW. W wywiadzie dla „Życia Warszawy” z 12.02.2007r., znajdziemy następującą wypowiedź Olechowskiego:

„Silne państwo i partia obywatelska wzajemnie się wykluczają. Postulat silnego państwa może przynosić popularność, ale nigdy nie uznaję go za swój. Moja partia chce państwa, które służy obywatelom, a nie odwrotnie.(...) Współczesny człowiek potrafi zrobić sam, z sąsiadami lub np. z kolegami z tego samego zawodu bardzo wiele i z każdym pokoleniem coraz więcej. Nie potrzebuje do tego państwa. Dlatego działania na rzecz rozbudowy i wzmocnienia państwa są marnowaniem pieniędzy obywateli.”

Przed wyborami parlamentarnymi z roku 2007 Olechowski jasno wytyczył kurs Platformy. W jego emocjonalnych wypowiedziach z tego okresu można zapewne dostrzec prawdziwe oblicze „eleganckiego, dystygowanego ministra spraw zagranicznych”. W wywiadzie dla „Newsweeka”, z 18.10.2007 r. czytamy m.in.: *„Ja jestem w polityce tylko gościem. Zabieram głos wtedy, gdy dzieje się coś ważnego, albo mam coś do powiedzenia. [...] pozostaje do rozstrzygnięcia wielkie pytanie, czy należało wybory przeprowadzać akurat teraz, jeszcze przed weryfikacją rządów PiS. Weryfikacją, która by odpowiadała na pytanie: czy miejsce braci Kaczyńskich jest w wielkiej polityce, czy w kryminale.”*

Wydaje się, że przyczyn prorosyjskiego kursu Platformy należy upatrywać w genezie tej formacji - powołanej przez ludzi megasłużb sowieckich. W takim samym stopniu widoczny jest wpływ ideologii „partii rosyjskiej” - owych wyznawców „realizmu geopolitycznego” - pojmowanego jako akceptacja powojennego porządku, w którym dominacja sowiecka miała być nieuniknionym efektem historycznych uwarunkowań, a Polska miała stanowić przedmiot w grze światowych mocarstw. Politycy PO, dla których Michnik, czy Mazowiecki są niepodważalnymi autorytetami nie mogą w innych kategoriach postrzegać współczesnej Rosji, niż chcą tego „ojcowie założyciele” III RP. Ich dzisiejszy serwilizm jest w równie mierze efektem prymitywnych kompleksów i dogmatycznych zabobonów odziedziczonych po środowisku „opozycji demokratycznej”, jak przyjętej dobrowolnie postawy zakładników kłamstwa smoleńskiego.

Dojście Platformy do władzy zostało zatem powitane na Kremlu ze zrozumiałą radością. W 2007 roku korespondentka „Izwestii” Ksenia Fokin donosiła z tryumfem o porażce braci Kaczyńskich tytułując swój artykuł: *„Bliznec-krig nie udalsja”*, co miało stanowić przeróbkę wojskowego terminu *„blitz-krig”* w neologizm *„bliznec-krig”* czyli wojnę prowadzoną przez bliźniaków. *„Porażka PiS ucieszyła nie tylko znaczną część Polaków”* - pisała z satysfakcją Fokin - *„ale i kierownictwo Unii Europejskiej. Przez 15 miesięcy swoich rządów bliźniaki zrazili do siebie elektorat, tworząc w kraju atmosferę podejrzliwości, politycznych prześladowań oraz skandali”*.

Przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Rady Federacji Rosyjskiej Michaił Margielow 23 listopada 2007 roku oświadczył, że *„są nadzieje na normalizację stosunków między Moskwą a Warszawą”*. Margielow wypowiadał się - jak sam przyznał - będąc pod wrażeniem wywiadu udzielonego w przeddzień przez Donalda Tuska dla *„Rossijskiej Gazety”*, gdzie lider PO zadeklarował: *„jedno z najważniejszych zadań polskiej polityki zagranicznej w najbliższym czasie to poprawa relacji pomiędzy Moskwą a Warszawą”*. I dodał: *„Gotów jestem zrobić wiele, aby nasze stosunki stały się znacznie lepsze niż są dzisiaj. Wiedząc, iż po obu stronach przeważają emocje, wierzę, że sygnały o woli poprawy stosunków, które Platforma Obywatelska wysyła naszym sąsiadom, zostaną prawidłowo zrozumiane”*.

Margielow skomentował wówczas tę wypowiedź: *„Tusk zaznaczył, że będzie to trudne. Rzeczywiście, problemów w stosunkach rosyjsko-polskich przy Jarosławie Kaczyńskim nagromadziło się wiele, a ich likwidacja będzie wymagać czasu”*.

Zaledwie po miesiącu rządów PO-PSL, Siergiej Jastrzembki doradca prezydenta Rosji Putina mógł pochwalić polskich „przyjaciół”: *„Rząd Donalda Tuska, uczynił znacznie więcej dla stosunków polsko-rosyjskich niż poprzedni rząd przez dwa lata”*. Wypowiedź Jastrzembkiego padła tuż po tym, jak Rosjanin usłyszał od wicemarszałka Sejmu Niesiołowskiego odpowiedź na pytanie: jak dużą rolę dla rządu PO będzie odgrywać polityka historyczna? Niesiołowski odparł, że zdaje sobie sprawę, iż jest to jeden z „kontrowersyjnych elementów” i przyznał, że *„historię należy raczej pozostawić historykom”*. - *„Chcielibyśmy, aby stosunki polsko-rosyjskie „ruszyły do przodu”, gdyż nie ma dziś w naszych dwustronnych relacjach żadnych spraw, których nie można by rozwiązać”* - zadeklarował Niesiołowski.

Faktyczny zwrot w polityce zagranicznej nastąpił jednak dopiero po wizycie Tuska w Moskwie w lutym 2008 roku. Dwa miesiące później, płk Putin mógł już zapewnić, że *„problemy z Polską dadzą się rozwiązać dzięki Tuskowi”*. Po wizycie Putina na Westerplatte komentator agencji Interfax napisał: *„Miejmy nadzieję, że w Polsce wejdzie w życie nowe pokolenie, które nie ma uprzedzeń. Ono być może zrozumie, że Polska musi szukać przyjaciół nie tylko w Ameryce, ale także w Rosji”*.

W tym samym czasie „przyjaciele” z Rosji w reakcji na uchwałę polskiego Sejmu w sprawie agresji ZSRR na Polskę pisali: *„Gdyby nie Armia Czerwona, to Polacy byłoby dziś służącymi i prostytutkami u Aryjczyków”*, *„ta uchwała to taniec na kościach tych Polaków, którzy razem z milionami Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Żydów i innych Europejczyków oddali życie w walce z faszyzmem”*.

Prawdziwy festiwal poparcia Platformy mogliśmy jednak obserwować w trakcie ubiegłorocznych wyborów prezydenckich. Nim rozpoczęła się kampania wyborcza, rosyjskie media nie kryjąc sympatii do PO orzekły, że *„Komorowski nie musi nawet robić kampanii. I wygra.”*. Tzw. ekspert Witalij Portnikow w komentarzu dla *„Kommiersanta”* prorokował, że *„Platforma Obywatelska jest skazana na zwycięstwo”*. Tuż po 4 lipca dziennik *„Izwestia”* pisał: *„liberał Komorowski ma image elastycznego i pragmatycznego polityka”*, a prof. Irina Kobryńska z Rosyjskiej Akademii Nauk stwierdziła odważnie, że *„Tusk i Komorowski to wyważeni i porządni politycy, którzy nie będą kierować się jakimiś osobistymi motywami w dialogu z Niemcami czy Rosją.”*

Szef komisji spraw zagranicznych rosyjskiej Dumy Konstantin Kosaczow podsumował wybory prezydenckie słowami: „Z Polską, gdzie prezydentem jest pan Komorowski, a rządem kieruje pan Donald Tusk, będzie się nam udawać, jak sądzię, znajdować punkty styczne i porozumienie znacznie bardziej konsekwentnie i konstruktywnie niż działa się to dotychczas w warunkach stałego współzawodnictwa prezydenta i rządu. Dla Rosji, dla perspektyw naszego współdziałania z Polską i ze zjednoczoną Europą z udziałem Polski wynik wyborów można ocenić na plus”.

Intencje Moskwy i rolę wyznaczoną Polsce najpełniej określił wówczas Fiodor Łukianow, uznając, że *„jeśli nie będzie dużych błędów z rosyjskiej strony, to stosunki między Rosją i Polską będą co raz bardziej pragmatyczne. To jest wygodne dla Rosji gdyż Polska przez długi czas była główną przeszkodą dla realizacji europejskiej polityki Rosji”*.

Kilka dni później organ Gazpromu „Izwestija”, w reakcji na zapowiedź Komorowskiego dotyczącą odwrotu od dotychczasowej polityki Lecha Kaczyńskiego wobec Gruzji, mógł tryumfalnie ogłosić: *„Wybranie na prezydenta pragmatyka Komorowskiego ustawiło wszystko na swoje miejsca. Ideologicznie emocjonalna przesada epoki Kaczyńskiego dobiegła końca.”*

Nie ma oczywiście miejsca, by cytować dziesiątki służalczych, prorosyjskich wypowiedzi członków obecnego rządu. Trzeba jednak przypomnieć jedno z najbardziej haniebnych wyznań Donalda Tuska z września 2010 roku. W Polsce zatrzymano wówczas szefa emigracyjnego rządu Czeczenii Ahmeda Zakajewa, który przybył do naszego kraju na Światowy Kongres Narodu Czeczeńskiego. Przedstawiciel narodu doświadczonego rosyjskim ludobójstwem (w Czeczenii Rosjanie wymordowali ponad 250 tysięcy obywateli, w tym ponad 45 tysięcy dzieci) usłyszał wówczas z ust polskiego premiera:

„Sytuacja jest skomplikowana. Czasami spotykam polskich polityków, którzy chcieliby zepsuć stosunki polsko-rosyjskie, nadmiernie akcentując temat czeczeński. Uważam, że to nierozumne. Tutaj najważniejsze są umiarkowanie i zdrowy rozsądek”.

W tym samym czasie rosyjska rozgłośnia rządowa „Głos Rosji” w tekście „Zjazd partyzantów czy zebranie terrorystów? Światowy Kongres Narodu Czeczeńskiego pod Warszawą” podkreślała: *„Obecnie sytuacja w polsko-rosyjskich stosunkach zaczęła się poprawiać. Bronisław Komorowski, od razu po wybraniu go na prezydenta państwa, ogłosił kurs na polepszenie stosunków z Moskwą. Będę sprzyjać rozpoczęciu procesowi polsko-rosyjskiego zbliżenia i pojednania”* - te słowa z przemowy inauguracyjnej prezydenta dały powód do mówienia o „resetowaniu” stosunków także na tym ważnym odcinku. Jednak dzisiejsze zebranie pod Warszawą może poddać w wątpliwość szczerość słów o „zbliżeniu” i „pojednaniu”. Jednocześnie wszystko świadczy o tym, że polska opinia publiczna doskonale rozumie: *nadszedł czas na nawiązanie dobrych stosunków z Rosją.”*

Pora, by Polacy deklarujący poparcie dla Platformy Obywatelskiej podjęli ten wybór z całym bagażem politycznych i historycznych obciążeń. Powinni mieć świadomość - kto powołał do życia tę formację i czyim interesom służy od czterech lat rzekoma „partia liberałów”. Muszą także wiedzieć, że wybierają grupę polityczną utworzoną w środowisku najbardziej bezwolnych i zależnych od okupanta ludzi peerelowskiej bezpieki. Przeflancowani dziś na „mężów stanu”, biznesmenów lub polityków - ludzie ci pozostaną na zawsze dożgonnymi niewolnikami Moskwy, którym wyznaczono rolę trybików w kremłowskiej machinie. Tym samym - partia powołana przy ich współudziale nie ma nic wspólnego z nowoczesnością bądź demokracją; została bowiem zbudowana w oparciu o najbardziej obskurancki model „realizmu geopolitycznego”, u którego podstaw leżą agenturalne konotacje i mentalność sowieckich rabów.

Wyborcy tej partii winni pamiętać, że to ich formację wspierają kremłowscy ludobójcy - spadkobiercy oprawców z Katynia i Miednoje. To przywódce Platformy wychwala funkcjonariusz KGB Putin - odpowiedzialny za rozliczne zbrodnie, w tym eksterminację milionów Czeczenów, zaś wyłonionego z ich partii prezydenta, gloryfikują najbardziej kłamliwe, reżimowe media.

Wyborcy PO mogą ulegać „moskiewskiej prawdzie” i cenić ją wyżej niż prawdę o śmierci rodaków w Smoleńsku. Z ich wiary Rosja czerpie dziś siły, by po raz kolejny rozgrywać polską kartę.

Niech zatem dokonując swojego wyboru, mają odwagę wiedzieć - kogo wybrali.

05.10.2011 19:08 103

641, PILNUJMY WYBORÓW !

Wiara w wygraną to zbyt mało, by wygrać. Taki „ *optymizm nie zastąpi nam Polski*”. Trzeba jeszcze, żebyśmy tę wiarę potrafili dopełnić wiedzą i uzyskali pewność, że nasze głosy nie zostały zmarnowane.

Dziś takiej pewności nie mamy. Nie mamy jej z dwóch powodów.

Po pierwsze: władza, która organizuje wybory nie respektuje zasad autentycznej demokracji i czerpiąc inspirację z historycznej spuścizny komunizmu, może sięgnąć po narzędzia korupcji wyborczej. Ta władza dała już dowody pogardy dla prawa, gdy podczas wyborów prezydenckich i samorządowych dochodziło do licznych nieprawidłowości i aktów nadużyć.

Każde z nich było „*ciosem w samo serce mechanizmu demokracji*” - jak nazwał te przypadki prof. Ryszard Legutko. Dlatego mamy prawo nie ufać tej władzy i na mocy obywatelskich powinności chcemy kontrolować przebieg wyborów.

Z respektowania tego prawa wynika powód drugi. Stracimy bowiem gwarancję wygranej, jeśli dobrowolnie zrezygnujemy z przysługującego nam prawa i zadowolając się płytkim optymizmem, wybierzemy postawę bierną i wygodną. Oczekując wygranej - poprzestaniemy na buńczucznych deklaracjach i infantylnej wierze, że Polskę odzyskają inni.

Jak bowiem wytłumaczyć, że do tej chwili nie udało się znaleźć 25 tysięcy wolontariuszy, którzy w ramach akcji **„Uczciwe wybory.pl”** zasiedliby w komisjach wyborczych w roli mężów zaufania?

Inicjatywa „Uczciwe wybory” pojawiła się lipcu br. w środowiskach Solidarnych 2010 i Klubów Gazety Polskiej. Na początku września podpisano wspólną deklarację, uznając, że *„Dla należytego działania mechanizmu wyborczego sama możliwość wrzucenia karty do urny wyborczej jednak nie wystarczy”*. Sygnatariuszami porozumienia zostali: Stowarzyszenie „Solidarni 2010”, Ruch Społeczny im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, Kluby Gazety Polskiej oraz Prawo i Sprawiedliwość.

„Chcemy absolutnej pewności, że wszystko, co się dzieje w procesie wyborczym, jest bez zarzutu. Pragniemy włączyć się w system kontroli wyborów by uzyskać gwarancję, że nasze prawo wyborcze nie zostało zakłócone, i że wszystkie konstytucyjne warunki wolnych i demokratycznych wyborów zostały spełnione. Nie jest to pragnienie ani wygórowane, ani

niezwykłe. Nie ma ono barw partyjnych i nie jest podyktowane względami koniunkturalnymi. To normalny odruch obywateli wolnego i demokratycznego kraju” - zapisano we wspólnej deklaracji.

By ten „normalny odruch obywateli” stał się skutecznym narzędziem kontroli, musi być powszechny, a zatem - trzeba zgromadzić tylu mężów zaufania, by obsadzić nimi większość, a najlepiej wszystkie komisje wyborcze. Nie tylko w dużych aglomeracjach, ale przede wszystkim na wsiach i w małych miasteczkach, gdzie w ostatnich wyborach samorządowych dochodziło do zdumiewających przypadków oddawania ogromnej ilości głosów nieważnych - na czym korzystali kandydaci koalicji rządzącej.

Tymczasem z informacji sztabu akcji „Uczciwe wybory” wynika, że po blisko dwóch miesiącach od jej ogłoszenia nadal brakuje ok. 10 tysięcy wolontariuszy, głównie na terenach wiejskich. Tam sytuacja jest wręcz tragiczna i na większości tych obszarów nie ma w ogóle mężów zaufania PiS.

Akcja potrzebuje również naszego wsparcia finansowego, bo choć prowadzona jest na zasadzie wolontariatu, wymaga ponoszenia kosztów związanych z obsługą informatyczną, organizacją oraz komunikacją i transportem. Przez ostatni miesiąc donacji na rzecz „Uczciwych wyborów” dokonało ponad 340 osób, wpłacając łączne kwotę 12.781 zł., podczas gdy w tym czasie koszty wyniosły 28.800- zł. Ponieważ wydatki będą rosły, zdecydowano o przeprowadzeniu zbiórki wzorując ją na kampanii Rona Paula „Money Bomb”. Osoby, które chciałyby wesprzeć akcję finansowo, mogą dokonywać wpłat na konto wskazane na stronie internetowej uczciwewybory.pl.

Z myślą o jakości pracy wolontariuszy zorganizowano również szkolenia we Wrocławiu, a nagrany podczas nich film szkoleniowy będzie udostępniony wszystkim ochotnikom. Do osób, które zgłosiły swój akces wystano także świetnie zredagowany „Praktyczny poradnik mężów zaufania” zawierający m.in. szczegółowe informacje o metodach dokonywania fałszerstw w obwodowych komisjach i sposobach zapobiegania takim oszustwom.. Po połączeniu zgłoszeń wolontariuszy zarejestrowanych na stronach uczciwewybory.pl oraz Solidarni2010.pl. rozpoczęto budowę ogólnokrajowej struktury koordynacyjnej. Uczestnicy akcji, po przekazaniu szczegółowych danych i wyborze preferowanej lokalizacji otrzymają pełnomocnictwa mężów zaufania i zostaną przypisani do odpowiedniej struktury organizacyjnej.

Dziś już wiemy, że mamy szansę wygrać wybory. W sposób uczciwy i przejrzysty, pokazując wszystkim, że taka jest wola Polaków. Możemy tę szansę stracić, jeśli pozwolimy na powstanie warunków umożliwiających fałszerstwa wyborcze lub nie dopilnujemy liczenia głosów i prac obwodowych komisji. Gdy tak się stanie - pozbawimy się nie tylko moralnego prawa do kwestionowania wyniku wyborczego, ale bezmyślnie odrzucimy skuteczne narzędzie obywatelskiej kontroli. Takiego zaniechania nikt nam nie wybaczy.

Potrzeba dziś kilkunastu tysięcy osób, które poświęcą jeden dzień na pilnowanie przebiegu wyborów. To niewiele, jak na elektorat liczący miliony. Konieczna jest również mobilizacja środowisk opozycji, a szczególnie partii Jarosława Kaczyńskiego, by obywatelską akcję „Uczciwe wybory” przeprowadzić sprawnie, nie marnując społecznego zapалу. To ostatni moment, by uczciwie odzyskać Polskę.

Artykuł opublikowany w nr 40/2011 Gazety Polskiej

Tekst został ukryty przez Igora Janke

06.10.2011 20:33 46

642, WYBÓR W CIENIU ROSJI

„Jarosław Kaczyński żywi wręcz patologiczną nienawiść do Rosji. Równocześnie wszystkie jego oświadczenia oraz argumenty odnośnie problematyki rosyjskiej są niczym innym, jak tylko wymyślonymi pogroźkami. Warto dodać, że dobrze zdają sobie sprawę z tego inne polskie siły polityczne. Przy tym chodzi nie tylko o rządzącą „Platformę obywatelską” premiera Donalda Tuska, lecz również o „Sojusz Lewicy demokratycznej”, który także realnie ubiega się o miejsca w Sejmie.” - tej treści komentarz do polskich wyborów zamieszcza dziś „Głos Rosji” - rządowa rozgłośnia radiowa Federacji Rosyjskiej.

Autorem wypowiedzi jest przedstawiciel Instytutu Badań Międzynarodowych i Politycznych Rosyjskiej Akademii Nauk, ekspert do spraw Polski Nikołaj Bucharin. Przed dwoma dniami „Głos Rosji” obwieścił:

„Główna intryga finałowego tygodnia kampanii wyborczej do polskiego Sejmu pozostaje bez zmian: czy wyborcy będą głosować za wyważoną polityką „Platformy obywatelskiej” czy też wybiorą jej dość agresywnych rywali - „Prawo i sprawiedliwość”. W każdym bądź razie, część politycznych elit Polski, nastawionych na konstruktywny dialog z Moskwą, prawie pewnie oczekuje, że większość w parlamencie utworzy rządząca „Platforma obywatelska”, kierowana przez premiera Donalda Tuska. Zwycięstwo najsilniejszej partii opozycyjnej „Prawo i Sprawiedliwość”, zdaniem niektórych politologów, spowoduje negatywne konsekwencje w polityce wewnętrznej i zagranicznej Polski.”

Dla uzasadnienia swojej tezy Rosjanie przywołali opinie Radostawa Sikorskiego: *„Można przypomnieć w związku z tym, że w tym roku minister spraw zagranicznych Polski Radostaw Sikorski niejednokrotnie wyrażał przekonanie, że rozdziewięki między Moskwą i Warszawą będą jedynie się pogłębiać w przypadku zwycięskiego powrotu do Sejmu partii PiS.*

Nietrudno zauważyć, że rosyjskie komentarze są wręcz identyczne z opiniami polskojęzycznych mediów. Dominująca w propagandowym przekazie fałszywa antynomia: „wyważonej” polityki PO i „agresywnej” postawy PiS-u - znajduje swoje autorstwo w rosyjskiej retoryce.

Gdy Donald Tusk komentując fragment książki prezesa PiS „Polska naszych marzeń”, dotyczący kanclerz Niemiec Angeli Merkel, stwierdza : *„Jest różnica między mocnym, stabilnym rządem, a rządami ludzi agresywnych, którzy chcą być mocni, ale są skonfliktowani z całym światem”* i stawia zarzut: *„Jarosław Kaczyński jeszcze zanim wygrał wybory, już rozpoczyna wojny”* - nie jest oryginalnym komentatorem, a zaledwie wiernym odbiorcą rosyjskiej narracji.

W tym samym czasie „Głos Rosji” peroruje: „U progu tegorocznego głosowania Jarosław Kaczyński przedstawił inne rozprawy i oceny, na przykład, książkę zatytułowaną „Polska naszych marzeń”. W całkowitej zgodzie z „teorią spisków” autor oskarża Rosjan o polskie problemy, a w jeszcze większej mierze oskarża Niemców i osobiście pani kanclerz Angelę Merkel. Według Jarosława Kaczyńskiego, pani kanclerz reprezentuje pokolenie niemieckich polityków, którzy chcą odbudować niemiecką potęgę imperialną, i w tym celu kształtuje oś stateczną z Moskwą. Polska w tej sytuacji może jedynie stanowić przeszkodę. „Czyli należy zmusić nasz kraj do kapitulacji w ten bądź inny sposób”, - zapowiada szef PiS.”

Nie ma wątpliwości, że kremlowscy decydenci docenili postawę Tuska i dostrzegli bliźniaczą interpretację książki prezesa PiS-u. „Głos Rosji” z satysfakcją odnotowuje:

„Premier Donald Tusk pośpiesznie potępił podobne wypowiedzi, brzemiennie w międzynarodowy skandal, i nazwał je głupimi i wywołującymi zaniepokojenie. Wysoko ocenił on aktualny stan stosunków między Polską i Niemcami - dwoma krajami, należącymi do jednego europejskiego obozu politycznego. Podkreślił on również, że Jarosław Kaczyński ucieka się do wstrętnych, brudnych insynuacji.”

W rosyjskim chórze potępienia PiS-u nie mogło zabraknąć „polskich przyjaciół”. Rządowa rozgłośnia przytacza zatem wypowiedź Andrzeja Wierzbickiego - „uczonego z Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego”, który dzieli się z rosyjskimi słuchaczami cenną refleksją:

„Prawo i sprawiedliwość” będzie nieszczęściem dla naszego kraju nie tylko z punktu widzenia polityki wewnętrznej, lecz również z punktu widzenia polityki zagranicznej. Stosunki z naszymi sąsiadami, oczywiście, będą o wiele gorsze, zwłaszcza chodzi mi o Niemcy, nie mówiąc już w ogóle o Rosji. Większość głosujących, jak zakładam, wybierze „Platformę Obywatelską”. Wierzę również w zwycięstwo „Platformy Obywatelskiej”. Nawet jeśli nie potrafi ona samodzielnie utworzyć rządu, to powstanie jakaś koalicja”.

Dzięki otwartości kremlowskiej rozgłośni i szczerzej postawie A. Wierzbickiego możemy już dziś poznać kształt przyszłego, idealnego rządu III RP, przed którym rysują się „atrakcyjne perspektywy” w relacjach polsko-rosyjskich:

„Nie można wykluczać prawdopodobieństwa, że do składu koalicji obok „Platformy Obywatelskiej” wejdą później Sojusz Lewicy Demokratycznej i Polskie Stronnictwo Ludowe. W tym przypadku na polsko-rosyjskie stosunki także czekają dość atrakcyjne perspektywy. Jeśli partia Donalda Tuska wygra wybory do Sejmu, oczywiście, w dwustronnym dialogu polsko-rosyjskim, rzecz jasna, będą wynikać problemy, jednak, zdaniem Andrzeja Wierzbickiego, będzie to dialog, nie zaś trudne do pokonania bariery, jakie wznosi PiS.”

Niewiele osób zapewne pamięta, że już dwa miesiące po zwycięstwie wyborczym Platformy w roku 2007, ówczesny szef dyplomacji Rosji Sergiej Jastrzembki pochwalił „polskich przyjaciół”: *„Ten rząd zrobił więcej dla relacji z Rosją niż poprzedni przez 2 lata”.* Tak cenny komplement padł w związku z wypowiedzią marszałka Niesiołowskiego, który zapewniał rosyjskiego urzędnika, że *„historię należy pozostawić historykom”* i deklarował: *„Chcielibyśmy, aby stosunki polsko-rosyjskie ruszyły do przodu, gdyż nie ma dziś w naszych dwustronnych relacjach żadnych spraw, których nie można by rozwiązać”.*

Po doświadczeniach czteroletnich rządów PO-PSL wiemy, że określenie „pozostawić historykom” znaczyło tyle, co ukryć, zafałszować i relatywizować. Do kanonu spraw pozostawionych ocenom historyków doszły zatem sowiecka agresja 1920r., napaść z września 1939r., ludobójstwo w Katyniu, zbrodnie „wyzwoliciele” z Armii Czerwonej i cała 50 - letnia historia okupacji Polski. Od 10 kwietnia 2010 roku powiększono ten zapis na tragedię smoleńską. Czy może zatem dziwić, że rządowa rozgłośnia FR komentując polskie wybory pozwoliła sobie przed dwoma dniami na wręcz niewiarygodnie beczelną uwagę:

„Zwolennicy unormowania stosunków rosyjsko-polskich są przekonani, że sięganie po tragedię Katyńską i Smoleńską nie może być tolerowane ani w wewnętrznych rozgrywkach politycznych, ani też na arenie międzynarodowej, chociażby ze względów natury etycznej.

Jest sprawą oczywistą, że nader imponująca część wyborców pragnie stabilności zarówno w Polsce, jak też na kierunku moskiewskim.”

„Nie ma żadnych wątpliwości - kontynuuje dziś kremlowski organ - że wzajemne stosunki między Warszawą i Moskwą w przypadku odniesienia zwycięstwa przez PiS znów okażą się zagrożone. Osiągnięty aktualnie poziom zaufania w takich trudnych problemach w dwustronnych stosunkach, jak katastrofa lotnicza pod Smoleńskiem czy „sprawa katyńska”, będzie, jak można zakładać, stracony. Jarosław Kaczyński już oświadczył, że wszyscy ci, którzy chcą dowiedzieć się prawdy o katastrofie, w której wyniku zginął prezydent Lech Kaczyński, powinni głosować na „Prawo i Sprawiedliwość”.

Wybór przed którym staniemy za trzy dni nie będzie tylko politycznym plebiscytem, zamkniętym w kręgu polskiego życia publicznego. Nie wybieramy partii i programów politycznych. Grupa rządząca - do której trzeba zaliczyć wszystkie siły stojące w opozycji wobec PiS-u - znajduje bowiem silnego i naturalnego sojusznika w putinowskiej Rosji. W państwie postotalitarnym, rządzonego przez zbrodniczy klan funkcjonariuszy KGB, w którym ludobójstwo, mord i przemoc są jedynym narzędziem sprawowania władzy. W polskich wyborach to państwo będzie mieć swoich reprezentantów.

„Głos Rosji” i głos przedstawicieli grupy rządzącej Polską brzmią dziś zgodnie i jednomyślnie. Taką harmonię słyszeliśmy tylko wówczas, gdy obcy, wrogie elementy rozgrywały polskie sprawy przy współudziale członków „partii rosyjskiej”.

Dla Polaków ten dwugłos kończył się zawsze tragicznie.

<http://polish.ruvr.ru/2011/10/04/58153019.html>

<http://polish.ruvr.ru/2011/10/06/58270088.html>

07.10.2011 18:33 132

„To co się działo w 1989 r. nie miało nic wspólnego z wyborami i w tamtym czasie wszyscy to jeszcze nie tylko rozumieli ale i głośno mówili, nawet zwolennicy tej operacji. Po latach jednak sejm RP przyjmuje uchwałę nazywającą wydarzenia 1989 r. ‘wolnymi wyborami’. Ta operacja językowa jest niestłuchanie ważna i groźna zarazem. Dla ludzi Platformy Obywatelskiej wywodzących się z ugrupowania powstałego przy okrągłym stole i z niego czerpiących swoje siły fikcja demokracji u źródeł III RP jest przesłanką usprawiedliwiającą ograniczenie, a nawet likwidację demokracji obecnie. Platforma wychodzi bowiem z założenia, że społeczeństwo, które nie potrafiło wywalczyć demokracji i niepodległości, a następnie pogodziło się z ich fikcją da sobie odebrać istniejące wciąż namiastki demokratycznych instytucji” - napisał Antoni Macierewicz w referacie wygłoszonym w grudniu 2009 podczas konferencji zorganizowanej przez Annę Walentynowicz.

„Wielka inscenizacja” z 1989 roku stała się podstawą wszystkich procesów politycznych „nowego” państwa i pozwoliła zastąpić autentyczną demokrację agenturalno-esbeckim erzacem. Nawiązywała wprost do tradycji sfalszowanych wyborów roku 1947, z których komunistyczni najeźdźcy wywodzili swoje prawa do rządzenia Polakami. Podobnie jak pierwsze powojenne wybory stały się jednym z najważniejszych elementów „mitu założycielskiego” PRL, tak farsa roku 1989 jest do dziś fundamentem legitymizacji układu okrągłego stołu.

Historyk Maciej Korkuć w artykule „Wybory 1947 - mit założycielski komunizmu” (Biuletyn IPN 1-2/2007) pisał: „Niepodległe państwo polskie nie uporało się dotychczas pod względem prawnym z dziedzictwem komunizmu w Polsce. Dokonana w dniu 31 grudnia 1989 r. przez ostatni, „kontraktowy” Sejm PRL zmiana nazwy państwa i jego godła miała znaczenie przede wszystkim w wymiarze symboli. Mimo że w roku 1991 odbyły się pierwsze wolne wybory parlamentarne, w sensie prawnym została podtrzymana w sposób niezakończony ciągłość porządku prawnego zapoczątkowanego utworzeniem PKWN w Moskwie w 1944 roku. Od 1989 roku potwierdzały to także kolejne nowelizacje wywodzącej się z 1952 roku stalinowskiej konstytucji, przekształcające Polskę w państwo demokratyczne, ale nie podważające *expressis verbis* legalizmu władzy komunistycznej z lat 1944-1989, której faktycznym i najważniejszym źródłem były jednoosobowe decyzje Józefa Stalina.” Zapewne dopiero po upadku obecnego tworu dowiemy się jak bezpośredni sukcesorzy MBP, UB i SB, przemianowani na UOP i ABW nadzorowali kolejne akty wyborcze, by podtrzymać mit założycielski III RP.

W perspektywie obecnych wyborów parlamentarnych trzeba powtórzyć słowa Antoniego Macierewicza o stosunku Platformy do demokracji i do Polaków. Trafnie wskazują, że rządzący nami układ znajduje swoje źródła w antypolskiej spuściznie komunizmu i z pogardą traktuje naród, którego nie stać na niepodległość. Wypowiedziane przed dwoma laty nabrały złowrogo znaczenia po 10 kwietnia, gdy niemal każdy dzień przynosił nam potworne upokorzenia, czyniąc nawet z ułomnej demokracji III RP ponurą, moskiewską farsę. Rozpętana wówczas kampania nienawiści wobec osób sprzeciwiających się kłamstwu smoleńskiemu dokonała ostatecznej, historycznej segregacji - dzieląc Polaków linią, której dziś już nie sposób przekroczyć.

Napisałem wówczas: „Nie będziemy razem, bo nie ma przyzwolenia na ‘zdradę o świcie’ i na fałsz przekraczający ludzką miarę. Nie możemy być razem, bo nasz gniew jest dziś bezsilny, gdy zabrano nam tylu niezastąpionych. Nigdy nie będziemy razem, bo pamiętamy - kto siał nienawiść i chciał zebrać jej żniwo”.

Również dziś powtórzę słowa: nie możemy być razem. Nie możemy, bo to co nas podzieliło trwa nadal i przybrało postać substancji, na której nie wolno dłużej budować. Kto chciałby ukryć tę prawdę i tworzyć fikcję „wspólnego domu” - pogłębi istniejące podziały i przyłoży rękę do powstania kolejnego mitu założycielskiego. Czteroletnie rządy obecnego układu, z tragicznym finałem katastrofy smoleńskiej są ostatecznym dowodem, że państwo zbudowane na sojuszu kata i ofiary musi upaść. Trzeba sobie uświadomić, że ludzie powtarzający rosyjskie kłamstwa na temat śmierci polskiej elity, nie są żadnymi polskimi politykami, dziennikarzami bądź „wyborcami” Platformy. W polskiej kulturze nie istnieje bowiem przyzwolenie na nienawiść tak wielką, by drwiła z naturalnego prawa do dochodzenia prawdy o śmierci osób bliskich. Nie ma w naszej tradycji zgody na taką nikczemność, by Polaków żądających wyjaśnienia tragedii lżyć i oskarżać. Żadna też norma polityczna bądź moralna nie usprawiedliwia szyderstw ze śmierci własnych rodaków i niszczenia pamięci o poległych. Kto tak czyni - staje się bękartem nie znającym swojego miejsca na ziemi i trzeba zrobić wszystko, by pozbawić go władzy.

To myślenie nie ma polskich korzeni, a wywołane przez nie podziały skazały nas na rolę marionetek rozgrywanych przez obcy, wrogi element. Takiej mentalności nie wytworzyły przeciw polityczne dychotomie, lecz planowe działania aparatu nienawiści niszczącego poczucie wspólnoty narodowej. Tu nie o żadną politykę chodzi, lecz o walkę z człowiekiem i jego systemem wartości.

Dlatego dzisiejsze państwo, czerpiące swój rodowód z „jednoosobowej decyzji Józefa Stalina” nie wymaga żadnej „naprawy” ani „modernizacji”. Jest tworem głęboko obcym polskości i musi odejść w historyczny niebyt.

Mogłoby się wydawać, że tragedia smoleńska przylgnie do nas ciężarem zbrodni, spod której już nigdy nie zdołamy powstać. Groza tego zdarzenia, jego wymiar moralny, polityczny i historyczny miały raz na zawsze zniweczyć marzenia o wolności i przeciąć ostatnią nić narodowych więzi. U podstaw tej śmierci leżała bowiem ta sama koncepcja, która nakazała Sowiecom wymordować tysiące Polaków w Katyniu. Dokonana z premedytacją likwidacja oficerów II Rzeczypospolitej w zamyśle Stalina miała otworzyć drogę do budowy „nowego państwa” pod przywództwem skarłatych, poddanych sowieckiej woli zaprzalców. Katyńskie ludobójstwo otwierało zatem przestrzeń dla porozumienia z ludźmi podległymi Moskwie, a w perspektywie dziesięcioleci miało doprowadzić do zniszczenia polskiej tradycji i kultury. Śmierć naszych elit w Smoleńsku, wpisuje się w ten sam zbrodniczy scenariusz i rządzi tymi samymi regułami.

W jednej ze swoich książek Włodzimierz Odojewski stworzył analogię; między szekspirowskim lasem Birnam, ruszającym ku okrutnemu władcy, by go zniszczyć, a lasem katyńskim, w którym Rosjanie chcieli pogrzebać nasze marzenia o niepodległości. Ten obraz miał zwiastować kres sowieckiego imperium.

„Początek końca – napisał Odojewski – zrodził się już w tych ciemnych lasach, gdzie oni mordowali strzałem w tył głowy. (...) Las Birnam ruszył już wtedy przed laty, kiedy oni tych oficerów gnali przez dwuzereg, wyłamywali, krępowali ręce, po strzale kopniakiem spychali ciało w dół... i idzie...”

Po raz pierwszy od 1947 roku mamy szansę, by pokrzyżować obce plany. Rządząca nami koalicja jest bowiem końcowym sukcesorem układu okrągłego stołu, ostatnią redutą sił niszczących Polskę od dziesięcioleci. Jej upadek otworzy drogę do prawdziwie niepodległego państwa i pozwoli zerwać ze spuścizną komunizmu. Będzie początkiem końca imperium zbudowanego na nienawiści. Imperium, które zapuściło w nas mocne korzenie.

By tak się stało, wystarczy dokonać wyboru według najprostszych reguł: dobra i zła. Nie wymagają one znajomości spraw polityki ani biegłości w niuansach życia publicznego. By wybrać - dość kierować się uczciwością i drogowskazem własnego sumienia.

11.10.2011 18:24 372

644. DŁUGI MARSZ

Przegraliśmy. O przyszłości Polski zdecydowało kilka milionów osób zamieszkujących terytorium III RP, głosując bezpośrednio na partię władzy lub jej pomniejszych satelitów. Ponad 50 procent mieszkańców dokonało identycznego choć biernego wyboru, decydując się na pozostanie w domach.

Sytuacja jest klarowna i niepodważalna, a pomruki zadowolenia w Moskwie i w Berlinie zapowiadają bliski rechoł historii. Nie ma potrzeby wskazywania czekających nas zagrożeń. Większość mieszkańców III RP nie jest nimi zainteresowana, zatem dokonany przez te osoby wybór należy traktować jako dobrowolny akt samobójstwa i nie odmawiać im prawa do skorzystania z dobrodziejstw wolnej woli.

Wynik wyborczy oznacza również porażkę opozycji i wskazuje, że nie istnieje dziś realna alternatywa dla układu rządzącego. Jest oczywistym dowodem na popełnienie kardynalnych błędów w trakcie kampanii wyborczej oraz rezultatem kumulacji wcześniejszych zaniedbań. Poszukiwanie przyczyn zewnętrznych nie ma sensu, skoro nie wyciągnięto lekcji z poprzednich porażek. Jeśli niektórzy politycy PiS-u dywagują już, że „nie ma potrzeby rozliczeń” - okazują tym samym pogardę dla wyborców i stają w obronie własnych błędów. Można sądzić, że dopóki o strategii opozycji decydują ludzie pokroju Lipińskiego czy Hofmana - głównym efektem działań będą mandaty poselskie dla tych panów i postępująca marginalizacja PiS-u. Kolejnym - rozpad partii i tworzenie koncesjonowanej „prawicy”.

Trzeba natomiast zdecydowanie odrzucić głosy medialnych terrorystów domagających się głowy Jarosława Kaczyńskiego. Są zwiastunem czekającej nas kampanii zmierzającej do likwidacji opozycji i będą rozgrywane również przez środowiska fałszywych sojuszników. To głosy tych, którzy do dziś nie pogodzili się z faktem, że na pokładzie Tu 154 nie było dwóch braci Kaczyńskich.

Jeśli z niedzielnych wyborów mamy odnieść jakąkolwiek korzyść, trzeba zrezygnować z kojącej i naiwnej retoryki oraz pokonać kilka groźnych mitów utrudniających jasne widzenie rzeczy. Zamiast rozdzierania szat bądź obrażania się na werdykt większości warto dokonać rewizji poglądów i pokusić się o prognozę na przyszłość.

Po pierwsze: na podstawie wyniku wyborczego można przyjąć, że na terytorium III RP mieszkają zaledwie cztery miliony Polaków, którzy nie godzą się z hańbą obecnych rządów. Pora zaprzestać bałamutnych zapewnień, że żyjemy w społeczeństwie dojrzałym, mądrym i samodzielnym, które kształtuje swoje decyzje w sposób racjonalny i odpowiedzialny. Już ubiegłoroczne wybory prezydenckie dowiodły, jak łatwo zwieść Polaków opierając się na kłamstwie i nienawiści. Obecne pokazały zaś, że nie istnieje taki poziom upodlenia, którego mieszkańcy III RP nie byłiby w stanie zaakceptować. Niech ta refleksja warunkuje pozostałe wnioski.

Po wtóre zatem: trzeba odrzucić mrzonki, jakoby układ rządzący miał wkrótce upaść i nie oczekiwać, że za rok bądź dwa odbędą się przyspieszone wybory parlamentarne. Podobne stanowisko uważam za jeden z najgroźniejszych mitów, a jego rozpowszechnianie za działania dezinformujące. Nie uwzględnia ono realiów III RP i pozbawia owe cztery miliony obywateli prawa do decydowania o swoim losie w zgodzie z prawdą i sumieniem. Jeśli dla doraźnych celów taki mit chce propagować opozycja - uczyni Polakom ogromną krzywdę i roztrwoni nawet ten skromny potencjał wyborców.

Przekaz ten wypływa z gloryfikowania wizji pseudodemokracji oraz z definiowania naszej rzeczywistości poprzez mechanizmy i reakcje społeczne właściwe dla państw Europy Zachodniej. Mogą to być np.: pogarszająca się sytuacja bytowa obywateli, złe wskaźniki ekonomiczne, odzew na afery z udziałem rządzących czy sprzeciw wobec korupcji i cenzurze. W funkcjonalnych i dojrzałych demokracjach potrafią one doprowadzić do wybuchu niezadowolenia społecznego i wymusić zmianę ekipy rządzącej. W III RP podobne reakcje nie będą miały miejsca.

Rachuby takie nie biorą bowiem pod uwagę, że działający u nas układ wypracował skuteczne metody kanalizowania nastrojów społecznych przy jednoczesnym wyciszaniu lub przemilczaniu informacji niekorzystnych i krytycznych. Do tego celu służą głównie ośrodki propagandy zwane mediami, a jeśli ich osłona okazałaby się niedostateczna - władza może liczyć na wsparcie organów ścigania i służb specjalnych.

W III RP od dawna nie działają instytucje nadzoru nad poczynaniami rządu, zaś pozbawione wolnych mediów społeczeństwo podąża za głosem funkcjonariuszy medialnych i bezrefleksyjnie przyjmuje narzucony przekaz. Tak skorelowany aparat państwa, przy użyciu dezinformacji i cenzury oraz rozlicznych gier operacyjnych zapewnia sobie wpływ na kształtowanie poglądów i zachowań i jest w stanie zneutralizować każdy przejaw niezadowolenia społecznego. Przekładem skutecznego działania tego systemu jest ukrycie prawdy o tragedii smoleńskiej, czy wyciszenie setek afer tandemu PO-PSL.

Mitolodzy „wcześniejszych wyborów” nie biorą pod uwagę, że mieszkańcy kraju nad Wisłą żyją w przeświadczeniu o istnieniu autentycznych mechanizmów demokracji i wykazują bezgraniczne zaufanie do ośrodków propagandy. Tego rodzaju wiara w połączeniu z upośledzeniem aktywnego myślenia, czyni z owych mieszkańców raczej marionetki niż świadomych obywateli. Takie społeczność nie są zdolne do buntu. Wymierają w poczuciu błędnego spokoju, a ich marzenia odnoszą się do koloru łańcucha, na którym są więzione. Tryumf tchórzostwa i postaw patologicznych, dopełnia wizji rozkładu.

W świadomości społeczeństwa nie pojawią się zatem żadne problemy mogące zakłócić reakcje stadne. Skutki kryzysu, wzrost cen, czy wysokie podatki zostaną przedstawione według sprawdzonego scenariusza. *„Wy jesteście doskonali, tamci są zgnili ze szczętem. Już dawno żylibyście w raju, gdyby złość waszych wrogów nie stała na przeszkodzie”* - pisał przed czterdziestu laty Kołakowski, wyjaśniając czym jest „jasne orędzie” komunizmu.

Z tej konkluzji wynika trzecia teza.

Czeka nas długi i wyniszczający marsz. Większość z dzisiejszych czterech milionów pochłonie dzuma codzienności: przejdą na stronę „sytych umartych”, stracą wiarę i zęby, zaszyją się w głąb siebie lub uciekną ze skowitem przekleństw. Marsz będzie tym dłuższy, że ani najbliższe ani kolejne wybory nie zmieniają sytuacji Polski. Państwa realnego komunizmu nie upadają pod ciosami demokracji. Anektują jej fasadę, by ukryć własne draństwa, jednak nie po to, by oddać władzę obywatelom. Odzyskać ją można tylko w taki sposób, jak została narzucona. Możemy liczyć na zbieg korzystnych okoliczności lub przypadkową iskrę, która wywoła pożar. Pokładanie nadziei w demokracji byłoby równie niedorzeczne, jak wiara, że większość ma zawsze rację.

Na tej drodze nie możemy oczekiwać żadnych sprzymierzeńców. Nie będą nim hierarchowie Kościoła, którzy w dążeniu do ideału Cerkwi przekroczyli boskie i ludzkie nakazy. Nie oczekujemy na wsparcie „demokracji zachodnich”, bo żadna z nich nie będzie umierać za polską prawdę. Entuzjastyczne reakcje unijnych rządów są zgodne z prawdami historii, w których słaba i uległa III RP stanowi ucieleśnienie marzeń dawnych zaborców.

Ci, którzy chcą przetrwać, muszą zacząć budować autentyczną wspólnotę: odtworzyć język, powołać media, propagować polską kulturę i styl życia. Każda gazeta, książka czy film wydane poza obiegiem propagandy mają odtąd wartość kamieni, z których powstanie solidna barykada. Stowarzyszenia i organizacje obywatelskie będą zaczątkiem wolnej społeczności, a oddolne inicjatywy i ruchy społeczne uderzą w monopol władzy. Podstawą takiej wspólnoty może być tylko rodzina, dom, środowisko zawodowe, krąg znajomych. Partia opozycyjna, jeśli chce przetrwać, musi zrezygnować z ciułania wyborców i zainicjować powszechny ruch obywatelski w oparciu o twardy, klarowny przekaz.

Integracja na poziomie całego społeczeństwa i poszukiwanie więzi ze stronnikami obecnej władzy - wydają się niemożliwe. Nie możemy być razem, bo ich i nasze drogi prowadzą w różnych kierunkach, a obecna III RP jest rezultatem budowania takiej fałszywej wspólnoty.

To państwo musi upaść, z jego mediami, instytucjami i samozwańczymi „elitami”. Mamidła „zgody narodowej” i bełkot rzeczników „porozumienia” służą podtrzymywaniu groźnej fikcji i konserwują wrogi, patologiczny twór.

Nie ma dialogu z kimś, komu trzeba udowadniać, że tragiczna śmierć Polaków wymaga wyjaśnienia i pamięci.. Nie ma dialogu z łgarzem, skrytym za mianem dziennikarza, który z kłamstwa uczynił narzędzie pracy. Nie ma polemiki z chamek drwiącym z ofiar tragedii ani z umysłowym kaleką powtarzającym rosyjskie brednie.

Szczególnie szkodliwe jest czerpanie z przekazu ośrodków propagandy, podążanie za ich wydzielinami i opiniami, zachłystywanie każdym śmieciem wytworzonym w rządowych rozgłośniach. Takie zachowanie wyróżnia osoby chwiejne, niezdolne do własnych ocen i samodzielnego myślenia. Jeśli dotyczy polityków opozycji lub środowisk deklarujących sprzeciw - jest dowodem ich słabości i intelektualnych ograniczeń, zaś obsesja polemiki z tezami propagandystów zawsze wyraża niepewność własnych racji, wskazuje na kompleksy i tchórzostwo. Zamiast dyskutować z oszustami lub tracić energię na odpieranie bełkotu idiotów - lepiej tworzyć niezależne środki przekazu i samodzielnie opisywać rzeczywistość. Pora również, by naiwną wiarę w zwycięstwo zastąpić rzetelną wiedzą o tym - jak wygrać, a w miejsce prostych definicji i dumnych haseł nauczyć Polaków historii i racjonalnego działania..

To postulaty minimum, zaledwie na przetrwanie. Chcąc osiągnąć więcej - trzeba obalić kolejne mity i przekroczyć zakazane granice. Zasłużyć na nienawiść i samotność, poczuć się mniejszością we własnym kraju.

Czeka nas długi marsz. Tak długi, jak przewlekła będzie agonía III RP. Można zostać po drodze z milionami polskojęzycznych apatrydów lub dojść do wolnej Polski.

Na tym będzie polegał wybór.

13.10.2011 19:59 81

645. POJEDNANIE JAK STRZAŁ W POTYLICĘ

Strzał w tył głowy - to szczególnie ceniona przez komunistów metoda mordu. Wszędzie dokąd dotarła „czerwona zaraza”, zostawiała po sobie stosy przestrzelonych czaszek. Materiały filmowe z egzekucji w Katyniu, Sowietci przekazali towarzyszom chińskim w ramach pomocy i instruktażu przy likwidacji jeńców amerykańskich i południowokoreańskich. Tam, gdzie zbrodnica idea komunistów natrafiła na opór, wdzierła się w ludzkie umysły w jedyny, znany mordercom sposób - przez otwór w strzaskanej potylicy.

Symbolem tej bandyckiej formy „edukacji” mógłby być major bezpieczeństwa państwowego Wasilij Błochin - specjalista katowskiego komanda wyznaczonego do likwidacji Polaków w Katyniu, który w swojej „karierze” osobiście zabił 50 tysięcy osób, mordując codziennie przez prawie 29 lat. Był wzorem komunistycznego kata, który za swoje zasługi dorobił się stopnia generała i najwyższych orderów Związku Sowieckiego.

Nie ma wątpliwości, że 72 lata po zbrodni katyńskiej współczesna Rosja przyjmuje rolę współnika sowieckich ludobójców, a major Błochin będzie mógł wkrótce liczyć na poczesne miejsce w panteonie rosyjskich bohaterów. Od czasu objęcia władzy przez ptk Putina, formuła sowieckiego historyka - marksisty Michaiła Pokrowskiego, iż „historia to polityka robiona wstecz” stała się dewizą władz Rosji, a program odbudowy pozycji międzynarodowej i tworzenia nowej tożsamości narodowej Rosjan nabrał charakteru ofensywnego i rewizjonistycznego. Moskwa zaczęła dążyć do podważenia całego pozimnowojennego porządku, także w wymiarze interpretacji historii. W skrajnych formach kremlowska propaganda stała się polityką obrony sowieckiej wersji przeszłości, której zakwestionowanie miałyby rzekomo prowadzić do „podważenia wszystkich decyzji, podjętych z udziałem ZSRR, podważenia jego podpisów pod kluczowymi dokumentami międzynarodowymi”.

Odpowiedź rządu rosyjskiego udzielona Europejskiemu Trybunałowi Praw Człowieka w Strasburgu, w związku ze skargą rodzin oficerów zamordowanych w Katyniu jednoznacznie wskazywała, że państwo Putina uznaje kłamstwo katyńskie za rację stanu Federacji Rosyjskiej. W 17-stronicowej odpowiedzi ani razu nie użyto słowa zbrodnia, czy mord, napisano jedynie o „sprawie” lub „zdarzeniu katyńskim”. Uzasadniając odmowę ujawnienia dokumentów rosyjskiego śledztwa, władze Federacji powoływały się na „ochronę interesów współczesnej Rosji”. Zdaniem Moskwy postanowienie o umorzeniu z 2004 roku musi pozostać tajne, gdyż „zawiera tajemnice, których ujawnienie mogłoby przynieść uszczerbek bezpieczeństwu kraju”.

To twierdzenie wskazuje, że istnieje historyczna i prawna ciągłość pomiędzy Związkiem Sowieckim, a obecną Rosją, zaś ukrywanie prawdy o ludobójstwie jest dla władz Federacji Rosyjskiej kwestią dotyczącą bezpieczeństwa państwowego.

Zdaniem Rosjan „nie ma pewności, czy Polaków rzeczywiście rozstrzelano”, a nawet, czy zostali poddani jakimkolwiek represjom ze strony sowieckiego państwa. W roku 2008 prokurator Głównej Prokuratury Wojskowej Bliziejew podczas posiedzenia moskiewskiego sądu rejonowego stwierdził, że jeśli „hipotetycznie przyjmując, że polscy jeńcy mogli zostać zabici na polecenie władz, było to uzasadnione, bo część polskich oficerów stanowili szpiegdy, terroryści i sabotażyści. A przedwojenna polska armia była szkolona do walki ze Związkiem Sowieckim”. Rząd ptk Putina nie przewiduje także rehabilitacji zamordowanych, gdyż - jak tłumaczył przedstawiciel FR w Strasburgu - „nie udało się potwierdzić okoliczności schwywania polskich oficerów, charakteru postawionych im zarzutów i tego, czy je udowodniono”. Odmowa rehabilitacji oznacza, że zamordowani na mocy decyzji sowieckich sądów nadal formalnie pozostają przestępcami.

Młodzież rosyjską uczy się dziś, iż mord w Katyniu był sprawiedliwą zemstą za zagładę wielu tysięcy Rosjan w polskiej niewoli po wojnie 1920 roku. Naucza się również, że tamtą wojnę wywołała Polska, a nie Związek Sowiecki oraz przekonuje, że ludobójstwa Stalina, to nic innego jak „mądre działania przywódcy szykującego kraj do wojny”.

Putinowska administracja tak dalece cofnęła się w fałszowaniu historii, że zapomniano iż sami Rosjanie dwukrotnie przyznali się do ludobójstwa. Po raz pierwszy nastąpiło to w roku 1946 r., podczas procesu w Norymberdze, gdy sprawca zbrodni występował w roli prokuratora i sędziego we własnej sprawie. Wówczas strona sowiecka chcąc przypisać mord Niemcom nazwała go ludobójstwem. Powtórne przyznanie nastąpiło 13 lipca 1994 roku, gdy szef grupy śledczej Głównej Prokuratury Wojskowej Federacji Rosyjskiej płk Anatolij Jabłokow umorzył śledztwo katyńskie z powodu śmierci winnych. W postanowieniu o umorzeniu dochodzenia, Stalin, Mołotow, Woroszyłow, Mikołaj, Kalinin, Kaganowicz, Beria oraz inni funkcjonariusze NKWD, a także bezpośredni wykonawcy mordu zostali uznani za winnych popełnienia przestępstw, opisanych w art. 6 Statutu Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze, który obejmuje zbrodnie przeciwko ludzkości, w tym ludobójstwo.

O tych faktach - jako nieprzystających do idei „pojednania” i „dialogu” - polska opinia publiczna nie jest informowana. Od wielu miesięcy jesteśmy świadkami fałszowania prawdy na niespotykaną wprost skalę, ukrywania niewygodnych faktów i karmienia Polaków kłamstwami. Negatywną rolę w tym procesie spełniają członkowie tzw. polsko-rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych, z których większość została członkami Międzynarodowej Rady Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia - rządowej instytucji powołanej na wzór TPPR-u. Zamiast rzetelnego przekazu otrzymujemy bełkot o „otwartym stanowisku Rosji w sprawie Katynia” i zapewnienia najwyższych władz III RP o konieczności „pojednania, w imię przyszłości i ułożenia dobrych stosunków z rosyjskim sąsiadem”. Istnieje ogromny, rażący propagandowym fałszem dysonans między oficjalnymi gestami i deklaracjami władz państwowych, a rzeczywistym zachowaniem Rosji. Dzięki temu, polskie społeczeństwo jest utrzymywane w przeświadczeniu, jakoby Rosjanie dążyli do wyjaśnienia mordu na polskich oficerach i wykazywali w tej sprawie dobrą wolę.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że rosyjska polityka historyczna w sprawie Katynia zmierza do zamknięcia tematu i narzucenia interpretacji zgodnej z wolą kremlowskich decydentów. W listopadzie ubiegłego roku rzecznik MSZ Federacji

Rosyjskiej Andriej Niestierienko wyjawiał czego płk Putin oczekuje od „polskich przyjaciół” : „Rosja liczy na ostateczne rozstrzygnięcie kwestii katyńskiej z Polską” - powiedział Niestierienko. „Jesteśmy szczerze zainteresowani w skreśleniu tej sprawy z porządku dziennego oraz w rezygnacji z jej politykowania”.

Rząd Donalda Tuska przyjmując ten dyktat współczesnej formy kłamstwa katyńskiego stawia się na pozycji władz PRL-u i nawiązuje wprost do praktyk państwa komunistycznego. Wystarczyło zatem, że Rosjanie zanegowali definicję mordu katyńskiego jako ludobójstwa, by wicemarszałek Niesiołowski przyznał, że „zbrodnia katyńska nie może być określana mianem ludobójstwa” i ocenił, że polscy oficerowie zostali zamordowani, bo „odmówili współpracy z komunistami”. Kilka miesięcy później minister spraw zagranicznych III RP oświadczył, że „istnieje pole do sporu czy Katyń był ludobójstwem”, zaś doradca w kancelarii Bronisława Komorowskiego zaczął dywagować o potrzebie „definiowania Katynia jako zbrodni wojennej”.

Ta nowa i równie haniebna forma fałszu przybiera postać zorganizowanej kampanii, o czym świadczy polityka prezydenckiego BBN-u, pod rządami gen. Stanisława Kozieja. To on - zdaniem historyka dr Leszka Pietrzaka poddał cenzurze oficjalny dokument Biura sporządzony za czasów prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Chodziło o powstały na kilka tygodni przed tragicznym lotem do Smoleńska raport zatytułowany „Ludobójstwo Katyńskie w polityce władz sowieckich i rosyjskich (1943-2010)”, autorstwa Leszka Pietrzaka i Michała Wołłejko. W dokumencie omówiono politykę Rosji wobec zbrodni katyńskiej na przestrzeni prawie sześćdziesięciu lat oraz zarekomendowano prezydentowi RP działania w sprawie Katynia. „Bez względu na stanowisko strony rosyjskiej - można przeczytać w raporcie - „i przebieg obchodów rocznicy ludobójstwa katyńskiego, a przede wszystkim treści wystąpienia premiera W. Putina w Katyniu, Prezydent RP, przedstawiciele rządu powinni mówić jednym głosem i reprezentować jednolite stanowisko strony polskiej w kwestii Katynia. Stanowisko to najkrócej można zawrzeć w słowach: domagamy się i będziemy domagać od władz Federacji Rosyjskiej nazwania zbrodni katyńskiej ludobójstwem.”

Nowy szef BBN gen. Stanisław Koziej zakazał autorom ujawnienia treści rozdziału piątego, w którym znajdowały się powyższe słowa i wyraził zgodę jedynie na ujawnienie czterech części.

Sytuacja związana z raportem BBN jednoznacznie wskazuje, że obecny rząd nie ma zamiaru domagać się od Rosji wyjaśnienia sprawy mordu katyńskiego, a tym bardziej, uznania go za akt rosyjskiego ludobójstwa. Grupa samowznajczych autorytetów RP uznała, że sprawę Katynia należy zamknąć w imię „pojednania” i ułożenia wasalnych stosunków z rosyjskim reżimem. Historia, która ma „nie dzielić” - winna stać się kartą zamkniętą, zdławioną nakazem kazuistycznej moralistyki i mętnych interesów.

Polakom mają wystarczyć puste, obłudne gesty kremlowskich przywódców traktujących Katyń jako kartę przetargową. Przyznanie się sprawcy do winy - które w normalnych, cywilizowanych relacjach uchodziłoby za pierwszy i oczywisty krok, zostało sprowadzone do groteskowego wymiaru. Rząd Donalda Tuska uważa najwyraźniej, że ofiara rosyjskiego ludobójstwa musi być pełna wdzięczności za sam fakt, że kat wykrztusił z siebie częściowe przyznanie do zbrodni i nie powinna domagać się niczego więcej. Dla tego rządu aroganckie zachowania władz Kremla w sprawie Katynia, odmowa wskazania sprawców, ujawnienia aktu a nawet wskazania miejsca pochówku - stanowią dostateczną podstawę do budowania „przyjaźni” polsko-rosyjskiej.

Ta serwilistyczna postawa ma dziś swoich patronów, których nazwiska łączą haniebną kłamrą okres PRL-u i III RP. Z jednej strony jest to Wojciech Jaruzelski, przestrzegający Polaków w roku 2008, „by nie zrazić Rosji przez pośpieszne dążenie do włączenia do NATO byłych państw sowieckich” - z drugiej - Bronisław Komorowski, który z tych samych przyczyn był przeciwny odsłonięciu tablicy ku czci Węgrów, którzy w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920 uratowali Polskę dostawami amunicji, czy Donald Tusk, odmawiający rodzinom ofiar Smoleńska ujawnienia tzw. raportu Milera „ze względu na rosyjskich partnerów”.

Niewyobrażalna przepaść dzieli te stanowiska od postawy i słów prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który podczas wizyty w Gruzji w roku 2008 miał odwagę powiedzieć: „Stykatem się jako polityk już i jako prezydent mojego kraju z takim przekonaniem, że Rosja ma jakieś szczególne prawo do godności. Ja chciałem zapytać, skąd ona się bierze? Kto Rosji dał to prawo? Dlaczego największe państwa europejskie sugerują, jakby Rosja miała tego rodzaju prawo, dlaczego Rosja może komuś dawać nauczki, to jest rzecz, którą trzeba odrzucić i dziś jest dobra okazja do tego, żeby to powiedzieć”.

To przemówienie prezydenta RP wywołało wówczas wrzask polskojęzycznych propagandystów i popłoch politycznych kunktatorów, bełkoczących o „niedrażnieniu Rosji”. Taką samą reakcję słyszeliśmy we wrześniu 2009 roku, gdy Lech Kaczyński przypomniał skutki zbrodniczego paktu Ribbentrop - Mołotow i stwierdził: „To nie Polska powinna odrabiać lekcje pokory. Nie mamy do tego żadnego powodu. Powód mają inni. Powód mają ci, którzy do tej wojny doprowadzili, którzy tą wojnę ułatwili.”

Postawa obecnych władz III RP w sprawie zbrodni katyńskiej, jest nie tylko wyrazem ich potwornej słabości, ale dowodzi dobrowolnej rezygnacji z obrony prawdy historycznej, polskiego honoru i polskich interesów. Propaganda rosyjska potrafi doskonale wykorzystać ten stan i uczynić z tematu Katynia skuteczne narzędzie w rękach kremlowskich „siłowników”. Od wielu lat ulegają jej nie tylko politycy państw Zachodu - gotowi każdy postępek Putina odczytać jako „demokratyzację”, ale również rządy tych państw, których obywatele na własnej skórze doświadczyli dobrodziejstw komunistycznej doktryny, aplikowanej opornym przez otwór w politycy.

Przed dwoma laty rosyjski historyk Jurij Felsztyński w odpowiedzi na tchórzliwe deklaracje polskich oficjeli stwierdził: „Nie ma wątpliwości ani miejsca na dyskusję, czy okupacja Polski i masowe mordowanie ludności polskiej w 1939 było ludobójstwem. Oczywiście, że było”. Przypomniat również, że „Na Kremlu jest duża grupa osób, która sądzi, że okupacja Polski była dobrym politycznym posunięciem. W rządzie rosyjskim w otoczeniu prezydenta jest też grupa ludzi, która przekonuje, że kiedyś o te tereny znów będzie można się upomnieć”.

Słów rosyjskiego historyka z pewnością nie rozumieją ci, dla których historia stosunków polsko-rosyjskich jest zbyt groźną przeciwniczką i nadto wymagającą nauczycielką. Jedno jest pewne. Jeśli dopuścimy, by relacje z Rosją nadal były kształtowane według wasalnych reguł, wkrótce symbolem „pojednania” z Moskwą może stać się postać majora bezpieczeństwa państwowego Wasilija Błochina.

19.10.2011 19:59 100

646. ZBRODNIĄ ZAŁOŻYCIELSKĄ III RP

Gdy zastanawiałem się, jakim tekstem przywołać pamięć o zdarzeniach sprzed 27 lat, doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie sięgnąć po artykuły prasy podziemnej i dokumenty z tamtego okresu. Stanowią one nie tylko najpełniejsze świadectwo tragicznych wydarzeń jesieni 1984 roku, ale jak żadne inne dowodzą, że III RP znajduje swój początek w zabójstwie księdza Jerzego. To w pierwszych miesiącach po śmierci błogosławionego powstały podwaliny układu, z którego narodziła się idea tworu opartego na sojuszu kata i ofiary. Zrealizowano ją niespełna pięć lat później aranżując farsę „okragłego stołu”. Porozumienie z Kiszczakiem i Jaruzelskim zawarte przez grupę samozwańczych reprezentantów narodu znajduje swój początek w zdarzeniach roku 1984. Ujawnione wówczas postawy działaczy opozycji i niektórych ludzi Kościoła wyznaczyły zakres kolaboracji z władzą komunistyczną i pozwoliły pospolitym bandytom oblec się w szaty „mężów stanu” i „ludzi honoru”. Ta gigantyczna, historyczna mistyfikacja legła u podstaw poglądu, jakoby III RP powstała na gruzach komunizmu, podczas gdy w rzeczywistości - to komunizm, w zmodyfikowanej przepoczwarzanej postaci - obrócił w ruinę nasze dążenia do niepodległości.

Dokonany w roku 1989 akt legalizacji PRL-u dotyczył również gwarancji bezkarności zbrodniarzy sowieckiego reżimu. Wiedza o prawdziwych okolicznościach śmierci księdza Jerzego miała na zawsze stać się depozytem integrującym twórców III RP. Ta zbrodnia, jak wiele innych komunistycznych morderstw, została objęta złączy milczenia i do chwili obecnej nie może zostać wyjaśniona.

Jako pierwszy chciałbym przypomnieć tekst z nr 37-38 podziemnego „Miesięcznika Politycznego Niepodległość” ze stycznia 1985 roku, zatytułowany „Mit jedności”. Mówi on m.in. o „dwóch nurtach” środowisk opozycyjnych i pozwala rozpoznać istniejące wówczas podziały. Po raz pierwszy znajdujemy wyraźnie zarysowany konflikt, między grupą czołowych „doradców” i „niezależnych intelektualistów”, a związkowcami „Solidarności”. Warto dostrzec, że podziały te przetrwały do dnia dzisiejszego.

„Wobec zamachu na księdza Jerzego Popiełuszkę zarysowały się w naszym związku dwie linie. Jedna linia [...] jest równoznaczna ze zdaniem się na metody Kościoła [...] Druga linia zakłada, że na rozpętanie przemocy trzeba odpowiedzieć nie przemocą - to nie, w żadnym razie, ale działaniem na tyle stanowczym, by władza, niezależnie od tego, na jakie frakcje podzielona, czuła respekt przed społeczeństwem. [...] reakcja środowisk niezależnych - najpierw na porwanie, potem na morderstwo księdza Popiełuszki zakwestionowała funkcjonujący jeszcze w opinii mit o jedności polskich środowisk opozycyjnych, ujawniając istnienie głębokiego rozłamu.

Podziały te były widoczne i przed „sprawą” księdza Popiełuszki, ale nie tak wyraźnie. Oto, bowiem po jednej stronie znaleźli się prawie wszyscy „przywódcy” i „doradcy” „Solidarności” działający jawnie, wspierani przez część prasy, po drugiej zaś znaczna część publicystów prasy podziemnej, w tym biuletyny TKZ i porozumień międzyzakładowych, nieliczni działacze jawni i (choć nie do końca konsekwentnie) przywódcy i działacze podziemni. [...] Według pierwszej linii (zgodnie zresztą z całą jego dotychczasową polityką) wypowiadał się Lech Wałęsa. Wzywał do nieulegania prowokacjom, do spokoju i opanowania. [...] W Warszawie i w Gdańsku wrzało. W niedzielę 28 października 12 tysięcy ludzi zgromadzonych wokół kościoła św. Brygidy w Gdańsku rwało się pod Pomnik - opisuje akcję Wałęsy biuletyn nowotarskiej „Solidarności” „JANOSIK” w nr.70 z listopada 1984r. „Wokół miasta i w samym Gdańsku czekały zgrupowane silne oddziały ZOMO - ktoś planował zbierać żniwo tej zbrodni. Jednak Lech Wałęsa kilkoma zaledwie zdaniemiami opanowuje sytuację. Mówi do ludzi: „Powinniśmy być ostrożni i uważni, ponieważ ktoś usiłuje wciągnąć nas do walki o władzę. [...] Jesteśmy mocni pozostając w swoich fabrykach i modlitwie.” To wystarczyło. Ludzie skandowali jeszcze „Solidarność - Solidarność”, ale Lechu mógł już spokojnie zmieszać się z tłumem i iść do domu - do marszu pod Pomnik nie doszło. Jeśli inspiratorzy tego morderstwa liczyli na wywołanie rozruchów, to przegrali całkowicie”.

„Ktosiów” z wypowiedzi Wałęsy i z tekstu „Janosika” rozszyfrowują inni. Janusz Onyszkiewicz, przedstawiony przez zachodnich korespondentów jako rzecznik opozycji politycznej [sic] zapewnia, że generał szczerze dąży do wykrycia i

ukarania morderców."Chcemy wierzyć, że to nie Pan, Panie Generale nakazał zamordować Popiełuszkę" - pisze w swym [...] liście go generała profesor Edward Lipiński.

Chęć ta jest wśród czołowych „doradców” i „niezależnych intelektualistów” tak przemożna, że gorliwie biorą się za oczyszczanie z podejrzeń generalskiego reżimu, doradzając mu zarazem jaką drogą mógłby odzyskać wiarygodność. Jacek Kuroń na przykład zajął 107 nr. „Tygodnika Mazowsze” [z dn. 22.11.1984r.] na „niezbite” dowody udowadniania niewinności Jaruzelskiego [w artykule „Zbrodnia i polityka”], ba docenia determinację generała w dążeniu do wyjaśnienia tej zbrodni. Andrzej Szczypiorski - czołowy „intelektualista niezależny” - uważający zresztą, że „rząd rzetelnie pragnie normalizacji i być może nawet porozumienia” - w swoim artykule „Nasz tragiczny spokój” pisze [podajemy za Głosem Ameryki] - „Zdumiewającym jest naprawdę, jak niewiele potrzeba, aby Polacy okazywali władzy państwowej, jeżeli nie sympatię to w każdym razie wspaniałomyślność i nawet obdarzali odrobiną zaufania. W dniach żałoby po śmierci ks. Popiełuszki wystarczyłoby, gdyby rząd okazał normalne, ludzkie oblicze. Gdyby wystąpił z wąskich ram biurokratycznego protokołu, gdyby przyłączył się do żałoby narodu. Polacy z nadzieją oczekują takiego gestu. Każdy ma prawo zapytać: Czy Panom Generałom było tak daleko na ten pogrzeb, na który ściągnęły z całego kraju setki tysięcy ludzi? Czy rządowi zabrakło pieniędzy na wysłanie depechy kondolencyjnej do rodziców zamordowanego kapłana i jego kościelnych zwierzchników?.” [!?!?!?]

Działania Jaruzelskiego i Kiszczaka, wystąpienie Urbana, deklaracje Komitetu Centralnego PZPR szczególnie usatysfakcjonowały publicystę krakowskiej „Trzynastki” Mirosława Dzielskiego, autora artykułu „Po śmierci księdza”, dostrzegającego w posunięciach generała-sekretarza-premiera i jego ludzi znamiona stopniowego cywilizowania się [pod wpływem Kościoła, a zwłaszcza Papieża] i uczenia się współżycia ze społeczeństwem.” [...]

Wypowiedzi takich autorytetów jak Wałęsa, Onyszkiewicz czy Kuroń natychmiast powielane przez zachodnich korespondentów i wolne rozgłoszenie oraz przedrukowywane przez solidarnościowe biuletyny podziemne spowodowały wrażenie niemal pełnej jednomyślności polskiej opozycji.

Dlatego „Tygodnik Mazowsze” w artykule „W walce o władzę” zamieszczonym w 105 nr. tego pisma z 8.11.1984r. miał pełne prawo napisać: „W oficjalnych wypowiedziach i „przeciekach” sugeruje się, że prowokacja miała być wymierzona w rządy Jaruzelskiego i że frakcja „twardogłowych” chciała przejąć władzę [...] Oficjalna wersja została natychmiast przyjęta przez Kościół. Zaakceptowała ją zachodnia opinia publiczna i politycy[...]. W swych działaniach - choć nie zawsze w słownych deklaracjach przyjęły ją też niezależne ośrodki opiniotwórcze w kraju, począwszy od Lecha Wałęsy i różnych struktur „S”, a skończywszy na nieformalnych grupach środowiskowych. Ta niezwykła zgodność opinii - a zwłaszcza jej zgodność z wersją, na której zależało Jaruzelskiemu - jest może najbardziej znaczącą cechą obecnej sytuacji politycznej w PRL. Jednakże, w miarę upływu czasu i ukazywania się kolejnych pism podziemnych okazało się, że „reprezentanci społeczeństwa” i „rzecznicy opozycji” pospieszyli się nieco. Bo prasa podziemna zaczęła pisać co innego - przebili się po prostu zwolennicy drugiej linii.”

Drugi z tekstów to wspomniany powyżej artykuł Jacka Kuronia opublikowany w nr. 107 „Tygodnika Mazowsze” z 22 listopada 1984 roku, zatytułowany „Zbrodnia i polityka”. Ponieważ jest dość obszerny, ograniczę się do jego omówienia i kilku cytatów. To tekst niezwykle ważny, którego tezy do dziś wyznaczają podstawę fałszywej antynomii „dobrych” i „złych” komunistów oraz ahistoryczny podział na frakcje „liberałów” i „twardogłowych”. Zdjęcie odpowiedzialności z Jaruzelskiego za mord na księdzu Jerzym posłużyło usprawiedliwieniu postaw przedstawicieli „demokratycznej opozycji” i pozwoliło podjąć współpracę z reżimem.

Już na wstępie Kuroń „analizuje” motywy sprawców porwania księdza, by dojść do konkluzji, że za zbrodnią nie mógł stać Jaruzelski. Pisząc o generale, autor dowodził: „Jedno jest pewne - głupcem nie jest. Można mu stawiać różne zarzuty, ale pewną sprawność rządzenia w tych trudnych warunkach zachowuje. A skoro nie jest głupcem, musiałoby się przyjąć, że jest niebezpiecznym szaleńcem. Z tym, że takie założenie zwalnia całkowicie od myślenia. Wszystko zaczyna się odbywać w sytuacji nieobliczalnej, nic w ogóle nie jesteśmy w stanie przewidzieć, bo szaleńiec pojutrze może abdykować, albo przytączyć Polskę do Australii. Takich założeń w myśleniu politycznym przyjmować nie można. Nic nie wskazuje na to, że stał za tym sam Jaruzelski. Nie on, a więc kto?”

Postawiwszy to pytanie Kuroń dochodzi do wniosku, że za zabójstwem musiał stać aparat policyjny, „ale podporządkowany jakimś ośrodkom politycznym”.

„Znaczy to - pisze dalej - że mamy do czynienia przynajmniej z dwiema grupami, z których jedna jest lojalna wobec Jaruzelskiego, a druga prowadzi wobec niego swoją własną politykę. [...] Po co grupa konkurencyjna czy też policja miałyby to robić? Nie sądzę żeby chodziło tu o usunięcie Jaruzelskiego. [...] Raczej chodziło o to, by zmusić Jaruzelskiego do prowadzenia określonej polityki. Jakiej? To dość oczywiste - oczywiście niestłuchanie represyjnej. Policji jest potrzebna represyjna polityka, bo zwiększa jej znaczenie. Tym samym wyjaśnia się pierwszy wariant, to znaczy ten, że zrobił to sam aparat policyjny.”

Tytuł kolejnego rozdziału artykułu nie pozostawia wątpliwości, kogo Kuroń upatruje jako „ofiary” prowokacji. Brzmi on: „Generał Jaruzelski kontra aparat policyjny”. Autor twierdzi:

„Jaruzelski jest teraz w niestłuchanie trudnej sytuacji. Ma dwa wyjścia: albo cofnąć się i próbować dogadać ze swoimi przeciwnikami w aparacie władzy - co jest właściwie niemożliwe i na co jest już za późno, albo próbować się porozumieć ze społeczeństwem, co dla niego, autora 13 grudnia jest niestłuchanie trudne, wręcz niewykonalne.”

Dalej Kuroń pyta - „Czekać czy działać?” i odpowiada: „W obliczu tej sytuacji środowiska opiniotwórcze, rozliczne elity społeczeństwa polskiego podzieliły się. Da się wyodrębnić dwa stanowiska taktyczne. Pierwsze: skoro Jaruzelski to załatwia, nie trzeba mu przeszkadzać - im większe będzie miał trudności ze społeczeństwem, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że będzie mógł zrobić to, co zaczął, tym większe, że powie nie. I druga propozycja: skoro Jaruzelski musi się teraz liczyć ze społeczeństwem jak nigdy po 13 grudnia i w tym sensie jakby częściowo cofnął 13 grudnia - trzeba na niego naciskać, żeby dał jak najwięcej. A więc gen. Jaruzelski rozpoczął walkę ze swoim aparatem. Żeby mógł ją skończyć i umocnić się, musi mieć spokój społeczny. Jeśli damy mu ten spokój nie żądając nic w zamian, to oczywiście nie

będzie musiał nam nic dać. Dlatego trzeba naciskać na władzę, ale w taki sposób, aby nie stało się dla niej konieczne zastosowanie terroru.”

Tezę o „prowokacji politycznej” skierowanej przeciwko Jaruzelskiemu (podaną natychmiast przez komunistyczne media) podzielał również Lech Wałęsa. 23 października 1984 roku w kościele św. Brygidy w Gdańsku Wałęsa mówił: „Ktoś zrobił nam wszystkim wielkie świństwo. Na pewno planował sobie reakcję góry i społeczeństwa, w którym z wami wszystkimi jestem. My nie chcieliśmy przejmować władzy. I dlatego nie będziemy się mieszać do rozgrywek o władzę. Nas powinno interesować to, jak w to wszystko chciano nas wmanipulować. Inspiratorzy tej prowokacji, porywając księdza Popiełuszkę, chcieli zobaczyć jak się zachowamy, czy się przestraszymy. Na pewno chcieli byśmy bez opamiętania ruszyli, jak to mięso armatnie. Idźmy tym tokiem myślenia i nie dajmy się wmanipulować. [...] Musimy pamiętać, by nasze poczynania nie dawały nikomu foteli ani nie powodowały gabinetowych przesunięć. Dlatego ktoś postawił na rewolucję, licząc że my pójdziemy jak stado baranów i zrobimy mu (inspiratorowi) rewolucję...[...] Dlatego my pójdziemy drogą ewolucji - bezpiecznej, pokojowej ewolucji. My się nie pchamy do władzy i władzy urządzać nie będziemy.[...] Musimy znaleźć bezpieczne, chrześcijańskie rozwiązanie, które nie będą nas nic kosztowały. Nie dajmy się wciągnąć w czyjeś manipulacje”.

W niemal identyczny sposób przedstawiała sprawę zabójstwa propaganda komunistyczna. W tzw. stanowisku Rady Krajowej PRON z 29 października 1984 roku można przeczytać:

„Porwanie księdza Popiełuszki jest oczywistą próbą wbicia noża w niezabliźnioną do końca ranę.[...] Cios zadany zwolennikowi określonej postawy politycznej miał stworzyć wrażenie, że zamiast proponowanego dialogu, władze dążą do brutalnej likwidacji swoich przeciwników. Mimo oczywistości, że temu właśnie miał służyć zamach, rzeczą smutną jest fakt, że są ludzie, którzy nie czekając na ostateczny wynik śledztwa, z góry przesądziли sprawę i zgodnie z celami prowokacji wzywają do wystąpień, do aktów nienawiści, do działań szkodzących krajowi, ukrywając swe intencje pozornym przytaczaniem się do modlitwy Kościoła i jego troski o porwanego”.

Ostatni dokument, to zaprezentowana przez Sławomira Cenckiewicza notatka z rozmowy agenta Departamentu I SB MSW, występującego w meldunkach i szyfrogramach jako „źródło nr 13963” z abp. Bronisławem Dąbrowskim - ówczesnym sekretarzem episkopatu Polski. Dotyczy ona spotkania z arcybiskupem w dniu 12 grudnia 1984 roku i przedstawia opinie hierarchów Kościoła w sprawie zabójstwa księdza Jerzego:

„Zdaniem abp. Dąbrowskiego odpowiedzialność za tę zbrodnię należy przypisać elementom politycznym wrogim wobec gen. Jaruzelskiego, a zatem chodzi niewątpliwie w tym przypadku o prowokację, posiadającą dotąd pewne cechy utajone. Kpt. Piotrowskiego - Dąbrowski określił jako „starego znajomego”, gdyż zarówno on, jak i Glemp spotykali go kilka razy, podczas kiedy pełnił on służbę jako funkcjonariusz Biura Ochrony Rządu i Departamentu ds. Kościelnych i Narodowościowych MSW w czasie wizyty papieża w Polsce oraz przy okazji spotkań z Wałęsą. W jego ocenie Piotrowski jest typem bardzo ambitnym, który uważał, że należy mu się stopień pułkownika. Trzej sprawcy przestępstwa działali pod Toruniem w łatwych warunkach, ponieważ strefa ta jest dobrze kontrolowana. Mogli więc liczyć na poparcie organizacyjne czynników radykalnych w aparacie SB i tajnej jacejki OAS (Organizacja Anty-Solidarność), jak również na poparcie „bazy sowieckiej”. Jako wykonawcy działali oni niewątpliwie na rozkaz przeciwników gen. Jaruzelskiego uplasowanych w MSW tzn. ludzi zaufanych Mirosława Milewskiego”.

Źródła:

http://www.niepodleglosc.org/Polish/Archiwum/1985/N037-38/pdf/1985_01_N-37_38.pdf

<http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=013684107001>

<http://www.rp.pl/galeria/9157,2,269026.html>

21.10.2011 19:09 56

647. ZNAK KAINA

W tajnym dokumencie Komisji Ideologicznej KC PZPR z 6 listopada 1989 roku zatytułowanym „Propozycje działań związanych z ósmą rocznicą wprowadzenia stanu wojennego w Polsce” zawarto szczegółowe instrukcje dotyczące rozgrywania „problematyki stanu wojennego”. W „założeniach taktycznych” opracowania można przeczytać:

„W propagandzie należy łączyć rzeczową analizę przyczyn wprowadzenia stanu wojennego z ukazywaniem tego, w jaki sposób przerwanie groźnego biegu wydarzeń z 1981 r. umożliwiło późniejsze porozumienie, a w efekcie „okrągły stół” i głęboką transformację systemu politycznego Polski. Szczególnie mocno powinien być wyeksponowany motyw „mniejszego zła”.

Ta podstawowa teza komunistycznej propagandy została w III RP podniesiona do rangi dogmatu i skutecznie zaszczepiona Polakom. Jeśli dziś blisko 50 proc. społeczeństwa uznaje wprowadzenie stanu wojennego za dobrą decyzję i uzasadniony wybór „mniejszego zła” - mamy do czynienia z efektem jednej z największych manipulacji historycznych w dziejach Polski i triumfem komunistycznych bandytów, którzy wspólnie z koncesjonowaną „opozycją demokratyczną” zdecydowali o narzuceniu nam fałszywej interpretacji tego zbrodniczego aktu.

Kwintesencją zakłamaniej dialektyki mogą być słowa Adama Michnika z artykułu o Ryszardzie Kuklińskim z 1998 roku, w którym autor zawarł ocenę pułkownika nazywając go „instrumentem tych, którzy prą do kolejnych awantur i wojen na górze” i napisał:

„Czy płk Kukliński uratował Polskę przed sowiecką inwazją? Więcej danych przemawia za tezą, że jeśli ktoś realnie ocalił Polskę od katastrofy takiej inwazji zimą 1981-82, to były to dwa inne czynniki. Pierwszy to rozumna postawa przywódców „Solidarności” i Kościoła katolickiego, którzy wybrali drogę długiego marszu i biernego cywilnego oporu. Drugi to polityka ekipy Jaruzelskiego, która nie dążyła do krwawej rozprawy i nie prowokowała krwawych reakcji odwetowych. Podczas stanu wojennego zginęło znacznie mniej osób niż np. w czasie zamachu majowego w 1926 r. Również to odsunęło problem sowieckiej interwencji.”

Podstawowe tezy Michnika znajdziemy w cytowanej powyżej instrukcji PZPR, gdzie m.in. napisano: „Bez decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego Polska mogła stać się na przełomie 1981/82 areną nie tylko krwawych walk, nawet przy udziale wojsk krajów sąsiednich (bezsporne są fakty przygotowań do interwencji oddziałów radzieckich), ale i powodem destabilizacji sytuacji politycznej w Europie”.

Ta fałszywa historiozofia leży u podstaw stosunku III RP wobec zbrodni komunistycznych i sprawia, że do tej chwili nie osądzono sprawców stanu wojennego, a nawet nie ustalono liczby ofiar wyboru „mniejszego zła”.

Ostatnia decyzja sędzi Sądu Okręgowego w Warszawie Ewy Jethon o wyłączeniu z procesu Wojciecha Jaruzelskiego „ze względu na zły stan zdrowia” oznacza, że sprawca cierpień milionów Polaków, sowiecki agent zbrodniczej Informacji Wojskowej odejdzie z tego świata bez wyroku skazującego. Zdaniem IPN są małe szanse, by Jaruzelski kiedykolwiek wrócił na salę sądu. Prokurator IPN stwierdziła, że wyłączenie jego sprawy oznacza, iż sąd w wyroku odniesie się do zachowań tylko tych oskarżonych, którzy pozostali w procesie. W lipcu br. również „ze względu na stan zdrowia” warszawski sąd zawiesił proces Jaruzelskiego za „sprawstwo kierownicze” zabójstwa robotników Wybrzeża w grudniu 1970 r.

Powoływanie się na stan zdrowia w obliczu odpowiedzialności karnej stanowi praktykę wszystkich komunistycznych aparatczyków stających przed sądem. Jest potwierdzeniem nie tylko pospolitego tchórzostwa, ale dowodzi arogancji i poczucia bezkarności ludzi, którzy odmawiając prawa do uczciwego procesu tysiącom skazanym w stanie wojennym, sami korzystają dziś z pełni praw obywatelskich i prawa do obrony. Szczególnie cynicznie wykorzystywał to prawo Jaruzelski, gdy powołując się na zły stan zdrowia przewlekłał postępowanie sądowe, by w tym samym czasie uczestniczyć w paradach wojskowych na placu Czerwonym w Moskwie z okazji „zwycięstwa nad faszyzmem”.

Warto przypomnieć, że Wojciech Jaruzelski uczynił farsę z toczącego się od 2008 roku procesu składając podczas jednej z pierwszych rozpraw kuriozalne wnioski dowodowe o powołanie na świadków m.in.: Michaila Gorbaczowa, Margaret Thatcher, Helmuta Schmidta czy Aleksandra Haiga. Stanisław Kania, w tym samym czasie wnioskował o powołanie świadków Zbigniewa Brzezińskiego i Anatolija Gribkowa, szefa sztabu sił zbrojnych Układu Warszawskiego. Obaj oskarżeni wnosili również o przeprowadzenie analizy setek dokumentów znajdujących się m.in. w kremlofskich archiwach. Jednocześnie Jaruzelski zapewniał, że zależy mu na „jawnym i szybkim procesie”.

Sędzia Jethon przychyliła się wówczas do tych wniosków i zażądała, by IPN uzupełnił akta postępowania, wykonując „typowe czynności śledcze”. Do tych czynności sąd zaliczył m.in. przesłuchanie zgłoszonych świadków oraz zwrócenie do Rosji o dokumenty dotyczące spraw polskich z lat 1980-1981 oraz do USA w celu uzyskania akt CIA i akt wywiadu wojskowego oraz informacji wywiadowczych NATO. Zdaniem Ewy Jethon sporządzone dotychczas opinie prawne stały się nieaktualne i niepełne, a sędzia zażyczyła sobie powołania całego zespołu biegłych, którzy mieliby odpowiedzieć jak ma ocenić komunistyczną wojnę wypowiedzianą Polakom. Dopiero sąd wyższej instancji uznał bepodstawność tych wniosków.

Na specjalnie założonej stronie internetowej Jaruzelski przywołuje setki dowodów, które miałyby wskazywać jakoby w 1981 roku Polska stała wobec groźby interwencji państw Układu Warszawskiego. Argumentacja szefa WRON jest identyczna z założeniami propagandowymi Komisji Ideologicznej KC PZPR, przyjętymi w III RP jako podstawa tezy o „działaniu w stanie wyższej konieczności wobec groźby sowieckiej interwencji.”

Przed wszystkim świadczy jednak, że sowiecki agent do końca wykonuje dyrektywy swoich zwierzchników. To w protokole nr 7 Biura Politycznego KPZR z 23 kwietnia 1981 r. zawarto zalecenia, w których zachęcano władze PRL do straszenia opozycji i Zachodu groźbą sowieckiej interwencji w Polsce. Jednocześnie towarzysze radzieccy zalecali, by „kierownictwo polskie stale troszczyło się o stan armii i organów MSW, ich stabilność moralno-polityczną i gotowość wykonywania swych obowiązków obrony socjalizmu”.

Dokument Komisji Ideologicznej PZPR z listopada 1989 roku mówi zaś wyraźnie, iż: „Należy zabiegać o sygnał ze strony władz radzieckich świadczący o tym, iż stan wojenny uchronił Polskę od zewnętrznej interwencji. Biorąc pod uwagę rozrachunkową szczerłość obecnych władz radzieckich, można liczyć na wywołanie jakiejś formy publicznego stanowiska w tej sprawie (np. w postaci wypowiedzi rzecznika prasowego MSZ).”

Autorem szeregu wywodów Jaruzelskiego jest szczególnie przezeń ceniony peerelowski „historyk wojskowości” płk Zbigniew Kumoś, który w książce „O wolną i demokratyczną Polskę: myśl polityczno-wojskowa lewicy polskiej w ZSRR 1940-1944” z 1985 roku powielał kłamstwo katyńskie, twierdząc, iż „kosztem interesu narodowego wykorzystano niemiecką prowokację do ataków na ZSRR”. Na historyczne ustalenia Kumosia, Jaruzelski powoływał się podczas wielogodzinnych wyjaśnień składanych przed Sądem Okręgowym w Warszawie w październiku 2008 r. Sam Kumoś jest autorem „listu

otwartego” z października 2004 roku skierowanego do prezesa IPN Leona Kieresa, w którym m.in. można przeczytać: „W związku ze zbliżającą się 23 rocznicą stanu wojennego Instytut Badań Naukowych przypomina by wydarzenia z przeszłości, szczególnie te kontrowersyjne można było dyskutować na szerokiej płaszczyźnie różnych ustaleń, poglądów i ocen. Dotychczas obraz ten był jednostronny.” Dziś Kumoś jest członkiem zarządu stowarzyszenia „SOWA” zrzeszającego byłych oficerów Wojskowych Służb Informacyjnych. Jego udział w tym gremium może świadczyć, że inicjatywa powołania „SOWY” ma przyzwolenie starej kadry komunistycznej bezpieki i osobiste „błogosławieństwo” Jaruzelskiego i Kiszcza.

Trudno pozbyć się wrażenia, że proces twórców stanu wojennego od początku toczy się w taki sposób, by sąd nie musiał wydawać wyroku na Jaruzelskiego i nie brał odpowiedzialności za ocenę konsekwencji prawnych działań wojskowej junty. Ta tchórzliwa strategia zdaje się wynikać z obaw przed jednoznacznym potępieniem zamachu z 13 grudnia i jest podyktowana racjami politycznymi, których przyczyny należy upatrywać w uzgodnieniach okrągłego stołu.

Sędziowie III RP nie potrafią odpowiedzieć nawet na pytanie o legalność decyzji WRON i uznają tę kwestię za podległą ocenom historyków. W roku 2008 sędzia Rajmund Chajneta przewodniczący wydziału, w którym rozpatrywana była sprawa stanu wojennego, tłumacząc powołanie trzyosobowego składu sądu wyznał wprost: „Ten proces ma odpowiedzieć na fundamentalne dla historii Polski końca XX w. pytanie, czy wprowadzenie stanu wojennego było legalne, czy też nie. Byłoby dziwne, gdyby ocenę miał formułować jeden sędzia”.

Sędzia Chajneta najwyraźniej zapomniał, że „fundamentalne pytanie historyczne” zostało rozstrzygnięte już w lutym 1992 r., gdy Sejm RP przyjął uchwałę stwierdzającą, że decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego była nielegalna. Jednak dopiero w marcu br. zapadł wyrok Trybunału Konstytucyjnego, w którym uznano za niekonstytucyjne dekrety Rady Państwa PRL o stanie wojennym z 12 grudnia 1981r. Wcześniej Sąd Najwyższy roztoczył parasol ochronny nad „wymiarom sprawiedliwości” PRL i uznał, że sędziowie musieli stosować owe dekrety, bo sądy nie mogły kontrolować konstytucyjności ustaw, nawet jeśli naruszały one zasadę niedziałania prawa wstecz. Po tej uchwale, IPN nie mógł już postawić zarzutów żadnemu sędziemu czy prokuratorowi, którzy oskarżali, skazywali i przedłużali areszty wobec działaczy „Solidarności” między 12 a 16 grudnia, kiedy dekret jeszcze nie obowiązywał.

Możemy przypuszczać, że obecnie nawet dziesiątki „mędrców Temidy” nie będą w stanie odpowiedzieć na pytanie, na które odpowiedź zna każdy przyzwoity człowiek. Cały proces autorów stanu wojennego przypomina zaś dosadny i celnie wymierzony policzek tym milionom Polaków, którzy nie stracili pamięci z chwilą proklamacji „nowego państwa” i doskonale wiedzą, czym był stan wojenny i kim byli sowieccy zdrajcy w polskich mundurach. Jak wszyscy tchórze udający polskich patriotów, ludzie ci skryli się dziś za instytucjami prawa wykorzystując mechanizmy z którymi walczyli i których stosowania odmawiali innym.

Niewykluczone, że na decyzję o wyłączeniu z procesu Jaruzelskiego mogły mieć wpływ zdarzenia ostatnich miesięcy. Sędzia prowadząca sprawę musiała przecież pamiętać, że ewentualny wyrok będzie dotyczył człowieka, który przez obecnego prezydenta III RP jest uznawany za wybitnego eksperta ds. polityki międzynarodowej i bywa częstym gościem Belwederu. Obecność Jaruzelskiego na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego, zaproszenie go na uroczystość wręczenia Komorowskiemu insygniów Orderu Orła Białego czy obecność agenta „Wolskiego” w trakcie rozmowy Komorowskiego z Miedwiediewem - nie mogły ująć uwadze sądów wyczulonych na wszelkie fluktuacje i objawy intencji obecnej władzy.

Bronisław Komorowski od lat należy do gorliwych obrońców Jaruzelskiego. Już w roku 2005 usilnie sprzeciwiał się inicjatywie Jarosława Kaczyńskiego, gdy ten chciał pozbawić „Wolskiego” przywilejów należnych byłemu prezydentowi oraz odebrać mu stopień generalski. „To zły pomysł” - perorował wówczas polityk PO - „Trzeba umieć oddzielić regulacje ustawowe dotyczące wszystkich byłych prezydentów od oceny ich działalności, nie można karać kogoś za błędne decyzje lub niewłaściwe zachowanie, odbierając uprawnienia”.

Rok później, w wywiadzie dla Moniki Olejnik Komorowski twierdził, że „zabranie Jaruzelskiemu stopnia generalskiego oznaczałoby, że przekreślamy całą drogę żołnierską generała, a ta nie cała przecież była zła”. Postać agenta sowieckiej Informacji Wojskowej Komorowski nazwał „do pewnego stopnia tragiczną” argumentując, że Jaruzelski wziął udział w demontowaniu własnego systemu, za którym się opowiadał i którym żył przez całe życie. Ówczesny marszałek Sejmu podkreślał przy tym, że „niewątpliwie gdzieś miały swoje istotne znaczenie jego korzenie rodzinne, tradycja, dla myślenia w kategoriach patriotyzmu”.

Tę nieskrywaną sympatię odwzajemnia również Jaruzelski, nazywając przed wyborami prezydenckimi kandydata PO „mężem stanu” i twierdząc, że Komorowski jest nie tylko obdarzony charyzmą, ale „cechują go również godność i dostojeństwo”.

Decyzja o wyłączeniu z procesu Wojciecha Jaruzelskiego zapadła na trzy miesiące przed 30 rocznicą wprowadzenia stanu wojennego. Jest dowodem na bezsilność i nieudolność systemu prawnego III RP i zdaje się potwierdzać, że żaden ze zbrodniarzy komunistycznych nie poniesie doczesnej odpowiedzialności. Nie tłumaczą jej racje moralne ani wzgląd na wiek i stan zdrowia oskarżonego. W osądzeniu Jaruzelskiego nie chodziło przecież o wymiar kary bądź jej wykonanie. Ta decyzja podważa nie tylko zasadę równości wobec prawa ale klóci się z elementarnym poczuciem sprawiedliwości, które nakazuje napiętnować winę - niezależnie od stanu i pozycji sprawcy. Podjęta w zgodzie z prawem III RP jest jednocześnie głęboko nieetyczna i krzywdząca. Uwalnia bowiem od odpowiedzialności karnej człowieka, którego życiowa postawa symbolizuje najgorsze cechy zdrajcy i prześladowcy własnego narodu.

W cytowanym na początku tajnym dokumencie KC PZPR z roku 1989, w rozdziale zatytułowanym „Działalność polityczna” wydano polecenie :

„Należy rozważyć sprawę podjęcia ważnych inicjatyw politycznych tak, aby uwaga opinii publicznej została, przynajmniej częściowo, odwrócona od problematyki historycznej, a skupiona na rozwiązywaniu problemów dnia dzisiejszego i jutra. Wydaje się, że jest to stosowna pora, by z inicjatywy Prezydenta w tym właśnie okresie doszło do swobodnego „drugiego okrągłego stołu”, lub, co wydaje się bardziej przekonujące - do inauguracji pracy Rady Politycznej, która podjęłaby kluczowe zagadnienia związane z sytuacją społeczno-gospodarczą kraju [...]”

Oceniając z dzisiejszej perspektywy dyspozycje partyjne sprzed 22 lat, można odnieść wrażenie, że obecna władza doskonale wypełnia postulat „odwracania od problematyki historycznej”, zaś poglądy lokatora Belwederu sytuują go w roli godnego następcy gen. Jaruzelskiego.

24.10.2011 19:04 184

648. O ZBĘDNYM MERDANIU OGONEM

Uśmiercanie PiS-u stanowi ulubione zajęcie rządowych mediów. W równym stopniu jest oznaką chorobliwych obsesji trawiących pracowników ośrodków propagandy, jak ich zabobonnej wiary w moc słowa pisanego. Wielu z nich zdaje się wierzyć, że projekcją życzeń można zastąpić rzeczywistość, a ponieważ zabobon ten podziela większość Polaków festiwal uśmiercania PiS-u trwa nieprzerwanie od co najmniej 6 lat. W okresach powyborczych przybiera postać masowej histerii, ogarniając zasięgiem nawet zwolenników partii Jarosława Kaczyńskiego. Stałość tego zjawiska zawdzięczamy łatwości, z jaką nasi rodacy przyjmują każdą medialną brednię, jak i osobliwej chorobie krótkiej pamięci, która nie pozwala objąć refleksją okresu dłuższego niż czas od włączenia i wyłączenia telewizora.

„W niektórych mediach obowiązuje zasada - jak chcesz pracować, to musisz atakować PiS. A w każdym razie nie możesz o nim pisać dobrze” - zauważył już w listopadzie 2007 roku Jarosław Kaczyński. Po czterech latach rządów PO-PSL agresję wobec opozycji podniesiono do rangi naczelnej reguły dziennikarstwa III RP, co dowodzi nie tylko ciągłości peerelowskiej tradycji i stałości wzorców leninowskich, ale świadczy o kompletnym braku wyobraźni i tępotcie małych demiurgów. Dawno przecież powinni zadać sobie pytanie: czym będą się zajmowali i do czego będą potrzebni, gdy uśmiercą jedyną opozycję? Z tym dylematem wiąże się również obawa: ileż sierot pozostawi PiS po sobie, iluż publicystów i blogerów zmusi do milczenia z powodu prozaicznego braku tematu?

Nim nastąpi ta apokaliptyczna chwila - trwa kolejny festiwal uśmiercania PiS-u, nabierając z każdym dniem rozpędu i frenetycznych płasów. Z doświadczeń poprzednich kampanii wynika, że najlepsze teksty agonalne powstawały z inspiracji politycznych renegatów i zdesperowanych rozłamowców, biegających po mediach z nadzieją na swoje pięć minut. Każdy występ takiego osobnika stanowił nieocenione źródło pogłosek i spekulacji, dając okazję do produkcji nieprzebranej ilości bredni. Scenariusz z powodzeniem stosowano w roku 2007 i 2010, wykorzystując do woli megalomanię błaznów, a czasem dobrą robotę oficerów prowadzących.

Ta radosna eksploatacja okazała się na tyle wyniszczająca, że po ostatnich wyborach zabrakło użytecznych „źródeł osobowych”. Nowe jeszcze nie wykietkowały, a te najgłębiej ukryte, pozostawiono w odwodzie.

Sposobem na chwilowe braki kadrowe okazała się ulubiona metoda małych demiurgów polegająca na wykreowaniu nieistniejącej rzeczywistości. Do działań przystąpiono natychmiast po wieczorze wyborczym, spekulując nad przyczynami nieobecności Zbigniewa Ziobry. Dwa dni później, artykuł Wojciecha Wybranowskiego - „Ziobro wyprowadzi ludzi?” opublikowany w „Rzeczpospolitej”, nadał kombinacji precyzyjny kierunek

„Jak wynika z nieoficjalnych informacji „Rz”, Komitet Polityczny PiS ma zażądać wyjaśnień w sprawie kampanii od europosłów Zbigniewa Ziobry i Jacka Kurskiego. Część działaczy PiS zarzuca im, że przed wyborami działali nie na rzecz partii, ale we własnym interesie.” - donosił dziennikarz „Rzeczy”. Tytuł nadany temu doniesieniu przez „Wyborczą”: *„Dojdzie do secesji w PiS? Kurski i Ziobro obwiniani o klęskę”* - musiał wzbudzić zawiść mniej rozgarniętych kolegów.

Tak szczęśliwie rozpoczęta akcja spotkała się ze spontanicznym wsparciem Joanny Kluzik-Rostkowskiej, która kilka dni później podzieliła się ze słuchaczami pewnej rozgłośni cenną uwagą: *„Prezes PiS powinien wreszcie wyciągnąć wnioski z porażek a Zbigniew Ziobro jeżeli ma ambicję, dziś jest najlepszy czas, by zawalczyć o wpływy w PiS”*.

Od tej chwili, uczynienie ze Zbigniewa Ziobry pisowskiego secesjonisty stało się ideą fix rzeszy żurnalistów, blogerów i samorodnych analityków. Wizja uśmiercenia PiS-u rękami młodego „delfina” rozgrzała inwencje małych demiurgów, pozwalając im poczuć dreszcz podniecenia na myśl o czekających nas zdarzeniach. Do „pomocy” Ziobrze przydano natychmiast Tadeusza Cymańskiego, okraszając wrażliwych rozłamowców szwarczarakterem Jacka Kurskiego. Złaknione śmiertelnych konwulsji towarzystwo prześcigało się w produkowaniu coraz wymyślniejszych doniesień: *„Zbierają haki na Ziobrę i Kurskiego. Wytną opozycję w PiS?”, „Ziobro boi się Kaczyńskiego, doznał wielu upokorzeń”, „Ziobro na wylocie”*.

Troska o uwiarygodnienie kombinacji nakazała włączyć w nią inne organy państwa oraz sprawdzonych w boju towarzyszy. Przesłuchanie Zbigniewa Ziobry w rzeszowskiej prokuraturze, w sprawie tzw. afery gruntowej pozwoliło uruchomić Janusza Kaczmarka. Stwierdzenie byłego szefa MSWiA, iż *"Zbigniew Ziobro wybiela siebie i pogrąża w zeznaniach Jarosława Kaczyńskiego"*, poparte natychmiast słowami Jaromira Netzela: *"Zbigniew Ziobro swoimi zeznaniami obciążył byłego szefa CBA Mariusza Kamińskiego"* - miało przekonać odbiorców, że polityk PiS-u już przeszedł na „ciemną stronę” i zachowuje się jak bezwzględny renegat.

Kolejną kreatywną wizję stworzyła ponownie „Rzeczpospolita”, publikując doniesienia anonimowych informatorów z posiedzenia komitetu politycznego PiS. Tytuł nadany temu donosowi: *„Ziobro i Cymański kontra zwolennicy Kaczyńskiego”* - nie pozostawiał wątpliwości, że w partii opozycyjnej doszło do dramatycznego rozłamu. Bezimienny „poseł PiS” informował „Rzeczpospolitą”: *„Były już powybiorcze rozliczenia, ale takiej wojny jeszcze nie widziałem”*. Na podstawie tej relacji przenikliwi żurnaliści uznali, że *„Stronnicy prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego twierdzą, że do porażki przyczynili się Ziobro oraz dwaj inni eurodeputowani - Jacek Kurski i Tadeusz Cymański”*.

Kropkę nad i miał postawić wywiad Zbigniewa Ziobry udzielony tygodnikowi „Uważam Rze”. *„Ziobro przemówi w poniedziałek.”* - elektryzował tytuł zapowiedzi i *„ujawni o co naprawdę mu chodzi. Deklaruje lojalność, ale żąda zmian”*. Co prawda, ze słów polityka PiS: *„Po pierwsze jedność. Po drugie korekta i modernizacja. Po trzecie zwycięstwo”* - wynikały wnioski rażąco odmienne od tez propagandystów, nie przeszkodziły jednak w podtrzymaniu dotychczasowej narracji i wybiórczym podkreśleniu w tytule dzisiejszej „Rzeczypospolitej”: *„Ziobro chce modernizacji PiS”*.

Nie można zmusić kogoś, by stał się wytworem chorobliwych spekulacji lub sprostą kaprysom małych demiurgów. Tym bardziej, jeśli zabieg kreowania rzeczywistości dotyczy zaspokojenia obsesyjnych dążeń i przypomina nieudolne praktyki voodoo. O los Zbigniewa Ziobry i pozostałych „rozłamowców” możemy być spokojni. Rozłam dziś PiS-owi nie grozi, zaś występy propagandystów pozostaną kolejnym świadectwem czasów hańby.

Jarosław Kaczyński w wywiadzie z listopada 2007 roku, z którego słowa cytowałem na wstępie wyjaśnił, dlaczego nie chce zmieniać relacji z dziennikarzami i nie zamierza być w stosunku do nich bardziej przymilny.

„Merdanie ogonem w odpowiedzi na agresję nic nie da” - trafnie stwierdził prezes PiS-u. Trafnie, bo kłamstwo i manipulacja są zawsze wyrazem agresji - najczęściej z powodu tchórzostwa lub smrodliwego koniunkturalizmu. Byłoby dobrze, gdyby Jarosław Kaczyński i pozostali politycy PiS- u przypomnieli sobie o tych słowach i zamiast zbędnego merdania ogonem potrafili zdzielić agresora tak, jak na to zasługuje.

Źródła:

<http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114873,4663922.html>

<http://wpolityce.pl/wydarzenia/16848-ziobro-przemowi-w-poniedzialek-w-uwazam-rze-ujawnia-o-co-naprawde-mu-chodzi-deklaruje-lojalnosc-ale-zada-zmian><http://www.rp.pl/artykul/16,737423.html>

<http://www.rmf24.pl/fakty/polska/news-netzel-ziobro-obciazyl-w-zeznaniach-bylego-szefa-cba,nld,369183>

<http://www.rp.pl/artykul/16,737637.html>

<http://www.rp.pl/artykul/16,738522.html>

LISTOPAD 2011

01.11.2011 16:13 55

649. LISTA OSÓB ZAMORDOWANYCH PRZEZ KOMUNISTÓW W LATACH 1981 - 1989

PAMIĘTAMY O WAS :

CZEKAŁSKI JÓZEF, l. 48. Zamordowany w dniu 16 grudnia 1981 r. podczas pacyfikacji strajku w KWK Wujek, postrzał klatki piersiowej i brzucha, postrzał lewej stopy;

GIZA JÓZEF, l. 28. Zamordowany w dniu 16 grudnia 1981 r. podczas pacyfikacji strajku w KWK Wujek, postrzał boczny szyi;

GNIDA JOACHIM, l. 28. Zmarł w dniu 25 stycznia 1982 r. w wyniku ran odniesionych w dniu 16 grudnia 1981 r. podczas pacyfikacji strajku w KWK Wujek, postrzał w głowę;

GIK RYSZARD, l. 35. Zamordowany w dniu 16 grudnia 1981 r. podczas pacyfikacji strajku w KWK Wujek, postrzał w głowę;

KUPCZAK BOGUMIŁ, l. 28. Zamordowany w dniu 16 grudnia 1981 r. podczas pacyfikacji strajku w KWK Wujek, postrzał brzucha;

PEŁKA ANDRZEJ, l. 20. Zamordowany w dniu 16 grudnia 1981 r. podczas pacyfikacji w KWK Wujek, postrzał w głowę;

STAWISIŃSKI JAN, l. 22. Zmarł w dniu 25 stycznia 1982 r. w wyniku ran odniesionych w dniu 16 grudnia 1981 r. podczas pacyfikacji strajku w KWK Wujek, postrzał w głowę;

WILK ZBIGNIEW, l. 20. Zamordowany w dniu 16 grudnia 1981 r. podczas pacyfikacji strajku w KWK Wujek, postrzał w plecy i postrzał od tyłu w okolicy lędźwiowej;

ZAJĄC ZENON, l. 22. Zamordowany w dniu 16 grudnia 1981 r. podczas pacyfikacji strajku w KWK Wujek, postrzał w klatkę piersiową;

BROWARCZYK ANTONI, l. 23. Zamordowany strzałem w głowę podczas rozpędzania demonstracji w Gdańsku, w dniu 17 grudnia 1981 r.;

KOSECKI TADEUSZ. - Zmarł na zawał serca pobity przez ZOMO w czasie pacyfikacji strajku na Politechnice Wrocławskiej w dniu 17 grudnia 1981 r.;

ADAMOWICZ MICHAŁ, l. 28. Zmarł w dniu 5 września 1982 r. w wyniku ran postrzałowych odniesionych w czasie demonstracji w dniu 31 sierpnia w Lubinie;

POZNIAK MIECZYSLAW, l. 26. Zmarł w dniu 31 sierpnia w Lubinie, w wyniku rany postrzałowej brzucha odniesionej w czasie demonstracji w Lubinie;

TRAJKOWSKI ANDRZEJ, l. 32. Zmarł w dniu 31 sierpnia w Lubinie, w wyniku rany postrzałowej głowy odniesionej w czasie demonstracji w Lubinie;

BARCHAŃSKI EMIL, l. 16. Uczeń. Zaginął w dniu 3 czerwca 1982 r. Ciało wyłowiono z Wisły 5 czerwca. W trakcie śledztwa był bity, miał być świadkiem na rozprawie kolegów;

CIELECKI WOJCIECH, l. 19. Zastrzelony przez żołnierza LWP w dniu 2 kwietnia 1982 r., w Białej Podlaskiej;

CIEŚLEWICZ WOJCIECH, l. 29. Zmarł w dniu 2 marca 1982 r. w wyniku pobicia przez ZOMO podczas demonstracji w Poznaniu, w dniu 13 lutego 1982 r.;

DURDA WŁADYSŁAW, Zmarł w nocy z 3 na 4 maja 1982 r. zatruty gazami łzawiącymi użytymi do rozpędzania demonstracji w dniu 3 maja 1982 r., w Szczecinie. Milicja odmówiła wezwania pogotowia;

GRUDZIŃSKI ADAM, l. 36. Zmarł na serce po pobiciu w obozie internowania w Załężu, w październiku 1982 r.;

JURGIELEWICZ ZDZISŁAW, l. 29. Zmarł w dniu 21 września 1982 r. po pobiciu w dniu 12 września 1982 r. w KM MO, w Giżycku;

KAMIŃSKI WACŁAW, l. 32. Zmarł w dniu 28 listopada 1982 r., trafiony petardą w czasie demonstracji w dniu 11 listopada 1982 r., w Gdańsku;

KOŁODZIEJCZYK WANDA, l. 59. Przewieziona do szpitala w stanie agonalnym ze śladami pobicia z aresztu śledczego na ul. Rakowieckiej w Warszawie, zmarła w dniu 4 stycznia 1982 r.;

KOT STANISŁAW. Po pobiciu przez patrol ZOMO w dniu 31 marca 1982 r. zmarł w dniu 3 kwietnia 1982 r. w Rzeszowie;

KRÓLIK STANISŁAW, l. 39. Pobity w czasie demonstracji w dniu 10 listopada 1982 r. w Warszawie, zmarł w dniu 16 listopada 1982 r.;

LENARTOWICZ JOANNA, l. 19. Zmarła w dniu 5 maja 1982 r. po pobiciu w czasie rozpędzania demonstracji w dniu 3 maja 1982 r. w Warszawie;

LISOWSKI WŁODZIMIERZ, l. 67. Zmarł w dniu 13 lipca 1982 r. po pobiciu podczas demonstracji w dniu 13 maja 1982 r. w Krakowie;

MAJCHRZAK PIOTR, l. 19. Zmarł w dniu 18 maja 1982 r. po pobiciu przez ZOMO podczas demonstracji w dniu 13 maja 1982 r. w Poznaniu;

MAJEWSKI KAZIMIERZ, l. 46. Na skutek inwigilacji, grózb i nakłaniania do współpracy z SB popełnił samobójstwo w dniu 29 października 1982 r. w Jeleniej Górze;

MICHALCZYK KAZIMIERZ, l. 27. Zmarł w dniu 2 września 1982 r. w wyniku obrażeń poniesionych w czasie rozpędzania demonstracji we Wrocławiu w dniu 31 sierpnia 1982 r.;

RACZEK STANISŁAW, l. 35. Zmarł w dniu 7 września 1982 r. po pobiciu w czasie demonstracji w Kielcach w dniu 31 sierpnia 1982 r.;

RADOMSKI MIECZYŚLAW, l. 56. Zmarł w dniu 3 maja 1992 r. w czasie zajęć ulicznych w Warszawie;

ROKITOWSKI MIECZYŚLAW, l. 47. Zmarł w dniu 3 kwietnia 1982 r. po pobiciu w areszcie śledczym w Zależu;

SADOWSKI PIOTR, l. 32. Zmarł w dniu 31 sierpnia 1982 r. trafiony petardą podczas demonstracji w Gdańsku;

SZULECKI ADAM, l. 32. Zmarł w dniu 9 maja 1982 r. po pobiciu w czasie demonstracji w dniu 3 maja 1982 r. w Warszawie;

WILKOMIRSKI EUGENIUSZ, l. 52. Zmarł w dniu 3 września 1982 r. po pobiciu przez ZOMO w czasie demonstracji w Częstochowie w dniu 1 września 1982 r.;

WŁOSIK BOGDAN, l. 30. Zamordowany z broni palnej przez funkcjonariusza SB w czasie demonstracji w Nowej Hucie w dniu 13 października 1982 r.;

WOZNAK TADEUSZ, l. 49. Zmarł w dniu 1 września 1982 r. po pobiciu przez ZOMO podczas demonstracji w dniu 31 sierpnia 1982 r. we Wrocławiu;

ZDUNEK FRANCISZEK, l. 49. Przewodniczący Komitetu Budowy Kaplicy w Sobolewie w woj. lubelskim. Zastrzelony przez sierżanta MO;

BLESZCZYŃSKI ZENON, l. 24. Zmarł w nocy z 13 na 14 stycznia 1983 r. po pobiciu w areszcie śledczym w dniu 28 grudnia 1982 r.;

DRABOWSKA JANINA, l. 63. Zmarła we wrześniu 1983 r. na skutek obrzęku płuc spowodowanego działaniem gazów łzawiących użytych do rozpędzania demonstracji w Nowej Hucie w dniu 31 sierpnia 1983 r.;

GRZYWNA ANDRZEJ, l. 62. Zmarł w nocy z 29 na 30 sierpnia 1983 r. po pobiciu pałką po głowie w milicyjnym areszcie;

KOWALSKI RYSZARD, l. 44. Przewodniczący KZ NSZZ "Solidarność" w Hucie Katowice, dwukrotny więzień polityczny. Zaginął w dniu 7 lutego 1983 r. Ciało wyłowiono z rzeki w dniu 31 marca 1983 r.;

LARYSZ JÓZEF, l. 41. Przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ "Solidarność" w zakładach ELWRO. Internowany, zwolniony z pracy. Zmarł w dniu 7 marca 1983 r. po kolejnym przesłuchaniu w KW MO;

LYSKAWA BERNARD, l. 56. Zmarł na zawał serca uciekając przed ZOMO po demonstracji w Krakowie w dniu 1 maja 1983 r.;

MIASKO ZDZISŁAW, l. 29. Zmarł w dniu 3 czerwca 1983 r. po pobiciu na posterunku MO w Nowej Miłosnej;

MARZEC JERZY, l. 21. Zaginął w dniu 21 czerwca 1983 r. po uroczystościach powitania Papieża. Ciało znaleziono nad Odrą w dniu 22 czerwca 1983 r. Powodem śmierci było zachłyśnięcie się krwią;

PODBORACZYŃSKI BOGUSŁAW, l. 21. Działacz NSZZ "Solidarność". Prawdopodobnie zatrzymany przez funkcjonariuszy MO, ciało wydobyto z rzeki w dniu 30 kwietnia 1983 r.;

PRZEMYK GRZEGORZ, l. 19. Zmarł w dniu 14 maja 1983 r. w wyniku obrażeń po pobiciu przez milicjantów na Komisariacie MO przy ul. Jezuickiej w Warszawie w dniu 12 maja 1983 r.;

STEFAŃSKI JACEK, l. 25. Zmarł w dniu 9 września 1983 r. Pobity w dniu 2 września 1983 r. na ulicy przez "nieznanych sprawców". Brata Jacka i świadków wydarzenia funkcjonariusze MSW nakłaniali szantażem do zaniechania wyjaśnienia sprawy;

SYMONIUK ZBIGNIEW, l. 33. Członek Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Internowany, więzień polityczny. Zmarł w dniu 8 stycznia 1983 r. Wg oficjalnej wersji popełnił samobójstwo w czasie odbywania kary 2 lat pozbawienia wolności w więzieniu w Białymstoku;

SMAGUR RYSZARD, l. 29. Zmarł w dniu 1 maja 1983 r. w Krakowie po trafieniu petardą w czasie demonstracji;

SZYMANSKI ZBIGNIEW. Zmarł w kwietniu 1983 r. po pobiciu przez ZOMO -wców : R. Rudowczaka i J. Niemca;

WASILUK HENRYK, l. 28. Więzień polityczny. Zmarł w dniu 25 listopada 1983 r. Po zwolnieniu z więzienia popełnił samobójstwo przez samospalenie.

WEDROWNY JERZY, l. 28. Aresztowany za udział w manifestacji w dniu 31 sierpnia 1983 r. Zmarł w areszcie śledczym we wrześniu 1983 r. w niewyjaśnionych okolicznościach, przed terminem rozprawy;

WITKOWSKI WŁODZIMIERZ, l. 31. Zaginął podczas manifestacji w dniu 31 sierpnia 1983 r. we Wrocławiu. Zwłoki znaleziono w dniu 7 września 1983 r. wiszące na drzewie pod Oleśnicą;

ZIOŁKOWSKI JAN, l. 56. Współpracownik Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Czerwca 1956 r. Zmarł w dniu 5 marca 1983 r. pobity w czasie przesłuchania w V komisariacie MO w Poznaniu;

BARTOSZCZE PIOTR, l. 34. Działacz NSZZ "Solidarność" Rolników Indywidualnych. Zmarł w nocy z 7 na 8 lutego 1984 r. Ciało znaleziono w dniu 8 lutego 1984 r. w studzienice melioracyjnej na polu ze śladami bicia i duszenia;

FRACZEK LECH. Zmarł w dniu 25 maja 1984 r. po pobiciu w dniu 5 kwietnia 1984 r. na posterunku MO;

FRAS TADEUSZ, l. 33. Nauczyciel, przewodniczący NSZZ "Solidarność" w szkole. Zmarł w dniu 7 września 1984 r. Ciało znaleziono na przedmieściu Krakowa. Wg oficjalnej wersji wyskoczył z II piętra. Sekcja zwłok ujawniła ślady bicia i duszenia;

GEBOSZ ANDRZEJ, l. 31. Zmarł w dniu 26 października 1984 r. po pobiciu podczas przesłuchania w DUSW Łódź - Śródmieście;

HAC ALEKSANDER, l. 44. Przewodniczący KZ NSZZ "Solidarność" w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Zmarł w dniu 18 października 1984 r. Znalezione w dniu 16 października 1984 r. w piwnicy domu przy ul. Królewskiej z ciężkimi obrażeniami głowy;

HNAT EDYTA, l. 8. Uczennica, Zmarła w dniu 29 marca 1984 r. Zginęła w parku od strzału oddanego z okien mieszkania przez sierżanta MO Halonia;

JERZ JACEK ANTONI lat 38 Zamordowany w Radomiu w dniu 31 stycznia 1983 zaledwie kilka tygodni po zwolnieniu z ponad rocznego internowania (w Kwidzynie ciężko pobity podczas pacyfikacji obozu przez ZOMO przeszedł ścieżki zdrowia), wg IPN istnieje prawdopodobieństwo otrucia Furosemidem.

JASIŃSKI KRZYSZTOF, l. 25. Działacz NSZZ "Solidarność". Internowany. Zmarł w dniu 10 listopada 1984 r. Zwłoki znaleziono na przystanku PKS w Elblągu z licznymi urazami;

KULKA STANISŁAW, l. 47. W dniu 15 listopada 1984 r. został zastrzelony na szosie przez milicjanta Jana Żurka;

LAWRYNOWICZ HENRYK, l. 42. W dniu 8 listopada 1984 r. został zatrzymany na Komisariacie Kolejowym. Zmarł w dniu 9 listopada 1984 r. Lekarz stwierdził krwiaka skroni i liczne obrażenia;

LAZARSKI KAZIMIERZ, l. 58. Pobity we własnym mieszkaniu przez funkcjonariuszy MO. Zmarł w dniu 24 września 1984 r. Sąd Rejonowy w Oleśnicy skazał funkcjonariuszy Ryszarda Boryga, Zbigniewa Królaka i Józefa Jarosika na kary od 1 do 2 lat pozbawienia wolności;

POPIEŁUSZKO JERZY, l. 37. Kapelan NSZZ "Solidarność". Porwany i bestialsko zamordowany w październiku 1984 r. przez funkcjonariuszy bezpieki

ROMANOWSKI JAROSŁAW, l. 23. Zmarł w dniu 12 maja 1984 r. Zatrzymany przez MO. Wg oficjalnej wersji powiesił się w areszcie;

STRUSKI KRZYSZTOF, l. 28. Zmarł w dniu 14 listopada. Zatrzymany przez funkcjonariuszy MO został wyrzucony z milicyjnego samochodu;

SZTENCEL PAWEŁ, l. 19. Zmarł w dniu 22 grudnia 1984 r. na astmę sercową w areszcie śledczym przy ul. Smutnej w Łodzi.

TOKARCZYK ZBIGNIEW, l. 31. Działacz NSZZ "Solidarność" i KPN. Internowany i szykanowany przez SB. Zmarł w nocy z 22 na 23 lutego 1984 r. Ciało znaleziono koło domu denata. Sekcja wykazała urazy wątroby i płuc oraz ślady ciosów;

WALCZAK BOGUSŁAW, l. 57. Zmarł w marcu 1984 r. Został zatrzymany przez patrol MO w dniu 8 marca 1984 r. Żonie wydano ciało w dniu 16 marca 1984 r. twierdząc, że znaleziono je na ulicy;

ANTONOWICZ MARCIN, l. 19. Zmarł w dniu 2 listopada 1985 r. Został zatrzymany przez patrol MO w dniu 19 października 1985 r. W milicyjnym samochodzie doznał śmiertelnych urazów głowy;

BUDNY JAN. Zmarł w dniu 14 lutego 1985 r. Zatrzymany przez funkcjonariuszy MO Witolda Jabłońskiego i Kazimierza Klonowskiego w dniu 11 lutego 1985 r. Pobity w czasie przesłuchania. W szpitalu stwierdzono krwiaka mózgu, który był przyczyną zgonu;

BULKÓ ZDZISŁAW, l. 30. Zmarł w dniu 17 grudnia 1985 r. Znaleziony w rowie pod Zamościem z ciężkimi obrażeniami. Zwolnieni przez niego z pracy za pijaństwo i kradzieże trzech ORMO-wcy grozili mu zemstą;

CZARNY MIKOŁAJ, l. 56. Zmarł w dniu 14 lutego 1985 r. Został zatrzymany przez MO. Zmarł w wyniku urazów czaszki. Wg oficjalnej wersji spadł ze schodów;

FRANZ ROMAN, l. 32. Zmarł w dniu 8 stycznia 1985 r. Został zatrzymany przez milicję na Komisariacie Kolejowym. Znaleziony martwy na ławce koło dworca PKP. Sekcja wykazała stłuczenie mózgu;

KRAWIEC JAN, l. 22. Zmarł 30 października 1985 r. W dniu 30 października 1985 r. został zatrzymany na Komendzie MO w Miechowie. Wg oficjalnej wersji popełnił samobójstwo w areszcie przez powieszenie. Ciało nosiło ślady urazów piersi, brzucha i głowy;

KRZYWDA JACEK, l. 37. Zmarł w dniu 26 czerwca 1985 r. Został pobity w bramie domu, w którym mieszkał, przez patrol MO;

SAMSONOWICZ JAN -jeden z inicjatorów powstania Ruchu Młodej Polski, działacz NSZZ "Solidarność". Zamordowany przez Służbę Bezpieczeństwa 30 czerwca 1983 w Gdańsku ;

KASPROWSKI DARIUSZ, l. 23. Zmarł w dniu 9 grudnia 1985 r. Wg. oficjalnej wersji powiesił się, w ZK w Koronowie. Na ciele stwierdzono liczne urazy szyi, ramion i pleców;

MARTIN LESŁAW, l. 37. Członek Komisji Rewizyjnej Zarządu Regionu NSZZ "Solidarność". Zamordowany w dniu 23 stycznia 1985 r. Został zrzucony przez "nieznanych sprawców" z kładki dla pieszych nad ulicą, z wysokości 20m;

POPLAWSKI PIOTR. Pop cerkwi prawosławnej w Narwi. Zaginął w dniu 15 czerwca 1985 r. Zwłoki znaleziono w dniu 20 czerwca 1985 r. w lesie koło Zabłudowa. Wg oficjalnej wersji popełnił samobójstwo;

PRZEPIORZYŃSKI WITOLD, członek NSZZ "Solidarność". Zaginął w dniu 9 maja 1985 r. Zwłoki znaleziono w dniu 17 maja 1985 r. w kanale portowym ze śladami silnych obrażeń;

SZUSTER ALEKSANDER, l. 25. Zmarł w dniu 30 stycznia 1985 r. po pobiciu na Komisariacie MO w Świdniku. Przyczyną śmierci było złamanie podstawy czaszki;

ŚLUSARSKI RYSZARD, l. 25. Zmarł w dniu 4 marca 1985 r. po pobiciu przez funkcjonariuszy MO w mieszkaniu, na ulicy i w komisariacie. Śmierć nastąpiła w wyniku zmiżdżenia wątroby, nerek i pęknięcia jelit.

BEDNAREK MARIAN, l. 35. Zmarł w dniu 27 grudnia 1986 r. po pobiciu na komisariacie MO;

SZKARLAT ZBIGNIEW, l. 43. Działacz NSZZ "Solidarność", więzień polityczny. Zmarł w dniu 9 lutego 1986 r. Znaleziony na ulicy w dniu 2 lutego 1986 r. ciężko pobity, stwierdzono pęknięcie czaszki i uszkodzenie mózgu;

LUKS GRZEGORZ, l. 19. Zmarł w dniu 14 stycznia 1987 r. Został zbity i skopany przez patrol MO w nocy z 29 na 30 sierpnia 1986 r. Przy niedostatecznej pomocy lekarskiej, zmarł w wyniku powikłań po pourazowej torbieli trzustki;

KALINOWSKI WACŁAW. Zmarł w dniu 27 marca 1987 r. W dniu 22 marca 1987 r. został pobity w samochodzie milicyjnym;

STRZELECKI JAN, l. 69. Zmarł w dniu 11 lipca 1988 r. Znaleziony ciężko pobity nad Wisłą w dniu 30 czerwca 1988 r.;

NIEDZIELAK STEFAN. Proboszcz parafii Św. Karola Boromeusza. Zmarł w dniu 20 stycznia 1989 r. Ciało znaleziono w mieszkaniu denata. Sekcja wykazała liczne urazy i rozerwanie więzadeł kręgu szyjnego jako przyczynę śmierci;

SUCHOWOLEC STANISŁAW. Proboszcz parafii Najświętszej Marii Panny w Dojlidach. Zmarł w dniu 30 stycznia 1989 r. Wg wersji prokuratury śmierć nastąpiła w wyniku zatrucia tlenkiem metali spowodowanego pożarem w pokoju.

ZYCH SYLWESTER, l. 39. Wikariusz parafii Św. Jakuba. Więzień polityczny. Zmarł 11 lipca 1989 r. Ciało znaleziono na dworcu PKS.

Proszę o pamięć i modlitwę.....

Jesteśmy im to winni.

Ogólną liczbę ofiar (poza osobami, które zginęły w wyniku bezpośrednich akcji ZOMO i wojska, odcięcia telefonów, zablokowania transportu i bałaganu wywołanego przez komisarzy wojskowych) ocenia się na kilkaset osób.

Do dnia dzisiejszego nie znamy pełnej listy ofiar, a zbrodniarze i oprawcy nie zostali ukarani.

Mordercy są wśród nas. Niech to nie da wam spokojnie żyć .

Przypominam ten wykaz każdego roku. Proszę Państwa o uzupełnianie listy, o nazwiska osób, które poniosły śmierć z winy komunistów w latach 1981-1989

03.11.2011 18:44 46

650. KALININGRAD - DEMONY UWOLNIONE

Zgodnie z zapowiedziami obecnego rządu do priorytetów tzw. polskiej prezydencji zaliczono sprawę otwarcia granicy z obwodem kaliningradzkim. Ten rosyjsko-niemiecki projekt jest dziś najmocniej forsowanym zadaniem polskiej dyplomacji.

Zmierzają on do uczynienia z obwodu kaliningradzkiego rosyjskich „drzwi do Europy”, poprzez które Rosjanie wejdą w obszar polityki gospodarczej UE, a ich przedsiębiorcy uzyskają unijne fundusze. U podstaw projektu leży koncepcja reaktywacji Prus Wschodnich, przed którą ostrzegał przed laty prof. Paweł Wieczorkiewicz. W perspektywie najbliższych 10-20 lat obwód może wrócić do niemieckiej macierzy, stając się symbolem trwałego sojuszu rosyjsko-niemieckiego. Dzięki inwestycjom UE Kaliningrad przekształciłby się w rodzaj euroregionu pod niemiecko-rosyjskim protektoratem. Pozostając oficjalnie pod władzą Rosji chłonąłby niemiecki kapitał dając w zamian dostęp do rynku rosyjskiego i stając się głównym narzędziem w umacnianiu politycznego przymierza Rosji i Niemiec. Realizacja tego projektu prowadziłaby w istocie do rewizji ustaleń konferencji poczdamskiej i podważenia dotychczasowego porządku europejskiego.

Polsce wyznaczono rolę kraju tranzytowego i powierzono misję „*usuwania przeszkód stojących na drodze poprawy relacji rosyjsko-niemieckich*” - jak podkreślał to sam Donald Tusk. Warunkiem powodzenia planu jest oczywiście otwarcie granicy unijnej - polsko-rosyjskiej.

Obecną inicjatywę należy przypisać ministrowi Ławrowowi, który w październiku 2009 roku zorganizował w Kaliningradzie spotkanie ministrów spraw zagranicznych Litwy i Polski. Tematem miała być „przyszłość enklawy w jednoczącej się Europie”. Sprzeciw wobec otwarcia granicy natychmiast zadeklarowała Litwa, zwracając m.in. uwagę na postępującą militaryzację obwodu, zagrożenie rosyjską przestępczością oraz zwiększenie liczebności rosyjskiego garnizonu. Strona polska nie dostrzegła natomiast żadnych zagrożeń. Otwarcie granicy z Rosją stało się odtąd priorytetem dyplomacji III RP. To minister Sikorski przy każdej okazji zabiegał o przyspieszenie inicjatywy Ławrowa, nazywając ten pomysł „*wspaniałą rzeczą dla Rejonu Morza Bałtyckiego, Litwy, Polski i Rosji*”.

Tuż przed tragedią smoleńską 24 marca 2010 roku szefowie MSZ Polski i Rosji wspólnie wystąpili do Komisji Europejskiej o wyrażenie zgody, by ruch przygranicznych objął cały obwód kaliningradzki. Zadanie wydawało się nietatwe, ponieważ wynegocjowana kilka miesięcy później polsko-rosyjska umowa była od początku sprzeczna z prawem unijnym. Zakłada ono bowiem, że państwa UE mogą zawierać umowy dotyczące zewnętrznych granic lądowych, w których szerokość pasa przygranicznego wynosi od 30 do 50 km, podczas gdy obwód kaliningradzki rozciąga się z północy na południe na odległość ponad 100 km. Dla polskiej umowy, przewidującej objęcie ruchem bezwizowym całego obwodu musiałby zatem zostać stworzony wyjątek. Dodatkowym problemem jest fakt, że umowa traktuje obwód jako podmiot prawa międzynarodowego - mimo, iż stanowi on jedynie część terytorium Federacji Rosyjskiej. Niemalą przeszkodę stanowiła także polityka niektórych państw strefy Schengen zmierzających do uszczelniania wewnętrznych granic UE. Kontrole na granicach przywróciła Dania, a na początku lipca br. zrobiła to Norwegia. W tej sytuacji, zgoda na otwarcie granicy z obwodem kaliningradzkim wydawała się trudna do przeфорsowania. Nie może dziwić, że w zabiegach dyplomatycznych stronę polską silnie popierały Niemcy. Projekt jest aktywnie wspierany przez związek „wypędzonych” z Prus Wschodnich i należy do priorytetów polityki Angeli Merkel.

W sierpniu br. Komisja Europejska zaaprobowwała propozycję, aby cały obwód kaliningradzki został objęty unijnymi regulacjami bezwizowego ruchu przygranicznego.

Przed kilkoma dniami zaś umowę o otwarciu granicy zaakceptowali ambasadorzy państw unijnych. Oznacza to, że na wniosek Polski prawo UE zostanie celowo zmienione, by Rosjanie zamieszkujący obwód mogli bez przeszkód przekraczać granicę. Zabiegi ministra Sikorskiego zmierzają obecnie do uzyskania potwierdzenia umowy przez unijnych ministrów spraw wewnętrznych, a następnie zatwierdzenia jej w Parlamencie Europejskim.

Zastanawiające jest, że rząd Donalda Tuska, tak ukierunkowany na działania propagandowe nie chwali się publicznie swoim największym sukcesem dyplomatycznym. Milczą o tym również rządowe media. Można przypuszczać, że ta zadziwiająca skromność ma swoje ważne przyczyny. Rozgłos nadany sprawie musiałby bowiem ujawnić wręcz niebывały stopień uległości, z jaką wykonywano dyspozycje rosyjsko-niemieckie oraz zwrócić uwagę Polaków na zagrożenia wynikające z realizacji projektu Prusy Wschodnie. Wkrótce każdy z nas będzie miał okazję odczuć na własnej skórze skutki pojednania z płk Putinem i doświadczyć „cywilizacyjnych zdobyczy” płynących z otwarcia granicy.

Ten najważniejszy cel polskiej prezydencji został wyraźnie określony podczas spotkania ministrów spraw zagranicznych Polski, Rosji i Niemiec, zorganizowanego w Kaliningradzie w maju br. *„Dzisiaj publicznie proszę Komisję Europejską o to - o co ją proszę kanałami dyplomatycznymi - aby jak najszybciej uchwaliła zmienione rozporządzenie, które po zatwierdzeniu przez Parlament Europejski umożliwi nam podpisanie gotowej już umowy o małym ruchu granicznym”*- informował wówczas minister Radosław Sikorski. Rosyjski minister Ławrow stwierdził zaś, że *„jedyną przeszkodą na drodze jak najszybszego podpisania umowy jest biurokratyczne podejście, które ignoruje interesy dwóch krajów, których to dotyczy, czyli Polski i Rosji”* i wyraził przekonanie, że *„zdrowy rozsądek, weźmie górę i sprawa zostanie rozwiązana w ciągu najbliższych miesięcy”*.

Kilka dni później dyrektor oddziału Unii Europejskiej MSZ Rosji Georgij Michno przemawiając w Moskwie na rosyjsko-polskim seminarium wyraził przekonanie, że *„Polska dołoży maksymalnych wysiłków, aby słynny regulamin Rady Unii Europejskiej nr. 1931 w sprawie małego ruchu przygranicznego został uzupełniony.”* 18 października br., tuż przed decyzją ambasadorów państw UE doszło do spotkania wiceszefa MSZ Federacji Rosyjskiej Władimira Titowa z wiceministrem spraw zagranicznych Polski Jerzym Pomianowskim, podczas którego *„omówiono przygotowania do podpisania przed upływem tego roku międzyrządowego porozumienia w sprawie trybu miejscowego ruchu przygranicznego”*.

Uwagę zwraca rażąca niesymetryczność działań polskiej dyplomacji w stosunku do wrogich poczynań strony rosyjskiej. Otwarcia granicy z FR dokonano rękami polityków obecnego rządu, nie wymagając od Rosji żadnych ustępstw ani nawet wzajemności w życzliwym traktowaniu polskich i unijnych interesów. Co więcej - Rosjanie prowadzą beczelną grę pozorując wręcz niechęć lub obojętność wobec projektu.

6 czerwca br. w Soczi premier Władimir Putin ostro skrytykował celowość wprowadzania ułatwień wizowych dla obwodu kaliningradzkiego. Putin oświadczył, iż Rosja nie zamierza walczyć o wizowe przywileje dla obwodu i nie będzie zabiegać o specjalne interesy wybranego regionu kosztem pozostałych. W opinii wielu analityków wystąpienie Putina należało traktować jako presję Moskwy na Unię Europejską w celu przyspieszenia negocjacji dotyczących wprowadzenia ruchu bezwizowego między całą Rosją a Unią Europejską. Wynegocjowany przez Polskę projekt wychodzi naprzeciw tym żądaniom, ponieważ poszerza ruch przygraniczny na obszar całego obwodu, co w praktyce oznacza otwarcie granicy z FR.

Choć obwód kaliningradzki należy do najbardziej zmilitaryzowanych miejsc na świecie i stwarza wielorakie zagrożenia militarne, ekologiczne i epidemiologiczne - pod adresem Rosji nie pojawił się żaden postulat zmniejszenia tych zagrożeń. Przeciwnie, w ostatnim czasie za sprawą celowych działań władz rosyjskich wzrosły one znacząco. Wbrew wcześniejszym obietnicom w obwodzie rozmieszczono rakiety balistyczne typu Iskander. Parametry techniczne rakiet pozwalają nie tylko na konwencjonalne uderzenie, ale również na przenoszenie głowic jądrowych. Ich dyslokacja w pobliżu polskiej granicy jest wrogiem posunięciem politycznym i oznacza, że cały obszar Polski znalazł się w bezpośrednim zasięgu sił uderzeniowych Federacji Rosyjskiej. Ta decyzja pociąga za sobą zwiększenie liczebności wojsk stacjonujących w obwodzie.

Realne zagrożenia wynikają również z poziomu przestępczości na tym terenie. Już przed kilkoma laty w regionalnej Dumie alarmowano, że przestępcy kontrolują ponad 60 procent państwowych instytucji, 80 procent banków i większość prywatnych przedsiębiorstw. W ciągu ostatnich kilku lat w mieście z rąk „plutonów egzekucyjnych” zginęło ponad 20 przedsiębiorców. Padli ofiarą mafii, złożonej z funkcjonariuszy FSB i kierowanych przez nich grup przestępczych.

Według oficjalnych danych z roku 2010, liczba zabójstw wzrosła w obwodzie kaliningradzkim o 150 procent, czynów chuligańskich o ponad 100 proc., a pobić i ciężkich uszkodzeń ciała o 33,3 proc. Wciąż notuje się bardzo wysokie bezrobocie i najwyższy w Rosji wskaźnik zachorowań na gruźlicę i AIDS. Wciąż wybuchają epidemie błonicy, odry i tyfusu. Obwód od lat jest największym punktem tranzytowym przemytu narkotyków oraz handlu „żywym towarem”. W samym Kaliningradzie 20 tysięcy osób żyje z dystrybucji narkotyków, kilkakrotnie więcej trudni się prostytutką, a ponad 2 tysiące dzieci to młodociani przestępcy.

Migracja najgroźniejszych form przestępczości, przemyt, korupcja, choroby i rozliczne patologie, działalność mafii i rosyjskich służb specjalnych, przenikanie agentury - to tylko niektóre z zagrożeń czekających nas po otwarciu granicy z FR. Polskie społeczeństwo, przed którym ukrywa się realne skutki tego obłędnego projektu, w większości nie jest świadome niebezpieczeństw. Tym bardziej nie wie - komu służy ten pomysł i z jakim historycznym ryzykiem jest związany. Obecne władze III RP nigdy nie próbowały wykazać rzekomych korzyści płynących z otwarcia granicy, zadowalając opinię publiczną

demagogicznymi frazesami o rozwoju handlu przygranicznego czy rozkwicie turystyki. Nie istnieją symulacje ani wyliczenia dotyczące skutków ekonomicznych, szczególnie związanych z importem „szarej strefy”, przemysłem czy działalnością firm mafijnych.

Warto podkreślić, że Rosja nie uczyniła żadnych kroków, by odwzajemnić zaangażowanie w projekt polityków PO-PSL, chyba, że za taki gest uznamy podpisanie przed kilkoma dniami przez prezydenta Miedwiediewa dekrety o utworzeniu fundacji Centrum Rosyjsko-Polskiego Dialogu i Porozumienia, która ma być partnerem powstałego już dawno w Polsce Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia.

Rosyjska „enklawa” pretendująca do miejsca w Europie, której mieszkańcy wkrótce pojawią się w Polsce, jest w istocie skupiskiem najgłębszych problemów trapiących Federację Rosyjską i ogniskiem najgorszych, postsowieckich patologii. Miejsce to zapisało się w historii Polski jako złowieszczy syndrom konfliktów i zagrożeń dla naszego bytu państwowego.

Do dziś nad dziejami naszego narodu ciąży przekleństwo tajnej konwencji rosyjsko-pruskiej o rozbiórce Rzeczypospolitej. Powstała w tym samym 1772 roku, w którym powołano do życia prowincję Prusy Wschodnie. Napisano w niej m.in.: *„Jej Cesarska Mość imperatorowa Wszech Rosji i Jego Królewska Mość król Prus zaręczają sobie w sposób najbardziej stanowczy pomoc wzajemną w realizacji planów wykorzystania obecnych okoliczności by rewindykować okręgi Polski, do których posiadają dawne prawa, jak również by wystarać się o jakąś z posiadłości Rzeczypospolitej, jako o ekwiwalent praw, pretensji i żądań wobec niej.”*

Działania rządu Donalda Tuska i świadomy współudział we współczesnym projekcie Prusy Wschodnie są ewidentnie sprzeczne z polskim interesem i już dziś prowadzą do reaktywacji historycznych demonów.

04.11.2011 19:18 114

651. RZĄD WPROWADZA CENZURĘ INTERNETU

Za kilkanaście tygodni rząd Donalda Tuska uzyska ustawowe narzędzie cenzury Internetu. Praktycznie każdą, niewygodną dla władzy informację umieszczoną w sieci internetowej będzie można skutecznie zablokować, działając na wniosek „osoby fizycznej, osoby prawnej lub jednostki organizacyjnej nieposiadającej osobowości prawnej”.

Taką możliwość przewiduje rządowy projekt ustawy o zmianie ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną oraz ustawy kodeks cywilny. Obecnie projekt jest rozpatrywany przez Komitet Rady Ministrów, a następnie trafi do Sejmu.

Nowelizacja wprowadza dodatkowy rozdział 3a w ustawie o świadczeniu usług drogą elektroniczną. Opisuje on „*procedurę powiadomienia i blokowania dostępu do bezprawnych informacji*”. Odtąd każdy, kto „*posiada informację o bezprawnych treściach zamieszczonych w sieci Internet*” będzie mógł zwrócić się do usługodawcy internetowego z wnioskiem o zablokowanie takiej informacji. O tym, co podlega pod definicję „informacji bezprawnej” decyduje wnioskodawca, zaś usługodawca może, choć nie musi przychylić się do jego wniosku. Na decyzję o zablokowaniu informacji, użytkownik sieci internetowej będzie miał możliwość złożenia sprzeciwu.

Nietrudno się domyśleć, do czego w praktyce zmierza ten przepis. Wyobraźmy sobie sytuację, gdy użytkownik - blogger portalu internetowego zamieszcza wpis zawierający sensacyjnie brzmiącą informację dotyczącą działań któregoś z polityków grupy rządzącej, opis afery z podaniem nazw podmiotów gospodarczych lub wzmiankę na temat poczynąń służb specjalnych.

Natychmiast po pojawieniu się takiej informacji, osoba uprawniona - w tym przypadku polityk, zarząd firmy lub szef służb, może zgłosić do usługodawcy internetowego (właściciela portalu) wniosek o zablokowanie dostępu do wpisu, uzasadniając iż zawiera on „bezprawną informację”. Wniosek elektroniczny zostanie złożony na formularzu określonym przez „*ministra właściwego do spraw informatyzacji*” i będzie zawierał m.in. oświadczenie uprawnionego o braku autoryzacji treści zamieszczonych w Internecie lub braku „*zgodności z prawdą przedstawionych informacji*”.

Ilu usługodawców internetowych oprze się takiej interwencji lub odważy się sprzeciwić opinii przedstawiciela władzy? Jeśli polityk lub urząd składający wniosek stwierdzi, że zawarta w sieci informacja „nie jest zgodna z prawdą”, łatwo przewidzieć, że właściciel portalu da wiarę ich zapewnieniom i dla własnego bezpieczeństwa zablokuje „niebezpieczną” treść rozpowszechnianą przez anonimowego blogera.

Ustawa przewiduje, że w przypadku prawidłowego wniesienia wniosku, usługodawca - administrator portalu niezwłocznie może „*zablokować dostęp do treści bezprawnych oraz przestać usługobiorcy, w terminie 7 dni roboczych od dnia zablokowania dostępu, uzasadnienie blokowania bezprawnych treści*”. Usługobiorca, np. blogger ma wówczas możliwość złożenia sprzeciwu od decyzji administratora. Musi to jednak uczynić w ciągu 3 dni, a w sprzeciwie musi zawrzeć wyjaśnienia o „*posiadaniu zgody uprawnionego na zamieszczenie informacji w sieci Internet*” lub wykazać, że działał „*w ramach dozwolonego użytku*”.

Teoretycznie usługodawca - administrator portalu może również odmówić zablokowania informacji, bierze jednak na siebie odpowiedzialność za jej bezprawne rozpowszechnianie. Znając represyjność praktyk obecnej władzy, administrator musiałby wykazać się nie lada odwagą sprzeciwiając się żądaniom urzędu lub przedstawiciela grupy rządzącej.

Przepis skonstruowano w taki sposób, by rolę cenzora i pozornego decydenta spełniał administrator portalu internetowego. Ten zaś zawsze może się tłumaczyć, że zablokował informację ponieważ uzyskał wiarygodną wiadomość, że zawiera ona „treści bezprawne”.

Warto przy tym zauważyć, że włączony do ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną nowy rozdział 3a, jest w pełni autorskim pomysłem rządu Donalda Tuska. Przywołana dla uzasadnienia nowelizacji unijna Dyrektywa 2000/31/WE nie zawiera bowiem procedury blokowania informacji, pozostawiając jej określenie państwom członkowskim. Co istotne - w unijnych przepisach procedura blokowania dotyczy „*informacji, które naruszają prawa lub przedmiot działalności uprawnionego*” i odnosi się wyłącznie do utworów chronionych prawem autorskim. Chodzi zatem o plagiaty oraz publikowanie w sieci utworów bez zgody autora.

Rząd Tuska w oparciu o te przepisy dokonał interpretacji rozszerzającej i wpisał do ustawy procedurę umożliwiającą blokowanie wszystkich „bezprawnych informacji” - uzurpując sobie przy tym prawo decydowania, co jest lub nie jest taką informacją.

Nie ma wątpliwości, że wprowadzenie w życie nowelizacji ustawy pozwoli rządzącym na skuteczną i „zgodną z prawem” cenzurę treści internetowych.

09.11.2011 18:07 166

652. MEDIA ALBO ŚMIERĆ

Niezależnie od skutków fatalnej decyzji o wykluczeniu z PiS-u trzech europosłów, nietrudno dostrzec, że w tle tej sprawy ujawniły się potężne mechanizmy, wobec których środowisko opozycji jest dziś całkowicie bezradne. Przyszłość PiS-u i rokowania wyborcze prawicy będą zależały od dostrzeżenia, a następnie pokonania tych ograniczeń.

Nawet powierzchowna analiza zdarzeń prowadzących do usunięcia tzw. ziobrystów, musi skłaniać do wniosku, że mieliśmy do czynienia z wyreżyserowanym spektaklem, w którym rolę aktorów odegrali politycy, a misję suflera powierzono publicystom i rządowym ośrodkom propagandy. Najbliższe miesiące przyniosą zapewne odpowiedź na pytanie: kto wystąpił w roli przygodnego statysty, kto zaś prowadził grę według ustalonego scenariusza?

Rozbijanie formacji opozycyjnej jest bowiem stałym elementem gier powyborczych od 2007 roku, a rozpoczęty wówczas festiwal uśmiercania PiS-u nabiera rozpędu po każdym, przegranych wyborach. Z doświadczeń poprzednich kampanii wynika, że najlepsze efekty osiągnęto inspirować działania politycznych renegatów i zdesperowanych nieudaczników, biegających po mediach z nadzieją na swoje pięć minut. Występ takiego osobnika stanowił nieocenione źródło pogłosek i spekulacji, dając materiał do produkcji kolejnych wątków służących destrukcji. Ten scenariusz z powodzeniem stosowano w roku 2007 i 2010, wykorzystując do woli próżność kilku błaznów.

Już wówczas ujawniła się niepokojąca słabość partii opozycyjnej, która nie potrafiła znaleźć sposobu na zablokowanie medialnych rozgrywek. Niemal każda wizyta przedstawiciela PiS-u w mediach lub wypowiedź na temat sytuacji wewnętrznej w partii była użyta do eskalacji konfliktu i napędzała kolejną machinę dezinformacji.

Stosowano tu znaną w działaniach dezinformacyjnych zasadę posłużenia się przeciwnikiem dla wymuszenia takich zachowań i wypowiedzi, które miały budować fałszywą narrację.

Doskonałą ilustracją tej metody może być wywiad Zbigniewa Ziobry dla "Uważam Rze", w którym prowadzący tak formułowali pytania, by skłonić rozmówcę do wyjawienia rzekomych pretensji i zmusić go do krytyki prezesa PiS-u.

O ile podstawowa dezinformacja sprowadza się do przedstawienia kłamstwa jako prawdy, o tyle ta metoda prowadzi do zmuszenia przeciwnika, by to on sam stworzył fałszywy obraz i wprowadził w błąd odbiorcę. Jej dewizą nie jest sugestia „kłamcie, kłamcie, zawsze coś z tego zostanie”, lecz: „perorujcie, perorujcie, w końcu odpowiednio do tego postąpicie”.

By tak się stało, muszą zostać spełnione dwa warunki: trzeba doskonale znać przeciwnika i mieć pewność, że cechuje go naturalna skłonność do wyrażania myśli sprzyjających realizacji zamierzonego celu. Przystępując do gry musiano zatem wiedzieć o wewnętrznych konfliktach w PiS-ie i trafnie oceniano predyspozycje poszczególnych postów. Obecne działania tym różnią się od wcześniejszych kombinacji, że perfekcyjnie rozegrano ambicje jednej grupy, konfrontując je z obawami drugiej.

Do powszechnych należą sytuacje, w których politycy PiS-u podejmują wyłącznie tematy narzucone przez ośrodki propagandy, reagują polemicznie na rozliczne „wrzutki” i działają w rytm podanej narracji. Dla wielu z nich pokusa zaistnienia w okienku telewizyjnym lub spotkania z dziennikarską „gwiazdką” jest na tyle silna, że prowadzi do wyłączenia mechanizmów samokontroli. Biegając do rządowych mediów nie potrafią uniknąć reakcji schizofrenicznych, żaląc się później, że ich wypowiedzi zostały wypaczone, a intencje poddane manipulacji. Ten żenujący spektakl mogliśmy oglądać również po październikowych wyborach.

W tej sytuacji, od kierownictwa partii opozycyjnej należało oczekiwać wydania bezwzględnego zakazu występów medialnych. Po doświadczeniach kolejnych rozgrywek powyborczych, taki zakaz byłby najmądrzejszą odpowiedzią na zakusy małych demiurgów, próbujących kreować nieistniejącą rzeczywistość. Złamanie zakazu stanowiłoby dostateczną przesłankę, by pożegnać nazbyt elokwentnego posła. Ta prosta reguła chroniłaby nie tylko przed eskalacją rzekomych sporów i nakręcaniem psychozy rozłamu, ale pozwalała uzyskać czas na wygaszenie emocji i poskromienie ambicji niektórych polityków. Ponieważ wśród mediów głównego nurtu nie ma dziś żadnego, które można uznać za przychylne opozycji - taka decyzja byłaby w pełni racjonalna i korzystna dla interesów PiS-u.

Skoro nie sięgnięto po dogodny środek - nie może dziwić, że wykluczenie Zbigniewa Ziobry i jego kolegów poprzedziła wręcz klasyczna operacja medialna przeprowadzona według reguł dezinformacji. Zaprzęgnięto w nią wszystkie rządowe przekązniki, włączono podatne na manipulację środowiska blogerskie, wykorzystano wypowiedzi polityków PiS - nadając im wymiar daleki od intencji rozmówców. Media zaroily się od cytatów „anonimowych informatorów”, a tytuły publikacji umiejętnie podsycaly atmosferę, epatując odbiorców przekazem o „ziobrystach” - rozłamowcach, planujących tworzenie drugiej partii opozycyjnej. Zadanie okazało się tym łatwiejsze, że opisana wyżej metoda jest szczególnie skuteczna wśród społeczeństw uzależnionych od przekazu medialnego, przyjmujących bezkrytycznie każdą dziennikarską brednię. To zatem, czego ośrodki propagandy nie mogły oznajmić wprost, zostało dopowiedziane w setkach publikacji internetowych lub w dywagacjach partyjnych kolegów rzekomych secesjonistów.

Zastługę w tym procederze miało kilku prominentnych posłów PiS, uczestniczących ochoczo w nakręcaniu destrukcyjnej koniunktury i podejmujących każdy, najbardziej absurdalny wątek o intencjach „ziobrystów”. Dopiero to zachowanie ujawniło rzeczywisty obszar konfliktu i wskazało krąg osób zainteresowanych pozbyciem się partyjnej konkurencji. Nietrudno zauważyć, że wśród ludzi, którzy z trafnej uwagi o przegranych wyborach uczynili koronny zarzut w stosunku do własnych kolegów, znajdowali się główni sprawcy wyborczej porażki PiS-u. Dla nich medialna operacja stanowiła rodzaj kurtyny, za którą można ukryć własną nieudolność i zatuszować popełnione błędy. Tłumaczy to gorliwość, z jaką ludzie ci współuczestniczyli w dziele demontażu macierzystej partii. Umiejętne wykorzystanie tej relacji zdecydowało o powodzeniu całej kombinacji, zaś wykrycie domniemanej frakcji „ziobrystów” służyło spreparowaniu politycznego alibi.

Nie można natomiast znaleźć usprawiedliwienia dla późniejszych zachowań samego Zbigniewa Ziobry, który widząc w jakim kierunku zmierza kombinacja, nie pohamował medialnej aktywności i nadal dostarczał przeciwnikom użytecznych argumentów. Jeśli nawet plan podziału PiS-u powstał przed wyborami, a intencje Ziobry zostały weń wplecione i zmanipulowane - doświadczonemu politykowi nie wolno było popełniać tak kompromitujących błędów.

Nie ma wątpliwości, że gra na rozbięciu opozycji nie zostanie zakończona na obecnym etapie. Trzech wykluczonych to za mało, by zdeintegrować i zachwiać partią Jarosława Kaczyńskiego. Kolejna faza operacji będzie zmierzała do wykreowania „nowej prawicy” i sfinalizowania pisowskiej frondy jako koncesjonowanej opozycji, np. w formie partii republikańskiej.

Trudno przypuszczać, by kierownictwo PiS - u wyciągnęło wnioski z dotychczasowych porażek. Świadczą o tym wypowiedzi niektórych polityków wyrażających zadowolenie z usunięcia rzekomych rozłamowców i traktujących tę decyzję jako ostrzeżenie dla pozostałych „ziobrystów”. Sztandarowym argumentem przeciwko nim jest zarzut prowadzenia „rozmowy przez media”. Szef Komitetu Wykonawczego PiS Joachim Brudziński oznajmił, że dyskusja o przyszłości partii będzie możliwa, „pod jednym wszakże warunkiem, że będzie to dyskusja wewnątrz partii, a nie na zewnątrz”, zaś rzecznik partii Adam Hofman uznał za konieczne „zaprzestanie festiwalu medialnego”.

Wypada żałować, że tak trafna konkluzja nie prowadzi do równie słuszných działań. Argument wysuwany wobec „rozłamowców” jest o tyle fałszywy, że formułują go ludzie uznający rządowe ośrodki propagandy za stosowne miejsce do komunikowania się z wyborcami i prowadzenia w nich rozmów o przyszłości Polski. Nie wiadomo zatem, dlaczego to samo miejsce miałoby okazać się niewłaściwe dla dyskusji o przyszłości partii opozycyjnej? Tak Joachim Brudziński, jak panowie Czarnecki czy Hofman nie mają najmniejszych oporów przed wystąpieniami w rządowych przekąznikach, wierząc najwyraźniej, że w ten sposób ich głos trafia do prawicowego elektoratu. Jeśli dopuszczają „rozmowę przez media” z milionami wyborców PiS-u, czemu odrzucają scenariusz podobnej rozmowy o przyszłości własnej partii? Czy widząc prawdziwe oblicze tych mediów, chcą chronić przekaz przed zafalszowaniem tylko wówczas, gdy dotyczy to spraw wewnątrzpartyjnych? A jeśli tak, to czy jest on więcej wart od poważnej rozmowy o przyszłości Polaków?

Trzeba stawiać tak sarkastyczne pytania, by uprzytomnić sobie, jak wielka jest skala schizofrenicznych zachowań, w których praktyka działania nie dorównuje werbalnym deklaracjom. Słuszną skądinąd uwagę o potrzebie toczenia dyskusji w życzliwych środowiskach nie prowadzi bowiem do żadnej, sensownej pointy. Politycy PiS-u nadal traktują media III RP jako jedyne źródło komunikowania z wyborcami i nawet świadomość fałszowania przekazu nie jest w stanie odwieść ich od uczestnictwa w propagandowych spektaklach. Co odróżnia taką postawę od praktyk przedstawicieli grupy rządzącej, którzy z medialnych inscenizacji i handlu kłamstwem uczynili fundament swojej władzy? Kłamstwo zaś sprzedaje się tym, którymi się gardzi. Czy zatem opozycja musi być skazana na korzystanie z narzędzi oszustów?

Kolejne przegrane wybory i skutecznie rozegrana „kombinacja rozłamowa” powinny prowadzić do wniosku, że podstawą zbudowania silnej opozycji muszą być niezależne media i własny, oparty na prawdzie język komunikacji. Bez tych atrybutów partia opozycyjna nie ma prawa oczekiwać zwycięstwa. Juliusz Mieroszewski, na którego słowa *„by polityka była skuteczna musi być najpierw moralnie słuszną”* powoływał się Jarosław Kaczyński, napisał kiedyś w emigracyjnej „Kulturze” : *„Polscy politycy nie doceniają słowa jako instrumentu oddziaływania politycznego. Domorośli „realiści” pouczają nas ustawicznie, że w polityce liczą się tylko fakty. Zapominają natomiast, że w polityce początkiem z którego kielkuje i wyrasta fakt, jest zawsze słowo.”*

Polityka moralnie słuszną może być oparta tylko na słowie nieskażonym manipulacją i złą intencją. Podobnie jak odbudowa autentycznej wspólnoty wymaga odtworzenia elementarnych reguł semantycznych, tak kreowanie wolnego słowa winno stać się priorytetem partii Jarosława Kaczyńskiego. Po doświadczeniach ostatnich lat widać, że media III RP stanowią dla polityków opozycji śmiertelną pułapkę, a każda próba konfrontacji kończy się bolesną porażką. Blokada informacyjna i skrzywiony, zafałszowany obraz polskiej rzeczywistości jest zasadniczą przyczyną wyborczych klęsk opozycji. „Kombinacja rozłamowa” nie byłaby możliwa, gdyby PiS dysponował własnymi środkami przekazu i potrafił komunikować się poza nurtem rządowych mediów. Czas również zdobyć się na refleksję i uznać, że politycy tej partii są całkowicie bezsilni wobec metod propagandystów i nie potrafią przeciwstawić się narzuconej narracji. Nie ma dziś żadnej pewności, że PiS przeżyje następną konfrontację z aparatem dezinformacji.

Joachim Brudziński i Adam Hofman mają rację, gdy żądają zaprzestania festiwalu medialnego i nie chcą prowadzenia „rozmowy poprzez media”. Trzeba jednak ten postulat rozciągnąć na cały obszar komunikacji i nie ograniczać do wewnętrznych spraw partii. Nie da się prowadzić dialogu z Polakami korzystając z ośrodków wrogiej, nienawistnej propagandy. Taka rozmowa musi zakończyć się fałszywą konkluzją i uwłacza wyborcom PiS-u. Nie da się również pokazać prawdy o stanie państwa używając narzędzi, którymi posługują się oszuści. Za postulatem posłów PiS musi zatem pójść projekt tworzenia własnych, niezależnych od dyktatury mainstreamu mediów i plan przełamania monopolu informacyjnego. To dziś najważniejsze wyzwanie dla opozycji.

11.11.2011 18:28 46

653. SŁOWO KTÓREGO NIENAWIDZĄ

Dla jednych jest pojęciem historycznym, obrosłym w mity i feeryczne skojarzenia, dla innych - wciąż niespełnionym wyzwaniem, od którego nie ma ucieczki, dla większości - słowem odartym z treści i znaczenia. Nadal najtrudniejszym do zdefiniowania i nadal tak groźnym, że wspominam raz do roku.

Potwierdza, że mogą istnieć wspólnoty niezależne od obcych wpływów i rządy ludzi wolnych od mentalności raba. Przeczy ideologii „geopolitycznego realizmu”, którą miernoty i tchórze próbują ostonić własne zaprzaństwo. Wyznacza zakres autentycznej wolności, u której podstaw leży suwerenność państwa i jego autonomia w sprawach wewnętrznych i zewnętrznych. Wolności nieograniczonej błagierskim „róbta co chceta” - bo rozumianej jako prawo czynienia tego, co nie zagraża innym ludziom, a czyni człowieka lepszym i otwartym na prawdę.

To słowo nakazuje traktować historię, jako sumę doświadczeń równie ważnych, jak wiedza o teraźniejszości. Czerpie z jej dziedzictwa w przeświadczeniu, że mądrość minionych pokoleń stanowi sukcesję, bez której następne pokolenia nie będą mogły istnieć. Niesie świadomość, że tylko tradycja i kultura dają gwarancję trwałości narodowej wspólnoty. Przypomina - kim w przeszłości byliśmy i jaką cenę płać narody bez pamięci.

Dzięki temu słowu odżywają daty hańby i triumfu: nocy rozbiorów, powstań narodowych, roku 1918, zwycięstwa nad bolszewikami, klęsk II wojny światowej i lat sowieckiej okupacji. To słowo wywołuje nazwiska bohaterów i pamięć o tysiącach bezimiennych. Każde wspominać „wielkich zdradzonych” i przywoływać uczynki podstępnych kanalii. Powraca niesione na bitewnych sztandarach i wskrobane paznokciem w więziennej celi.

To na jego dźwięk „tracimy rozsądek” bądź popadamy w najgłębszy smutek. Odmieniane dziś - podczas „narodowego święta” - pozbawia nas złudzeń lub wskrzesza ostatnią nadzieję.

20.11.2011 18:07 72

654. ZA DWA GROSZE I DWIE KROPLE KRWI

Nie po to Donald Tusk stworzył patologiczny system sprawowania władzy, opierając go na ośrodkach propagandy i ludziach służb specjalnych, by nie wykorzystać święta 11 listopada do sprawdzenia efektywności tego systemu. Nie po to też uczynił z policji i służb specjalnych zbrojne ramię grupy rządzącej, by zdobyć się obecnie na uczciwą ocenę prowokacji i wyciągnąć konsekwencje wobec winnych.

Głosy publicystów, reakcje opozycji czy wyrazy oburzenia z powodu akcji niemieckich terrorystów i ich polskojęzycznych kamratów, są spóźnione o wiele miesięcy i wskazują, że stać nas zaledwie na mądrość „po szkodzie”. Zapowiedź tegorocznych zdarzeń niósł już bandyckie napady na Krakowskim Przedmieściu, gdzie na oczach policji motłoch atakował Polaków modlących się pod krzyżem. Obowiązującą dziś w rządowych mediach retorykę przeciwczono podczas Marszu

Patriotycznego we Wrocławiu z okazji Święta 3 Maja. Zaroilo się wówczas od bredni wszelkiej maści „autorytetów” opowiadających o „odradzaniu się tendencji faszystowskich” i upatrujących w PiS-ie „partię nacjonalistyczną i faszystowską”. Już przed rokiem młodociani terroryści wspierani przez medialnych promotorów próbowali zablokować „Marsz Niepodległości”. Na portalu „Krytyki politycznej” napisano wówczas, że „Mówiąc językiem ulicznym i zrozumiałym dla przeciwnika” należy „kazać faszystom wypierdalać z ulic tego miasta.”

Również przygotowania do tegorocznej akcji były jawnie anonsowane i choć trwały od wielu tygodni, nie spotkały się ze stanowczym sprzeciwem środowisk patriotycznych, ani z reakcją służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo. Wezwanie niemieckich bandytów, których Jarosław Kaczyński trafnie ocenił, jako typ ludzi „tworzących kiedyś aparat, który pozwolił Adolfowi Hitlerowi dokonać ogromnych zbrodni” nosiło wszelkie znamiona prowokacji wymierzonej w polskich obywateli. Tę prowokację można było zablokować. Służby III RP rozmyślnie zezwoliły na wjazd uzbrojonych bojówek, wiedząc doskonale, w jakim celu przybyły do Polski. Należy sądzić, że była to akcja w pełni zaaprobowana przez grupę rządzącą, a jej konsekwencje wpisują się w szerszy plan walki z patriotyzmem i polskością.

Równie spóźniona jest refleksja nad działaniami policji: z jednej strony nad jej nieudolnością i brakiem profesjonalizmu, z drugiej - nad brutalnością i zachowaniami nawiązującymi do praktyk komunistycznej Służby Bezpieczeństwa.

W ostatnich miesiącach mieliśmy do czynienia z wieloma przykładami podobnych działań; podejmowanych przeciwko manifestantom, kibicom piłkarskim, a nawet harcerzom malującym hasła antykomunistyczne. Pobicie przez funkcjonariuszy więzienia politycznego Piotra Staruchowicza czy wcześniejsze aresztowanie Grzegorza Brauna za rzekomą „napaść” na tajniaka, urastają do miana zdarzeń symbolicznych i wskazują wyraźnie, w jakim kierunku zmierza dziś „polityka bezpieczeństwa” i czyje interesy ma ochraniać policja. Niestety - te i wiele innych zdarzeń - choć należało im poświęcić długotrwałe kampanie informacyjne, nie spotkały się z należytą reakcją opozycji i zostały odnotowane zaledwie przez niektóre media prawicowe.

Trzeba przypomnieć, że w zakresie bezpieczeństwa publicznego grupa rządząca podejmuje dwojakie działania. Z jeden strony uchwalane są przepisy umożliwiające siłową rozprawę ze społeczeństwem oraz poszerzanie uprawnień policji i służb, z drugiej zaś, tworzy się w policji takie warunki pracy, które powodują masowe odchodzenie doświadczonych i wykształconych funkcjonariuszy. W ich miejsce napływają ludzie pozbawieni wartości etycznych i intelektualnych, posiadający zaledwie predyspozycje fizyczne do pracy w oddziałach prewencji.

Temu celowi służyła m.in. tegoroczna nowelizacja ustawy o policji, w której dokonano zmiany warunków, jakie musi spełniać osoba pragnąca podjąć służbę oraz zmiany zasad postępowania kwalifikacyjnego. Dotychczas kandydat do pracy w policji musiał być nie karany zarówno za przestępstwo, jak i za wykroczenie. Obecnie zrezygnowano z wymogu niekaralności za wykroczenia, jako „nadmiernie rygorystycznego”. By zostać policjantem wystarczy, jeśli kandydat nie będzie skazany prawomocnym wyrokiem za przestępstwo umyślne lub przestępstwo skarbowe. Tym samym, do pracy w szeregach policji trafiają osoby skazane za wszelkiego rodzaju wykroczenia, np. przeciwko porządkowi i spokojowi publicznemu lub oskarżone o czyny chuligańskie. Jeśli - zdaniem komendant wojewódzkiego „kandydat wykazuje szczególne predyspozycje do służby w Policji” - nie musi mieć nawet wykształcenia średniego, by stać się „stróżem prawa”. Oznacza to, że każdy z lewackich bandytów zakłócających polskie święto, mógłby bez najmniejszych przeszkód trafić w szeregi policyjne. Rząd Tuska zamiast zwiększyć nakłady na policję i uczynić pracę w niej bardziej atrakcyjną, zmniejszył wymagania rekrutacyjne, licząc na przyciągnięcie ludzi nie mających większych wymagań ani perspektyw zawodowych.

Takie zasady tworzenia struktur siłowych umożliwią wkrótce powołanie formacji podobnych do ZOMO i sprawią, że będzie dochodziło do coraz liczniejszych aktów nadużycia uprawnień oraz bezzasadnych represji w stosunku do obywateli.

Budowaniu z policji politycznego narzędzia, służyła również nowelizacja uchwalona we wrześniu br. Umożliwia ona prezydentowi „w szczególnie uzasadnionych przypadkach” natychmiastowe awansowanie funkcjonariuszy na stopień nadinspektora, z pominięciem wymogu odświeżenia czterech lat w stopniu inspektora. Policyjni związkowcy zwracali uwagę, że przyjęta w ekspresowym trybie nowelizacja ma ułatwiać awansowanie na najwyższe stopnie funkcjonariuszy szczególnie zasłużonych dla obecnej władzy. Ta regulacja nawiązuje do znanej z PRL-u zasady promowania „biernych, miernych ale wiernych” i doprowadzi do stworzenia kadry policyjnej podległej wyłącznie interesom władzy.

Nadużyciom w policji i brutalnym praktykom sprzyja również poczucie bezkarności. Zależny od władzy tzw. aparat sprawiedliwości nie wykazuje bowiem żadnego zainteresowania przypadkami łamania prawa przez złe wyszkolonych i zdemoralizowanych funkcjonariuszy. Jeśli obserwujemy sceny pobić czy zachowań wyniesionych wprost z arsenału komunistycznej SB - jest to zasługą polityki rządu PO-PSL i celowego wytworzenia atmosfery przyzwolenia dla takich patologii. Oświadczenie Tuska o „najwyższym profesjonalizmie służb i warszawskiej policji” podczas akcji 11 listopada, będzie dostateczną wykładnią stosowania prawa.

Policyjni związkowcy sami zdają sobie sprawę, jak władza wykorzysta te zdarzenia. W stanowisku Zarządu Wojewódzkiego NSZZ Policjantów województwa wielkopolskiego z 12 listopada br. napisano m.in.: „Policja od dłuższego czasu wnioskowała o zmianę przepisów, jednak władza nic sobie z tego nie robiła. Obecnie Prezydent RP i Premier RP oraz inni politycy publicznie mówią o potrzebie zmiany prawodawstwa. W naszej ocenie jest to „hipokryzja” polityczna ukierunkowana na pokazanie społeczeństwu, że władza jest skuteczna i wychodzi naprzeciw jego oczekiwaniom.”

Nie ulega wątpliwości, że nikt z prawdziwych organizatorów ani prowodyrów bandyckich napaści nie poniesie odpowiedzialności. W państwie prawa musiano by zdelegalizować szereg lewackich organizacji, aresztować dziesiątki

policjantów, zaś mediom współuczestniczącym w szczuciu i dezinformacji, odebrać koncesje. Ponieważ organizacje te i ośrodki propagandy stanowią podporę grupy rządzącej - mogą liczyć na bezkarność.

Cele prowokacji zostały osiągnięte: Polaków pozbawiono prawa swobodnego manifestowania w dniu narodowego święta, przekroczono kolejne bariery psychologiczne i semantyczne, przeciwczono metody pacyfikacji zgromadzeń oraz stworzono podstawy do zaostrożenia prawa. Wyrazy oburzenia i protesty - aczkolwiek zrozumiałe - będą całkowicie bezskuteczne. Należy raczej zweryfikować nasz stosunek do instytucji III RP i organizować życie publiczne w sposób niezależny od intencji władzy. Traktowanie państwa Tuska jako reprezentanta narodu lub odbiorcy obywatelskich roszczeń - jest nie tylko bezcelowe, ale tworzy niebezpieczny klimat konwalidacji obecnego układu i wprowadza w błąd miliony Polaków - przekonanych, że żyją w świecie demokracji. Jeśli z doświadczeń związanych z obchodami rocznicy odzyskania niepodległości mamy wyciągnąć mądrą konkluzję, musi ona dotyczyć całego obszaru relacji społecznych i prowadzić do gruntownych zmian w myśleniu o współczesnej Polsce. Nie wolno utrzymywać poglądu, jakoby niepodległość kupiono za marną cenę „okrągłego stołu”, ani wspierać przekonania, jakoby układ III RP działał w warunkach pełnej suwerenności.

Ten rząd zmierza konsekwentnie do niszczenia naszej tradycji i przejawów pamięci historycznej. W najbliższej perspektywie - do unicestwienia opozycji i zastraszenia społeczeństwa. Sposób, w jaki potraktowano Polaków w dniu 11 listopada, powinien radykalnie przeciąć mrzonki o fałszywej „zgodzie narodowej” i przywrócić świadomość podstawowego podziału na My i Oni.

23.11.2011 21:16 28

655. TANDEM - OJCOSTWO UTRACONE

Nagłaśniana przez media „wiadomość dnia” musi wywoływać rozliczne spekulacje i prowokować pytania. Podawane przez „czynniki oficjalne” przyczyny zatrzymania Gromosława Czempieńskiego mogą być o tyleż prawdziwe, na ile autentyczna jest walka z korupcją prowadzona przez Donalda Tuska. Po czterech latach rządów obecnego układu i doświadczeniach związanych z dziesiątkami afer - skrytych przed wzrokiem obywateli, byłoby naiwnością sądzić, że aresztowanie zasłużonego esbeka, jednego z flagowych przedstawicieli establishmentu III RP i współtwórcy Platformy Obywatelskiej, nastąpiło z tak prozaicznego powodu, jakim są „malwersacje finansowe” sprzed 8 lat.

Wprawdzie za wcześniej dziś na formułowanie mocnych hipotez i szczegółowych uzasadnień, można jednak pokusić się o stwierdzenie, że mamy do czynienia z aktem naruszającym dotychczasowe status quo w tak specyficznym obszarze, jakim jest równowaga w interesach ludzi służb i zależnych od nich oligarchów.

W sierpniu 2008 roku, gdy (ku zaskoczeniu niektórych) Gromosław Czempieński przyznał się do ojcostwa Platformy, Antoni Macierewicz pytany w Radiu Maryja o przyczynę tych publicznych wyznań odpowiedział:

„Chodzi przede wszystkim o prywatyzację, podział majątku narodowego i korzyści, których środowiska związane ze służbami oczekują. Wyraźnie widać, że rząd Donalda Tuska jest z tego punktu widzenia oceniany przez te środowiska negatywnie. Nie dał im oczekiwanych korzyści z prywatyzacji przede wszystkim sektora energetycznego. Sprawa niedosłej prywatyzacji koncernu paliwowego Orlen i afera m.in. Marka Dochnała pokazały, że środowiska dawnych służb były mocno zaangażowane w prywatyzację energetyki - najbardziej interesującego Rosję sektora gospodarki polskiej. Sam Gromosław Czempieński i jego koledzy byli mocno zaangażowani w tego typu działania. To oni właśnie brali udział w latach 90. w negocjacjach dotyczących prywatyzacji polskich przedsiębiorstw. Znana jest ich rola przy skandalicznej prywatyzacji TP SA. Dzisiaj środowiska te czują się zawiedzione: kryzys gospodarczy być może w ogóle zablokuje szanse na przejęcie najlepszych części majątku narodowego. Ludzie speculują są świadomi, że jeśli nie nastąpi szybka prywatyzacja, to nadzieje na osiągnięcie wielkich zysków mogą się znacznie oddalić w czasie”.

Sądzę, że jest w tych słowach zawarta cenna wskazówka, w jaki sposób należy oceniać obecne wydarzenia. Jakkolwiek potoczy się sprawa Czempieńskiego, jego zatrzymanie może być znakiem, że dochodzi dziś do „nowego rozdania”, a dotychczasowi gracze, rozstawieni jeszcze w przedsmoleńskiej rzeczywistości będą musieli ustąpić miejsca znacznie silniejszej i groźniejszej ekipie.

Przed ponad dwoma laty, w cyklu tekstów zatytułowanych „TANDEM” przedstawiłem działalność Gromosława Czempieńskiego. Tytuł cyklu był podyktowany obecnością drugiego bohatera - Andrzeja Olechowskiego - postaci wręcz nieodłącznej i najściślej związanej również z obecnymi losami Czempieńskiego. Ponieważ prawidłowa ocena zdarzeń jest zależna od wiedzy na temat dokonania owego „tandemu” - chciałbym przypomnieć najistotniejsze fragmenty tamtych tekstów:

Przed kilkoma tygodniami Antoni Macierewicz sformułował opinię, że deklaracje poparcia dla partii Pawła Piskorskiego wyrażane przez Olechowskiego i Czempieńskiego wskazują na realną ocenę sytuacji gospodarczej przez ludzi peerelowskich służb i są wyrazem dezaprobaty tych środowisk wobec obecnej polityki rządu. Jeśli dla większości Polaków tego rodzaju tezy brzmią nieprawdopodobnie, zaś zwolennikom Platformy wydają się obrazoburczymi „teoriami spisku” - trzeba wyjątkowo mocno zamykać oczy na rzeczywistość.

Jestem przekonany, że wszelkie dywagacje polityczne Andrzeja Olechowskiego, którymi od wielu miesięcy ekscytuje opinię publiczną stanowią wyłącznie zasłonę medialną, skrywającą realny obszar zainteresowań tego pana, a jego zaangażowanie w budowanie kolejnych partii politycznych ma na celu zapewnienie politycznej reprezentacji środowiskom peerelowskich specułów. Aktywność Olechowskiego i Czempińskiego ma zaś bezpośredni związek z najważniejszym projektem autorstwa tego układu - zawłaszczenia sektora paliwowego i przejęcia płynących z niego zysków, a w dalszej perspektywie - uzależnienia Polski od Rosji w sferze energetycznej.

Tego planu nie zdołała zrealizować ekipa Leszka Millera, gdy na mocy porozumienia Kwaśniewski - Kulczyk - Miller - Kaczmarek, przy udziale UOP i prokuratury dążyła do przekazania Rosji polskiego sektora paliwowego i do prywatyzacji koncernu Orlen. Raport sejmowej „komisji orlenowskiej” z roku 2005 wskazuje na skalę tego patologicznego zjawiska.

Szczególną rolę w tych planach odegrał wówczas Jan Kulczyk, działając z upoważnienia prezydenta Kwaśniewskiego jako przedstawiciel Skarbu Państwa i główny decydent w sprawach sektora paliwowego. Z opublikowanej w roku 2004 notatki szefa wywiadu Zbigniewa Siemiątkowskiego dotyczącej spotkania Kulczyka z Ałganowem wynikało, że Rosjanie poprzez firmy Rotch Energy i LUKOIL mieli przejąć Rafinerię Gdańską. Prywatyzacja RG miała zaś stanowić pierwszy etap przedsięwzięcia, którego finalnym celem było zbycie akcji PKN Orlen. W notatce Siemiątkowskiego znajduje się również następujący zapis: „J. Kulczyk twierdzi, iż osobą, która pośredniczyła w kontaktach z przedstawicielami Rotch Energy, był Gromosław Czempiński, koordynujący ponadto kontakty pomiędzy tą firmą i Łukoilem, za co był przez nie wynagradzany. Nie najlepsze obecnie relacje J.K. z G. Czempińskim wynikają z roszczeń tego ostatniego do kwoty 1 mln USD za pomoc przy prywatyzacji TP SA”. Podczas przesłuchania przed komisją w styczniu 2005 roku, Czempiński potwierdził fakt zaangażowania służb specjalnych podczas prywatyzacji PKN Orlen. Stenogram z 40 posiedzenia komisji „orlenowskiej” z 12.01.2005 roku zawiera tekst przesłuchania Czempińskiego przez Antoniego Macierewicza i ujawnia rolę byłego esbeka w procesie prywatyzacji sektora paliwowego.

Jak wiemy, organizatorami wiedeńskiego spotkania Kulczyka i Ałganowa byli panowie Andrzej Kuna i Aleksander Żagiel, a podczas przesłuchań przed komisją na światło dzienne wyszły powiązania tzw. grupy wiedeńskiej złożonej z biznesmenów, gangsterów i ludzi służb specjalnych. W tej grupie, oprócz Kulczyka, Ałganowa, Kuny czy Żagla był również Wojciech Czerniak - naczelnik Wydziału I (niemieckiego) Departamentu I MSW, w latach 1981 - 1985 konsul w polskiej ambasadzie w Wiedniu, a w latach 1996-1997 dyrektor Zarządu Wywiadu UOP - przyjaciel Gromosława Czempińskiego. Nazwisko Czerniaka wymienia się, jako jednego z organizatorów wiedeńskiego spotkania Kulczyka z Ałganowem. W czasie gdy Czerniak kierował wywiadem, ze służby odeszła grupa oficerów rozpracowująca Ałganowa. Obecnie emerytowany esbek kieruje firmą Concordia Development, której właścicielami są Kuna i Żagiel. Jego żona, Anna, jest szefem Fundacji „Dr Clown”, którą założyli... Kuna i Żagiel. Na liście darczyńców Fundacji znajdują się m.in: PFRON, Prokom Ryszarda Krauzego, fundacja Dar Serca Orlenu, Plus GSM, Giełda Papierów Wartościowych, Port Lotniczy im. Chopina w Warszawie czy też firma J&S, która dostarcza rosyjską ropę do Orlenu i Rafinerii Gdańskiej.

Warto pamiętać, że płk Wojciech Czerniak był w styczniu 2001 roku jednym z uczestników spotkania w warszawskim gmachu Intraco, do którego doszło z inicjatywy Czempińskiego. Zebranych wówczas „przyjaciół jednej służby”, pułkowników: Krzysztofa Smolińskiego, Romana Deryłę, Marka Szewczyka, Zygmunta Cebulę i Wojciecha Czerniaka - Czempiński namawiał do wsparcia Platformy Obywatelskiej i zachęcał do budowania wokół tej partii grupy doradców, - specjalistów od służb specjalnych. To dzięki tego rodzaju inicjatywom, Czempiński mógł po latach przyznać, że sformułował koncepcję powołania Platformy Obywatelskiej, a dopiero później przekonał do pomysłu Andrzeja Olechowskiego i Pawła Piskorskiego.

Trudno też nie dostrzec, że biznesowa droga Czempińskiego, po odejściu z UOP w roku 1996, sytuuje go w roli reprezentanta interesów ekonomicznych środowiska służb PRL. Jak zaznacza Sławomir Cenckiewicz, - „Wkrótce po odejściu z tajnych służb Czempiński założył firmę Doradztwo GC i działał na styku biznesu prywatnego i państwowego. Kilka lat temu czasopismo „Profit” próbowało zliczyć wszystkie przedsięwzięcia gospodarcze Czempińskiego. Okazało się, że lista firm i spółek, w zarządach których zasiadał ten były oficer SB i UOP, nie ma końca. Łączyły go związki biznesowe z ludźmi z listy najbogatszych, m.in. Janem Kulczykiem i Sobiesławem Zasadą. Dziennikarze zdołali ustalić związki Czempińskiego z ponad 20 podmiotami gospodarczymi, zarówno państwowymi, jak i prywatnymi, w tym m.in. z Polskimi Liniami Lotniczymi LOT, Zakładami Samochodów Ciężarowych w Starachowicach, Polskimi Zakładami Lotniczymi w Mielcu, Aeroklubem Warszawskim, BRE Bankiem SA i The Quest Group”. Do tej listy należałoby dodać spółkę Energopol-Oil, w której Czempiński był przewodniczącym rady nadzorczej.

[...]

Wkrótce po sformowaniu rządu PO-PSL, nowy minister Skarbu Państwa Aleksander Grad ogłosił „powrót do prywatyzacji” informując, że „w pierwszej kolejności zostaną sprywatyzowane spółki, w których przygotowania są już zaawansowane - Enea, dwie firmy wielkiej syntezy chemicznej, chociaż proces ten w przypadku ZA Tarnów jest bardziej zaawansowany, a w przypadku ZA Kędzierzyn mniej. Oprócz tego są oczywiście stocznie, jest Sklejka Pisz, Huta Łabędy, Kopalnia Bolesław, LOT, dokończenie prywatyzacji Ruchu. To są prywatyzacje, które muszą się odbyć jak najszybciej w interesie tych spółek”.

Ciosem dla planów Olechowskiego i Czempińskiego musiało być oświadczenie Krzysztofa Żuka - wiceministra Skarbu Państwa z kwietnia 2008 roku, w którym padła zapowiedź, że „do końca 2011 roku rząd nie przewiduje żadnych działań prywatyzacyjnych w odniesieniu do największych podmiotów sektora naftowego”. Minister stwierdził ponadto, że „na dzień dzisiejszy zachowujemy w sektorze naftowym status quo, to znaczy zakładamy, że prywatyzacji jeśli chodzi o PKN Orlen i Grupę Lotos nie będziemy przeprowadzać, natomiast z całą pewnością chcemy domknąć przekształcenia własnościowe w rafineriach południowych, czyli sprzedać resztkówki Grupie Lotos oraz wnieść na podniesienie kapitału akcje Petrolbalticu”.

Informacje o 4-letnim planie prywatyzacyjnym Platformy potwierdził wkrótce The Wall Street Journal Polska, donosząc, że „W rękach państwa pozostanie Naftoport, PERN Przyjaźń i Operator Logistyczny Paliw Płynnych OLPP. To samo z PGNiG, w przypadku którego sprzedana zostanie tylko jedna akcja, by udostępnić pakiet należący się pracownikom. Wbrew przedwyborczym obietnicom PO nie będzie także dalszej prywatyzacji Orlenu i Lotosu. Oznacza to, że najbogatsze spółki dalej poddawane będą politycznej kontroli. Zwłaszcza że z dalszych przekształceń własnościowych wyłączono także KGHM”. [...]

Ogłoszenie planu prywatyzacyjnego PO, musiało mieć wagę zdarzenia decydującego o zerwaniu przez Olechowskiego związków z tą partią. Chronologia późniejszych zdarzeń wskazuje, że od tego momentu nasilała się krytyka Platformy, a jednocześnie rozpoczęto medialną akcję „dyscyplinowania”.

Jeszcze w czerwcu 2008 roku wiceminister skarbu Joanna Szmid zapowiadała przyspieszenie prywatyzacji. Rząd miał przygotować dla inwestorów akcje ENEL, zapowiadano wejście na giełdę Polskiej Grupy Energetycznej oraz wybór doradców prywatyzacyjnych dla PLL LOT i prywatyzację tej spółki do końca lutego 2009 roku. Na 2009 rok zapowiadano również debiut giełdowy spółek z grup energetycznych Tauron i Energa.

Determinacji rządu miała nie oślabić nawet kiepska koniunktura i wahania giełdowe. „Sytuacja na giełdzie nie zmieni naszej determinacji jeśli chodzi o prywatyzację spółek Skarbu Państwa” - deklarował w lipcu 2008 roku premier Tusk. Jednak w miesiąc później, Rzeczpospolita donosiła, iż „skarbu państwa nie śpieszy się z prywatyzacją, a sprzedaż państwowych resztówek nie idzie tak szybko, jak zakładał minister skarbu. Na razie zrealizowano tylko 26 spośród 77 zaplanowanych transakcji”.

Jak wynika z wypowiedzi ministra Grada z września 2008 roku, decydujący wpływ na rezygnację z planów prywatyzacyjnych Platformy mogła mieć świadomość, że proces ten spotyka się z negatywną oceną społeczną, może zatem przyczynić się do spadku sondażowych notowań partii.

W tej sytuacji, wobec odwlekania prywatyzacji nie trzeba było długo czekać na reakcję Olechowskiego. W październiku 2008 roku, w wywiadzie dla portalu wnp.pl, Olechowski przedstawił otwarcie swoje oczekiwania wobec Platformy. Pytany o ocenę dokonań ministra Grada stwierdził:

„Jestem człowiekiem, który cierpliwie oczekuje na przyspieszenie działań związanych z prywatyzacją. Cały czas potwierdza się to, że pozostawienie wielu przedsiębiorstw pod skrzydłami państwa przynosi straty, a nie korzyści. W związku z tym oczekiwałem od mojej partii, że będzie w tym zakresie wyraźny postęp. Na razie tego postępu nie widać, a więc cierpliwie nań czekam. Moja cierpliwość jeszcze się nie wyczerpała. Natomiast muszę przyznać, że jestem poirytowany polityką zarządzania przedsiębiorstwami, w których Skarb Państwa ma swoje udziały. Oczekiwałem istotnej, wręcz kulturowej zmiany, liczyłem na to, że Skarb Państwa nie będzie się zajmował bieżącym zarządzaniem gospodarką. Jednak mocno się rozczarowałem. Zarówno jeśli chodzi o decyzje kadrowe, jak i wtrącanie się do decyzji komercyjnych firm.”

Kolejnym, bardzo czytelnym sygnałem dla Platformy, był artykuł Olechowskiego z marca 2009 roku zamieszczony w „Gazecie Wyborczej”. Opublikowany został pod wymownym tytułem - „Czy politycy będą nas przeproszać za kryzys?” [...] Istotną nowością tego wystąpienia był atak personalny na Donalda Tuska i wskazanie premiera jako osoby winnej obecnej sytuacji. Olechowski pisał:

„Pytany o przyczyny zastąpienia pochodzącego z konkursu prezesa PKN Orlen politycznym nominatem (przez zarząd i radę nadzorczą tego koncernu w ciągu niespełna dziesięcioletniej historii przewinęło się ponad 100 osób, ośiem na stanowisku prezesa, w tym trzy w 2008 r.!) premier Tusk odpowiedział: „Jest grupa spółek, w których będziemy bezwzględnie egzekwować interes państwa, nawet gdybym miał za to odpowiadać przed sądem” („Polityka”, 4.10.08). Zdumiewające, zważywszy na liberalne korzenie premiera, ale przede wszystkim na to, że kapitał PKN Orlen w trzech czwartych należy do prywatnych akcjonariuszy i państwo włada nim niepodzielnie w zasadzie prawem kaduka. Trudno zgadnąć, co powie premier, jeśli po roku od tej wypowiedzi zostanie zapytany, jakie to interesy państwa miał na myśli, skoro spółka odniosła pierwsze w swojej historii straty, obniżyła swą wiarygodność kredytową i zubożyła swoich akcjonariuszy.”

Trzy miesiące później w wywiadzie dla Polska The Times, Olechowski przedstawił swój plan ratowania budżetu:

„Trzecim rozwiązaniem, by ratować budżet, jest sprzedaż państwowych udziałów w dużych spółkach notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych. To nie jest wcale działanie egzotyczne, tylko jak najbardziej realne i rozsądne. Każdy człowiek czy rodzina w sytuacji kryzysowej, gdy brakuje pieniędzy, zaczyna myśleć nad sprzedażą dywanów, mebli, antyków. Państwo powinno pomyśleć w ten sam sposób: udziały, np. w PKN Orlen są łatwo zbywalne. [...] O ile mi wiadomo, majątek, który można dziś sprzedać, jest wart kilkadziesiąt miliardów złotych (ok. 45 mld zł - przyp. red.). Nie wahałbym się ani chwili, tylko sprzedawałbym”

W maju br, mamy jeszcze do czynienia z nieudaną inicjatywą Janusza Palikota, próbującego skusić Olechowskiego posadą komisarza w UE.. Wobec rzeczywistych aspiracji Olechowskiego, ta próba pacyfikacji „tenora” Platformy musiała być nieskuteczna.

Od tego momentu następuje wyraźne przyspieszenie akcji dyscyplinowania Platformy, a z pomocą Olechowskiemu spieszy Gromosław Czempiński. [...]

Warto przypomnieć, że w latach 90. gdy Olechowski objął stanowisko doradcy Wałęsy i tworzył program Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform, jego konsultantem został Kazimierz Klęk - w latach 80-81 r. podsekretarz stanu w Ministerstwie Przemysłu Chemicznego, dyrektor naczelny MZPiP (Mazowieckie Zakłady Rafineryjne i Petrochemiczne) w Płocku (dawna nazwa PKN Orlen), w latach 1982-86 radca handlowy Ambasady PRL w Rzymie. To człowiek (podobnie jak Olechowski) związany z Departamentem I MSW. Klęk przewinął się jeszcze w latach 1986-90 przez Ministerstwo Handlu Zagranicznego, Współpracy Gospodarczej z Zagranicą i Przemysłu, a w latach 2000-2005 był przewodniczącym rady nadzorczej spółki paliwowej PETROLOT. W tej samej spółce, zaopatrującej samoloty w paliwo, której udziałowcami są PKN Orlen i Polskie Linie Lotnicze LOT wieloletnim wiceprezesem był Jan Kujawa - również związany z wywiadem PRL. W lipcu 2007 roku Kujawa został odwołany z funkcji członka zarządu PETROLOTU, a jako przyczynę odwołania nieoficjalnie wymieniano związki Kujawy z oficerami Departamentu I. - „Owszem, znam Gromosława Czempińskiego - przyznał wówczas Kujawa. - Zasiadaliśmy w Radzie Nadzorczej, ja byłem przedstawicielem załogi, zaś Czempińskiego wyznaczył Lech Wałęsa”.

Obu panów można było spotkać również w zarządzie Aeroklubu Polskiego, gdzie od 2003 roku Czempiński był prezesem, a Kujawa jego zastępcą. Jak wynika z prac sejmowej komisji orlenowskiej, ludzie Departamentu I MSW (Czerniak, Czempiński) odgrywali ważną rolę w planach przejęcia przez Rosjan sektora paliwowego, a Czempiński kreował się na specjalistę od prywatyzacji, pośrednicząc w kontaktach między firmą Rotch i Łukoilem.

Warto pamiętać, że w latach 2005-2006 członkiem rady nadzorczej Orlenu był Andrzej Olechowski.[...] Dalszy przebieg zdarzeń wskazuje, że sprawnie przeprowadzona kombinacja zaczęła przynosić efekty.

7 lipca br. na antenie „Polsat News” Czempiński nieoczekiwanie poinformował - *„Miałem dość duży udział, w tym że powstała Platforma, mogę powiedzieć, że odbyłem wtedy olbrzymią liczbę rozmów, a przede wszystkim musiałem przekonać Olechowskiego i Piskorskiego do pewnej koncepcji, którą później oni świetnie realizowali”*. Dzień później rozwija ten wątek w rozmowie z niezależną.pl.

Wprawdzie główne media starały się przemilczeć lub zbagatelizować tę wypowiedź, groźba ujawnienia prawdziwych okoliczności powołania Platformy wywołała natychmiastową reakcję. Już w dwa dni po wypowiedzi Czempińskiego, Donald Tusko po spotkaniu z prezydentem Kaczyńskim poinformował: *„Rząd chce w 2010 r. przyspieszyć proces prywatyzacji”* i dodał, że minister skarbu Aleksander Grad dostał od niego takie zadanie na przyszły rok, ale przyspieszenie ma dotyczyć głównie projektów planowanych na późniejsze terminy.

Trzeba zwrócić uwagę, że wypowiedź Czempińskiego nosiła wszelkie znamiona celowej prowokacji wykonanej w ramach kombinacji operacyjnej - rozumianej jako zespół działań zmierzających do uzyskania konkretnego efektu. Konieczność takich wyznań nie istniała jeszcze przed trzema laty. W maju 2006 roku, na antenie TVN, Czempiński komentował wypowiedź prezydenta Kaczyńskiego na temat stworzenia parlamentarnej komisji, która zbadałaby okoliczności powołania trzech partii - w tym Platformy Obywatelskiej. Wówczas - według słów Czempińskiego - nie istniała w Polsce partia, która powstałaby przy udziale funkcjonariuszy służb specjalnych. Czempiński stwierdził:

- *„Oczywiście mówię za służby cywilne - służby nie miały do czynienia z sytuacją, w której miałyby wpływ na to, czy tworzy się partia, czy nie tworzy się partia. Ci oficerowie, którzy byli w aktywnej służbie, nie brali udziału w zakładaniu jakiegokolwiek partii. Co nie znaczy, że ci, którzy odeszli ze służb, nie zostali powołani przez późniejszych członków partii do tego, by działać politycznie.”* Obecna wypowiedź Czempińskiego o roli, jaką odegrał w powołaniu PO padła niemal równocześnie z opuszczeniem tej partii przez Olechowskiego i dołączeniem do SD Pawła Piskorskiego. 16 lipca br. w wywiadzie dla „Dziennika” na pytanie - *„Czy uważa pan, że Paweł Piskorski nie będzie otaczał się swoimi ludźmi, nie będzie budował własnej nomenklatury, co zarzuca pan teraz kierownictwu PO?”* - Olechowski udzielił odpowiedzi, której sens wyraźnie wskazuje na prawdziwe przesłanki decyzji:

„Jedyna rzecz, która to gwarantuje, to prywatyzacja. Nie widzę innych zabezpieczeń, bo okazuje się, że to jest taka natura homo politicus, działacza partyjnego. Ja już straciłem złudzenia co do możliwości zbudowania takiej partii, która by nie połaśczyła się na stanowiska. Ale mimo to jestem zdegustowany skalą tego, co obecnie się dzieje w spółkach Skarbu Państwa. Jestem rozczarowany polityką prywatyzacyjną Platformy. Po prostu rozpacz. Premier sam dał do zrozumienia, że będzie ręcznie kierował PKN Orlen!” [...]

Nie upłynęły dwa tygodnie po zapowiedzi Tuska, iż minister Grad otrzymał zadanie przyspieszenia prywatyzacji i sporządzenia aktualizacji listy firm, gdy rząd PO-PSL poinformował o zmianach priorytetów prywatyzacyjnych. Lista kluczowych projektów, zawartych w rządowym „Planie prywatyzacji na lata 2008-2011” obejmuje m.in. sektor energetyki i chemii oraz sprzedaż części udziałów Skarbu Państwa w spółkach giełdowych, w tym części akcji KGHM i Lotos. [...]

Trafną ocenę gwałtownych pomysłów prywatyzacyjnych Platformy oddaje tytuł z „Dziennika” - *„Rząd sprzedaje, co się da”*: *„Takich planów sprzedaży państwowych spółek nie było w Polsce od ponad dekady. Ministerstwo Skarbu Państwa chce w ciągu 18 miesięcy pozbyć się najważniejszych firm w branży chemicznej i energetycznej, ale także pakietów akcji Grupy Lotos i KGHM Polska Miedź. W ciągu najbliższych 18 miesięcy chce zarobić na prywatyzacji aż 36,7 mld zł, z czego ponad 25 mld w przyszłym roku.”* Warto przypomnieć, że dotychczasowy 4-letni program prywatyzacji z roku 2008 zakładał wyłączenie całego sektora nafty i gazu. W rękach państwa miał pozostać Naftoport, PERN Przyjaźń i Operator Logistyczny

Paliw Płynnych OLPP. To samo z PGNiG, Orlenem i Lotosem. Projekt ten wykluczał również przekształcenia własnościowe w KGHM.

Cóż wydarzyło się w ostatnim czasie, że tak gwałtownie i gruntownie zmieniono plany prywatyzacyjne? Czy powyższe zestawienie nie uprawnia do sformułowania tezy, iż powodem decyzji rządu jest groźba utraty poparcia ze strony środowisk służb specjalnych PRL i pozbawienie obecnego układu medialnego parasola ochronnego? Czy zachowania i wypowiedzi panów Olechowskiego i Czempińskiego nie wskazują jednoznacznie na zakres oczekiwań, jakie układ biznesowo - agenturalny ma wobec partii Donalda Tuska? [...]

Linki: <http://cogito.salon24.pl/119304,tandem-1>

<http://cogito.salon24.pl/119523,tandem-2-studium-kombinacji>

25.11.2011 17:34 70

656. REKOMENDACJE DLA POLSKI

Gdy kilka tygodni po wyborze Bronisław Komorowski ogłosił rozpoczęcie „Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego” - należało tę zapowiedź odebrać jako złowróżbny znak i fatalną prognozę dla Polski. Nie tylko z uwagi na predyspozycje intelektualne lokatora Belwederu, ale głównie z powodu niezdolności do dokonywania samodzielnych ocen i sądów. Można było się spodziewać, że majstrowanie przy kwestiach związanych z bezpieczeństwem narodowym zakończy się wnioskami zbieżnymi z poglądami środowiska, z którym związany jest Komorowski i będzie zawierało konkluzje przychylnie interesom Kremla.

Z bełkotliwej nowomowy uzasadniającej projekt „Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego” (SPBN) można było wynioskować, że chodzi o sporządzenie raportu zawierającego „analizy i rekomendacje w zakresie bezpieczeństwa narodowego RP”, którego opracowaniem zajmie się szereg komisji, sztabów i grono tzw. ekspertów. Przed kilkoma miesiącami przedstawiłem niektóre z postaci owych „ekspertów od bezpieczeństwa”. Są wśród nich m.in.: Adam Rotfeld, Dariusz Rosati, Krzysztof Kozłowski, Janusz Onyszkiewicz, Leon Kieres, Roman Kuźniar, Aleksander Smolar, Paweł Świeboda, Janusz Reiter, Maria Wągrowa, Jerzy Nowak, Marek Goliszewski, Tadeusz Chabiera, Piotr Gulczyński, Andrzej Karkoszka, Henryk Goryszewski czy Marek Siwiec. Szefem tzw. sztabu SPBN jest zaś zastępca szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Zdzisław Lachowski - zidentyfikowany przed kilkoma tygodniami przez „Gazetę Polską” jako tajny współpracownik SB o pseudonimie „Zelwer”. Ze zgromadzonych w IPN dokumentów wynika, że Lachowskim interesował się także wojskowy wywiad PRL, czyli II Zarząd Sztabu Generalnego.

Końcowym efektem działalności tego gremium ma stać się „Biała Księga Bezpieczeństwa Narodowego”, której publikację przewidziano na kwiecień 2012 roku.

Sztandarowym dokumentem opracowanym na potrzeby „strategii bezpieczeństwa narodowego” jest zaś ekspertyza autorstwa prof. dr hab. Ryszarda Zięby i dr hab. Justyny Zając zatytułowana „Budowa zintegrowanego systemu bezpieczeństwa narodowego Polski”.

Warto zagłębić się w lekturę tego tekstu, by poznać poglądy osób decydujących dziś o kształcie naszego bezpieczeństwa i zrozumieć, w jakim kierunku będzie zmierzać polityka grupy rządzącej.

Koniecznym z dokumentem powinna zapoznać się opozycja - choćby po to, by dostrzec realne, a nie medialne zagrożenia. Zamieszczone poniżej cytaty zdają się potwierdzać najgorsze obawy dotyczące intencji Bronisława Komorowskiego w kwestiach bezpieczeństwa Polaków i już dziś powinny wzbudzić najwyższy niepokój:

„Warunkiem jaki musimy zaakceptować, co wymaga kroku do przodu ze strony Polski i całej wspólnoty atlantyckiej, jest porozumienie z Rosją taką jaka ona jest i chce być. Trzeba zrezygnować z misyjności i życzeniowej polityki zmierzającej do skłonienia Rosji do pełnego przyjęcia zachodniego modelu ustrojowego i uznać, że jest możliwa promowana przez Kreml modernizacja Rosji bez demokratyzacji na wzór zachodni.

Polska w tym scenariuszu musi zdecydować się na pojednanie z Rosjanami i traktowanie ich państwa nie jako tradycyjnego przeciwnika, lecz istotnego gwaranta bezpieczeństwa europejskiego, w tym naszego bezpieczeństwa. Zacieśnianie współpracy z Rosją ułatwi pojednanie polsko-rosyjskie. Z wielokrotni się również szansa innych państw poradzieckich na utrwalenie demokracji i włączenie się w proces integracji europejskiej. Stanie się tak dlatego, że nie będzie do wywoływało dezaprobaty w Moskwie ani zachowawczych elit politycznych w tych krajach.”

„Z racji tego, że w tej średnioterminowej perspektywie nie należy się spodziewać bezpośredniego zagrożenia naszego terytorium ani zagrożenia naszych sojuszników, specjalny wysiłek na rzecz dobrożenia polskiej armii nie wydaje się konieczny. Wystarczy unowocześnianie posiadanego uzbrojenia i zwiększanie interoperacyjności z armiami naszych sojuszników.”

„Częste, zwykle towarzyszące zmianom rządów czystki w służbach specjalnych, cywilnych i wojskowych, największe w latach 2005-2007, osłabiły te organy państwa. Duże kontrowersje i zastrzeżenia wzbudzała likwidacja Wojskowych Służb Informacyjnych, co poważnie osłabiło wywiad wojskowy i kontrwywiad. Utrudniło to działania Polskich Kontyngentów Wojskowych w Iraku i w Afganistanie. Rzeczą oczywistą w Stanach Zjednoczonych czy u innych naszych sojuszników jest, że wywiad i kontrwywiad służą ochronie najważniejszych interesów państwa, są instrumentem jego polityki bezpieczeństwa. Jeśli więc za przyzwoleniem czołowych partii politycznych, z powodów ideologicznych (odsuwania od władzy ludzi służących systemowi politycznemu realnego socjalizmu) świadomie osłabiano te służby, to szkodzono bezpieczeństwu państwa polskiego.”

W najważniejszym rozdziale pracy zatytułowanym - „*Rekomendacje dla priorytetów i zadań polityki bezpieczeństwa w perspektywie średnioterminowej (2010-2020)*” można przeczytać:

„Redefinicji wymaga dotychczasowa teza polityki polskiej, mocno opowiadająca się za dalszym rozszerzaniem NATO. Zgodnie z komunikatem przyjętym na szczycie Sojuszu w Bukareszcie w kwietniu 2008 r. (pod naciskiem USA i Polski), w przyszłości do NATO powinny być przyjęte Ukraina i Gruzja. W czerwcu br. przywódcy Ukrainy jasno oświadczyli, że rezygnują ze starań o przystąpienie do Sojuszu. Niestabilność wewnętrzna w Gruzji i konfliktowe stosunki tego państwa z Rosją raczej eliminują go z grupy kandydatów do NATO. Oznacza to, że rewizji wymaga stanowisko Polski w sprawie wschodniego rozszerzenia, tym bardziej, że w raporcie Grupy Mędrców znalazła się teza, że rozwijanie partnerstwa z Rosją jest gwarancją bezpieczeństwa w regionie euroatlantyckim. Pozostaje więc ewentualny południowo-wschodni kierunek rozszerzania NATO, o kolejne państwa postjugosłowiańskie.”

„Powrót do idei ściślejszej współpracy w ramach OBWE; instytucja ta jest doskonałym forum dialogu i konsultacji z krajami pozostającymi poza UE i NATO: Rosją oraz innymi państwami poradzieckimi. Może służyć jako instrument kształtowania europejskiego bezpieczeństwa kooperatywnego; oddziaływanie na rzecz normalizacji i rozwoju stosunków z Federacją Rosyjską; będzie to nie tylko umacniać bezpieczeństwo Polski, ale również wzmacniać jej pozycję w UE i NATO;

„Stosunki ze Stanami Zjednoczonymi powinny nadal odgrywać istotną rolę w polskiej polityce bezpieczeństwa, choć należy odejść od polityki bezwarunkowego, a wręcz bezrefleksyjnego popierania wszystkich działań tego mocarstwa. Polityka Polski w tym względzie winna mieć wyraźne odniesienie do własnych interesów, a nie nosić znamiona strategii *bandwagoning*.”

- „Rekomendacja 3: Należy odpolitycznić kwestię importu gazu z Rosji i traktować ją w kategoriach biznesowych. Należy zrozumieć, że mamy interes w tym, aby gaz od Rosji kupować, bo jak na razie i w dającej się przewidzieć perspektywie, nie ma dla tego alternatywy, zaś Rosja - jako producent - jest zainteresowana aby gaz sprzedawać, tym bardziej, że jest on źródłem finansowania jej programu modernizacji. Ponadto, powinniśmy całkowicie zrezygnować z traktowania zakupu gazu rosyjskiego w kategoriach geopolitycznych, gdyż to nas stawia w złym świetle wobec partnerów i sojuszników z UE, którzy słusznie nie podzielają polskich obaw, podejrzeń i lęków.”

Na koniec pozostawiłem cytaty najważniejszej i bodaj najgroźniejszej „rekomendacji”:

„Aby przezwyciężyć nieufność, która utrudnia percepcję Rosji przez polskich polityków i media należałoby podjąć zorientowaną na przyszłość politykę normalizacji stosunków wzajemnych i pojednania polsko-rosyjskiego. Warunki ku temu powstały już jesienią 2009 r., po udziale premiera FR Władymira Putina w obchodach 70-tej rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte, a zostały wzmocnione zbliżeniem polsko-rosyjskim po katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. Jednak czołowa partia opozycyjna w Polsce - Prawo i Sprawiedliwość podjęła kilka miesięcy później działania na rzecz ponownego konfliktowania z Rosją, sugerując odpowiedzialność tego państwa za katastrofę. W tej sytuacji rząd Polski powinien szybko podjąć działania na rzecz ratowania szansy jaka szybko może zniknąć.”

Tekst został zamieszczony w Warszawskiej Gazecie.

Gdyby ktoś chciał zapoznać się z całością cytowanej ekspertyzy - link:

http://www.spbn.gov.pl/portal/sbn/619/3231/quotBudowa_zintegrowanego_systemu_bezpieczenia

27.11.2011 17:26 48

657. ZABIĆ RAZ JESZCZE - SPRAWA KRZYSZTOFA OLEWNIKA

Od ponad 10 lat na naszych oczach rozgrywa się tragedia rodziny Olewników. Choć większość Polaków tkwiąc w szaleńczym, medialnym matrixie, nie jest nią zainteresowana lub zgola niewiele z niej rozumie - tragedia ta niesie z sobą okrutną prawdę o państwie zbudowanym na fałszu i zbrodni. Nazwana przeze mnie „kręgami piekła” wywołuje znacznie większą grozę, niż czyni to dzieło literackie Dantego. Dotyczy bowiem realnej codziennej rzeczywistości, doświadczalnej przez każdego, kto zechce przedrzeć się przez zasłonę milczenia i zakłamania.

Najnowsza odsłona tej tragedii, w której państwo Donalda Tuska zmierza do odwetu na rodzinie ofiary i uczynienia z niej sprawcy własnego nieszczęścia - nie mieści się w żadnych kategoriach nikczemności i zdaje się świadczyć, że

funkcjonariusze tego państwa za wszelką cenę zamierzają zrzucić brzemień odpowiedzialności i ukryć swój udział w fałszowaniu śledztwa. Tylko tym można tłumaczyć wściekły, medialny atak rozpętany przez rządowe przekązniki.

Nie wierzę w żadne państwo

„Panie Premierze, nie ulega wątpliwości, że w porwaniu naszego syna, jego okrutnym i zwyrodniałym dręczeniem i w konsekwencji mordem brały udział osoby z organów państwowych, które powinny służyć obywatelowi do ochrony jego bezpieczeństwa, a które to gwarantuje konstytucja. W tej chwili dzieje się wszystko odwrotnie, pomimo nagłośnienia medialnego naszej sprawy, pomimo wręcz szydzenia mediów oraz społeczeństwa nawet wpływowych polityków z naszej sprawy.” - pisał przed rokiem Włodzimierz Olewnik w liście do Donalda Tuska. Powodem napisania tego dramatycznego listu stała się odmowa odtajnienia akt operacyjnych policji i CBŚ dotyczących sprawy porwanego i zamordowanego Krzysztofa Olewnika. Choć w liście padło szereg niezwykle poważnych zarzutów pod adresem polityków i funkcjonariuszy służb, żadna z poruszonych kwestii nie doczekała się nagłośnienia lub wyjaśnienia. W odpowiedzi udzielonej ojcu ofiary, premier obecnego rządu skłamał, pisząc jakoby *„wszystkie materiały ws. śmierci Krzysztofa Olewnika, o które zwracała się prokuratura lub komisja śledcza, zostały tym instytucjom udostępnione”*. Kilka miesięcy później ujawniono, że w Radomiu znajdują się obszerne akta zawierające m.in. informacje o działaniach policji w czasie przekazywania okupu. Rodzinę Olewników zapewniano wcześniej, że takie dokumenty w ogóle nie istnieją. Ojciec ofiary powiedział wówczas: *„Okłamuj mnie ministrowie, a nawet premier. W odpowiedzi na mój list - skłamał”*.

Te słowa nie mogły zostać zapomniane. Podobnie, jak inne, wypowiedziane przed trzema laty w Sejmie III RP. Ojciec zamordowanego Krzysztofa miał to nieszczęście, że stać go było wówczas na odważne wyznanie: *„Politycy SLD zabrali nam syna”* i równie mocne oskarżenie: *„Stosowaliście ubeckie metody szkalowania ludzi, oczerniania ich. Mówiono o moim synu, że sam się uprowadził”*. Siostra ofiary wykrzyczała zaś wprost: *„Dość kłamstw, dość ukrywania bandytów! Ja nie wierzę w żadne państwo, w żadną Polskę!”*

Cisza, jaka zapadła po tych słowach świadczyła, że trafiły w próżnię. W języku tego państwa nie ma bowiem żadnego „dość”, gdy chodzi o ukrywanie interesów mafijnych i przestępczych powiązań na szczytach władzy. Nie ma słowa „dość”, gdy w grę wchodzi ochrona postesbeckich układów, tuszowanie win i nieudolności prokuratury czy osłona mafijnej „omerty” - ponadpolitycznej zмовы milczenia.

Wspólnota brudu

To istnieniu takiej zмовы zawdzięczamy, że utrata władzy przez partię komunistyczną w roku 2005, nie miała żadnego wpływu na przebieg sprawy Olewnika. Nie mogła mieć, ponieważ niezmiennie pozostały nieformalne układy, których przedstawiciele sprawują faktyczną władzę w Polsce - niezależnie od wyników wyborczych i zmiany barw partyjnych. Trwałe ułożenie w polskiej policji, a w jeszcze większym stopniu w służbach specjalnych ludzi z peerelowskiego aparatu represji, zapewniało postkomunistom bezpośredni nadzór nad przebiegiem postępowań i dawało pełne poczucie bezpieczeństwa. Wynikające stąd układy jednoczą w imię wspólnych interesów, tak z pozoru odległe środowiska, jak „prawowców” ze „stajni” Artura Balasza, ludzi SKL -u i Platformy Obywatelskiej, z esbecko - agenturalną grupą skupioną wokół Aleksandra Kwaśniewskiego czy Leszka Millera. *„Wspólnotą brudu”* - nazwał Andrzej Zybertowicz ową grupę ludzi, *„którzy mają wspólnie coś za skórą, mają interes, żeby się wzajemnie chronić, ale jednocześnie trzymają się wzajemnie na uwięzi”*.

Nieszczęście Włodzimierza Olewnika polegało na tym, że wskazując na mafię odpowiedzialną za śmierć syna, wyciągnął palec w kierunku ludzi, których III RP uznaje za polityków i mężów stanu. Wskazał umundurowanych łobuzów - traktowanych jak „stróżę porządku” i bandytów z komunistycznej bezpieki, uznanych za profesjonalnych funkcjonariuszy wolnego państwa. Ci ludzie nigdy nie utracili wpływu na bieg śledztwa w sprawie Olewnika, a od chwili dojścia do władzy obecnej ekipy wykazują ogromną aktywność i poczucie bezkarności. To od czasu objęcia rządów przez PO-PSL mamy do czynienia ze najbardziej złowrogą sekwencją zdarzeń: likwidowaniem świadków, aktami zastraszania, niszczeniem dowodów. Przypomnę tylko niektóre z nich:

- w kwietniu 2008 roku „samobójstwo” popełnił Sławomir Kościuk - jeden ze skazanych za zabójstwo Olewnika, (okoliczności tej śmierci nie wyjaśniono do dnia dzisiejszego);
- w maju 2008 roku spłądrowano dom Danuty Olewnik - siostry zamordowanego. Włamanie zostało odebrane jako próba zastraszania rodziny. Do tej pory nie ustalono sprawców;
- w czerwcu 2008 r. w magazynie dowodów rzeczowych olsztyńskiego CBŚ, gdzie przechowywano dowody ze sprawy Krzysztofa Olewnika doszło do „awarii sieci kanalizacyjnej”, przez co zniszczeniu uległo 46 pudełek i kopert, w których przechowywano istotne dla sprawy dowody. O tym fakcie poinformowano dopiero w 2009 roku;
- w styczniu 2009 roku w celi więziennej w Sztumie „popełnił samobójstwo” Robert Pazik - skazany za zabójstwo Krzysztofa Olewnika. Brat Pazika twierdził, że więźnia zmuszono do samobójstwa;
- w lipcu 2009 r. „samobójstwo” popełnił strażnik więzienny, który w czerwcu 2007 roku pełnił dyżur w olsztyńskim więzieniu, gdy w celi powiesił się w Wojciech .Franiowski - jeden z zabójców Olewnika (prawdopodobnie wieloletni tajny współpracownik służb PRL). Prokuratura uznała, iż śmierć strażnika nie ma związku z jego czynnościami służbowymi;

- w lipcu 2009 r. doszło również do włamania w domu adwokata Jolanty Turczynowicz-Kierytło - obrońcy policjantów podejrzanych o zaniedbania w sprawie porwania Olewnika. Sprawcy ukradli m.in. trzy laptopy. W jednym z nich były informacje dotyczące sprawy Olewnika i niepublikowany wywiad z Remigiuszem M., szefem policyjnej grupy poszukującej porwanego. Jednocześnie dokonano włamania do skrzynki mailowej męża prawniczki, blokując do niej dostęp. Znajdowały się tam te same materiały, co w skradzionych laptopach. Do tej pory nic nie wiadomo o sprawcach tych włamań.

- na początku 2010 roku ujawniono informację o śledztwie prowadzonym w sprawie gróźb karalnych kierowanych pod adresem detektywa Marcina Popowskiego, a także wywierania na niego wpływu w celu wymuszenia odmowy składania zeznań przed sejmową komisją śledczą. Działając na zlecenie Olewników, Popowski ujawnił błędy policji i prokuratury popełnione w czasie śledztwa. Odtąd odbierał anonimowe maile z pogróżkami, listy i nekrologi z własnym nazwiskiem. Prowokowano również incydenty drogowe z jego udziałem;

- w październiku 2010 r. ujawniono, że z komendy Policji w Sierpcu zginęły dowody, które mogły pomóc w ustaleniach związanych z Ireneuszem Piotrowskim, skazanym w procesie o zabójstwo Olewnika;

- w grudniu 2010 r. . poluzowano śruby w kołach samochodu Danuty Olewnik-Cieplińskiej, siostry Krzysztofa. Według ekspertyzy biegłego, poluzowanie śrub we wszystkich czterech kołach samochodu było celowe - biegły wykluczył, by doszło do niego samoczynnie. Po tym zdarzeniu rodzina Olewników otrzymała ochronę policyjną;

- w lutym 2011 r. doszło do włamania w domu Jerzego Godlewskiego, prywatnego detektywa, który pomagał rodzinie Olewników. Włamywacze nie zabrali żadnych wartościowych przedmiotów, a splądrowali mieszkanie w poszukiwaniu dokumentów i notatek, które detektyw wykonywał w związku ze swoją pracą.

Obowiązkowa lektura studentów prawa

Nietrudno zrozumieć, że za rządów obecnego układu mocodawcy tej zbrodni poczuli się całkowicie bezkarni i postanowili definitywnie zakończyć temat. Okazało się to tym łatwiejsze, że prace sejmowej komisji śledczej, z którą wiązano pewne nadzieje, zakończyły się kompletnym fiaskiem. Ustalenia komisji zostały ograniczone do analizy błędów policji i prokuratury oraz opisu działań tych organów - czyli ujawniły to tylko, co można było bezpiecznie odsłonić, nie narażając głównych decydentów i mocodawców. Główna teza komisji została sprowadzona do konkluzji, iż szefostwo policji i MSWiA było wprowadzane w błąd przez policjantów niższego szczebla, a zatem wykluczona została nawet odpowiedzialność zwierzchników oraz polityków odpowiedzialnych za nadzór nad służbami. Konsekwencji nie poniosą również prokuratorzy prowadzący śledztwo w sprawie porwania i zabójstwa. Szokujące protokoły z przesłuchania tych osób przez sejmową komisję śledczą, powinny stanowić obowiązkową lekturę studentów prawa i stać się koronnym dowodem, że III RP nigdy nie była i nie jest państwem prawa. Z powodu przedawnienia nie istnieje już możliwość pociągnięcia kogokolwiek do odpowiedzialności karnej lub dyscyplinarnej.

Raport komisji śledczej nie zawierał żadnych wątków politycznych, a wręcz starannie omijał kwestię odpowiedzialności najwyższych przedstawicieli państwa. Warto zatem dostrzec, że obecna kampania medialna i prokuratorski atak na rodzinę Olewników, może znajdować podstawy w tym właśnie zaniedbaniu.

Nieszczęście Włodzimierza Olewnika polega zapewne na tym, że w sierpniu br., wykazując po raz kolejny cywilną odwagę, miał czelność powiedzieć: „Mam wrażenie, że poseł Kalisz czegoś się bardzo obawia” i stwierdzić: „żałuje, że komisja śledcza nie zbadała odpowiedzialności Kalisza w tej sprawie”. Ojciec zamordowanego przypominał również, że polityk SLD będąc w latach 2004 - 2005 szefem MSWiA, odmówił pomocy rodzinie.

Wypowiedź ta padła wówczas, gdy Kalisz - pełniący obowiązki przewodniczącego sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka odrzucił wniosek posłów PiS o zwołanie specjalnego posiedzenia. Posłowie opozycji chcieli, by na bazie raportu komisji śledczej ds. Olewnika ocenić funkcjonowanie prokuratury. Wbrew regulaminowi Sejmu, który nakazuje przewodniczącemu komisji bezwzględne zwołanie posiedzenia, o ile pod wnioskiem podpisała się jedna trzecia członków komisji, Kalisz odrzucił wniosek posłów PiS, zaś rzecznik SLD tłumaczył, iż „sprawa była prowadzona przez komisję śledczą, nie ma sensu zwoływać osobnej komisji. Chyba że PiS chce grać sprawą Olewnika politycznie”.

Pod koniec sierpnia, gdy zwołano wreszcie posiedzenie komisji, przedstawiciele Prokuratury Generalnej poinformowali o aktualnym stanie śledztwa związanych ze sprawą Krzysztofa Olewnika. Obecna na posiedzeniu siostra zamordowanego uznała wówczas, że po sformułowaniu wniosków przez komisję śledczą nadal niewiele się zmieniło i trudno odzyskać jej zaufanie do państwa. Padło również pytanie: „Kto na dzień dzisiejszy, poza bezpośrednimi sprawcami, poniesie odpowiedzialność? Nikt, absolutnie nikt”. Włodzimierz Olewnik ocenił zaś, że w działaniach prokuratury i służb nie nastąpiły żadne zmiany i nazwał dzisiejszy stan marazmem.

Dwa razy N, czyli nobilitacja nieudaczników

Można sądzić, że aktywność rodziny zamordowanego Krzysztofa i mocne wskazanie na zaniedbania prokuratury oraz krąg polityków odpowiedzialnych za dzisiejszy stan śledztwa, stanowiły główne przestanki obecnej kontrakcji.

Wkrótce bowiem pojawiła się informacja, jakoby w śledztwie prowadzonym przez Prokuraturę Apelacyjną w Gdańsku nastąpił „przełom”, a śledczy uzyskali dowody wskazujące na sfingowanie porwania i współdziałanie ofiary z porywaczami. Jest to ta sama koncepcja, którą przed laty forsowali policjanci i prokuratorzy odpowiedzialni za najpoważniejsze błędy i zaniechania. Koncepcja najwygodniejsza dla ukrycia prawdziwych mocodawców zbrodni i zatuszowania współdziału polityków i funkcjonariuszy służb w wieloletnich matactwach. Obecne ustalenia prokuratury stały się możliwe po zbadaniu akt znalezionych w roku 2010 w Radomiu - akt, o których włączenie do śledztwa od lat zabiegała rodzina Olewników.

Warto dostrzec, że inicjatorem spektakularnego wniosku o przeszukanie miejsc zamieszkania członków rodziny Olewników, w celu „zabezpieczenia dowodów” było Centralne Biuro Śledcze. Tymczasem w cytowanym już liście do premiera Tuska z 2010 roku, Włodzimierz Olewnik pytał:

„Panie Premierze jak jest to możliwe, że nieudacznik nad nieudacznikiem, a być może nawet jeden z decydentów w uprowadzeniu i zamordowaniu mojego syna Pan Janusz Czerwiński od samego początku z naszą sprawą ma do czynienia, gdyż od 2001 roku. Jest autorem ogromnej porażki Policji w tej sprawie zostaje wspólnie z drugim, być może mniej wdrożonym w naszą sprawę funkcjonariuszem organu Policji, ale działający razem z powyższym w tym czasie - zostają szefami CBA. Chcę podkreślić, iż Janusz Czerwiński był osobiście przeze mnie informowany o błędach i wątpliwościach w śledztwie, o których jest tak głośno w trakcie przesłuchań w Komisji Śledczej. Miał wiedzę i przyznawał mi rację, więcej - na moją osobistą prośbę ustalał fakty związane z moimi obiekcjami, co do przejęcia sprawy przez CBS”

Instrukcje zza grobu

W czasie, gdy doszło do największych zaniedbań w śledztwie, obecny wiceszef CBA Janusz Czerwiński oraz szef tej służby Paweł Wojtunik byli wysokimi funkcjonariuszami Centralnego Biura Śledczego. Jakkolwiek nigdy nie wyjaśniono ich roli w sprawie Krzysztofa Olewnika, obaj zostali awansowani przez Donalda Tuska na stanowiska szefów CBA.

W nakręcaniu kampanii medialnej i nagłaśnianiu tezy o samouprowadzeniu nie cofnięto się przed wykorzystaniem osób, którym prokuratorzy stawiali poważne zarzuty: udziału w zbrodni zabójstwa oraz poplecznictwa i niedopełnienia obowiązków. Rozmówcą stacji TVN stał się zatem Jacek Krupiński, zaś policjant Remigiusz M. - odpowiedzialny m.in. za niszczenie dowodów, wydał stosowne oświadczenie. Obaj - co nie powinno dziwić - wsparli sugestie o sfingowaniu porwania i przyłączyli się do prokuratorskich konkluzji.

Warto podkreślić, że w pogardzie dla faktów i dotychczasowych ustaleń, usunięto w cień wszystkie elementy sprawy nie pasujące do obecnej wersji, a nawet zapomniano o wcześniejszych interpretacjach związanych z rewelacjami prokuratury. Podstawą rzekomego „przełomu” mają być bowiem nagrania z policyjnego podsłuchu, w którym biegli dopatrzili się głosu Krzysztofa Olewnika. Całkowicie bezpodstawnie narzuca się opinię, jakoby słowa ofiary - „niech Jacek z Iwoną jadą” - miały stanowić rodzaj instruktażu dla porywaczy i świadczyły o współudziale Olewnika w sfingowaniu porwania. Jest to ewidentna i niezgodna z wcześniejszymi ustaleniami nadinterpretacja.

Przypomnę więc, że jeszcze w marcu br. te same media i ci sami prokuratorzy badający sprawę niszczenia policyjnych podsłuchów zwracali uwagę, że z akt odnalezionych w Radomiu wynika, iż bandyci przez telefon odtwarzali głos nagrany wcześniej Krzysztofa Olewnika, któremu kazali powtarzać instrukcje o przekazaniu okupu. W roboczej wersji końcowego raportu sejmowej speckomisji znalazło się natomiast zdanie:

„Remigiusz M. powinien przemyśleć, czy realnym jest, aby Krzysztof, który według treści faksu sam się uprowadził i wyjechał do Berlina, aby kraść samochody, aktualnie nakazuje rodzinie nagrany głos wyjazdu z okupem w Polsce. W niedzielę 27 lipca M. wspólnie z L. jadą samochodem do Berlina. W tym miejscu warto zauważyć, że M. i L. wyjeżdżając powinni pamiętać, że w dniach 11 i 18 czerwca 2003 porywacze odtwarzali nagrany głos Krzysztofa, powtórzyli to 24 lipca kiedy nakazali wydanie okupu.”

Jeśli prokuratura wiedziała wcześniej, że ofiara porwania była zmuszana do wygłaszania instrukcji związanych z przekazaniem okupu, a jej głos nagrywano i wykorzystywano podczas rozmów z rodziną Olewników - na jakiej podstawie powrócono dziś do absurdu zarzutu o samouprowadzeniu i sformułowano tezę o rzekomym „instruowaniu” porywaczy? Dlaczego dysponując wiedzą o praktykach porywaczy odrzucono najprostsze wytłumaczenie, że głos ofiary został nagrany wcześniej lub nakłoniono ją do uczestnictwa w ustaleniach porywaczy, obiecując szybsze uwolnienie?

Nie znamy bowiem żadnych mocnych dowodów, poza dowolną interpretacją jednego zdania odsłuchanego z kopii nagrania. Wszelkie służebne dywagacje TVN-u i innych mediów opierają się na enigmatycznym komunikacie prokuratury, w którym stwierdzono, że okoliczności nagranej rozmowy i jej miejsce ustalono „na podstawie innych dowodów”. Jakich dowodów - należy pytać, skoro ciężar całej argumentacji na temat sfingowanego porwania oparto na kilku słowach wypowiedzianych przez ofiarę?

Ta grupa działała zawsze

Trudno pozbyć się wrażenia, że celem obecnej akcji jest przede wszystkim rodzina Krzysztofa Olewnika, zaś medialna nagonka i sugestie prokuratury zmierzają do pozbawienia tych ludzi zaufania społecznego, skierowania na nich podejrzeń, a w rezultacie - zmuszenia do milczenia i kapitulacji. Inicjatorzy tej kampanii zdają się wiedzieć, że Polacy nie

posiadają rzetelnej wiedzy na temat sprawy i chętnie przyjmą mialką argumentację medialnych demiurgów. Stawianie niezwykle poważnych oskarżeń, na podstawie tak wątpliwych przesłanek i powrót do skompromitowanej koncepcji samouprowadzenia, winny skłaniać do formułowania pytań o rzeczywiste intencje prokuratury i jej politycznych decydentów.

Nie wolno zapominać, że w tle tej zbrodni oraz w czasie wieloletniego procederu utrudniania i fałszowania śledztwa pojawiają się nazwiska szeregu prominentnych polityków SLD oraz postaci tworzących mafijno-esbecki układ funkcjonujący w służbach i w biznesie.

Zaledwie przed trzema laty minister sprawiedliwości w rządzie PO-PSL Zbigniew Cwiągalski śmiało odkrywał „układ płocki” mówiąc: *„W Płocku działał lokalny układ, który mógł być zamieszany w porwanie i śmierć Krzysztofa Olewnika, a później w utrudnianie śledztwa i mylenie tropów. Mieliliśmy tam do czynienia z przenikaniem się pewnych powiązań i znajomości”*. Dwa lata wcześniej ówczesny szef MSWiA Ludwik Dorn, informował o jeszcze potężniejszej grupie, trwale osadzonej w strukturach władzy: *„Różnie się układały losy III Rzeczypospolitej. Raz rządził SLD, innym razem siły niekomunistyczne. Ale ta grupa działała zawsze. Najbardziej prawdopodobna hipoteza jest taka, że mieli oni haki na ważnych ludzi w Polsce. Inaczej trudno jest wytłumaczyć fakt, że trwali przez tyle lat na kluczowych miejscach w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i w policji.”*

Obserwując sekwencję zdarzeń w sprawie Krzysztofa Olewnika i ich szczególne natężenie po 2007 roku, można sądzić, że ów patologiczny układ nadal funkcjonuje, a jego przedstawiciele mają realny wpływ na przebieg śledztwa. Twarde słowa ojca ofiary i zabiegi rodziny o wyjaśnienie wszystkich okoliczności zbrodni, nie mogły pozostać bez odpowiedzi. Przygotowana przy współudziale prokuratury medialna pałka, jest - jak dotychczas - jedyną odpowiedzią, na jaką stać państwo Donalda Tuska.

Porzućcie wszelką nadzieję

Polityczni decydenci z lat 2001-2002 są dziś członkami tzw. lewicowej „partii opozycyjnej” i mają do odegrania jeszcze niejedną rolę w koncepcjach grupy rządzącej. Przywódca owej „opozycji” Leszek Miller, mówiąc przed kilkoma dniami - *„PO to nasz rywal, a PiS to nasz wróg”* - dał wyrażnie do zrozumienia o jaką „opozycyjność” chodzi i wskazał na rzeczywistą wspólnotę z partią władzy. Czy wobec takiej deklaracji „ludzi lewicy” i perspektywy walki ze wspólnym wrogiem można oczekiwać, że grupa rządząca będzie drażyła temat odpowiedzialności Kalisza, Piłata czy Siemiątkowskiego lub przyjrzy się związkom komunistycznych aparatczyków z mafią czy z zabójcami Olewnika? Czy obecny rząd obierając kurs na represyjność i niszczenie opozycji zaryzykuje otwartą wojnę z prokuratorską kamarylą lub zechce naruszyć esbeckie układy istniejące w służbach?

Tragedia rodziny Olewników, rozgrywając się na tle gigantycznych interesów związanych z przejęciem Orlenu, w trakcie gangsterskiej ekspansji politycznych cwaniaków, wielorakiej agentury i pospolitych kanalii - nie mogła mieć innego finału. Krzysztof Olewnik musi zginąć po raz drugi, a wraz z nim jego rodzina i bliscy. Stojący za tą zbrodnią ludzie wiedzą, że ujawnienie prawdy groziłoby rozbiciem całego politycznego przymierza III RP.

Siostra zamordowanego Krzysztofa, Danuta Olewnik, po latach doświadczeń z organami ścigania wyznała, że dziś szukałaby pomocy wyłącznie poza granicami Polski. Sądzę, że tylko takie działanie mogłoby przynieść jakąkolwiek nadzieję na wyjaśnienie tej ponurej zbrodni.

Jest w tym wyznaniu głęboki sens, bo dziś rodzina Olewników ma prawo doznawać podobnych odczuć, jakich doświadczał autor „Boskiej komedii”, gdy wchodząc do Piekła przeczytał nad bramą napis - *„Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate”* - Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie.

GRUDZIEŃ 2011r.

04.12.2011 19:40 82

658. DWA ŚWIATY

Przedstawiona przed kilkoma dniami prezentacja sejmowego zespołu parlamentarnego ds. katastrofy smoleńskiej, była bez wątpienia najważniejszym wydarzeniem ostatnich miesięcy. Informacje ujawnione przez amerykańskich i polskich ekspertów obalają całą konstrukcję kłamstwa smoleńskiego i podważają podstawowe tezy moskiewsko-warszawskiej dezinformacji.

Wyniki badań naukowych, przeprowadzonych przez prof. Wiesława Biniendę i dr Kazimierza Nowaczyka przeczą oficjalnej

wersji katastrofy, wg której Tu-154 miał zaczepić o brzozę, w wyniku czego stracił fragment skrzydła, po czym obrócił się o

180 st. i spadł na ziemię. W przeciwieństwie do ustaleń Rosjan i anonimowych ekspertów tzw. komisji Millera, analiza

zespołu parlamentarnego oparta została na obiektywnych danych i przeprowadzona przy użyciu profesjonalnego

oprogramowania.

Wiemy zatem, że w ogóle nie doszło do żadnego zderzenia z brzozą, bowiem samolot przeleciał ok. 14 m nad drzewami, a część skrzydła stracił na wysokości 26 m nad ziemią, w momencie gdy nastąpiły dwa potężne wstrząsy, odnotowane przez skrzynkę parametrów lotu. Kilka sekund później, na wysokości ok. 15 m, samolot utracił zasilanie i przestał działać komputer pokładowy. Maszyna znajdowała się wówczas ok. 60 m przed miejscem pierwszego zderzenia z ziemią.

Przewodniczący sejmowego zespołu Antoni Macierewicz podsumował wyniki badań stwierdzeniem: „Trzeba jasno powiedzieć to, czego tak boją się rządcy i duża część establishmentu. Przeprowadzone analizy i badania wskazują z dużą dozą pewności, że do tragedii TU-154M w dniu 10 kwietnia 2010 r. doszło na skutek działania osób trzecich. Ta hipoteza śledcza - zawieszona, jak mówił prokurator Seremet, 1 kwietnia br. - musi być natychmiast podjęta na nowo.”

Nie ma oczywiście najmniejszych wątpliwości, że organy tego państwa nie tylko nie podejmą żadnych działań sprzecznych z wolą decydentów i interesami Moskwy, ale całkowicie zignorują twarde dowody przedstawione przez polsko-amerykański zespół naukowców. Kłamstwo - leżące u podstaw warszawsko-moskiewskiego sojuszu, jest bowiem bezbronne wobec racjonalnej argumentacji, zaś grupa rządząca nie zna innej narracji, prócz zapożyczonej od płk Putina.

Już publikacja Białej Księgi zespołu parlamentarnego PiS została przyjęta w zgodzie z tchórzliwą zasadą indoktrynacji, która mówi, że jeśli nie da się kłamać tak, by zachować przynajmniej pozory prawdy - należy szydzić z przeciwnika i milczeć co do faktów. Przemilczano zatem 19 niezwykle ważnych wniosków Białej Księgi, ograniczając reakcję do prostackich dywagacji o „fobiach i frustracjach Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza”. Ponieważ taka retoryka zadowala niewybredne potrzeby elektoratu partii rządzącej i wyczerpuje zdolności intelektu dziennikarskich demiurgów - również dziś zastosowano metodę ignorowania i ukrywania prawdy.

Warto sobie uświadomić, że obecna władza sięgnie po takie metody nawet wówczas, gdy niezależne gremium ekspertów przedstawi dowody na rosyjski zamach w Smoleńsku lub wskaże wprost na polskich wspólników Putina. Byłyby one skuteczne również w przypadku udowodnienia udziału w zbrodni lub potwierdzenia zarzutu zdrady. Bezgraniczne zaufanie, jakim Polacy darzą ośrodki propagandy, powszechne tchórzostwo i upośledzenie samodzielnego myślenia sprawia, że z zastron medialnego bełkotu nie przedrze się żadna, niewygodna dla władzy informacja.

Brak reakcji na prezentację sejmowego zespołu parlamentarnego po raz kolejny udowadnia, że tylko budowa własnych mediów i systematyczny, bezpośredni przekaz, mogą przełamać te ograniczenia.

Znajdujemy tu również potwierdzenie tezy o istnieniu dwóch, krańcowo odmiennych światów oraz dowód, że tylko uwzględnienie dychotomii My - Oni pozwala zrozumieć realia III RP, uniknąć złudzeń i pokusy budowania fałszywej wspólnoty.

W świecie wyznawców obecnej władzy oraz dla ludzi karmionych medialną breją - tragedia smoleńska stanowi zamknięty, historyczny rozdział, opisany kilkoma prostackimi definicjami. Nie wolno do niego wracać - tym bardziej, jeśli powrót oznaczałby wyrwanie ze stanu drętwoty, zmuszał do aktywnej refleksji lub rozstania z orężem nienawiści. Dla milionów Polaków narodowa tragedia skończyła się wraz z medialną żałobą i została zdefiniowana rosyjskimi kłamstwami. Głupota, tchórzostwo bądź na nowo wzniecony zabobon „realizmu geopolitycznego”, skutecznie wznoszą świat, w którym nie ma miejsca na prawdę o śmierci polskiej elity i rewizję dotychczasowych ustaleń.

Pora sobie uświadomić, że do tego świata nie przedrze się głos rozumu, rzeczowy argument bądź moralna racja. Stanowi enklawę, do której dostępu strzegą antypolskie i antyludzkie demony - hodowane przez dwudziestolecie III RP. Wyjść z niej jest równie trudno, jak przyjąć werdykt o śmiertelnej chorobie.

Jeśli stoimy dziś przed szansą rozwiania smoleńskiej mgły i odkrywamy makabryczną prawdę o pułapce zastawionej na polskiego prezydenta - trzeba także zrozumieć, jakie wyzwania przyniesie ta prawda i czego będzie wymagać. Nie da się jej ukazać korzystając z pośrednictwa ośrodków nienawistnej propagandy ani posługując martwym językiem politycznej poprawności.

Głos opozycji i głosy każdego z nas zabrzmią tylko wówczas, jeśli odrzucimy nierzeczywistość świata „onych” i przestaniemy liczyć się z dyktatem medialnych terrorystów. Warunkiem ujawnienia tej prawdy jest zbudowanie własnych mediów i prostego, jednowymiarowego języka przekazu, w którym nie będzie miejsca na relatywistyczny bełkot. Nie da się jej pokazać próbując połączyć dwa nieprzystawalne światy ani ulegając pokusie politycznej schizofrenii. To ich fałsz i ich niby-swiat muszą zniknąć.

07.12.2011 18:36 76

659. WOJNA CYWILIZACJI

„Europa zagrożona jest wojną nie z muzułmanami, ale z Rosją, dla której wartości cywilizacji europejskiej są całkowicie obce” - ostrzegł przed kilkoma dniami pierwszy prezydent niepodległej Litwy Vytautas Landsbergis podczas konferencji „Historia i pamięć. Sowiecka przeszłość 1952/90”. Jako główny problem Europy, Landsbergis wskazał na „amnezję, zapominanie o własnej historii i historycznej sprawiedliwości” i uznał, że skutki międzynarodowego kryzysu finansowego, „kryzysu uczciwości” zostaną wykorzystane przez Rosję do narzucenia Europie cywilizacji „pozbawionej sumienia”.

Po śmierci Lecha Kaczyńskiego nie ma dziś w Europie polityka zdolnego do równie dogłębnej i odważnej oceny rzeczywistości. To Landsbergis był autorem stwierdzenia, że „Lech Kaczyński stanowił przeszkodę dla planów współpracy z Rosją za wszelką cenę” i zauważył, że nikt w Europie nie postawi pytania: czy tragedia smoleńska była działaniem celowym, zamachem - w obawie przed narażeniem dobrych stosunków z Rosją. „Gdyby to się okazało prawdą” - konkludował Landsbergis, „pojawia się następne straszne pytanie - co robić? Nie ma odpowiedzi. Zerwać stosunki? Wszyscy się boją, nikt więc tego pytania nie zada”.

Od 10 kwietnia 2010 roku na tym lęku Rosja buduje swoją pozycję i poszerza obszar wpływów, przy czym proces ten bardziej przypomina wrogie działania zaczepne niż pokojową ekspansję. Kremlowscy stratedzy z sowieckich szkół KGB potrafią doskonale rozgrywać obawy i słabości polityków europejskich i przy udziale agentury oraz narzędzi dyplomatycznych i ekonomicznych prowadzą od dawna regularną wojnę cywilizacyjną.

Symbolem tego podboju nie musi być Nord Stream bądź zgoda na wejście Rosji do Światowej Organizacji Handlu. Wskazałbym raczej na postulat przyznania językowi rosyjskiemu statusu oficjalnego języka Unii Europejskiej. Taki projekt

został zgłoszony oficjalnie na forum UE przez łotewską europosłankę Tatianę Ždanok i został natychmiast wsparty przez ambasadora Rosji przy NATO Dmitrija Rogozina. Przyznał on, że władze FR zamierzają do tego celu wykorzystać przepis pozwalający na wniesienie pod obrady PE projektu ustawy, jeśli zostanie on zgłoszony przez milion obywateli Unii. Według Rogozina, w krajach UE mieszka kilka milionów Rosjan, którzy z radością poprą ten projekt. Status języka rosyjskiego miałby przyczynić się do „podniesienia prestiżu Rosji”, ale także do „rozwiązania problemów Rosjan w krajach bałtyckich”. Jest to pomysł niezwykle groźny i niesłusznie bagatelizowany, za którym kryją się prawdziwe plany kremlowskich siłowników.

Jeśli zauważyć, że przed rokiem uchwalono w Rosji doktrynę wojskową pozwalającą na interwencję zbrojną poza granicami FR, „wszędzie tam, gdzie naruszane są prawa obywateli rosyjskich”, zaś kwestie językowe należą do podstawowych „tematów zaczepnych” wykorzystywanych przez FR wobec Łotwy, Litwy bądź Estonii - nietrudno zrozumieć, do czego może zmierzać ów pozornie niewinny pomysł.

Ta sytuacja pokazuje również, jak Rosja postrzega instytucje unijne i w jaki sposób zamierza wykorzystać obecność swoich obywateli w państwach UE. Jest to przykład, który winien zmusić do refleksji tych wszystkich, którzy nadal lekceważą skutki obłądnego planu otwarcia polskiej granicy z obwodem kaliningradzkim i nie dostrzegają związanych z tym niebezpieczeństw.

Na przestrzeni ostatnich miesięcy można wskazać co najmniej kilkanaście decyzji lub wypowiedzi polityków rosyjskich formułowanych w trybie roszczeniowym i nacechowanych wrogością wobec Zachodu i Ameryki. Począwszy od żądania przekazania do Rosji „handlarza śmierci” Wiktora Buta, poprzez groźby szefa Rosyjskiego Stowarzyszenia Gazowego Walerija Jazewa pod adresem UE za wprowadzenie tzw. III pakietu energetycznego, po zapowiedź zerwania układu START i umieszczenie w Kaliningradzie radaru kontrolującego przestrzeń powietrzną całej Europy Zachodniej. Przed kilkoma tygodniami Rosjanie wprowadzili zakaz wjazdu dla 11 urzędników amerykańskich, m.in. związanych ze sprawą Wiktora Buta. Uczyniono to w odwecie za zakazanie wjazdu do USA 11 rosyjskim urzędnikom winnym śmierci Siergieja Magnitskiego, prawnika, który oskarżył grupę oficerów służb specjalnych, policji i urzędników skarbowych o wrogie przejęcie firm funduszu Hermitage. W tle tej decyzji warto odnotować odważną wypowiedź republikańskiego senatora Johna McCaina, który po upadku Kadhafiego wezwał Rosjan do podążenia za przykładem Libijczyków i powstania przeciwko reżimowi Putina. Wykorzystując słabość obecnej administracji amerykańskiej, Rosja zamierzała dyktować warunki w kwestii tarczy antyrakietowej i groziła zerwaniem przyszłorocznego szczytu Rady Rosja - NATO, jeśli dojdzie do umieszczenia w Europie elementów amerykańskiej instalacji. Początkowo - przy ogromnym wsparciu Niemiec - proponowano utworzenie wspólnego, rosyjsko-NATO -wskiego systemu i wpływu na decyzje o rozlokowaniu jego elementów na terytorium Sojuszu. Później Rosja zażądała gwarancji na piśmie, że system nie będzie jej zagrażał. Gdy oba żądania zostały odrzucone, Kreml wrócił do gróźb i zimnowojennej retoryki. Siergiej Ławrow oznajmił niedawno, że Moskwa podejmie kroki o charakterze wojskowo-technicznym, jeśli jej stanowisko w sprawie obrony przeciwrakietowej nadal będzie ignorowane przez USA i NATO.

To zachowanie potwierdza, jak ogromnym błędem była polityka „resetu” forsowana przez administrację Obamy i europejskich „przyjaciół Putina”. W jej efekcie doszło do tragedii smoleńskiej, ekspansji Gazpromu na rynki europejskie, umocnienia wpływów Kremla w państwach byłego bloku sowieckiego i wtargnięcia Rosji w politykę natowską. Historyczne, niewspółmierne do zagrożenia reakcje w sprawie defensywnych instalacji tarczy są przykładem skutecznego, propagandowego humbugu, pozwalającego Rosji na wymuszenie kolejnych ustępstw i usprawiedliwienie własnych, wrogich wobec Zachodu działań. Rozgrywając temat, dokończono m.in. budowę Nord Streamu, który w planach Kremla ma wagę kilkuset dywizji Armii Czerwonej. Od znaczenia politycznego i ekonomicznego tej inwestycji niemniej ważny jest fakt, że rurociąg przy odpowiednim „oprządkowaniu” będzie spełniał rolę 1200 kilometrowej, gigantycznej anteny, obejmującej swoim zasięgiem powierzchnię wielu tysięcy kilometrów kwadratowych.

W ostatnich tygodniach pojawiły się oznaki mogące sugerować odwrót od fatalnej polityki „resetu” i dostrzeżenie zagrożeń, o których mówił Vytautas Landsbergis. Choć trudno jeszcze ocenić, na ile są to trwałe tendencje, wydaje się, że stosunki z Rosją wkraczają powoli w nową, realistyczną fazę. Niewykluczone, że momentem przełomowym stało się ogłoszenie prezydenckiej kandydatury płk Putina i świadomość związanych z tym zagrożeń. Przez media europejskie przetoczyła się wówczas fala publikacji niezwykle krytycznie oceniających ten pomysł. Po raz pierwszy od wielu lat można było przeczytać tak negatywne opinie na temat władcy Kremla i prognozy, w których nie szczędzono przestróg związanych z perspektywą rządów Putina. Ponieważ większość tych głosów została całkowicie przemilczana przez polskojęzyczne media, warto przypomnieć o niektórych zdarzeniach.

Bez echa w Polsce przeszła publikacja Ivara Amundsen - dyrektora organizacji Chechnya Peace Forum „*Władimir Putin: Ostatni car Rosji?*”, w której autor przypominał o zbrodniach kremlowskiego reżimu i zasugerował, że prezydentura ma zapewnić Putinowi skuteczny immunitet na wypadek próby rozliczenia. W artykule podano również szczegółową informację o osobistym majątku Putina, z której wynika, że od dawna jest on najbogatszym człowiekiem świata.

Kilka dni później „The Daily Telegraph” ujawnił istnienie tajnej dyrektywy FSB z roku 2003, która zezwalała na „*eliminację w krajach bliskiej zagranicy i w państwach Unii Europejskiej liderów nielegalnych ugrupowań terrorystycznych i organizacji, formacji ekstremistów i stowarzyszeń, osób, które nielegalnie opuściły Rosję*” przez federalne organy ścigania. To na jej podstawie dokonano zabójstwa Aleksandra Litwinienki i planowano zamordowanie Ahmeda Zakajewa. Gazeta przypominała, że prezydentem Rosji był wówczas płk Putin, który przeforsował ustawy o „przeciwdziałaniu terroryzmowi” i dał FSB prawo do zabijania „terrorystów” za granicą i ostrzegła, że powrót Putina może oznaczać kolejną falę mordów politycznych. Wkrótce po tej publikacji, rząd brytyjski ogłosił, że zaprzestaje wymiany informacji wojskowych z Rosją na podstawie Traktatu o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie, ponieważ Moskwa odmawia jego wykonywania. Dostrzeżono wreszcie, że Rosja od czterech lat nie respektuje postanowień traktatu i odmawia dzielenia się informacjami wojskowymi.

W tym samym czasie pojawił się raport ministerstwa obrony Estonii, w którym ostrzegano, iż Rosja zwiększa wydatki militarne, podczas gdy państwa NATO prowadzą de facto politykę rozbrojenia sojuszu. Przypomniano, że do 2020 r. Rosja zaplanowała zainwestowanie 503 miliardów euro na obronę i „*jeśli nawet połowa tych pieniędzy zostanie rozkradziona, jest to wciąż ogromna suma, pozwalająca na stworzenie silnej armii*”. Nękana kryzysem Ameryka i kraje natowskie nie będą w stanie ponieść takich wydatków. Podkreślono również, że okres prezydentury Putina zostanie wykorzystany głównie dla wzmocnienia militarnej Rosji, a w przypadku nieuchronnego pojawienia się wewnętrznych problemów w tym kraju, Putin będzie zmierzał do wywołania globalnego konfliktu zbrojnego.

W październiku br. doszło do zatrzymania dwóch szpiegów rosyjskich, działających od 20 lat na terenie Niemiec. Ponieważ był to pierwszy tego rodzaju przypadek od czasu zjednoczenia Niemiec w roku 1990 - zdarzenie to można uznać wręcz za przełomowe. Aresztowanie agentów Kremla było również dowodem, że mimo skutków politycznego „resetu” nadal istnieje efektywna współpraca FBI z niemieckimi tajnymi służbami. Coraz częściej mówi się też o zagrożeniach rosyjskim cyber - szpiegostwem, kradzieży tajemnic handlowych i ryzyku ataków komputerowych ze strony Rosji. Ostrzeżenia tej treści zawarto w raporcie amerykańskiego kontrwywiadu, wskazując na Rosję i Chiny jako głównych agresorów.

Z kolej raport amerykańskiego ośrodka badań strategiczno-politycznych Stratfor przynosi mocną tezę, iż Rosja zamierza wykorzystać kryzys zadłużeniowy w Europie, aby zwiększyć swoje wpływy polityczne na kontynencie, poprzez skupowanie europejskich aktywów, zachęcanie do inwestowania w Rosji i oferowania finansowego wsparcia dla mechanizmu ratowania strefy euro. Zwraca się uwagę, że dzięki wysokim cenom ropy naftowej Rosja zgromadziła znaczne zapasy gotówki. Według oficjalnych danych, jej rezerwy walutowe wynoszą 580 miliardów dolarów, ale zdaniem Stratforu, ma jeszcze dodatkowe 600 mld dol. Daje to Rosji możliwości oddziaływania na pogrążoną w kryzysie Europę.

W wielu publikacjach zachodnich analityków pojawia się twierdzenie, że powrót Putina będzie prowadził do odbudowy „modelu państwa korupcyjnego”, zaś środki z eksportu ropy i gazu - podstawowego dochodu Rosji, zostaną wykorzystane dla zaspokojenia potrzeb skorumpowanych oligarchów, oficerów służb i urzędników, na których Putin oprze swoje rządy. Znana publicystka „Financial Times” Catherine Bolton w tekście „*Analiza: dopasowanie rzeczywistości do cara*” powołuje się na dokumenty dostarczone gazecie przez Siergieja Kolesnikowa - uciekiniera z Rosji. Kolesnikow już przed rokiem ujawnił informacje o ogromnych malwersacjach finansowych dokonywanych przez Putina i jego otoczenie, w związku z przekształceniami Banku Rossija. Na konta Putina i związanych z nim oligarchów miały trafić miliardy dolarów, m.in. dzięki przejęciu aktywów Gazpromu. Powrót do tego tematu może oznaczać, że inwestorzy zachodni okażą się znacznie ostrożniejsi w inwestycjach rosyjskich, a Putinowi niełatwo przyjdzie budowanie „prywatnego imperium”.

Szereg ostrych reakcji Kremla może z kolei świadczyć, że siłowicy dostrzegają poważną rysę na dotychczasowej polityce „resetu”. Wściekłość w Moskwie wywołały np. kontrole Komisji Europejskiej przeprowadzane w spółkach współpracujących i zależnych od Gazpromu, m.in. w polskim PGNiG, Gaz-Systemie oraz EuRoPol Gaz- ie. KE podejrzewa, że kontrolowane spółki mogą być zaangażowane w antykonkurencyjne praktyki albo mają informacje o stosowaniu takich praktyk. Podobnie zareagowano na krytyczne oceny Zachodu wobec pomysłu powołania Unii Euroazjatyckiej i wzmocnienia wpływów na obszarze postsowieckim. W odpowiedzi na krytykę, autor tych koncepcji - płk Putin poradził politykom zachodnim, by lepiej „*zajęli się swoimi problemami: walką z inflacją, rosnącym zadłużeniem państw i... otyłością*”. O tym, jak groźne dla kremlowskiego satrapy są głosy płynące z cytowanych powyżej publikacji świadczy fakt, iż doniesienia zagranicznych agencji zostały w Rosji objęte ścisłą cenzurą. Przed kilkoma dniami państwowa RIA Novosti nakazała swoim pracownikom, aby unikać cytowania krytycznych ocen na temat Putina zamieszczonych w prasie zachodniej. Do czasu wyborów prezydenckich przekłady z zagranicznej prasy mają być publikowane wybiórczo i zamieszczane na dalszych miejscach serwisów informacyjnych.

Szczególną złość Kremla wywołują te publikacje, w których analitycy wieszczą rychły upadek Putina lub przewidują wzrost znaczenia opozycji i wybuch rewolucji, która zmiecie dotychczasowy reżim. Obawy Putina dotyczą głównie oddziaływania internetu. By zapobiec rozprzestrzenianiu się takich koncepcji, rosyjska Rada Bezpieczeństwa i MSZ przygotowały projekt konwencji ONZ zatytułowanej „*O zapewnieniu międzynarodowego bezpieczeństwa informatycznego*”, w której wśród głównych niebezpieczeństw wymieniono: „*masową oddziaływanie psychologiczne na ludność w celu destabilizacji społeczeństwa i kraju*”, czyli e-rewolucję.

Jednak najmocniejszym dowodem końca polityki „resetu” może okazać się niedawne wystąpienie ministrów spraw zagranicznych Polski i Niemiec, którzy w liście do szefowej dyplomacji UE Catherine Ashton zaapelowali o „*europęską strategię w relacjach z Rosją*”. Napisano tam m.in. „*Chociaż zapowiadziana zamiana funkcji między prezydentem Dmitrijem Miedwiediewem a premierem Władimirem Putinem nie jest zachęcająca, musimy utrzymać kurs w kierunku ożywienia stosunków między UE a Rosją i przezwyciężenia politycznego oraz gospodarczego letargu*”. W języku dyplomacji zabrzmiało to niczym żałobny „łabędzi śpiew”.

Jeśli płk Putin został zmuszony, by otwarcie posłużyć się swoimi marionetkami i przyznać do potrzeby „*przezwyciężenia letargu*”, istnieje szansa, że dotychczasowa polityka bliska jest bankructwa i w niedalekiej przyszłości czeka nas korzystny „restart” w stosunkach z „*cywilizacją pozbawioną sumienia*”.

09.12.2011 18:56 28

660. WITAJCIE W UKŁADZIE WARSZAWSKIM

„Gdyby nie Armia Czerwona, to Polacy byłiby dziś służącymi i prostytutkami u Aryjczyków” - zapewniał nas jeszcze przed dwoma laty Siergiej Markow, przedstawiciel putinowskiej „Jednej Rosji”, w reakcji na uchwałę Sejmu RP ws. agresji ZSRR na Polskę.

Tragedia smoleńska i „*pochowanie katyńskiej kości niezgody w relacjach Warszawy i Moskwy razem z prezydentem Lechem Kaczyńskim*” zakończyły jednak ten okres błędów i wypaczeń w stosunkach warszawsko-moskiewskich. Członkowie „partii rosyjskiej” w Polsce mogą zatem bez przeszkód kultywować pamięć o dobrodziejstwach doznanych od Armii Czerwonej i z wdzięcznością wspominać okres zażytych kontaktów sojuszniczych.

Wyznanie uczynione przed rokiem przez Bronisława Komorowskiego, iż „*w porozumieniu z premierem jest już przygotowywana strategia naszego wyjścia z NATO*” - wcale nie musiało być językowym lapsusem. Mogło natomiast potwierdzać, że obecny lokator Belwederu cierpi na rodzaj słownego refluksu i czasami dzieli się ze słuchaczami treścią tego co usłyszał lub o czym miał zapomnieć. Wybitny znawca poglądów członków „partii rosyjskiej” Konstantin Kosaczow - szef komisji spraw zagranicznych rosyjskiej Dumy, po wygranych przez Komorowskiego wyborach prezydenckich, trafnie stwierdził, że „*z Polską, gdzie prezydentem jest pan Komorowski, a rządem kieruje pan Donald Tusk, będzie się nam udawać, jak sądzę, znajdować punkty styczne i porozumienie znacznie bardziej konsekwentnie i konstruktywnie niż działa się to dotychczas w warunkach stałego współzawodnictwa prezydenta i rządu*.”

Nie powinno zatem dziwić, jeśli największą troską Bronisława Komorowskiego w trakcie ubiegłorocznego szczytu NATO w Lizbonie była kwestia „zbliżenia” Rosja-NATO, a polityk Platformy nie ukrywał swojej roli rzecznika interesów Kremla. „*Sojusz podkreślił chęć budowy systemu, który byłby w stanie współpracować z systemem rosyjskim. Ze strony rosyjskiej padły słowa, które świadczą o pełnym zrozumieniu dla takiego rozwiązania. Ze strony prezydenta Miedwiediewa została*

złożona bardzo ważna deklaracja, że Rosja zaakceptuje głębokość tej współpracy w zależności od propozycji sojuszu” - perorował w Lizbonie Komorowski.

„My jesteśmy krajem na krawędzi systemu natowskiego i w sposób szczególny musimy o to zabiegać” - dodał wówczas Komorowski - podkreślając, iż jego zdaniem, nie ma żadnej sprzeczności „między dbałością o zwartość i sprawność sojuszu obronnego a otwarciem na zewnątrz i szukaniem partnerskich rozwiązań także z krajami spoza sojuszu.”

Ta myśl była w zaskakujący sposób zgodna z projektem tzw. "sektorowej obrony przeciwrakietowej" przedstawionym przez Dmitrija Miedwiediewa podczas posiedzenia Rady NATO-Rosja w Lizbonie. Zakładał ona roztoczenie przez Federację Rosyjską „parasola antyrakietowego” nad Europą. Relacjonujący tę koncepcję dziennik "Kommiersant" twierdzi, iż „Miedwiediew zaproponował NATO zbudowanie takiego wspólnego systemu obrony przeciwrakietowej, w którym Rosja będzie chronić Europę przed ewentualnym zagrożeniem rakietowym w zamian za analogiczne zobowiązanie Zachodu.”

Wprawdzie projekt rosyjski został odrzucony przez NATO, zaś Rosja wróciła do zminowojennej retoryki i gróźb pod adresem paktu - nie ma to jednak najmniejszego wpływu na rozwój „partnerskiej współpracy z krajami spoza sojuszu”, przy czym proces ten coraz mocniej zdaje się przypominać budowanie nowej struktury Układu Warszawskiego.

Już na przełomie lutego i marca 2010 roku do MON trafiło pismo attache wojskowego rosyjskiej ambasady ws. „wzmocnienia dwustronnej współpracy”. Rosjanie zaproponowali wówczas współdziałanie Marynarek Wojennych obydwu państw na Morzu Bałtyckim, nawiązanie kontaktów dowódców jednostek przygranicznych i zgrupowań wojskowych oraz organizację nauczania polskich oficerów w rosyjskich ośrodkach szkolenia. Kwestie te były omawiane na spotkaniu przedstawicieli obydwu stron w Moskwie 22-24 marca 2010 r.

Pod koniec czerwca 2010 informowano o podpisaniu umowy o współpracy wojskowej z przedstawicielem innej „partnerskiej armii”. Mianowany przez Komorowskiego nowy szef Sztabu Generalnego WP gen. Mieczysław Cieniuch spotkał się wówczas z szefem Sztabu Generalnego Białorusi gen. Tichonowskim, zaś przedmiotem współpracy stało się. „planowanie, prowadzenie i obserwacja ćwiczeń, a także szkolenie wojsk i dowództw oraz wykorzystanie poligonów”. W sierpniu 2010 zawiązał do Warszawy szef rosyjskiego Sztabu Generalnego gen. Nikołaj Makarow. Gen. Cieniuch zaproponował wówczas Rosjanom „wymianę doświadczenia w sferze unowocześnienia sił zbrojnych i nawiązanie roboczych stosunków między wojskowymi pododdziałami Wojsk Lądowych, Sił Powietrznych oraz Marynarki Wojennej, dyslokowanych w przygranicznych rejonach.”

Zaplanowano także prowadzenie i obserwację wspólnych ćwiczeń, oraz szkolenie wojsk i dowództw. Za moment decydujący o powrocie do koncepcji Układu Warszawskiego-bis można uznać wizytę sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Nikołaja Patruszewa, zaproszonego na obchody dwudziestolecia prezydenckiego BBN-u. Nawet rządowe media nie chwaliły się wówczas podpisaniem z Rosją „Planu współpracy między Biurem Bezpieczeństwa Narodowego i Aparatem Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej na lata 2011-2012”, a jeszcze mniej mówiono o spotkaniu generała KGB Patruszewa z ministrem ON Klichem, podczas którego „omawiano warunki współpracy przygranicznych jednostek wojskowych i Marynarki Wojennej w przypadku wystąpienia różnego rodzaju sytuacji kryzysowych”.

Przed dwoma miesiącami Wojsko Polskie odnalazło kolejną „partnerską armię”. Nastąpiło to w Pekinie, gdzie dowódca Wojsk Lądowych generał Zbigniew Głowienka spotkał się z chińskim ministrem obrony Liang Guanglie. Chińska agencja Xinhua poinformowała, że „w trakcie rozmowy obie strony zobowiązały się do zwiększenia współpracy militarnej”. Minister Liang zapewnił zaś polskiego gościa, iż „chińskie siły zbrojne są skłonne zwiększyć pragmatyczną współpracę z Wojskiem Polskim i dążyć do wyniesienia wzajemnych stosunków na wyższy poziom”. Towarzyszom chińskim musiały spodobać się ciepłe słowa gen. Głowienki, który pogratulował Chinom „osiągnięć na drodze rozwoju” i zapewnił, że „Wojsko Polskie jest otwarte na rozszerzenie wymiany i zacieśnienie współpracy ze stroną chińską” wyznając także, iż „doświadczenia Chin w zakresie budowania armii są wartościowe i Polska powinna z nich skorzystać”.

Kulminacją procesu „szukania partnerskich rozwiązań” nastąpiła na początku tego tygodnia w Moskwie, gdzie na zaproszenie Rosjan udał się z wizytą szef Sztabu Generalnego WP gen. Mieczysław Cieniuch. W lakonicznym komunikacie MON, przypominającym mocno retorykę „minionego okresu” stwierdzono, iż „6 grudnia br., szefowie sztabów Polski i Federacji Rosyjskiej odbyli dwustronne rozmowy. Podczas spotkania omówiono perspektywę aktywizacji dwustronnej współpracy wojskowej, wymieniono informacje na temat zmian wprowadzanych w siłach zbrojnych obu państw, a także dokonano przeglądu możliwości współpracy szkoleniowej w zakresie kształcenia oficerów oraz przygotowania pododdziałów do udziału w operacjach i misjach.”

Poinformowano także, że „w ostatnich dwóch latach przeprowadzono jeszcze kilka (cztery) spotkań między wysokimi przedstawicielami wojskowymi, w trakcie których obie strony potwierdzały zamiar kontynuowania współpracy i zacieśniania wzajemnych kontaktów wojskowych”, zaś gen Cieniuch potwierdził, iż „jesteśmy zainteresowani współpracą wojskową z Siłami Zbrojnymi Federacji Rosyjskiej i dostrzegamy szereg możliwych jej płaszczyzn.”

Nieco więcej informacji przekazały media rosyjskie. Wiemy zatem, że z wizyty polskich gości zadowolony był szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych FR generał armii Nikołaj Makarow. „W ostatnich latach stosunki Rosji i Polski we wszystkich dziedzinach, w tym także w politycznej i wojskowo-technicznej, były napięte, lecz od czasu ostatniej wizyty w Warszawie udało się je zepchnąć z martwego punktu.” - uznał Makarow i dodał, że „nadszedł ten okres, w którym powinniśmy stworzyć punkty wyjściowe, gdyż jesteśmy sąsiednimi państwami, musimy więc koegzystować ze sobą w warunkach przyjaźni i zrozumienia wzajemnego”. Poinformował także, że w trakcie przeprowadzonych negocjacji „dowódcy wojskowi dwóch krajów sprecyzowali wspólne akcje, jakie armie Rosji i Polski planują przeprowadzić w okresie od 2012 do 2014 roku.” Omówiono również „zagadnienia, dotyczące rozmieszczenia europejskiego systemu obrony przeciwrakietowej.”, zaś deklarację gen Cieniucha: „dziś jesteśmy gotowi do omawiania wszystkich skomplikowanych zagadnień” - powitano z radością.

Przypominając przed dwoma tygodniami „Rekomendacje dla Polski” i opracowywany pod okiem Komorowskiego „Strategiczny Przegląd Bezpieczeństwa Narodowego” zacytowałem niektóre z zaleceń zawartych w sztandarowym dokumencie opracowanym na potrzeby BBN-u. Zapisano tam postulat zmierzający wprost do rozbrojenia polskiej armii:

„Z racji tego, że w średnioterminowej perspektywie nie należy się spodziewać bezpośredniego zagrożenia naszego terytorium ani zagrożenia naszych sojuszników, specjalny wysiłek na rzecz dobrodzenia polskiej armii nie wydaje się konieczny. Wystarczy unowocześnianie posiadanego uzbrojenia i zwiększanie interoperacyjności z armiami naszych sojuszników.”

Zawarto również uniwersalną sugestię, nad którego sensem powinni się natychmiast pochylić politycy opozycji - *„Warunkiem jaki musimy zaakceptować, co wymaga kroku do przodu ze strony Polski i całej wspólnoty atlantyckiej, jest porozumienie z Rosją taką jaka ona jest i chce być.”*

Dopiero z tej perspektywy można dostrzec w jakim kierunku zmierza polityka grupy rządzącej oraz zauważyć wręcz niezwykłą korelację z myślą wyrażoną niedawno przez organ Kremla „Moskowskiej Komsomolec”. Zastanawiano się tam - *„czy Polska i Rosja mogą być już na zawsze słowiańskimi siostrami”*, by dojść do konkluzji, że *„prawdziwe pojednanie będzie możliwe, gdy przyjemy siebie nie takimi, jakimi byśmy chcieli, żeby była ta druga strona, ale takimi jakimi naprawdę jesteśmy”*.

Czytając relacje rosyjskich mediów z wizyty szefa armii III RP odnoszę nieodparte wrażenie historycznego déjà vu. Cokolwiek znaczy - *„zepchnięcie z martwego punktu”* - w słowach rosyjskiego generała odnajdziemy pamięć o relacjach, które zniewalały Polaków przez dziesięciolecia i trzeba wyjątkowej amnezji lub cynicznej podłości, by w realiach współczesnej Rosji dostrzec możliwość *„koegzystowania ze sobą w warunkach przyjaźni i zrozumienia wzajemnego”*.

Gdy przed dwoma laty przywódca rosyjskich komunistów Ziuganow napisał, że *„bracia Kaczyńscy niepotrzebnie wyskakują z portek - nie uda im się napisać historii od nowa”* - trzeba było kolejnego roku i doświadczenia Smoleńska, żeby zrozumieć intencje kremlowskiego kacyka. Ile jeszcze potrzebujemy czasu, by dostrzec, że grupa rządząca uczyniła właśnie milowy krok w stronę historii pisanej przez Rosję?

16.12.2011 17:47 44

661. CIĘŻAR KŁAMSTWA

Do dziś w narracji publicznej na temat pułkownika Ryszarda Kuklińskiego, obowiązują zasady ustalone przez esbeckich propagandystów, a następnie utrwalone w wystąpieniach rzecznika peerelowskiej junty Jerzego Urbana. Zostały sformułowane w treści dwóch dokumentów: sporządzonej w MSW *„Notatki dot. argumentów i tez kontrpropagandowych wobec wywiadu R. Kuklińskiego dla „Kultury”* oraz *„Koncepcji zdyskontowania publikacji R. Kuklińskiego w czasie konferencji prasowej”* autorstwa politruków z LWP. Z tego zasobu pochodzą podstawowe epitety, jakimi do dziś opisuje się postać pułkownika. „Zdrajca”, „dezterter”, „agent i szpieg CIA”, „megaloman i prowokator”, „rzekomy ideowiec i zbawca Polski”, „człowiek który opluwa i szkaluje Solidarność” - to tylko niektóre z określeń zaproponowanych Urbanowi przez SB. III RP - kontynuując kłamstwa PRL-u przedstawia osobę płk Kuklińskiego w zgodzie z tym wzorcem i przez dwa dziesięciolecia utrzymuje Polaków w przeświadczeniu, iż mają do czynienia co najmniej z postacią „kontrowersyjną” i „niejednoznaczną”. Na podobnej zasadzie interpretuje się także przyczyny wprowadzenia stanu wojennego, korzystając do dziś z argumentów zawartych w tajnym opracowaniu: *„Propozycje działań związanych z ósmą rocznicą wprowadzenia stanu wojennego w Polsce”* z listopada 1989 roku, przygotowanym w tzw. Zespole Programującym KC PZPR, MON, MSW i Prokuratury Generalnej. Tam właśnie sformułowano generalną tezę historiozofii III RP, w której stan wojenny nazywa się „mniejszym złem”: *„W propagandzie należy łączyć rzeczową analizę przyczyn wprowadzenia stanu wojennego z ukazywaniem tego, w jaki sposób przerwanie groźnego biegu wydarzeń z 1981 r. umożliwiło późniejsze porozumienie, a w efekcie „okrągły stół” i głęboką transformację systemu politycznego Polski. Szczególnie mocno powinien być wyeksponowany motyw „mniejszego zła”*.

Jedno z najbardziej ordynarnych kłamstw związanych z postacią pułkownika Kuklińskiego dotyczy zarzutu nieprzekazania informacji o planach wprowadzenia stanu wojennego. Po raz pierwszy argument ten pojawił się na konferencji prasowej Urbana w roku 1986, gdy rzecznik wojskowej junty szkalował skazanego na śmierć pułkownika, działając ściśle według esbeckich instrukcji. Urban dowodził wówczas, iż Amerykanie (i Kukliński) zachowali się „nielojalnie” nie zawiadamiając ani „Solidarności”, ani Kościoła w Polsce o planowanym stanie wojennym, o czym przecież dzięki Kuklińskiemu doskonale wiedzieli. Interpretacja zmierzała do wykazania, jakoby nie informując „polskich sojuszników” o zamiarach rozwiązań siłowych Amerykanie chcieli doprowadzić w ten sposób do rozlewu krwi, zaś sam pułkownik okazywał obojętność wobec losu zdradzonych rodaków.

Urban twierdził też, że prezydent Reagan *„mógł zapobiec aresztowaniom i internowaniom”* przywódców „Solidarności”, ale nie zrobił tego, gdyż miał nadzieję sprowokować *„krwawą łaźnię na europejską skalę”*. Miał zamiar użyć „Solidarności” jako narzędzia w geopolitycznej rywalizacji ze Związkiem Sowieckim. Reagan - uważał Urban - *nie był przyjacielem Polski, a jego polityka była „moralnie odrażająca”*.

Tą samą argumentację odnajdziemy w artykule Andrzeja Brzezieckiego w „Gazecie Wyborczej” z roku 2009 - *„Zachód wiedział, niewiele powiedział”*, w którym autor pytał:

„Co „Solidarność” zrobiłaby z wiedzą o stanie wojennym? I tak musiałaby ulec przemocy. [...] Kukliński nie znał dokładnej daty wprowadzenia stanu wojennego, ale „Solidarność” mogłaby w porę zabezpieczyć część sprzętu, wycofać pieniądze związkowe z kont, mogłaby wreszcie nie zwotywać bez troski do Gdańska całej Komisji Krajowej. Wszystko to wpłynęłoby kapitalnie na formę działalności opozycji po 13 grudnia. [...] Tej szansy nie dał jednak „Solidarności” Waszyngton.” Autor GW twierdził, jakoby „Kukliński był przekonany, że Amerykanie uprzedzili o stanie wojennym Polaków. Amerykanie tego nie zrobili. I to pokazuje, jak instrumentalnie traktowali i Kuklińskiego, i Polskę.” oraz dywagował: *„W cynicznej postawie Zachodu ginie bohaterstwo Kuklińskiego. Per saldo stan wojenny opłacił się Waszyngtonowi, był argumentem na rzecz wyścigu zbrojeń, pozwalał grzmieć na komunistów z moralnych wyżyn, ale nie zmuszał do ryzyka bezpośredniego zaangażowania.”*

Wprawdzie w roku 2000 historyk CIA Benjamin B. Fischer w artykule „Utracona cześć pułkownika Kuklińskiego”, („Studies in Intelligence” nr 9, 2000) przedrukowanym przez „Rzeczpospolitą” (nr 299/2000) skutecznie rozprawił się z tezami komunistycznej propagandy i wykazał na czym polegało urbanowskie kłamstwo - do dziś jednak pokutuje przeświadczenie, że w roku 1981 Amerykanie i Kukliński „zdradzili” polskie społeczeństwo.

Jak bardzo bano się ujawnienia prawdy niech świadczą fakt, że w roku 1994 dokonano włamania do redakcji „Tygodnika Solidarność”, gdzie znajdowały się kopie dokumentów przekazanych przez Kuklińskiego dziennikarce tygodnika Marcie Miklaszewskiej podczas wywiadu przeprowadzonego z pułkownikiem w USA. Z redakcji skradziono wówczas kopie telegramów podpisanych przez Jacka Stronga (pseudonim Kuklińskiego) informujące właśnie o zamiarze wprowadzenia stanu wojennego.

Sam Ryszard Kukliński zdawał sobie sprawę z wagi tych oskarżeń. W wywiadzie udzielonym paryskiej „Kulturze” nr 4/475, z kwietnia roku 1987, wiele miejsca poświęcił wyjaśnieniu przyczyn swojej postawy i podkreślił, że zdecydowałby się

na publiczne ujawnienie planów stanu wojennego, gdyby w ocenie skutków tej decyzji kierował się wyłącznie emocjami. Warto przypomnieć ówczesną argumentację pułkownika i podkreślić fakty, o których milczą współcześni apologeti urabanowskich łgarstw. Kukliński dowodził zatem, że decyzja o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, w początkach listopada była nieodwołalna, a operacje stanu wojennego miały prowadzić wyłącznie siły policyjno-wojskowe. „Gdyby jednak z jakichkolwiek powodów nie były one w stanie złamać oporu społeczeństwa, do akcji miały wkroczyć czekające u granic Polski w pełnej gotowości dywizje radzieckie, czeskie i niemieckie. W dniu 7 listopada 1981 roku (gdy Kukliński opuścił Polskę, przyp. moje) do uruchomienia całej policyjno-wojskowej maszyny wystarczyło tylko naciśnięcie przysłowiowego guzika. Jedyńm problemem do rozwiązania pozostało spreparowanie [...] pretekstu do rozpoczęcia konfrontacji oraz wybór najlepszego momentu uderzenia.” Wnioski były logiczne: „Ujawnienie przeze mnie planów uderzenia nie mogło ich w żadnym stopniu udaremnić lub choćby opóźnić. Mogło je tylko przyspieszyć.” - uznał Kukliński i zauważył, że „jeśli Solidarność uwierzyła w to ostrzeżenie, wówczas niemal na pewno doszłoby do natychmiastowego ogłoszenia strajku generalnego, a w konsekwencji do zorganizowanego oporu w setkach fabryk, zakładów pracy i uczelni”. „Wiedziałem - twierdził pułkownik, „ze w takiej sytuacji [...] musiałoby nastąpić uderzenie sił pancernych, przede wszystkim czołgów; ze wreszcie przy ewentualnym powszechnym oporze ludności, sił polskich byłoby za mało i na pewno do akcji wkroczyłyby również pozostające w strategicznych rezerwach dywizje radzieckie, a nawet czeskie i niemieckie”.

Konkluzja ujawniała tragizm dylematu, przed którym stał wówczas Kukliński:

„Nie mogłem wziąć na siebie odpowiedzialności za tego typu posunięcie. Powiem więcej, gdyby ktokolwiek inny, łącznie z rządem Stanów Zjednoczonych chciał takie ostrzeżenie przekazać, to mógłby to uczynić tylko wbrew mojej opinii. Zdawałem sobie sprawę, że powstrzymanie się od takiego ostrzeżenia może się kiedyś w przyszłości spotkać z krytyką. Krytykę te przyjmuję w pokorze. [...] Dziś - mimo ciężącego na mnie wyroku śmierci - śpię spokojnie, dlatego, że na moim sumieniu nie ciąży żadne ludzkie życie.”

Tego samego nie mogą powiedzieć twórcy stanu wojennego, skazujący na śmierć setki swoich rodaków - w imię obrony interesów sowieckiego okupanta. Nie mogą tego powiedzieć również ci z propagandystów III RP, którym urbanowskie kłamstwa są bliższe niż świadectwo polskiego bohatera. Józef Szaniawski opowiadając przed laty o śmierci pułkownika przypomniał, że była ona następstwem wylewu, którego Kukliński doznał, gdy pracował nad odpowiedzią na paszkwil Bartosza Węglarczyka z „Gazety Wyborczej”. Gazeta zamieściła wówczas recenzję książki Benjamina Weisera „Ryszard Kukliński. Życie ściśle tajne”. Recenzja została tak skonstruowana i zmanipulowana, iż wynikało z niej, że Kukliński potwierdza motywy wprowadzenia stanu wojennego, o których mówi generał Jaruzelski.

Komunistyczne kłamstwo, które w latach 80. miało zabić prawdę o bohaterstwie pułkownika i skazać go na miano „zdrajcy” dopadło go po latach, w „wolnej Polsce”.

19.12.2011 20:59 49

662. KURACJA - CZYLI SOWA NA WOJNIE

„Jest pewne, że tożsamość gen. Dukaczewskiego na wieki wieków będzie wypełniona istotnym elementem - bólem egzystencjalnym po utracie WSI. No trudno, gen. Dukaczewski będzie się musiał z tym pogodzić - był szefem WSI, ale WSI zostały zlikwidowane, w mojej ocenie zresztą za późno. Zachowanie zdrowego dystansu do formacji, w której się pełnił lub pełniło służbę, jest warunkiem zachowania zdrowia psychicznego, i to radzę gen. Dukaczewskiemu. Nie wszystko, co robiły WSI, było świetne, profesjonalne. Wysoki profesjonalizm WSI to mit.” - mówił w czerwcu br. Grzegorz Reszka, były p.o. szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego, w wywiadzie udzielonym „Gazecie Polskiej”.

„Egzystencjalny ból” po stracie WSI wydaje się rodzajem przypadku, która dotknęła nie tylko Marka Dukaczewskiego, a jej zasięg przypomina dziś „elitarną” epidemię. Po roku 2006 ten sam ból odczuwało szereg tzw. publicystów i dziennikarzy III RP oraz rzesza szacownych polityków - z prawej i lewej strony sceny politycznej.

Był to ból dotkliwy, słuszny i nieutulony. Likwidacja WSI - owego „peryskopu, za pomocą którego Rosjanie pozyskiwali wiedzę o mechanizmach funkcjonowania naszego państwa” (jak określił tę służbę prof. Zybortowicz) sprawiła, że funkcjonujący dotąd triumwirat III RP (służb-biznesu-polityki) został mocno zdeorganizowany i osłabiony. Dlatego bezwzględny priorytetem rządu Donalda Tuska stało się przywrócenie wpływów tego środowiska. Z chwilą przejęcia władzy przez Platformę wszelkie działania rządu zostały ukierunkowane na zablokowanie procesu weryfikacji żołnierzy WSI, przejście nowopowstałych służb wywiadu i kontrwywiadu wojskowego oraz pełną reaktywację postkomunistycznego układu. Tuż po powstaniu rządu PO-PSL nastąpiły czystki w służbach specjalnych, szykany wobec szefów służb; nagonka na Mariusza Kamińskiego, oskarżenia przeciwko Świączkowskiemu, przesłuchania i represje wobec funkcjonariuszy kontrwywiadu wojskowego. Jedną z pierwszych decyzji nowego rządu było powołanie na stanowisko dyrektora Departamentu Kadr MON gen. Janusza Bojarskiego, byłego szefa WSI.

Zmiana ekipy politycznej uaktywniła również obrońców tej służby. Już w listopadzie 2007 r. złożono do TK wnioski o stwierdzenie niezgodności z konstytucją niektórych przepisów ustawy wprowadzającej ustawę o SKW i SWW. Kolejne miesiące przyniosły szereg zawiadomień do prokuratury przeciwko członkom Komisji Weryfikacyjnej oraz zawiadomień i pozwów przeciwko Antoniemu Macierewiczowi. W czerwcową noc 2008 roku, Sejm głosami obecnej koalicji uchwalił nowelizację ustawy o SKW i SW, która faktycznie zakończyła proces weryfikacji. W uzasadnieniu noweli napisano: „Projektowane przepisy generalnie otworzą drogę żołnierzom zawodowym zniesionych Wojskowych Służbach Informacyjnych do „zagospodarowania ich” niezależnie od faktu czy Komisja Weryfikacyjna wyda, czy też nie, swoje stanowisko.”

Intencje rządu wobec żołnierzy WSI zostały ujawnione w ówczesnym komunikacie MON, w którym napisano: „ministerstwo stoi na stanowisku, iż nie można im odbierać szansy udowodnienia, że są dobrymi fachowcami, a ich wiedza i doświadczenie mogą być w dalszym ciągu wykorzystywane w odnowionych służbach wywiadu i kontrwywiadu wojskowego”.

Na wszelkie sposoby utrudniano pracę Komisji Weryfikacyjnej, zniesławiano i zastraszano jej członków, a wokół procesu likwidacji wytworzono atmosferę oskarżeń i klimat działań nielegalnych. Pod koniec 2007 roku rozpoczęto kombinację operacyjną z udziałem ludzi WSW/WSI, szefostwa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego, nazwaną przeze mnie aferą marszałkową. Polegała na działaniach zmierzających do uzyskania dostępu do tajnego aneksu z Raportu z Weryfikacji WSI, a gdy okazało się to niemożliwe, na zdyskredytowaniu członków Komisji Weryfikacyjnej i dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego. Działania te mogły również mieć

na celu dezawuowanie treści zawartych w aneksie oraz uprzedzenie ewentualnych zarzutów dotyczących powiązań polityków PO ze środowiskiem byłych WSI.

Częścią operacji prowadzonej m.in. przez rządowe media była kampania oszczerstw i pomówień pod adresem Antoniego Macierewicza oraz akcja dezinformacji na temat skutków likwidacji wojskowych służb. Zadanie było o tyle łatwe, że zdecydowana większość Polaków nie mając żadnej wiedzy na temat działania tych służb i ich historii, ulegała komunałom podawanym przez dyspozycyjne media. Wiedzę na temat likwidacji WSI odbiorcy mieli czerpać głównie od brylującego w przekazach medialnych gen. Marka Dukaczewskiego.

Jednocześnie prokuratura wojskowa umarzała kolejne postępowania prowadzone na skutek zawiadomień złożonych przez Komisję Weryfikacyjną WSI, przy czym opinia publiczna nie miała żadnych możliwości, by dowiedzieć się, na jakiej podstawie dochodziło do umorzenia. Żadna ze spraw nie została rozpatrzona przez sąd i w żadnej nie pozwolono na uchylenie rzekomych tajemnic wojskowych służb. Mimo, iż prokuratorskie decyzje o umorzeniu nie mają mocy rozstrzygnięć sądowych, nie korzystają z tzw. powagi rzeczy osądzonej, są tajne i pozbawione uzasadnień - zostały przez media i środowisko byłych WSI okrzyknięte koronnymi dowodami „niewinności”. Odbiorcy tak spreparowanego przekazu mieli nabrać przekonania, że likwidacja WSI była szkodliwa dla Polski, a sam likwidator i jego Raport nie zasługują na zaufanie.

Oceniając dzisiejszą informację nt wniosku prokuratury o uchylenie immunitetu Antoniemu Macierewiczowi, warto dostrzec, że poprzedziły ją intensywne działania żołnierzy i funkcjonariuszy byłych WSI skupionych w stowarzyszeniu „Sowa”.

W sierpniu 2010 roku „Sowa” złożyła do Prokuratury Rejonowej zawiadomienie o „*podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez Przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej*” oraz wystąpiła do RPO i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka w Polsce z prośbami o objęcie „*zakresem ich możliwego działania spraw w obszarze zmierzającym do naprawy niezgodnego z Konstytucją RP prawa*”. 21 września 2010, w nawiązaniu do wcześniejszego zawiadomienia „Sowa” złożyła w prokuraturze „*pismo procesowe zawiadamiającego zawierające opis poszczególnych przestępczych zachowań osoby podejrzanej*”. Jednocześnie stowarzyszenie zwróciło się do szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego z informacją „*o ujawnieniu nowych informacji i okoliczności, które wpływają na treść Raportu o działaniach żołnierzy i pracowników WSI*”, oraz prośbą o sporządzenie uzupełnienia Raportu dołączając m.in. „*orzeczenia sądów, postanowienia prokuratury i ogólne analizy wykonane przez stowarzyszenie SOWA*.” Miesiąc później ludzie byłych WSI wystąpili do przewodniczącego sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka „*z prośbą o objęcie obszarem działania Komisji bezczynności organów Państwa wobec krzywd wyrządzonych publikacją nieprawdziwych danych w Raporcie o działaniach żołnierzy i pracowników WSI*”.

Na skutek zawiadomienia złożonego w sierpniu 2010 roku, postanowieniem z dn. 29 listopada 2010 r prokuratura podjęła śledztwo „*w sprawie przekroczenia uprawnień służbowych i niedopełnienia obowiązków przez Przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej przez zawarcie nierzetelnych danych w opracowanym raporcie*”. Kilka dni później, stowarzyszenie złożyło kolejne „*pismo procesowe zawiadamiającego*” informując „*o ustaleniu nowych okoliczności, wskazujących na uzasadnione podejrzenie naruszenia przepisów ustawy o ochronie danych osobowych przez Przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej*”

W piśmie zatytułowanym „Wprowadzenie” zamieszczonym na stronie internetowej stowarzyszenia „Sowa” można m.in. przeczytać:

„*Nie żyjemy żalu do polityków PO, że przy ich akceptacji zostały rozwiązane Wojskowe Służby Informacyjne - każda władza ma prawo kształtować struktury państwowe według swoich wyobrażeń i pomysłów. Jednak nie możemy zrozumieć, dlaczego politycy PO do dziś nie rozliczyli członków Komisji Weryfikacyjnej, na czele z jej przewodniczącymi, za niezgodne z prawem wykonanie powierzonych im zadań - za popełnione przestępstwa w czasie przeprowadzania weryfikacji, za tendencyjny Raport i Aneks oraz za brak Sprawozdania z działalności komisji, którego wymagała ustawa uchwalona przez Sejm RP.*”

Gen. Marek Dukaczewski w piśmie skierowanym do premiera Tuska z 25 maja br. przypomniał również o „problemach” środowiska WSI:

„*Pragnę podkreślić, że do chwili obecnej nasze problemy nie zostały rozwiązane mimo deklaracji przedwyborczych partii Pana Premiera oraz oburzenia wyrażonego w tzw. "Antyraporcie", jak również mimo uchwalenia przez posłów Platformy Obywatelskiej zmian w ustawie znoszącej WSI w dniu 25 lipca 2008 r., która nie uwzględnia zapisów zawartych w wyrokach Trybunału Konstytucyjnego*”.

Odpowiedź z dnia 8 czerwca 2011 roku, udzielona generałowi przez Grzegorza Szymańskiego - z-cę dyrektora Centrum Informacyjnego Rządu dowodzi, że Dukaczewski nazbyt pochopnie ocenił bezczynność rządu. Dyrektor CIR przypominał bowiem, że już w listopadzie 2010 roku Tusk (zarządzeniem nr 80) uchylił decyzję premiera Jarosława Kaczyńskiego zawartą w zarządzeniu nr 53 z 29 maja 2007 roku. Zawierało ono tylko jedną dyspozycję - uznawaną przez ludzi WSI za niezwykle krzywdzącą dla tego środowiska: „*Powierza się Szefowi Służby Kontrwywiadu Wojskowego koordynację działań w zakresie zagrożeń dla bezpieczeństwa państwa wynikających z działań żołnierzy i współpracowników b. Wojskowych Służb Informacyjnych*”.

W piśmie z 28 czerwca br. Dukaczewski podziękował zatem za uchylenie zarządzenia i wyraził nadzieję, iż ta decyzja „*pozwala wierzyć, że sprawa skrzywdzonych przez Raport Antoniego Macierewicza i Komisje Weryfikacyjną żołnierzy i pracowników WSI zostanie w końcu rozwiązana zgodnie z zasadami obowiązującymi w demokratycznym państwie*”.

Podziękowania zamieszczono również na stronie internetowej stowarzyszenia Sowa:

„*Mimo, iż musieliśmy czekać na ten moment przeszło 3 lata, a uchylenie tego zarządzenia nastąpiło w wyniku naszych*

starań (szczegóły znajdują się w zamieszczonej poniżej korespondencji), to dziękujemy politykom PO, że stać ich chociaż

na taki gest wobec kadr byłych WSI.”

Komentując działania stowarzyszenia, w artykule „SOWA IDZIE NA WOJNĘ” z maja 2011 roku (GP 18/2011) napisałem m.in.: „*Nietrudno zauważyć, że zamiarem oficerów byłych WSI jest podważenie całego procesu likwidacji i weryfikacji tej służby, postawienie przed sądem osób dokonujących weryfikacji oraz sporządzenie nowego kontr - raportu, w którym działalność formacji zostanie przedstawiona zgodnie z wolą „pokrzywdzonych”. Nie można również wykluczyć, że w ofensywę środowiska WSI wpisany jest plan dyskredytacji Antoniego Macierewicza, a uderzenie w szefa parlamentarnego zespołu PiS ds. zbadania przyczyn katastrofy smoleńskiej koresponduje z polityczny „zapotrzebowaniem” grupy rządzącej. Na stronie*

internetowej stowarzyszenia podkreśla się, że śledztwo prokuratorskie wszczęte na wniosek stowarzyszenia i grupy dziewięciu oficerów WSI ma zakończyć się do 5 października 2011 roku, a zatem w terminie bliskim wyborom parlamentarnym. Gdyby w tym czasie prokuratura chciała postawić Macierewiczowi zarzuty karne, zostanie to natychmiast wykorzystane przez rządową propagandę dla podważenia ustaleń sejmowego zespołu PiS i posłuży jako pretekst do ataku na partię opozycyjną”

Wniosek o uchylenie immunitetu Antoniemu Macierewiczowi wpisuje się w ten scenariusz i w pełni potwierdza polityczne tło decyzji prokuratury.

Zaledwie przed czterema dniami na stronie stowarzyszenia Sowa ukazał się tekst zatytułowany „Wprowadzenie do obszaru ‘Interwencje’, a w nim „dramatyczne” pytanie ludzi byłych WSI: „Czy możemy liczyć na sprawiedliwość I, II, III i IV Władzy w demokratycznym państwie” .

Po zacytowaniu odpowiednich zapisów Konstytucji, wskazano głównych winowajców „egzystencjalnego bólu”: „Niestety zapisy te nie dotyczą żołnierzy i pracowników WSI, którzy w oczach polskiego społeczeństwa zostali przestępcami i zdrajcami kraju, dzięki naiwności posłów PO, którzy po wystąpieniu posła Andrzeja Urbańskiego ramię w ramię z posłami PiS głosowali w Sejmie za tymi ustawami, a także dzięki cynizmowi Prezydenta RP, Lecha Kaczyńskiego i Prezesa RM, Jarosława Kaczyńskiego, którzy powołali polityczny skład Komisji Weryfikacyjnej i powierzyli kierowanie jej pracami dwóm nieodpowiedzialnym politykom: Antoniemu Macierewiczowi i Janowi Olszewskiemu”.